

PRZYGODA

Z

*Arsenem
Lupinem*

Maurice
Leblanc



PRZYGODA

Z

*Arsenem
Lupinem*

Maurice
Leblanc



Przygoda

według przekładu

LEONA NIEMIROWICZA

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA, ŁÓDŹ 1990

Projekt okładki, strony tytułowej i śródtytułów *Janina Dzikowska-Najder*

Opracowanie redakcyjne

Kazimiera Iskrzyńska

Redaktor techniczny

Grażyna Kocoń

Korektor *Halina*

Zatań

© Copyright for the Polish edition Krajowa Agencja Wydawnicza, Łódź 1990

ISBN 83-03-03105-8

RSW „Prasa-Książka-Ruch”

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA ODDZIAŁ W ŁODZI

Łódź 1990

Wydanie pierwsze. Nakład 29 650 + 350 egz Ark.

wyd. 14,3. Ark. druk. 16,25 Druk Prasowe Zakłady Graficzne w Łodzi Zam. 3403/89 B-4

CZEŚĆ I

Deszcz iskier

Wreszcie wybiło pół do szóstej.

W tejże chwili otworzyła się brama jednego z domów stojących frontem do skweru. Z domu wyszedł jakiś człowiek, zamknął za sobą bramę, przeciął ulicę de Chaillot i okrążył dokoła placyk.

Był to oficer w mundurze khaki. Pod czerwonym czakiem, o-zdobionym trzema złotymi sutaszami, nosił bandaż osłaniający całą głowę, tak że czoło i kark miał zakryte. Był bardzo wysokiego wzrostu

i niezwykle szczupły. W miejscu prawej nogi miał drewnianą kulę, zakończoną gumową gałką. Opierał się na lasce.

Opuściwszy plac, zszedł na jezdnię ulicy Pierre-Charron, odwrócił się i jął się uważnie rozglądać to w tę, to w ową stronę.

Po tym dokładnym przeglądzie zbliżył się do jednego z drzew skweru i z lekka końcem laski dotknął zgrubiałego pnia drzewa.

Wystający brzuch cofnął się. Oficer poszedł dalej.

Tym razem oddalił się na dobre i ulicą Pierre-Charron zwrócił się w kierunku śródmieścia Paryża. Dotarłszy do avenue Champs-Elysees, wszedł na lewy chodnik.

W odległości dwustu kroków wznosił się tam duży hotel, za-mieniony widocznie na szpital wojskowy, bo na dachu powiewała chorągiew Czerwonego Krzyża. Oficer przystanął opodal w taki sposób, że nikt z wchodzących ani wychodzących nie mógł go spostrzec - i czekał.

Zegar wybił trzy kwadransy, a później i godzinę szóstą, i wreszcie siódmą.

Minęło jeszcze kilka chwil.

Pięć osób wyszło z hotelu, potem jeszcze dwie inne. Wreszcie na progu westybulu ukazała się kobieta, pielęgniarka, okryta niebieskim płaszczem z oznaką Czerwonego Krzyża.

- Oto i ona - szepnął oficer.

Pielęgniarka skierowała się w tę samą stronę, z której on przyszedł, weszła w ulicę Pierre-Charron i idąc chodnikiem po prawej stronie zbliżyła się do skweru przy ulicy de Chaillot.

Szła lekko, krokiem gibkim i rytmicznym. Podmuch wiatru, który wzmógł się nieco, raz po raz poruszał opadający na ramiona długi, niebieski welon. Mimo szerokiego płaszcza domyślić się można było smukłej kibici i świadczących o młodości harmonijnych ruchów bioder.

Oficer szedł za nią, wywijając laską, jakby przechadzał się bez określonego celu.

W tej chwili na ulicy nie było nikogo prócz ich obojga.

Ale kiedy idąca przed nim mijała avenue Marceu, stojące na jezdni auto ruszyło i potoczyło się z wolna w tym samym kierunku, w którym zmierzała młoda kobieta, zachowując przy tym pewien stały dystans.

Była to taksówka. Idący za pielęgniarką oficer zauważył dwie rzeczy: wewnątrz auta siedziało dwóch mężczyzn, z których jeden w popielatym filcowym kapeluszu - przez chwilę dojrzeć mógł jego twarz z czarnym bujnym wąsem - bezustannie wychylał się za drzwiczki samochodu i rozmawiał z szoferem. Pielęgniarka szła tymczasem szybko dalej, nie pglądając się za siebie. Oficer przeszedł na przeciwległy chodnik, przyśpieszając kroku, bo zdawało mu się, że i auto zaczęło zwiększać szybkość, w miarę jak młoda kobieta zbliżała się do skweru.

Z miejsca, w którym znajdował się oficer, objąć mógł okiem prawie cały plac, lecz mimo bystrości wzroku nie spostrzegł niczego, co by zdradzało obecność siedmiu znajdujących się tam inwalidów. Poza tym głucha pustka. Żadnego przechodnia. Żadnego pojazdu. Tylko w oddali, na skrzyżowaniu dwóch szerokich ulic wśród mroku dwa tramwaje mąciły ciszę wieczorną.

Miało się wrażenie, że młoda kobieta nie spostrzega, co się dzieje na ulicy i nie widzi niczego, co by ją mogło zaniepokoić. Szła bez najmniejszego [wachania](#). [Manewry](#) auta, sunącego jej śladem, nie zaprzętnęły jej uwagi, bo nie oglądnęła się za siebie ani razu.

Auto zbliżało się jednak coraz bardziej. Nim doszła do placu, dzieliło je od pielęgniarki zaledwie dziesięć do piętnastu metrów, a kiedy wciąż zamyślona dotarła do pierwszych drzew, samochód zrównał

się z nią i ze środka jezdni zjechał do chodnika; tymczasem z przeciwległej strony, to jest z lewej, wychylający się wciąż mężczyzna otworzył drzwiczki auta i stanął na stopniu.

Oficer znów szybkim krokiem przeszedł na drugą stronę ulicy, nie obawiając się, że go zobaczą, obydwaj bowiem jadący w aucie tak zdawali się być zajęci wykonywaniem swego planu, że nie zwracali na nic uwagi. Oficer przyłożył do ust świstawkę. Wypadki zdawały się zbliżać ku rozstrzygnięciu.

Istotnie auto nagle przystanęło.

Z drzwiczek po obydwu stronach auta wyskoczyli jadący w nim mężczyźni i znaleźli się na chodniku placu, o kilka metrów od kiosku.

W tej samej chwili dał się słyszeć okrzyk trwogi z ust młodej kobiety i przeraźliwy gwizd oficera. I w tej samej chwili także obaj mężczyźni rzucili się ku pielęgniarce, a pochwyciwszy zdobycz, pociągnęli ją ku automobilowi, przy czym jednak siedmiu żołnierzy-inwalidów, jakby spod ziemi wyrosłych, rzuciło się na napastników.

Bójka nie trwała długo. A raczej bójki nie było wcale. Szofer taksówki widząc, że napadnięta ma obrońców, puścił w ruch maszynę i umknął możliwie najszybciej. Obydwaj zaś napastnicy spostrzegłszy, że plan ich się nie udał, że dokoła nich sterczą laski i krokwie, że grozi im rewolwer oficera, puścili zdobycz i biegnąc chyłkiem, by uniknąć strzału, rzucili się zygzakiem do ucieczki i wkrótce zniknęli wśród cieni ulicy Brignoles.

- W cwał, Ya-Bon - zakomenderował oficer w stronę Senegalczyka. - Przyrowadź mi którego z nich za uszy!

Podał ramię kobiecie, która cała drżąc, bliska była omdlenia, i z wielką troskliwością powiedział:

- Proszę się nie bać, mateczko Koralio, to ja, kapitan Belval...

Patryk Belval!

- Ach, to pan, kapitanie... - wyjąkała.

- Tak, to my, wszyscy pani przyjaciele, zebrani w pani obronie, wszyscy dawni chorzy ze szpitala; odnalazłem ich w oddziale rekonwalescentów.

- Dziękuję...

I drżącym głosem zapytała jeszcze:

- A ci inni? Tamci dwaj mężczyźni?

- Uciekli. Ya-Bon puścił się za nimi w pogoń.

- Ale czego oni chcieli ode mnie? Jakim cudem znalazł się pan tutaj?

- O tym pomówimy później, mateczko Koralio, teraz idzie przede wszystkim o panią. Dokąd mamy panią zaprowadzić? Najlepiej wejdźmy tu na chwilę, by pani przyszła do siebie i odpoczęła trochę.

Przy pomocy jednego z żołnierzy przeprowadził pielęgniarzkę ku domowi, z którego sam wyszedł był przed trzema kwadransami. Młoda kobieta podążyła z nimi z całą ufnością.

Weszli wszyscy do mieszkania na parterze i przeszli do salonu, w którym zabłysła lampa elektryczna. Na kominku wesoło trzaskał ogień.

- Proszę, niech pani usiądzie wygodnie - powiedział oficer.

Ona upadła jednak raczej niż usiadła na jednym z foteli. Ka pita począł wydawać rozkazy:

- Ty, Poulard, przynieś ze stołowego pokoju szklanę! A ty, Ribrac, karafkę świeżej wody z kuchni... Chatelain, w spiżarni znajdziesz butelkę rumu. Nie, nie, ona przecież nie lubi rumu... A więc...

- A więc - powiedziała uśmiechając się - tylko szklanę czystej wody.

Lekki rumieniec zabarwił zwykle blade jej policzki. Wargi napłynęły krwią, a uśmiech ożywiający twarz pełen był ufności.

Oblicze jej miało w sobie urok i słodycz. Owal twarzy czysty, rysy niezwykle delikatne, płeć matowa, a wyraz niewinny, jakby zdziwionego dziecka, które patrzy dużymi, zawsze rozwartymi oczyma na wszystko, co je otacza. Mimo to, mimo pozoru delikatności i łagodności przebijała w niej chwilami energia, połyskująca w ciemnych oczach. Włosy jej, również czarne, wymykające się spod białego czepeczka, falistą linią otaczały gładkie czoło.

- Zdaje się, że naszej mateczce już lepiej - powiedział kapitan, kiedy wypła szklanę podanej wody.
- Nieprawdaż, mateczko Koralio?

- O tak, o wiele lepiej.

- Chwała Bogu! Ale jakąż to przy krą chwilę przeżyliśmy! Co za przygoda! Będzie to trzeba wyświecić i do cna wyjaśnić, nieprawda?

Tymczasem, moje chłopaki, pożegnajcie mateczkę Ko-ralię. A co, moje zuchy, kto by to był powiedział, że teraz wy ją będziecie pielęgnowali, że dzieci będą się opiekowały swoją mateczką?

Wszyscy obecni otoczyli ją wkoło, i ten bez ręki, i ten kuternoga -

wszyscy inwalidzi chcieli ją widzieć - a ona wszystkim serdecznie podawała rękę.

- I jakże tam, Ribrac, z waszą nogą?

- O, nie boli już wcale, mateczko Koralio.

- A wasze ramię, Vatimal? A wy, Poulard? I wy, Jorisse? Ogarnęło ją wzruszenie na widok tych, których nazywała dziećmi.

- O, mateczko Koralio! - zawołał kapitan widząc łzy w jej oczach. - Tymi oto łzami zdobyłaś nasze serce. Kiedy w szpitalnych łózkach, prawdziwych łóżach boleści, ze wszystkich sił sta-

raliśmy się nie krzyżeć z bólu, widzieliśmy te wielkie łzy, płyną-

ce z twoich oczu. Mateczka Koralia płakała nad swoimi dziećmi.

A wtedy my zaciskaliśmy zęby jeszcze bardziej!

- I ja płakałam jeszcze bardziej, widząc, jak staracie się ukryć ból, by mi nie robić przykrości.

- A dziś płacze pani znowu. O, nie! Dość wzruszeń. Pani kocha nas. My kochamy panią. Nie ma tu powodu do szlochów. A zatem, mateczko Korolio, proszę się uśmiechnąć. Oto i Ya-Bon nadchodzi. Ya-Bon, ten przynajmniej zawsze się śmieje.

Na te słowa mateczka Koralia zerwała się szybko:

- Myśli pan, że zdołał pochwycić jednego z tych ludzi?

- Jak to, czy myślę? Powiedziałem przecież Ya-Bonowi, że ma przyprowadzić mi jednego za uszy. Na pewno to wykonał.

Obawiam się tylko jednego...

Wszyscy wyszli do przedsionka, skąd widać było na schodach Senegalczyka. Prawą ręką, jedyną, jaką miał, trzymał za kołnierz człowieka, który zwisał mu w rękę niby kawałek ścierki, tak że zdawało się, jakby Ya-Bon niósł w palcach pajacyka.

- Puść go! - rozkazał kapitan.

Ya-Bon rozwarł palce. Człowiek padł, jakby bez życia, na kamienną posadzkę przedsionka.

- Właśnie tego się obawiałem - mruknął kapitan. - Ya-Bon ma tylko prawą rękę, ale kiedy ta ręka trzyma kogo za grdykę, to cudnie lada, jeśli go nie zadusi. Niemcy mogliby powiedzieć coś o tym.

Ya-Bon był czymś w rodzaju olbrzyma. Czarny jak węgiel, miał na głowie wełnistą czuprynę i kilka krętych kosmyków na brodzie. Pusty rękaw jego huzarskiej kurtki przyczepiony był

szpilkami do ramienia, na piersiach błyszcząły dwa medale. Jeden, policzek, część szczęki, ust i podniebienia strzaskane miał

odłamkiem granatu. Druga jednak część ust, sięgająca niemal do ucha, okraszona była uśmiechem, który zdawał się nigdy nie znikać, a zadziwiał tym bardziej, że zablizniona i, na ile się to dało, połatana część twarzy była zupełnie nieruchoma.

Ponadto Ya-Bon utracił mowę. Co najwyżej wydawał z siebie szereg niewyraźnych pomruków, wśród których rozróżnić było można jego przydomek „Ya-Bon”, powtarzane ciągle.

I tym razem powtarzał je z dużym zadośćuczynieniem patrząc 10

na przemian to na swego pana, to na swoją ofiarę, jak dobry pies myśliwski, kiedy przywlecze sztukę złowionej zwierzyny.

- Dobrze! - powiedział officer. - Ale na przyszłość zrób to trochę delikatniej!

Pochylił się nad leżącym, obmacał go, a widząc, że tylko omdlał, zwrócił się do pielęgniarki:

- Poznaje go pani?

- Nie - zapewniła go.

- Jest pani pewna, że nie? Nie widziała go pani? Czy pani nigdy nie widziała tej twarzy?

Była to twarz bardzo szeroka, o czarnych, napomadowanych włosach i siwiejących już wąsach. Ciemnogatowe, dobrze skrojone ubranie zdradzało człowieka zamożnego.

- Nie, nigdy... - oświadczyła młoda kobieta.

Kapitan jął przeszukiwać kieszenie. Nie znalazł w nich żadnego papieru.

- Ya-Bon, zwiąż mu ręce i nogi i zostań tu przy nim w przedsionku. Wy, reszta, koledzy, czas już na was. Ja mam klucz ze sobą. Pożegnajcie się z mateczką i jazda w drogę.

A kiedy się już pożegnali, wypchnął ich na ulicę. Po czym wrócił do młodej kobiety i wszedł z nią do salonu.

- A teraz, mateczko Koralio, porozmawiamy. Przede wszystkim jednak niech mnie pani wysłucha. Opowiem pokrótce.

Zasiedli przed roziskrzonym kominkiem. Patryk Belval podsunął

pod nogi Koralii poduszkę; jedną z lampek elektrycznych zgasił, a widząc, że mateczka siedzi wygodnie, rozpoczął:

- Jak pani wiadomo, przed tygodniem opuściłem szpital i mieszkam przy bulwarze Maillot, w Neuilly, w sanatorium zarezerwowanym dla rekonwalescentów. Tam codziennie rano udaję się na opatrunek i tam też sypiam co noc. Resztę dnia spaceruję, wałęsam się po ulicach i restauracjach, gdzie to tu, to tam spożywam obiady, śniadania i kolacje. Odwiedzam też dawnych przyjaciół.

Otóż dziś rano, oczekując jednego z nich w sali dużej *caffe-re-staurant* przy bulwarze, usłyszałem pewną rozmowę; ale dodać muszę, że salę tę dzieli na dwie części przepierzenie wysokości człowieka.

Byłem w restauracji sam, a z drugiej strony przepierzenia znajdowało się dwóch gości, odwróconych do mnie plecami.

Widzieć ich nie mogłem. Oni myśleli zapewne, że są sami, bo rozmawiali głośno, zbyt głośno, jak na to, o czym mówili i co wskutek tego mogłem zapisać w tym oto notatniku.

Kapitan wyciągnął z kieszeni mały notes i opowiadał dalej:

- Oto słowa, które zwróciły szczególnie moją uwagę, zaraz się pani dowie dlaczego. Najpierw mówili o iskrach, o deszczu iskier, jaki spadł

już był dwa razy przed wojną, coś w rodzaju nocnego sygnału.

Spodziewali się go i oczekiwali, by móc działać jak najszybciej. Czy nic to pani nie mówi?

- Nie, dlaczegożby?

- Zaraz to pani wyjaśnię. A! Zapomniałem jeszcze powiedzieć, że obydwaj mówili po angielsku, zupełnie płynnie, ale z akcentem, który zdradzał, że ani jeden ani drugi nie jest Anglikiem. Oto ich słowa wiernie przetłumaczone:

„A więc - powiedział jeden z nich - wszystko jest dobrze ułożone.

Wy dwaj znajdziecie się dziś wieczorem nieco przed siódmą na oznaczonym miejscu.

- Będziemy z pewnością, pułkowniku. Postaraliśmy się już o samochód.

- Dobrze. Pamiętajcie, że ta mała wychodzi z lazaretu o siódmej.

- Proszę się nie obawiać. Omyłka jest niemożliwa, zawsze wraca tą samą drogą, przechodząc ulicą Pierre-Charron.

- I plan macie gotowy?

- Zapięty na ostatni guzik. Rzecz odbędzie się na placu, przy którym kończy się ulica Chaillot. Przypuśćmy nawet, że będzie tam kilka osób, nie zdążą one przyjść jej na pomoc, z taką szybkością odbędzie się wszystko.

- Czy możecie być pewni szofera?

- Jestem pewny, bo tyle mu płacimy, że musi nas słuchać. To chyba wystarczy.

- Doskonale. Będę czekał w samochodzie, w wiadomym miejscu, tam mi ją oddacie. Wtedy będziemy panami sytuacji.

- Tak, a pan, panie pułkowniku, panem tej małej, co wcale nie będzie dla pana rzeczą przykrą, bo jest diabelnie ładna.

- Diabelnie! Od dawna znam ją z widzenia, ale nigdy nie udało mi się do niej zbliżyć. Myślę, że teraz zdołam wyzyskać nadarzącą się sposobność. Będzie pewnie trochę szlochu, krzyku, 12

zgrzytania zębami - dodał pułkownik - ale tym lepiej! Lubię opór, zwłaszcza, kiedy wiem, że jestem silniejszy".

Tu pułkownik roześmiał się rubasznie. Drugi wspólnik uczynił to samo. Kiedy przywołali kelnera, by

zapłacić rachunek, wstałem i zwróciłem się natychmiast ku drzwiom restauracji wiodącym na bulwar, lecz tylko jednego z nich zauważyłem. Był to człowiek o dużych, zwieszających się wąsach, na głowie miał czarny filcowy kapelusz.

Drugi widocznie wysunął się drzwiami, wychodzącymi na boczną ulicę.

W tej chwili przed restauracją znajdował się tylko jeden samochód.

Człowiek o wielkich wąsach zajął go, musiałem więc zrezygnować z pościgu. Ale ponieważ wiedziałem, że co wieczór o siódmej wychodzi pani ze szpitala i że mija pani ulicę Pierre-Charron, przeto, nieprawdaż?

Nietrudno było mi się domyślić, o kogo idzie...

Kapitan zamilkł. Młoda kobieta popadła w zamyślenie, ale po chwili odezwała się:

- Dlaczego mnie pan nie ostrzegł?

- Ostrzec panią! - zawołał. - A jeżeli to jednak nie szło o panią? Po co panią niepokoić? Jeśli zaś przeciwnie, o pani była mowa, po co ostrzegać? Gdyby im się nie udało, nieprzyjaciele pani staraliby się zastawić nowe sidła, a my, nie znając ich zamiarów, nie moglibyśmy ich wyprzedzić. Lepiej było podjąć walkę. Ściągnąłem małą bandę dawnych pani chorych, znajdujących się właśnie na oddziale rekonwalescentów, a że przyjaciel mój, na którego wtedy czekałem w restauracji, mieszka właśnie na tym placu, więc poprosiłem go na wszelki wypadek, by użyczył mi swego mieszkania na czas od 600 do 900 wieczorem. Oto wszystko, co zrobiłem, mateczko Koralio. A teraz, kiedy pani wie już o wszystkim, co pani o tym myśli?

Podąła mu rękę.

- Myślę, że wybawił mnie pan od nieznanego, ale okropnego niebezpieczeństwa, za co panu dziękuję.

- Ach, nie - odparł. - Podziękowań nie przyjmuję. To taka radość dla mnie, że mi się powiodło. Nie o to też proszę, ale o zdanie, jakie pani ma o całej tej sprawie.

Koralia, nie zwlekając ani chwili, odpowiedziała:

- Nie mam żadnego. Ani jedno słowo, nic z tego, co mi pan opowiedział, nie naprowadza mnie na żadną myśl, która by mogła mi być jakąś wskazówką.

13

- Czy ma pani jakichś nieprzyjaciół?

- Osobiście nie.

- A ten człowiek, dla którego ci dwaj napastnicy mieli panią porwać, a który twierdzi, że panią zna?

Lekko zarumieniła się i powiedziała:

- Każda kobieta spotkała w życiu ludzi, którzy się nią interesują mniej lub więcej otwarcie. Ale nie mogłabym powiedzieć, kto by to mógł być.

Kapitan milczał chwilę, po czym mówił dalej:

- Ostatecznie sami nie możemy tej sprawy wyjaśnić. Trzeba będzie wybadać więźnia. Jeżeli nie zechce powiedzieć, tym gorzej dla niego... oddam go policji, która już wybada sprawę dostatecznie.

Młoda kobieta drgnęła:

- Policji?

- Oczywiście. Cóż pani chce, bym zrobił z tym łotrem? Nie należy on do mnie. Należy do policji.

- Ależ nie, nie! - zawołało żywo. - Pod żadnym warunkiem. Jak to!

Ja mam być wmieszana w taką sprawę?... Policja ma szperać i robić dochodzenie w tej sprawie?...

- A jednak, mateczko Koralio, nie mogę inaczej...

- Ach nie! Proszę pana, błagam o to, przyjacielu, niech pan znajdzie jakiś inny sposób, byle nie mówiono o mnie! Nie, nie chcę, by mówiono o mnie!

Kapitan spojrzał badawczo, zdziwiony bardzo jej podnieceniem, i rzekł:

- Zaręczam, mateczko Koralio, że nikt nie wmiesza nazwiska pani.

- A więc cóż pan zrobi z tym człowiekiem?

- Mój Boże - powiedział uśmiechając się. - Najpierw zapytam go uniżenie, czy raczy odpowiedzieć na moje pytania, potem podziękuję mu uprzejmie za względy, jakie miał dla pani, a w końcu poproszę, by łaskawie zechciał się wynieść.

To mówiąc, oficer wstał.

- Czy chciałaby go pani może zobaczyć?

- Nie - odparła. - Taka jestem zmęczona... Jeżeli mnie pan nie potrzebuje, to proszę, wypytaj go pan sam. Potem mi pan opowie...

14

Wydawała się istotnie zmęczona bardzo tym, co tak niedawno przeszła, i znużona i tak już ciężką całodzienną pracą pielęgniarki.

Kapitan, widząc to, nie nalegał już więcej i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Mateczka Koralia ułyszała jednak jego słowa:

- No i cóż, Ya-Bon, dobrześ go pilnował? Nic nowego nie zaszło?

A twój więzień? O! Jakże się macie, kolego? Zaczynasz już oddychać? Tak, Ya-Bon ma trochę za ciężką rękę... nieprawda?

Nie odpowiada pan... Ale cóż to? Nie rusza się... U diabła, czyżby on tylko...

Koralia usłyszała okrzyk i wybiegła szybko do przedsionka. Kapitan starał się zagrozić jej drogę, bardzo żywo mówiąc do niej:

- Niechże pani nie wychodzi. Bo i po cóż?

- Ależ pan jest ranny - zawołała.

- Kto, ja?

- Tak, tu krew na rękawie, na mankiecie.

- W istocie. Ale to nic, to chyba krew tego człowieka.

- A więc on jest ranny?

- Tak, z ust buchnęła mu krew. Jakieś pęknięcie naczyń krwionośnych.

- Jak to! Czyżby Ya-Bon do tego stopnia go zdusił?...

- To nie Ya-Bon.

- Któż tedy?

- Jego wspólnicy.

- Czy oni tu wrócili?

- Tak, i udusili go.

- Udusili go! Nie, to niepodobna!

Udało jej się prześlizgnąć w poblizze więźnia. Nie poruszył się więcej. Twarz jego była śmiertelnie blada. Bardzo cienki, jedwabny czerwony sznurek, zakończony z obu stron pętlą, zaciskał mu szyję.

II

Prawa ręka i lewa noga

- O jednego łotra mniej, mateczko Koralio - zawołał Patryk Belval.

Zaprowadził Koralie z powrotem do saloniku, po czym sam wydał

dyspozycje Senegalczykowi. Wróciwszy do Koralii, rzekł:

- Niech pani zapamięta sobie nazwisko, jakie znalazłem wyryte na jego zegarku: Mustafa Rowalajow; nazwisko łotra.

Wypowiedział te słowa tonem wesołym, już bez śladu wzruszenia i mówił dalej, przechadzając się w poprzek pokoju:

- My, którzy towarzyszyliśmy tylu katastrofom, którzy patrzyliśmy na śmierć tylu dzielnych ludzi, my, mateczko Koralio, nie będziemy opłakiwać śmierci Mustafy Rowalajowa, ubitego przez własnych współników. Obejdzie się nawet bez mowy pogrzebowej, nieprawdaż?

Ya-Bon otrzymał rozkaz przeniesienia go przez ulicę Brignoles i po upatrzeniu chwili, gdy nie będzie nikogo, rzucenia go przez sztachety do ogrodu muzeum Galliera. Płot jest wysoki, ale prawa ręka Ya-Bona nie zna przeszkód. Tak więc, mateczko Koralio, sprawa załatwiona. Nikt o pani mówić nie będzie, a teraz upominam się o podziękowanie.

Zaczął się śmiać:

- Co za marny dozorca więzienny ze mnie! A jak to go zgrabnie sprzątnęli, tego jeńca! Że też nie przewidziałem tego, nie domyśliłem się, że współnik, ten w szarym kapeluszu, zawiadomi natychmiast tego trzeciego. I oto, co się stało! Podczas kiedy my tu rozmawialiśmy swobodnie, oni podważyli zamek tylnych drzwi, weszli przez kuchnię i przez małe, półotwarte drzwi do sieni, ujrzeni tuż przed sobą związanego omdlałego współnika. Cóż robić? Bez zwrócenia uwagi Ya-Bona nie mogli go stamtąd wydostać. A jeżeli go nie wydobędą, wtedy ich zdradzi, opowie o wszystkim i zniweczy cały plan. A więc? Jeden z nich pochylił się szybko, wyciągnął rękę, sznurkiem podwiązał gardło - Ya-Bon przedtem dobrze je nadwerężył! - przeciągnął pętlę, znajdującą się na końcu sznurka i zaciągał powoli - powoli, dopóki nie pojawiły się oznaki śmierci. Potem cisza. Przyszli, zamordowali, odchodzą.

Dobranoc. Sprawka udała się. Towarzysz już ich nie wyda.

16

Wesołość kapitana podwoiła się:

- Towarzysz nie wygada się, a kiedy policja znajdzie jutro rano zwłoki w zamkniętym ogrodzie, nie zrozumie niczego z tej całej sprawy. I my nie zrozumiemy więcej, mateczko Koralio. Nie będziemy

wiedzieli, dlaczego chcieli porwać panią. To prawda!

Jako dozorca więzienny jestem wart niewiele, a jako policjant -

to już zupełnie nic.

Nie przestawał przechadzać się z jednego kąta pokoju w drugi-Zdawało się, że amputowana poniżej kolana noga nie przeszkadza mu w tym zupełnie: zachowała całą swoją gibkość, a wywoływała tylko pewną nieharmonijność w ruchach, lecz postać jego smukła i zgrabna kazała zapomnieć o tym kalectwie, do którego i on nie zdawał się już przywiązywać zbytniego znaczenia. Twarz jego otwarta i dziarska, opalona słońcem i owiana wichrami walki, miała wyraz wesoły, a nieraz nawet kpiący. Kapitan Belval mógł liczyć 28 do 30 lat. Przypominał

trochę dawnych oficerów z czasów pierwszego cesarstwa, którym życie obozowe nadawało swoisty sposób bycia, jakiego nie pozbywali się nawet w salonie, między paniami.

Zatrzymał się, z dumą wpatrzony w Koralię, której piękny profil odbijał się na tle rozpalonego kominka, po czym usiadłszy przy niej rzekł:

- Właściwie nic jeszcze nie wiem o pani. W szpitalu lekarze i pielęgniarki nazywają panią Koralią. Pacjenci pani – mateczką Koralią.

Jakie jest właściwie pani nazwisko, panieńskie czy też po mężu? Czy jest pani mężatką czy panną, gdzie pani mieszka?

Wiem tylko tyle, że co dzień o tej samej godzinie przychodzi pani i o tej samej godzinie wychodzi, zawsze tymi samymi drzwiami.

Czasem stary sługa o długich siwych włosach i rozczochranej, spiczastej brodzie, z szalem na szyi, w żółtych okularach, odprowadza panią lub przychodzi po nią. Niekiedy zdarza się także, że czeka na panią, usiadłszy w oszklonym westybulu, zawsze na tym samym krześle.

Starano się go wybadać, ale on nic nie opowiadał. Nic więc nie wiem o pani, prócz jedynej rzeczy: że jest pani dobra i współczująca i że jest pani również -wszak mogę to powiedzieć, nieprawdaż? - nad wyraz piękna. I może właśnie dlatego, że wszystko w życiu pani jest dla mnie niewiadome, wyobrażam je sobie niezwykle tajemniczym i tak bardzo bolesnym,

tak bardzo bolesnym! Czyni pani wrażenie, jakby pani żyła w nieustannej trosce i w ciągłym niepokoju. Czuję, że pani jest zupełnie samotna. Nikt się pani nie poświęca i nie dba o szczęście i spokój pani.

Tak sobie myślałem od dawna... że pani zapewne odczuwa potrzebę jakiegoś przyjaciela, brata; który by zaopiekował się panią i jej bronił.

Czy myślę się, mateczko Koralio?

W miarę jak to mówił, młoda kobieta zdawała się zastygać i zamykać w sobie, jak gdyby nie chciała, by zajrzał w tajemne sfery jej serca i życia.

Szepnęła:

- Tak, omyliłeś się pan, moje życie jest zupełnie zwyczajne i nie potrzeba mi obrony.

- Pani nie potrzeba obrony? - wykrzyknął z wzrastającym ożywieniem. - A ci ludzie, którzy chcieli panią porwać? Ten spisek, uknuty przeciw pani? Zasadzka, której napastnicy tak się obawiali odkrycia, że posunęli się aż do zbrodni? A więc to wszystko, to jeszcze nic? To ja się myślę, twierdząc, że pani grozi niebezpieczeństwo? Że pani ma niezwykle zuchwałych nieprzyjaciół? Że trzeba panią bronić przed nimi i że - jeżeli pani nie chce przyjąć mojej pomocy... no, to dobrze... dobrze, to...

Trwała w milczeniu, coraz chłodniejsza, wprost nieprzyjazna.

Oficer uderzył pięścią w marmur kominka i pochylając się nad Koralią rzekł, kończąc zdanie stanowczym tonem:

- Dobrze, jeśli pani nie przyjmie sama mojej pomocy, to ja ją pani narzucę.

Przecząco pokiwała głową.

- Tak, narzucę pani - powtórzył stanowczo. - To mój obowiązek, to moje prawo.

- Nie - odrzekła półgłosem.

- Moje absolutne prawo - powtórzył kapitan Belval - i to na podstawie, która ma pierwszeństwo przed wszystkimi innymi i która mnie zwalnia od zgody pani w tej kwestii, mateczko Koralio.

- Jaka podstawa? - zapytała młoda kobieta, patrząc na oficera.

- Po prostu kocham panią!

Rzucił jej te słowa krótko, nie jak adorator ryzykujący ani też 18

nieśmiały, lecz jak człowiek dumny ze swego uczucia i rad, że może je wyjawić.

Koralia opuściła oczy, zarumieniona, a on wykrzyknął radośnie:

- A co? Powiedziałem pani, że kocham. Bez deklamacji, bez wzniesionych w górę rąk, bez westchnień i bez wielkich gestów.

Nic, tylko dwa małe słówka pani powiedziałem, nie próbując na wet uklęknąć. Przyszło mi zaś to tym łatwiej, że pani dobrze o tym wie. Ależ tak, mateczko Koralio. Proszę nie robić obrażonej minki; pani wie dobrze, że panią kocham, a wie to pani tak samo dawno, jak ja. Wiedzieliśmy oboje, jak się to uczucie zaczęło, gdy te kochane, małe rączki dotykały broczącej krwią mojej głowy.

Wszystkie inne dłonie były dla mnie męczarnią. Dotknięcie rąk pani było pieszczotą. Pieszczotą były spojrzenia, pełne współczucia, i łzy, wywołane moim cierpieniem! A zresztą, czyż można panią widzieć, znać i nie kochać jej? Tych siedmiu inwalidów, którzy odeszli stąd przed chwilą, wszyscy oni kochają panią. Ale oni, to tylko prości żołnierze, toteż milczą. Ja zaś jestem oficerem, więc mówię bez ogródek, z podniesioną głową.

Młoda kobieta ukryła w dłoniach rozpaloną twarz i pochylona milczała.

On zaś dźwięcznym głosem mówił dalej:

- Pani rozumie, co chcę przez to powiedzieć, kiedy oświadczam, że mówię bez ogródek, z podniesioną głową, nieprawdaż?

Gdybym przed wojną był, czym jestem teraz, kaleką, nie miał

bym tej śmiałości. Wtedy pokornie tylko, przepaszając za zuchwałość, wyznałbym pani miłość... lecz teraz, niech mi pani wierzy, mateczko Koralio, teraz wobec pani, która jesteś kobietą, i to kobietą, którą kocham nade wszystko, ani na chwilę nie przypuszczam, że mogę się pani wydać śmieszny lub zarozumiały.

Zatrzymał się, jakby dla nabrania tchu, po czym powstawszy mówił

dalej:

- I to jest całkiem naturalne. Trzeba, żeby wszyscy wiedzieli o tym, że inwalidzi tej wojny nie uważają się wcale za nieszczęśliwych, za wyrzutek, lecz za ludzi najzupełniej normalnych. Bo cóż, że o jedną nogę mniej? Cóż z tego? Czy przeszkadza to, by mieć rozum i serce? Czyż dlatego, że wojna zabrała mi nogę czy ramię, a nawet dwie nogi i obydwa ramiona, nie miałbym prawa kochać i miałbym obawiać się wyśmiania lub też domyślać się

tylko litości nade mną? Litości! Ale my nie chcemy, by się litowano nad nami, ani nie chcemy, by się ktoś zmuszał, by nas pokochać, nie chcemy nawet, by ktokolwiek uważał się za bardzo miłosiernego, gdy zdobywa się na uprzejmość względem nas. To, czego żądamy, zarówno od kobiety, jak i od

społeczeństwa, od przechodniów, jak i od całego świata, to zupełne zrównanie nas z tymi, którzy pozostali zdrowi dzięki szczęśliwej gwiazdzie albo też wskutek tchórzostwa.

Kapitan znowu uderzył ręką w kominek.

- Tak jest, pełnego zrównania. My wszyscy: kulawi, ludzie bez ręki, ślepi, oszpeceni, zniekształceni, my wszyscy utrzymujemy stanowczo, że fizycznie i moralnie równi jesteśmy tamtym, a może nawet przewyższamy ich. Jakże to! To ci, którzy pędzili do ataku, mieliby z chwilą, gdy stracili nogi, być w życiu zdystansowani przez tych, którzy wygodnie wygrzewali kończyny w biurze przy piecu? A to dobre! Żądamy dla siebie tylko miejsca, jak inni!

I proszę mi wierzyć, że miejsce, które nam się należy, wziąć potrafimy sami i zdołamy je zatrzymać. Nie ma takiego szczęścia, do którego nie mielibyśmy prawa, i nie ma takiej pracy, do której nie bylibyśmy zdolni.

Prawa ręka Ya-Bona warta jest tyle, co wszystkie pary rąk świata, a lewa noga kapitana Belvala potrafi zrobić, jeśli on zechce, i dwie mile na godzinę.

Począł się śmiać, mówiąc dalej:

- Prawa ręka i lewa noga... lewa ręka i lewa noga... wszystko jedno, co pozostało, jeżeli tylko umiemy się nimi posługiwać.

Mogę śmiało powiedzieć, że dzieci, które my damy ojczyźnie, będą tak samo dobrze zbudowane, będą miały ramiona i nogi, i wszystko inne...

nie mówiąc już o wybitnym dziedzictwie odwagi i zapału. Oto nasze pretensje, mateczko Koralio! Nie zgadzamy się, by nasze drewniane kule przeszkadzały nam w pójściu naprzód. I na tych kulach czujemy się równie silni i mocni, jak na własnych nogach z krwi i kości. Wcale też nie uważamy, by poświęcenie się nam miało być jakąś ofiarą; ani też nie nazwiemy bohaterstwem tego, że młoda dziewczyna będzie miała honor poślubić niewidomego żołnierza. Jeszcze raz powtarzam: nie jesteśmy wyrzutkami. W niczym nie ustępujemy innym, nie dotknęło nas żadne upośledzenie. Oto prawda, przed którą ugiąć się musi cały świat w tym i przyszłym pokoleniu. Pani rozumie, że w kraju takim jak Francja, w której spotyka się teraz setki tysięcy kalek, **20**

pojęcie człowieka „całego”, ulegnie pewnej zmianie. W tym nowym, tworzącym się społeczeństwie ludzie o dwóch rękach i tylko o jednej, będą traktowani tak jak ludzie o włosach ciemnych i o jasnych, mający zarost lub bez niego. I będzie to rzeczą najzupełniej naturalną. Każdy będzie wiódł życie, jakie mu się będzie podobało, choćby był kaleką. A ponieważ moje życie jest w pani rękach, mateczko Koralio, i szczęście moje zawisło od pani, więc nie czekam dłużej z tym, żeby to pani wyłuszczyć. Uf! Skończyłem nareszcie. Miałbym na ten temat jeszcze niejedno do powiedzenia, ale już nie dziś.

Urwał, onieśmielony milczeniem młodej kobiety.

Nie poruszyła się od chwili, gdy wypowiedział pierwsze słowa.

Czoło oparła na rękach, lekkie drżenie poruszało jej ramiona.

Pochylił się nad nią i z niezwykłą delikatnością odjął ręce z jej pięknej twarzy:

- Dlaczegoż to płaczesz, mateczko Koralio?

To, że mówił do niej „ty”, nie uraziło jej. Między nim a kobietą, która tyle razy pochylała się nad jego ranami, wytworzył się swoisty stosunek; a kapitan Belval miał szczególny sposób pozostawiania w pewnej zażyłości, która jednak nikogo nie mogła urazić, bo nigdy nie przestawał być pełen szacunku.

- Czy to ja jestem przyczyną tych łez? - zapytał kapitan.

- Nie - odparła cicho. - To wasza wesołość i ten wasz sposób niepoddawania się losowi. Najślabszy z was bez wysiłku przewycięża swoją naturę i nie ma nic piękniejszego ani bardziej wzruszającego nad tę waszą beztroskę i swobodę.

Usiadł bliżej niej:

- A więc pani nie gniewa się na mnie za to, co powiedziałem?

- Gniewać się na pana? - odparła udając, że nie rozumie znaczenia jego pytania. - Przecież wszystkie kobiety są tego samego zdania, co i pan! Jeżeli będą miały do wyboru między tymi, którzy wrócą z wojny, a tymi, którzy zostali w domu, to jestem pewna, że cała ich życzliwość będzie po stronie tych, którzy najokrutniej ucierpieli.

Podniósł głowę nagłym ruchem.

- Tylko, że ja żądam czegoś innego niż tkliwość, żądam wyraźniejszej odpowiedzi na niektóre z moich pytań. Czy mam je powtórzyć?

21

- A więc jaka jest odpowiedź?

- Odpowiedź, mój przyjacielu, będzie taka: nie należy więcej stawiać tych pytań.

Spoważniał na te słowa.

- Czy pani mi ich zabrania?

- Tak, zabraniam panu.

- W takim razie przyrzekam, że będę milczał aż do następnego razu, kiedy panią zobaczę...

- Nie zobaczy mnie pan już więcej - szepnęła. To stwierdzenie ubawiło kapitana Belvala.

- A dlaczegoż nie miałbym więcej widzieć mateczki Koralii?

- Dlatego, że ja tego nie chcę.

- A powód tej niechęci?

- Powód...

Skierowała nań oczy i powoli wypowiedziała te słowa:

- Jestem zamężna.

To oświadczenie zupełnie nie zmieniło nastroju kapitana, który odparł najspokojniej w świecie:

- To dobrze, więc wyjdzie pani drugi raz za mąż. Nie ulega wątpliwości, że mąż pani musi być stary i że pani go nie kocha.

Zrozumie doskonale, że jeżeli ktoś panią kocha...

- Nie żartujże, mój przyjacielu.

Pochwyił szybko rękę młodej kobiety w chwili, kiedy ta, wstając, gotowa była do odejścia.

- Ma pani słuszość, mateczko Koraliu, i bardzo panią przepraszam, że o rzeczach tak poważnych mówiłem tak lekkim tonem.

Tu chodziło moje życie... i o pani życie także. Jestem pewny, że jedno i drugie jest ze sobą ściśle związane, choćby nawet mimo pani woli i dlatego odpowiedź pani jest tu zupełnie zbyteczna. Nie pytam już o nic więcej. Czekam, co nam przyniesie przeznaczenie. Ono nas połączy!

- Nie - odparła.

- Tak się stanie - oświadczył - jak to powiedziałem.

- Nie, tak się nie stanie i tak się też stać nie może. Musi mi pan pod słowem honoru obiecać, że nie zobaczy mnie pan więcej i że nie będzie się starał poznać mojego nazwiska. Mogłabym powiedzieć więcej, gdyby pan był tylko moim przyjacielem. Ale to, co mi pan powiedział

przed chwilą, oddała nas od siebie. Nie chcę w moim życiu nikogo...

Mówiła te słowa z pewną gwałtownością, starając się przy tym wydobyć rękę z uścisku, jakim ją więził. Patryk Belval powstrzymał ją, mówiąc:

- Nie ma pani słuszności, nie ma pani prawa tak się narażać.

Niech się pani namyśli... proszę...

Odepchnęła go od siebie. Wtedy zaszedł dziwny wypadek.

Uczyniwszy ten ruch, straciła z kominka małą torebkę, którą tam położyła wchodząc do salonu. Słaby zameczek źle był przymknięty, torebka otworzyła się. Wypadły z niej dwa lub trzy drobiazgi na dywan.

Pozbierała je prędko, ale Patryk Belval schylił się szybko i powiedział:

- Proszę bardzo, jest jeszcze i to.

Był to futerał, mały futerał ze słomianej plecionki, który również się otworzył, przy czym z jego wnętrza wypadł różaniec.

Oboje milczeli stojąc. Kapitan oglądał uważnie różaniec i futerał i rzekł:

- Osobliwy zbieg okoliczności. Te ametystowe ziarnka... ta stara, filigranowa złota oprawa... takie samo wykonanie... to dziwne, znaleźć rzecz tej samej roboty i z tego samego materiału.

Drgnął tak silnie, że i młoda Kobieta zadrżała.

- Cóż to takiego?

Trzymał w palcach jedno z ziarenek, większe od innych, rozpoczynające szereg, złożony z mniejszych ziarenek; po drugiej stronie wisiała część łańcuszka. Ziarenko było strzaskane przez pół, prawie aż po złotą filigranową oprawę, otaczającą je.

- To rzecz tak dziwna, ten zbieg okoliczności, tak niepojęta, że nie śmiem nawet... jednakże trzeba to zaraz na miejscu sprawdzić... lecz przedtem jedno małe zapytanie: - Kto dał pani ten różaniec?...

- Nikt mi go nie dał - odpowiedziała. - Był zawsze u mnie.

- A jednak dawniej, zanim go pani posiadała, należał do kogoś innego?

- Do mojej matki, bez wątplenia.

- Ach! Pochodzi więc od matki pani?

- Tak, przypuszczam, że od niej; wraz z innymi klejnocikami, które odziedziczyłam, dostał się mnie.

- Więc matka pani umarła?

- Tak. Miałam wtedy cztery lata. Za ledwie słabe wspomnienie zostało mi o niej. Ale dlaczego mnie pan o to pyta? Z powodu różańca?

- Tak, to z powodu różańca - odparł. - Z powodu tego ziarenka ametystu, przełamane na dwoje...

Rozpiął dolman i z kieszeni od kamizelki wydobyl zegarek. Wisiało przy nim kilka breloków na skórzanej dewizce, oprawnej w srebro.

Jeden z breloków był połówką ametystowej kulki, przełamanej, również ujętą w filigran. Wielkość obu połówek była najzupełniej identyczna. Obie części ametystu były tego samego koloru i ujęte w ten sam filigran.

Spoglądali na siebie z zaniepokojeniem. Młoda kobieta wyjąkała:

- O, to tylko przypadek, tylko zwykły przypadek.

- Zapewne - odparł. - Ale przypuśćmy, że obie połowy będą sobie dokładnie odpowiadać, jedna drugiej...

- To niemożliwe - rzekła, przerażona myślą, że wystarczy tylko mały ruch, by przekonać się o tym.

Kapitan właśnie zdecydował się na ten stanowczy ruch. Prawa jego ręka, trzymająca ziarenko różańca, i lewa z brelokiem zbliżyły się ku sobie, spotkały się, a po krótkim składaniu zatrzymały się, złączone.

Związek ziarenek ametystu stał się oczywisty.

Nierówności złamania jednej połówki odpowiadały najzupełniej drugiej połowie. Wypukłości wypełniły miejsca wklęsłe, obie połowy ametystu były częściami jednego i tego samego ziarna, złączone tworzyły jednolitą kulkę.

Zapanowała chwila milczenia, pełna tajemnych wzruszeń. Kapitan Belval odezwał się głębokim, cichym głosem:

- Ja też nie znam dokładnie pochodzenia tego breloka. Od dzieciństwa pamiętam, że znajdował się w małym puzderku, w którym przechowywałem inne przedmioty, bez większej wartości, jak klucze do zegarka, stare pierścienie, stare pieczętki itd. Brelok ten wydobylem na wierzch przed dwoma czy trzema laty, by go umieścić przy zegarku.

Skąd pochodzi? Nie wiem. Lecz wiem... - Rozłączył obie połówki, uważnie się im przyjrzał i zakonkludował:

- Wiem z pewnością, że to największe ziarenko różańca musiało w swoim czasie pęknąć i rozerwać się, jedna część została następnie włączona do różańca, a z drugiej zrobiono ten oto brelok. Oboje więc posiadamy połowę tego samego przedmiotu, który kiedyś, przed dwudziestu laty, nosił ktoś w całości.

Zbliżył się ku niej i mówił dalej w tym samym tonie, poważnym i zniżonym nieco głosem:

- Przed chwilą nie chciała pani uznać mego przekonania, mojej wiary w przeznaczenie, tej pewności, jaką miałem, że los nas zbliży i poprowadzi jedno ku drugiemu. Czy nie dowierza pani temu jeszcze i teraz? Wszak albo jest to przypadek tak dziwny, że pojąć go nie można, albo też raczej fakt rzeczywisty, wskazujący na to, że zostaliśmy kiedyś już dawniej związani jakimś tajemniczym węzłem i że w przyszłości przeznaczenie połączy nasze istnienia na zawsze, że się już nigdy nie rozdzielimy. Oto dlaczego, nie czekając na tę przyszłość, może daleką bardzo, teraz, kiedy pani jest w niebezpieczeństwie, ofiaruję jej moją przyjaźń i pomoc. Niech pani zauważy, że nie mówię już więcej o mi-

łości, tylko o przyjaźni. Czy przyjmujesz ją pani?

Taka była zamyślona tym dziwnym odnalezieniem związku dwu części ametystu, że zdawała się nie słyszeć głosu kapitana.

- Czy pani ją przyjmuje? - powtórzył. Po pewnej chwili odpowiedziała.

- Nie.

- A więc - rzekł nie tracąc humoru - nawet to pani nie wystarcza, że tak chce przeznaczenie?

- Nie powinniśmy się więcej widzieć - odparła.

- Dobrze. Zostawiam to zbiegowi okoliczności. Nie potrwa to długo. Tymczasem zaś przyrzekam pani, że nie będę starał się jej widzieć.

- I że nie będzie się pan starał dowiedzieć mego nazwiska.

- Nic zgoła. Przysięgam pani.

Podawała mu rękę, mówiąc: „Żegnam pana”.

-

Do widzenia - odpowiedział.

Odeszła.

Na progu drzwi odwróciła się i zdawała się zwlekać chwilę. On zaś stał nieruchomo przy kominku. Jeszcze raz odezwała się:

- *Adieu.*

Po raz drugi kapitan odparł:

- Do widzenia, mateczko Koralio!

Chwilowo nie mieli sobie nic więcej do powiedzenia. Nie starał się jej dłużej zatrzymywać.

Kapitan Belval oprzytomniał, kiedy usłyszał, że brama po jej odejściu zatrzasnęła się. Skierował kroki ku oknu. Spostrzegł

25

wśród drzew drobną sylwetkę młodej kobiety, znikającej wśród cieni zmierzchu.

Serce ścisnęło mu się. Czy zobaczy ją jeszcze kiedyś?

- Czy ją zobaczę? - zawołał. - Pewnie już jutro. Czyż nie jestem wybrańcem bogów?

Wieczorem, zjadłszy obiad w sąsiedniej restauracji, kapitan Belval wrócił do Neuilly. Oddział dla ozdrowieńców, gdzie mieszkał, znajdował się w pięknej willi przy bulwarze Maillot, z widokiem na Lasek Buloński. Dyscyplina nie była tu zbyt ścisła i kapitan mógł

wracać, kiedy chciał, także i późną nocą, bo nawet żołnierze otrzymywali przepustki od dozorczyń.

- Ya-Bon jest w domii? - zapytał kapitan.

- Tak, panie kapitanie. Gra w karty ze swoją panną.

- No tak, ma prawo kochać i być kochanym. Czy nie ma listów do mnie?

- Nie, panie kapitanie. Jest tylko paczka.

- Od kogóż to?

- Przyniósł ją posłaniec, mówiąc tylko: „To dla kapitana Belvala”.

Paczkę położyłam w pańskim pokoju.

Oficer udał się do swego pokoju, znajdującego się na najwyższym piętrze, i zobaczył na stole paczkę, zawiniętą w papierową torbę i owiazaną sznurkiem. Otworzył ją. Było to pudełko, a w tym pudełku znajdował się klucz, duży klucz, pokryty rdzą, kształtem i wyrobem wskazujący na sędziwy już wiek. Do licha, cóż to ma znaczyć? Pudełko nie zawiera adresu ani żadnego znaku. Przypuszczając, że to jakaś omyłka i że wkrótce się wyjaśni, Patryk włożył klucz do kieszeni.

- Dość tych zagadek na dziś - powiedział sam do siebie. - Pora już spać.

Lecz kiedy chciał opuścić storę u okna, spostrzegł ponad drzewami Lasku Bulońskiego wytryskający snop iskier, rozświetlający na chwilę głębokie ciemności nocne. Przypomniał sobie rozmowę, prowadzoną tego dnia w restauracji, i ten deszcz iskier, o którym mówili napastnicy układając plan porwania mateczki Koralii.

Zardzewiały klucz

Do ósmego roku życia Patryk Belval mieszkał wraz z ojcem w Paryżu, później wysłano go do francuskiej szkoły w Londynie, z której wyszedł po latach dziesięciu.

Zrazu otrzymywał codziennie od ojca listy, aż do dnia, w którym dyrektor szkoły powiedział mu, że został sierotą, że koszty jego utrzymania i wychowania są zabezpieczone i że osiągnąwszy pełnoletność otrzyma w spadku po ojcu za pośrednictwem angielskiego notariusza około 200 000 franków. Suma ta okazała się jednak niewystarczająca dla młodzieńca, który zdradzał popęd do rozrzutności, bo wysłany dla odbycia służby wojskowej do Algieru, zdołał, nie mając jeszcze grosza w rękę, już zadłużyć się na sumę 20 000 franków.

Zaczął zatem od roztrwonienia spadku; gdy jednak z niego nic już nie pozostało, zabrał się do pracy. Umysł jego bystry, ruchliwy, bez specjalnych upodobań, lecz zdolny do wszystkiego, co wymaga inicjatywy i stanowczości, pełen pomysłów, które umiał wykonywać, wzbudzał zaufanie. Znalazł wkrótce kapitały i zabrał się do interesów.

Zabrał się do interesów w dziedzinie elektryczności, zakupował

źródła i wodospady, organizował komunikację automobilową, eksploatował kopalnie. W ciągu kilku lat założył parę przedsiębiorstw, a wszystkie szły dobrze. Wojna przedstawiała mu się jako wspaniała przygoda. Oddał się jej całym sobą. Zaczął jako sierżant wojsk kolonialnych, nad Marną zdobył galony porucznika, aż 15 września ranny został w nogę, którą amputowano mu tegoż dnia. W dwa miesiące później, nie wiadomo za czyją intrygą, on, kaleka, znalazł się jako obserwator na samolocie jednego z najlepszych lotników. W dniu 10

stycznia dobrze wycelowany szrapnel zakończył ich bohaterskie wycieczki. Tym razem kapitana Belvala, ciężko rannego w głowę, przeniesiono do szpitala polowego przy avenue des Champs-Elysees. W

tym samym czasie mateczka Koralia wstąpiła również do tego szpitala jako pielęgniarka.

Operacja czaszki udała się wyśmienicie, ale nastąpiły kom-27

plikacje. Cierpiał ogromnie, nie skarżąc się nigdy; przeciwnie, rozweselając humorem towarzyszy niedoli, którzy też wszyscy przepadali za nim i otaczali go prawdziwym uczuciem. Rozweselał ich, pocieszał i podnosił na duchu werwą, usposobieniem, pozwalającym znosić nawet najprzykrzejsze sytuacje.

Żaden z nich nie zapomni, w jaki sposób przyjął fabrykanta, który przyszedł zaproponować mu sztuczną nogę.

- Ach, nie! Sztuczna noga! Cóż miałbym z nią począć, panie? To pewnie dlatego, by oszukiwać świat i aby nikt nie spostrzegł, że mam amputowaną nogę, nieprawdaż? W konsekwencji muszę przepuszczać, panie, jakoby pan uważał, że być inwalidą to ma być hańba i że ja, oficer francuski,

miałbym się z tym ukrywać, jak z czymś niegodnym.

- Ależ skąd, panie kapitanie. Jednak...

- A ile kosztuje ten wasz mechanizm?

- 500 franków.

- 500 franków! I sądzi pan, że mógłbym wydać 500 franków na sztuczną nogę, kiedy sto tysięcy biedaków, tak samo okaleczonych jak ja, będzie musiało paradować z drewnianym kołkiem!

Żołnierze dokoła promienieli radością. Nawet mateczka Koralia słuchała z uśmiechem. Czegóż by nie dał Patryk Belval za jeden uśmiech mateczki Koralii?

Tak jak jej to wyznał, od pierwszego dnia zakochał się w jej pięknej twarzyczce, w jej wdzięku i uroku, w tych słodkich oczach, przez które przebijała dusza czysta i piękna; te oczy patrzące litośnie na cierpiących biedaków, zdawały się być pieszczotą, kojącą ich ból i udrękę. Od pierwszego dnia poddał się jej urokowi. Ale obok tego, że poddał się całkiem tej miłości, czuł również nieprzepartą potrzebę poświęcenia się dla niej i oddania wszystkich swoich sił na usługi tej drobnej i delikatnej istoty, jak mu się zdawało, osaczonej niebezpieczeństwem. I oto wypadki, które zaszły, dowiodły prawdziwości jego przeczuć i dały mu sposobność wyrwania jej z rąk wroga. Była to pierwsza walka. Wynik jej ucieszył go, ale czuł, że nie koniec na tym; ataki powtórzą się z pewnością.

Zapytywał sam siebie, czy między zamachem, uplanowanym tego ranka, a snopem iskier, czyniącym wrażenie sygnału, zachodzi jakiś tajemniczy związek. Czy oba te wypadki, zapowiadane przez napastników, nie były jedną i tą samą podejrzaną intrygą?

Snop iskier ciągle jeszcze rozświecał ciemne niebo. O ile można było wnosić, rozniecano go nad brzegiem Sekwany między Trocaderem a dworcem Passy z prawej strony.

- A więc - rzekł do siebie kapitan - nie dalej jak 2 do 3 kilometrów w linii prostej. Nuże więc w drogę! Obejrzymy to z bliska.

Na drugim piętrze, przez szpary jednych drzwi przenikało światło.

Był to pokój Ya-Bona, w którym - jak się oficer dowiedział od dozorczyńni - Senegalczyk grał w karty ze swoją flamą. Kapitan wszedł

do pokoju.

Ya-Bon już nie grał. Rozciągnięty w fotelu, zdrzemnął się. Na stole leżały rozrzucone karty, a oparta o pusty rękaw jego ramienia spoczywała głowa kobiety, głowa okropna w swej wulgarnej brzydocie: usta jej, podobne grubością do ust Ya-Bona, były otwarte i ukazywały rząd czarnych i spróchniałych zębów. Skóra jej twarzy, tłusta i żółta, wydawała się przesiąkła oliwą. Była to Aniela, kucharka, flirt Ya-Bona.

Chrapała, jak i on.

Patryk przyglądał się im z zadowoleniem. Widok ten potwierdzał

słuszność jego teorii. Jeśli Ya-Bon, najbardziej ułomny, znalazł

przyjaciółkę, czy i on nie miałby prawa do miłości? , Dotknął ramienia Senegalczyka. Ten obudził się i uśmiechnął, a raczej, odczuwając obecność pana, uśmiechnął się już, jeszcze zanim się przebudził.

- Potrzebuję cię, Ya-Bon.

Ya-Bon mruknął z zadowolenia i odepchnął od siebie Anielę, która upadła na stół i spała dalej.

Wyszedszy na ulicę, Patryk i Ya-Bon minęli bulwar i by zyskać na czasie wsiedli w kolejkę okrężną z Avenue Henry Martin, a stamtąd poprzez ulicę De Lacour przybyli na dworzec Passy.

Po drodze kapitan przez cały czas zwierzał się Ya-Bonowi ze swego niepokoju, mimo że zdawał sobie sprawę, iż Murzyn mało co go rozumie. Czynił to już jednak z przyzwyczajenia.

Ya-Bon, towarzysz wojenny, później jego ordynans, był mu oddany i wierny niby pies. Operowany tego samego dnia co i pan, ranny także tego samego dnia w głowę, Ya-Bon wierzył, że przeznaczeniem jego było dzielić z kapitanem te same przygody i cierpienia. Cieszył się też, że również dwa razy był ranny i tak samo cieszyłby się z pewnością, gdyby mu przyszło umierać w tym samym dniu, co kapitanowi Belvalowi. To wierne, prawie że

zwierzęce przywiązanie odpłacał kapitan uczuciem koleżeńskim, trochę żartobliwym, często nawet rubasznym, co właśnie zwiększało afekt Murzyna. Ya-Bon odgrywał rolę biernego powiernika, którego się radzi, choć nie słucha, i na którym można wywierać swój zły lub dobry humor.

- I cóż ty o tym wszystkim sądzisz, panie Ya-Bon? - mówił

kapitan, idąc z nim pod rękę. - Moim zdaniem, jest to jedna i ta sama historia. A ty jak myślisz, co?

Ya-Bon wydawał z siebie tylko dwa pomruki: jeden na oznaczenie pojęcia „tak”, drugi na oznaczenie pojęcia „nie”. Mruknął: „Tak”!

- To nie ulega wątpliwości - zawołał oficer. - Możemy śmiało przypuszczać, że mateczka Koralia zagrożona jest nowym niebezpieczeństwem, nieprawdaż?

- Tak - mruknął Ya-Bon, który z zasady potwierdzał wszystko.

- Dobrze. Teraz trzeba by wybadać, co ma oznaczać ten deszcz iskier. Przypomniałem sobie wizytę zeppelinów sprzed tygodnia i zacząłem przypuszczać... ale czy ty mnie słuchasz?

- Tak.

- Przypuszczam, że mógłby to być jakiś zdradziecki sygnał, mający na celu drugą taką wizytę zeppelinów.

- Tak...

- Ależ nie, głupcze, wcale nie tak. Jak ty chcesz, aby to miał być sygnał dla zeppelinów, kiedy wedle podsłuchanej przez mnie rozmowy, sygnał ten dawano już dwa razy, jeszcze przed wojną. A w końcu, czy jest to rzeczywiście sygnał?

- Nie.

- Jak to nie? Więc, co by to mogło być, idioto do sześcianu! Lepiej żebyś milczał i słuchał, zwłaszcza jeśli nie wiesz, o co idzie. Po prawdzie nie wiem tego i ja i przyznaję, że tracę głowę... Boże, jakie to wszystko pogmatwane... A ja nie mam zupełnie zdolności do rozwiązywania podobnych zagadek.

Patryk Belval jeszcze bardziej się zakłopotał, kiedy wyszli z ulicy De Lacour. Mieli przed sobą szereg ulic, którąż wybrać? A w dodatku, mimo że znajdowali się w samym centrum Passy, nie widać już było na tle ciemnego nieba ani jednej iskierki.

- Z pewnością już się to skończyło - powiedział. - Wrócimy z niczym. A to twoja wina Ya-Bon. Gdybym nie stracił tyle drogie-30

go czasu na wyrwanie cię z objęć twojej ukochanej, bylibyśmy zdążyli na czas. Zachwycam się wdziękami twojej Anieli, ale w końcu...

Rozglądał się, coraz bardziej niezdecydowany. Ta ekspedycja, powzięta nagle, bez dostatecznego przygotowania i bez informacji, zdawało się, że spełźnie na niczym, i już chciał jej zaniechać, kiedy w tej chwili z ulicy Franklina, a więc od strony Trocadero, wychylił się automobil, a osoba znajdująca się w nim krzyknęła przez tubę akustyczną do szofera:

- Skręcić w lewo..., a potem w prawo, póki nie zawołam.

Otóż przez chwilę zdawało się kapitanowi Belval, jakby głos ten miał ten sam obcy akcent, jaki posłyszał rano w restauracji.

- Czyżby to był osobnik w szarym kapeluszu? - szepnął do siebie. -

To jest jeden z tych, którzy chcieli porwać mateczkę Koralię.

- Tak...- mruknął Ya-Bon.

- Nieprawdaż? Deszcz iskier tłumaczy jego obecność w tych stronach. Teraz nie trzeba dać się zbić z tropu. W cwał, Ya-Bon!

Lecz Ya-Bon nie musiał wcale galopować. Limuzyna skręciła w ulicę Raynouard i kapitan mógł zdążyć w tym samym czasie, kiedy zatrzymała się 300 do 400 metrów od rogu ulicy, przy wielkiej bramie po lewej stronie.

Wysiadło pięciu ludzi.

Jeden z nich zadzwonił. Upłynęło 30 do 40 sekund.

Zadzwoniono po raz drugi - Belval posłyszał dźwięk dzwonka. Na koniec, po trzykrotnym dzwonku uchylono okienko, umieszczone w jednym ze skrzydeł bramy. Przez chwilę trwała rozmowa. Osoba, która otworzyła okienko, zdawała się żądać wyjaśnień. Nagle dwoje ludzi pchnęło silnie skrzydło bramy, które pod naciskiem otworzyło się, i cała gromada wtłoczyła się do wnętrza domu. Nastąpiła chwila ciszy. Bramę zatrzaśnięto.

Kapitan natychmiast zabrał się do wybadania sytuacji.

Ulica Raynouard jest to stara droga, wijąca się serpentyną wśród domów i ogrodów dawnej miejscowości Passy, położonej na stokach pagórków, okalających brzegi Sekwany. Zachowała ona po dziś dzień jeszcze - niestety tylko w drobnej części - wygląd prowincji. Stare domostwa kryją się wśród drzew; wśród nich zachowany jest jeszcze dom, w którym mieszkał Balzac. Tam też znajdował się tajemniczy ogród, w którym Arsen Lupin

31

w szparze starego zegara słonecznego znalazł ukryte diamenty generalnego poborcy podatków.

Dom, do którego wtargnęło pięciu mężczyzn, a przed którym stał

jeszcze automobil, co nie pozwalało zbliżyć się kapitanowi, dom ten stykał się z jednej strony z murem i miał wygląd jednego ze starych zamków, zbudowanych za czasów Pierwszego Cesarstwa. Na parterze okna okrągłe, zakratowane, na pierwszym piętrze opatrzone okiennicami, ciągnęły się wzdłuż dużej fasady. Nieco dalej drugi budynek stanowił z domem skrzydło, choć niepołączone.

- Z tej strony nie ma co zaczynać - rzekł kapitan. - Zamknięte to niby feudalna forteca. Szukajmy z innej strony.

Z ulicy Raynouard wąskie uliczki, które rozdzieliły stare posiadłości, zbiegały ku rzece. Jedna z nich wiała się wzdłuż muru, który łączył się z tej strony z domem. Właśnie w tę uliczkę wsunął się kapitan z Ya-Bonem. Brukowana była marnie, ostrymi kamieniami, przechodzącymi w niektórych miejscach w stopnie, i źle była oświetlona, jedną tylko latarnią.

- Nadstaw mi rękę, Ya-Bon. Mur jest trochę za wysoki, ale może przy pomocy twojej i tej latarni...

Podparty przez Murzyna, wdrapał się Belval aż do latarni i już jedną ręką uchwycił się szczytu muru, kiedy dostrzegł, że tenże cały obsypany jest tłuczonym szkłem, tak że dostęp do niego był stanowczo niemożliwy.

Zsunął się wściekły.

- Tam do diabła! Mogłeś mnie przestrzec, Ya-Bon, byłbym sobie ładnie poharatał ręce. O czym ty właściwie myślisz? Doprawdy nie rozumiem, po co tak koniecznie chciałeś mi towarzyszyć.

Droga zakręcała; uliczka w tym miejscu była już zupełnie ciemna, tak że kapitan szedł po omacku. Wtem ręka Senegalczyka ujęła go za ramię.

- Czego chcesz, Ya-Bon?

Ręka Murzyna ciągnęła go w kierunku muru, w którym wyczuć można było zagłębienie, jakby od drzwi.

- Oczywiście - rzekł kapitan - to brama. Wyobrażasz sobie, że ja jej nie widzę, czy jak? No pewnie! Tylko pan Ya-Bon ma oczy...

Ya-Bon podał mu pudełko z zapalnikami. Zapalał jedną po drugiej, by przy tym oświetleniu zbadać drzwi ukryte w murze.

- A cóż, nie mówiłem? - gderał. - Nie ma co. Drzewo jest masywne, zabite gwoździami i wzmocnione żelaznymi sztabami.

Popatrz, nawet klamki nie ma z tej strony, tylko dziurka od klucza.

Trzeba by do niej klucza specjalnego rodzaju, klucza... -

Umilkł. Nedorzeczna myśl przeszła mu przez głowę; a mimo to, mimo że czuł całą jej niedorzeczność, nie mógł się powstrzymać od ruchu, który mu poddała ta myśl.

Powrócił w to samo miejsce. Klucz! Przecież miał go ze sobą.

Sięgnął i wydobył go z kieszeni. Zapałką oświetlili drzwi, otwór w zamku znów się pokazał. Bez trudności włożył kapitan klucz, zakręcił

silnie w lewo: klucz obrócił się. Pchnął drzwi. Rozwarły się.

- Wchodzimy - rzekł Belval.

Murzyn nie poruszył się. Patryk odgadł jego zdumienie i sam w głębi duszy był zdziwiony nie mniej. Jakim cudem nieznana osoba, która przysłała mu klucz, mogła przypuścić, że on znajdzie się w takim położeniu, w którym będzie mógł go użyć. Jakim to cudem?... Lecz Patryk postanowił działać, nie siląc się na rozwiązanie zagadki, podsuniętej przez jakiś złośliwy przypadek.

- Wchodzimy - powtórzył zwycięskim tonem.

Gałęzie drzew smagały ich po twarzy; zdawał sobie sprawę, że idzie po trawie, a przed nim rozciąga się ogród. Ciemności były tak wielkie, że nie można było zupełnie rozeznaczyć alei wśród czarnej masy drzew.

Po kilku minutach natknął się na skałę, z której ściekała cienka struga wody.

- Masz ci los! - mruknął. - Cały jestem mokry. *Sacra, Ya-Bon!*

Jeszcze nie wypowiedział ostatnich słów, gdy z głębi ogrodu dało się słyszeć wściekłe ujadanie psa, które zbliżało się z niezwykłą szybkością. Patryk zrozumiał, że pies stróżujący w ogrodzie zwęszył ich i za chwilę na nich się rzuci, i mimo całej odwagi zadrżał, tak pełnym grozy był ten napad w zupełnych ciemnościach. Jak tu się bronić? Strzał

rewolwerowy zdradziłby ich obecność, a innej broni nie posiadał.

Tymczasem zwierzę - olbrzymie, jak można było sądzić z hałasu, jaki wywoływało biegiem przypominającym galopadę dzika w puszczy -

zbliżało się.

Zerwał widocznie łańcuch, na którym był uwiązany - zdążył

pomyśleć Patryk słysząc brzęk łańcucha. Nagle osłupiał. Poprzez **3**

ciemności zobaczył sylwetkę Ya-Bona, który stanął przed nim, by go zasłonić, i psa, który właśnie rzucił się na Murzyna.

- Co ty, Ya-Bon? Dlaczego nie puściłeś mnie naprzód? Już, mój chłopcze... oto jestem.

Dwaj przeciwnicy stoczyli się na murawę. Patryk pochylił się, by pomóc Ya-Bonowi. Raz wymacał sierść zwierzęcia, to znów po chwili ubranie Ya-Bona. Ale to wszystko tak się ze sobą pomieszało i z taką wściekłością zawirowało, że wszelka pomoc okazała się bezskuteczna.

Zresztą zapasy nie trwały długo. Po kilku chwilach jeden z przeciwników przestał się ruszać. Dały się słyszeć zdławione charczenia.

- No, jak tam? Jak tam, Ya-Bon?- szepnął zaniepokojony ka pitan.

Murzyn podniósł się pomrukując. W świetle zapalki Patryk zobaczył

Ya-Bona, trzymającego w ręce, tej jedynej ręce, którą mógł się bronić, olbrzymiego psa. Ze ściśniętej palcami gardzieli wydobywało się charczenie. Zerwany łańcuch wisiał u obroży.

- Dziękuję ci, Ya-Bon! Ale miałem szczęście! Możesz go już puścić. Jest nieszkodliwy.

Ya-Bon usłuchał. Ale zapewne ścisnął psa za mocno, bo zwierzę wiło się przez chwilę na ziemi, wydobyło kilka jęków i umilkło w bezruchu.

- Biedne zwierzę - rzekł Patryk. - Wypełniało tylko swój obowiązek, rzucając się na takich, jak my, włamywaczy. Ale my też spełniamy nasz obowiązek...

Nikły odbłask szyby poprowadził ich po stopniach wykutych w skale na terasę, na której zbudowany był dom.

Z tej strony wszystkie okna były okrągłe i zamknięte okiennicami.

Przez szczelinę jednej z nich ujrzał jednak słaby odbłask światła, który spostrzegł, będąc jeszcze na dole. Poleciał Ya-Bonowi, by ukrył się w krzakach, sam zaś zbliżył się do fasady domu, nasłuchując. Wydobywał

się stamtąd zmieszany zgiełk słów, lecz poprzez zamknięte okiennice nie mógł zobaczyć nic bliższego. Stwierdziwszy to zwrócił się dalej, aż ku czwartemu oknu, i doszedł do stopnia terasy. Na końcu tejże namacał

drzwi...

- Skoro -

powiedział do siebie - przysłano mi klucz do ogrodu, nie ma żadnej racji, dlaczego by nie

zostawiono i drzwi do domu otwartych.

Istotnie, drzwi były otwarte.

Wewnątrz głosy stawały się coraz wyraźniejsze i kapitan zauważył, że docierały one przez klatkę schodową i że drzwi, wiodące do części mieszkania, która zdawała się być niezamieszкана, są u góry słabo oświetlone. Wszedł po schodach i istotnie na pierwszym piętrze jedne drzwi znalazł uchylone. Wsunął głowę i pochyliwszy się, wszedł.

Znajdował się na wąskim balkonie, który okalał na pół wysokości pustą, dużą salę. Ściany tej galerii założone były półkami pełnymi książek aż po sufit i obiegającymi salę z trzech stron. Do galerii przytykały po obu końcach kręte, żelazne schody, schodzące w głąb sali. Stosy książek poukładane były także wzdłuż bariery tego ganku, tak że Patryk nie mógł być dostrzeżony przez ludzi, zebranych o trzy do czterech metrów niżej, to znaczy na parterze.

Cicho rozsunał kapitan dwa stosy książek. W tej chwili zgiełk głosów wzmógł się i Patryk zobaczył, jak pięciu osobników rzuciło się na jakiegoś człowieka i, zanim ten zdołał się obronić, powaliło go, krzycząc niby opętani. W pierwszym odruchu kapitan chciał rzucić mu się na pomoc. Gdyby przywołał Ya-Bona, zdołaliby pokonać napastników; ujrzał jednak, że w rękę wcale nie mieli broni i że nie zdawali się mieć wcale morderczych zamiarów. Unieruchomiwszy ofiarę, zadowolili się chwyceniem jej za grdykę i za nogi. Cóż mogło się tu dziać?

Jeden z napastników, czyniący wrażenie herszta bandy, rozkazał

tonem szefa: „Związać go!... zakneblować usta. Zresztą może sobie krzyczeć do woli, nie ma nikogo, kto by go mógł usłyszeć”.

Teraz Patryk poznał głos jednego z uczestników rozmowy, którą usłyszał rankiem w restauracji. Osobnik był niskiego wzrostu, szczupły, elegancki, cerę miał oliwkową, wyraz twarzy okrutny.

- Nareszcie - rzekł - mamy go, tego gałgana! Myślę, że teraz będzie gadał. Czy jesteście zdecydowani na wszystko, przyjaciele?

Jeden z czterech ryknął z nienawiścią:

- Na wszystko!

Człowiek ów miał bujny czarny wąs i Patryk poznał w nim 35

drugiego osobnika z restauracji, tj. jednego z napastników mateczki Koralii, tego, który zdołał zbiec. Kapelusze jego, z popielatego filcu, leżał na jednym z krzeseł.

- Na wszystko więc! Bournef, zatem jazda do roboty! - zaśmiał się szyderczo herszt. - A więc dobrze, rozpoczniemy płas. I co, mój stary Essaresie, wzdragasz się wydać tajemnicę? No, to się zabawimy.

Wszystkie ruchy zdawały się między nimi umówione i role rozdzielone, bo wszystko, co potem

nastąpiło, odbywało się metodycznie i z niesłychaną szybkością. Skrępowanego podnieśli i rzucili na fotel, przywiązując sznurkiem przez piersi i tułów. Nogi, również związane, przymocowano do krzesła tej samej wysokości co fotel, ułożywszy je tak, że wystawały poza brzegi krzesła. Następnie zdjęto mu buty i skarpetki, a herszt zawołał:

- Dalej! Przysuńcie go.

Między dwoma oknami wychodzącymi na ogród znajdował się duży kominek, na którym palił się ogień tak silny, że cały czerwony, miejscami rozżarzony był do białości.

Złoczyńcy przysunęli fotel i krzesło z przywiązaną doń ofiarą aż pod sam kominek i zbliżyli obnażone nogi na odległość pół metra od ognia.

Mimo zakneblowania ust, wyrwał się z nich straszny okrzyk bólu i nogi, choć związane, zdołały się skurczyć.

- Dalej go! Dalej go! Jeszcze bliżej! - wykrzyknął rozwścieczony szef.

Patryk Belval chwycił za rewolwer.

- No, teraz to już pójdę - powiedział do siebie. - Nie zostawię tego nieszczęśnika.

Lecz dokładnie w tej samej chwili, kiedy miał się rzucić na pomoc, przypadkiem dostrzegł coś tak niezwykłego, że stanął niby wryty.

Oto naprzeciw niego, z drugiej strony sali, a więc po przeciwległej tego samego balkonu, na którym i on się znajdował, ukazała się głowa kobiety, przywarta do bariery balkonu. Twarz kobiety była śmiertelnie blada, oczy miała w trwodze szeroko rozwarte. Oczy patrzyły na to, co działo się na dole, przed ogniem kominka.

Kapitan poznał mateczkę Koralię.

IV

Przed ogniem

Mateczka Koralia! Mateczka Koralia! Ukryta w tym domu, w którym on sam znalazł się dziwnym jakimś niewytłumaczonym zbiegiem okoliczności!

W tej chwili przyszło mu na myśl coś, co choć jedną rozjaśniało zagadkę: że i ona może weszła tak jak i on, przez uliczkę, i dostała się na terasę otaczającą dom, i że to ona właśnie pozostawiła drzwi otwarte, ułatwiające mu tym samym wejście. Lecz jakim sposobem dostała się do ogrodu? A zwłaszcza, czego tam szukała? Wszystkie te pytania przebiegały przez głowę kapitana Belwala, który nie starał się nawet na nie odpowiedzieć, bo takie wrażenie uczyniła na nim zastygła z przerażenia twarz Koralii. Ponadto dał się znowu słyszeć okrzyk bólu, przeraźliwszy jeszcze niż poprzedni, i oto kapitan zobaczył, jak nogi nieszczęsnej ofiary wiły się w męce, przypiekane przy ogniu kominka.

Lecz tym razem Patryk, powstrzymany obecnością Koralii, nie miał

zamiaru pójść na pomoc dręczonemu; postanowił natomiast zastosować się najzupełniej do tego, co czynić będzie młoda kobieta, i starał się, by żadnym ruchem nie zdradzić się i nie zwrócić jej uwagi na siebie.

- Chwila pauzy! - zakomenderował herszt. - Odsuńcie go. Ta próba zapewne wystarczy.

I zbliżając się dodał:

- No, i jak tam, kochany Essaresie? Cóż ty na to? A wiesz, że my dopiero zaczynamy? Jeśli nie chcesz gadać, pójdziemy dalej! Aż do skutku. Tak jak to robili prawdziwi „szoferzy - przypiekacze” za czasów rewolucji. To byli mistrzowie, naprawdę. A więc, będziesz gadał?

Herszt przerwał na chwilę i zaklął.

- Co, nie chcesz mówić? Wzbranasz się? Nie zdajesz sobie widać sprawy, w jakim znajdujesz się położeniu. Albo to masz jakąś nadzieję wydostania się? Nadzieje szaleńcze! Któż ci tu przyjdzie z pomocą?

Twoi domownicy, stróż, lokaj i zarządca domu - to moi ludzie. Dałem im urlop na osiem dni i właśnie odeszli. Pokojowa? Kucharka?

Mieszkają w innym skrzydle, a sam mówiłeś

nieraz, że nic stamtąd nie można dosłyszeć. Więc na kogóż liczysz? Na żonę? Która także śpi w dalszych pokojach i także nic nie słyszała?

Symeon, twój stary sekretarz? Tego związaliśmy przed chwilą, gdy nam otwierał bramę. Zresztą trzeba i z nim skończyć. Bournef!

Człowiek o czarnym zaroście, który w tej chwili siedział na krześle, zerwał się i zapytał:

- Czego?

- Bournef, gdzie zamknięto sekretarza?

- W mieszkaniu dozorca.

- Czy znasz pokój pani domu?

- Trafię tam wedle danych mi wskazówek.

- Idźcie więc wszyscy czterej i przyprowadźcie tu sekretarza.

Wyszli drzwiami, znajdującymi się pod balkonem, w miejscu gdzie przebywała mateczka Koralia. Ledwie zniknęli, szef bandy pochylił się szybko nad ofiarą i powiedział:

- Jesteśmy sami, Essares. Tego chciałem, skorzystajmy z tego.

Pochylił się jeszcze bardziej i szepnął tak cicho, że Patryk z trudnością mógł go dosłyszeć.

- Ci ludzie tam, to głupcy, których można wodzić za nos, dokąd się chce, i którym ujawniam moje plany tylko o tyle, o ile trzeba. Podczas gdy my, Essaresie, powinniśmy się pogodzić ze sobą; tego zrozumieć nie chciałeś i widzisz, do czego to doprowadziło. Więc nie upieraj się dalej i nie wykręcaj. Jesteś w potrzasku i w moich rękach. Zamiast znosić tortury, które ostatecznie zmuszą cię do ustąpienia, zgódź się na pewną transakcję. Podzielimy się po połowie, chcesz? Ja wciągam cię do mojej gry, a ty przyjmujesz mnie do swojej. Połączeni, odniesiemy z pewnością zwycięstwo. Przeciwnie, gdy będziemy wrogami: nie wiem, czy ten, który zwycięży, zdoła pokonać wszystkie przeszkody, jakie staną mu w drodze. Dlatego powtarzam jeszcze raz: podział na równe części. Odpowiedz, tak czy nie?

Rozluźnił nieco knebel i nadstawił ucha. Tym razem Patryk nie zdołał dosłyszeć słów, wypowiedzianych przez skrupowanego. W tej samej prawie chwili herszt zerwał się, wybuchając gniewem.

- Co takiego? Co ty mi proponujesz? Naprawdę, jesteś bezczelny.

Mnie taka propozycja? To propozycja dla Bournefa i jego **38**

towarzyszy. Oni to przyjmą. Ale ja? Ja, pułkownik Fakhi? Ależ nie, mój mały, ja mam większy apetyt. Zgadzam się na podział, ale przyjmować jałmużnę - nigdy w życiu.

Patryk słuchał ciekawie, a równocześnie nie tracił z oczu mateczki Koralii, której twarz zmieniona wciąż jeszcze przestrawem, wyrażała natężoną uwagę.

Przy tym Belval przypatrywał się skrępowanemu, którego postać odbijała się częściowo w lustrze, znajdującym się na kominku.

Był to człowiek w latach około pięćdziesięciu. Ubrany był w kurtkę welurową i w brązowe spodnie z flaneli. Był otyły, nos miał duży i haczykowaty, oczy głęboko osadzone pod gęstymi brwiami, policzki wydęte i silnie zarosłe szpakowatą brodą. Zresztą Patryk mógł go lepiej jeszcze obejrzeć na portrecie, zawieszonym po lewej stronie kominka, między pierwszym a drugim oknem, na portrecie, z którego patrzyła twarz energiczna, władcza i chciałoby się powiedzieć, o gwałtownym wyrazie.

- Twarz orientalna - powiedział do siebie Patryk. - Widziałem podobne w Egipcie i w Turcji.

Nazwiska wszystkich tych indywiduów: pułkownik Fakhi, Mustafa, Bournef, Essares, ich cudzoziemskie obyczaje, ich wygląd, ich sylwetki, to wszystko przypominało postaci, widziane w hotelach Aleksandrii lub na brzegach Bosforu, w bazarach Adrianopolu albo na greckich statkach krążących po morzu Egejskim. Lewantyńskie typy, lecz zakorzenione już w Paryżu. Nazwisko Essares-Bey znane było Patrykowi z czasów działalności finansowych, tak samo i nazwisko pułkownika Fakhi, który miał akcent i używał wyrażen gwary a la rodowity paryżanin.

Lecz spoza drzwi dały się słyszeć znowu głosy. Drzwi otworzyły się z hałasem i czterech ludzi przywlokło skrępowanego człowieka, rzucając go na posadzkę pośrodku sali.

- Oto stary Symeon - zawołał ten, którego nazywano Bournefem.

- A pani? - zapytał żywo herszt. - Spodziewałem się, że macie i ją.

- Niestety nie.

- Co? Jak to? Czyżby uciekła.

- Tak, przez okno.

- Ależ trzeba ją dogonić! Nie może być chyba dalej niż w 39

ogrodzie... Czy przypominacie sobie? Przed jakimś czasem czekał

pies...

- A jeżeli umknęła?

- Którędy?

- Przez bramę wiodącą na uliczkę.

- Niemożliwe.

- Dlaczego?

- Bo od wielu lat ta brama nie otwiera się. Nie ma do niej nawet klucza.

- Niech będzie - odparł Bournef. - Lecz chyba nie będziemy organizowali pościgu z pochodniami, rozbudzilibyśmy całą dzielnicę po to tylko, by odnaleźć kobietę...

- Tak, lecz ta kobieta...

Pułkownik Fakhi był rozjątrzony. Zwrócił się do jeńca:

- Masz szczęście, stary łotrze. Oto dwa razy wymknęła mi się z rąk dzisiaj ta twoja pieszczołka! Opowiedziała ci zapewne dzisiejsze zdarzenie? Ach, gdyby nie było tam tego przeklętego kapitana... którego zresztą znajdę jeszcze i który odpowie mi za to wmieszanie się...

Patryk zaciskał pięści z wściekłości. Zrozumiał. Mateczka Koralia ukrywała się we własnym domu. Zaskoczona wtargnięciem pięciu napastników, zdołała z wielkim wysiłkiem spuścić się przez okno, wzdłuż terasy, przez którą dostała się na przeciwległą stronę domu mieszkalnego i schroniła się w galerii bibliotecznej. Stamtąd widzieć mogła okropną walkę, której ofiarą był jej mąż.

- Jej mąż! Jej mąż! - pomyślał Patryk z drzeniem.

Kiedy jeszcze wątpił w taką możliwość, ułyszał tam w dole ptwierdzenie swych wątpliwości, gdy herszt odezwał się z szyderstwem:

- Tak, mój drogi Essaresie, mogę przyznać, że twoja żona niezmiernie mi się podoba. Kiedy dziś po południu nie udało mi się, spodziewałem się, że za to wieczorem, po załatwieniu moich spraw z tobą, załatwię i z nią inne, trochę przyjemniejsze... Nie mówiąc już o tym, że byłaby w moich rękach zakładniczką, którą oddałbym dopiero -

bądź tego pewny! - po całkowitym załatwieniu naszych spraw.

Musiałbyś tym razem pomaszerować prosto do mojego celu, Essaresie!

Bo przecież ją kochasz namiętnie, tę Koralię? Ja to rozumiem.

Zwrócił się ku prawej stronie kominka i przekręciwszy kontakt zaświecił elektryczną lampę, umieszczoną między trzecim a czwartym oknem.

Wisiał tam obraz, tworzący pendant do portretu Essaresa. Obraz był zasłonięty. Herszt odsunął zasłonę. Ukazała się Koralia w pełnym świetle.

- Królowa tego domu! Czarodziejka! Bożyszczę! Perła nad perłami! Królewski brylant bankiera Essares-Beya! Jaka piękna!

Podziwiającie tę subtelną postać, kształty, czystość owalu, tę grację szyi i smukłych ramion. Essaresie! Tam w naszym kraju nie ma faworyty, która byłaby równa twojej Koralii! Wkrótce będzie moją! Bo ja potrafię ją odnaleźć.

Ach! Koralio, Koralio!

Patryk popatrzył na młodą kobietę i zdawało mu się, że jej bladą twarz oblał rumieniec wstydu. Dreszcz oburzenia i gniewu wstrząsał

nim za każdym słowem obelgi, wyrzucanym tam w dole. Już to samo, że Koralia była żoną innego, było dla niego strasznym cierpieniem. Do tego bólu przyłączył się jeszcze wściekły gniew, kiedy widział ją, wydaną na hańbę w oczach tylu ludzi i poczytywaną za branke, należną silniejszemu.

A jednocześnie Belval zapytywał sam siebie, dlaczego Koralia pozostawała w tej sali. Przypuściwszy nawet, że nie mogła wydostać się z ogrodu, jednak w tej części domu mogła przecież zupełnie swobodnie wchodzić i wychodzić, mogła otworzyć okno i wołać o pomoc. Cóż powstrzymywało ją od tego? Tó pewne, że nie kochała męża. Kochając go, byłaby się naraziła na każde niebezpieczeństwo, byle go tylko obronić. Lecz jak mogła go pozostawić w ręku oprawców, a tym bardziej, jak mogła patrzeć na te okropne wydarzenia i słuchać jego jęków.

- Dość tych głupstw! - krzyknął szef bandy zasuwając firanki. - Do dzieła, towarzysze! Skończymy z naszym przyjacielem. Na początek o dziesięć centymetrów bliżej ognia! To piecze, co? Essaresie! Ale można to jeszcze wytrzymać? Cierpliwości, drogi przyjacielu, cierpliwości! -

Odwiązał prawą rękę jeńca, przysunął doń mały stolik, na którym umieścił mały arkusik papieru i ołówek, po czym mówił dalej:

- Masz tu wszystko, czego trzeba do pisania. Ponieważ ten knebel przeszkadza ci w mówieniu, więc pisz. Wiesz, o co tu chodzi, nieprawda? Nasmaruj kilka liter, a będziesz wolny. Zga-41

dzasz się? Nie? Towarzysze, jeszcze o dziesięć centymetrów bliżej ognia!

Oddalił się i pochyliwszy się nad starym sekretarzem, w którym Patryk rozpoznał przy silniejszym blasku światła staruszka, odprowadzającego czasem Koralię do szpitala, rzekł doń:

- Tobie, Symeonie, nic złego się nie stanie. Wiem, że jesteś oddany swemu panu, ale on nie wtajemniczał cię nigdy w sprawy osobiste. Z

drugiej strony pewny jestem, że zamilczysz o tym wszystkim, bo jedno słowo denuncjacji przeciw nam byłoby dla twego pana jeszcze bardziej zgubne, niż dla nas. Zrozumiałeś to chyba, prawda? Nie odpowiadasz?

Czyżby ściągnęli ci grdykę trochę za mocno? Czekaj, pozwolę ci trochę odetchnąć...

Tymczasem okrutnej operacji przed kominkiem nie przerwano.

Poprzez stopy zaczerwienione od gorąca przeświecały płomienie.

Dręczony starał się ze wszystkich sił cofnąć nogi, a z zakneblowanych ust dobywały się bezustanne jęki.

Ach, do czarta - pomyślał Patryk. - Czyż damy mu się upiec, jak kurze na rożnie?

Popatrzył na Koralię. Stała, nie poruszając się. Twarz miała konwulsyjnie ściągniętą, zmienioną nie do poznania, a oczy jakby zahipnotyzowane tą straszną wizją.

- Jeszcze o pięć centymetrów bliżej! - krzyknął herszt z drugiego końca sali, rozluźniając więzy starego Symeona.

Rozkaz wykonano. Ofiara wydawała takie jęki bóleści, że Patryk poczuł się wstrząśnięty do głębi. W tej samej jednak chwili zauważył

coś, czego nie był dostrzegł przedtem lub do czego nie przywiązywał

zbytnej wagi. Oto więzień, wykonując ręką drobne ruchy, jakby starał

się wyprostować skurczone palce, chwycił za przeciwległy brzeg stolika, oparłszy o niego ramię, i powoli tą ręką, niespostrzeżony przez herszta, zajętego wciąż jeszcze starym Symeonem, ani też przez oprawców, którzy dokładali wszystkich sił, by powstrzymać jego nogi, obrócił ruchomą szufladę tego stolika, wsunął w nią rękę, dobył rewolweru i szybko schował go w głębi fotela.

Akt ten, a raczej sam zamiar już był prawie szaleństwem, gdyż człowiek w tym stanie, w jakim się znajdował, nie mógł spodziewać się zwycięstwa nad pięciu przeciwnikami, wolnymi, uzbrojonymi. Jednakże Patryk widział na jego twarzy odbitej w zwierciadle, zacięte postanowienie.

- Jeszcze o pięć centymetrów! - zakomenderował pułkownik Fakhi, wracając w stronę kominka.

Przyjrząwszy się, w jakim stanie znajdują się stopy więźnia, uśmiechnął się i rzekł:

- Skóra nabrzmiewa. Żyły bliskie są pęknięcia. Essares-Bey, nie musi ci być wesoło na duszy i nie wątpię teraz o twych dobrych chęciach. No, pokaż, coś napisał. Nic? Nie zdecydowałeś się jeszcze?

Więc jeszcze się czegoś spodziewasz? Ty chyba kpisz ze mnie?

I porwany wściekłością, wrzasnął:

- Zbliźcie nogi do ognia! I niech mi dobrze zapachną spalenizną!

A, ty będziesz kpil ze mnie? No, dobrze, poczekaj trochę, kochanku, naprzód ci dopomogę i naderwę trochę twoich uszu, wiesz? Tak, jak się to praktykuje w moim kraju.

Wydobył z kieszeni sztylet, który zamigotał w świetle ognia, i z dzikim okrzykiem zbliżył się do delikwenta.

Lecz mimo szybkości jego ruchu, Essares wyprzedził go.

Rewolwer, pociągnięty za cyngiel, huknął głośno. Sztylet wypadł z ręki pułkownika. Przez chwilę jeszcze pozostawał w tej samej groźnej postawie. Ręce zawieszono w powietrzu, oczy błędne, jakby nie mógł

pojąć tego, co zaszło. A potem nagle całym ciężarem ciała runął na swą ofiarę, przywalając ramię Eésaresa, który celował do reszty jego współników.

Herszt jeszcze oddychał i wybełkotał:

- Ach, to bydlę... bydlę... zabił mnie., lecz tona twoją zgubę, Essaresie!... Przewidziałem i ten wypadek. Jeśli nie wrócę do domu, prefekt policji otrzyma list. Dowiedzą się o twojej zdradzie, Essaresie...

o całej twojej historii... o twoich zamiarach... ty nędzniku...

Wymamrotał jeszcze kilka urywanych zdań i potoczył się na dywan.

Było po nim.

Więcej osłupienia, niż ta śmierć, wywołała wiadomość herszta o liście do prefekta, liście, który oskarżał zapewne zarówno Eésaresa, jak i jego oprawców.

Bournef rozbroił Eésaresa, ten zaś, korzystając z tego, że nie przytrzymał krzesła, zdołał skurczyć nogi. Nikt nie ruszył się z miejsca. Tymczasem groza całej tej strasznej sceny zdawała **43**

raczej zwiększać się skutkiem tego milczenia. Na ziemi leżał trup, z rany jeszcze sączyła się krew na dywan. Cokolwiek dalej nieruchoma postać Symeona. Dalej ta ofiara, ciągle jeszcze skrępowana, tuż przy ogniu. A wokół niej czterech oprawców, niezdecydowanych jeszcze co czynić, choć wyraz ich twarzy zdradzał stanowczą wolę pokonania w jakikolwiek sposób przeciwnika.

Bournef, na którego inni rzucali pytające spojrzenia, zdawał się być zdecydowany na wszystko. Był to mężczyzna niewielkiego wzrostu, trochę otyły, silnej budowy, o bujnym zaroście, który Patryk zauważył

od pierwszego wejrzenia. Nie wydawał się tak okrutny, jak jego szef.

Mniej elegancki i mniej despotyczny, okazywał przy tym więcej spokoju i zimnej krwi.

Co do pułkownika, to wspólnicy mało troszczyli się o niego. Za wysoko grali, by mieć ochotę i czas na okazywanie jakiegoś współczucia.

Wreszcie Bournef zdecydował się poruszyć, jakby ułożył cały plan.

Podszedł do krzesła, na którym leżał jego szary, filcowy kapelusz, odwinął podszewkę i wydobył kłębuszek, na którego widok Patryk zadrżał. Był to mały, jedwabny, czerwony sznureczek, jak ten znaleziony na szyi Mustafy Rawalajowa, pierwszego wspólnika, pochwyconego przez Ya-Bona.

Tan sznureczek Bournef rozwinął, chwytając za oba końce i próbując na kolanie, czy dość mocny. Potem podszedł do Essaresa i zarzucił mu go na szyję, wyjąwszy uprzednio z ust knebel.

- Essaresie - rzekł ze spokojem, czyniącym większe wrażenie niż popędliwość i szyderstwo pułkownika. - Nie będę cię męczył, Essaresie.

Tortura to proceder, którym się brzydzę i nie chcę się do niego uciekać.

Wiesz dobrze, co masz czynić, i ja też wiem. Jedno słowo z twojej strony i jeden czyn z mojej... To słowo „tak” lub „nie”. Czyn, który wykonam jako odpowiedź na twoje „tak” lub „nie”, to twoja wolność albo też...

Zatrzymał się przez kilka chwil, a potem powiedział:

- Albo też śmierć.

To krótkie zdanie było wypowiedziane bardzo spokojnie, ale z taką stanowczością, że czyniło wrażenie nieodwołalnego wyroku. Jasnym było, że Essares musi rozstrzygnąć sprawę i poddać się. Jeszcze jedna chwila - albo wypowie słowo, albo czeka go śmierć.

Patryk spojrział raz jeszcze na mateczkę Koralie, obserwując **44**

jej zachowanie się, gotów do czynnej pomocy, na wypadek gdyby ją opuściło to straszne osłupienie. Lecz postawa młodej kobiety nie uległa żadnej zmianie. Czy spodziewała się jeszcze czegoś gorszego niż to, co groziło jej mężowi? Patryk wstrzymał się jeszcze.

- Czy zgadzamy się wszyscy na jedno? - zapytał Bournef wspólników.

- Najzupełniej - powiedział jeden z nich.

- Bierzecie część odpowiedzialności na siebie?

- Bierzemy!

Bournef złożył obie ręce, potem skrzyżował je, przeciągając tym sposobem sznurem przez pętlę wokół szyi. Potem ściągając lekko, tak jednak, by Essares poczuł to, zapytał suchym głosem:

- Tak czy nie?

- Tak.

Dał się słyszeć pomruk radości. Wspólnicy odetchnęli. Bournef poruszył głową z zadowoleniem.

- Ach, więc zgadzasz się? Najwyższy już czas... zdaje mi się, że mało kto był już tak bliski śmierci, jak ty, Essaresie.

Nie rozluźniając jednak sznurka, mówił dalej:

- Dobrze, chcesz mówić, ale ja cię znam i wiem, że ty nawet w obliczu pewnej śmierci nie zdradzisz tajemnicy. Czyżbym się mylił?

Essares odparł:

- Nie. Ani śmierć, ani tortura...

- A więc chcesz nam zaproponować coś innego?

- Tak.

- Coś, co warte jest zachodu?

- Tak. Zaproponowałem to już przedtem pułkownikowi, gdyście odeszli. Lecz choć was chciał zdradzić, nie zgodził się na to, co ja mu zaproponowałem.

- Dlaczegoż więc ja miałbym się zgodzić?

- Bo jest to rzecz, którą możesz przyjąć lub odrzucić, i ty to możesz łatwiej przyjąć niż on.

- A więc jakaś transakcja, nieprawdaż?

- Tak.

- Pieniądze?

- Tak.

Bournef wzruszył ramionami:

45

- Zapewne kilka banknotów po tysiąc franków? I ty sobie wyobrażasz, że Bournef i jego przyjaciele są tak naiwni... powiedz Essaresie, dlaczego chcesz się z nami układać? Tę twoją tajemnicę znamy prawie w całości...

- Wiecie, na czym polega, lecz nie znacie sposobu, jak wziąć ją w posiadanie. Nie wiecie, że tak powiem, w czym „tkwi” ta tajemnica. Oto wszystko.

- Odkryjemy to.

- Nigdy.

- Tak, a twoja śmierć ułatwi nam to...

- Moja śmierć? Ależ za kilka godzin dzięki denuncjacji pułkownika zaczną was poszukiwać i chwycą za kołnierz, uniemożliwiając wszelkie odkrycia. W konsekwencji i wy nie macie innego wyboru, jak zgodzić się na sumę jaką wam proponuję. Albo pieniądze, albo więzienie.

- A jeśli się zgodzimy - rzekł Bournef, któremu ten argument trafił

do przekonania - kiedy nam wypłacisz?

- Zaraz.

- Więc te pieniądze są tutaj?

- Tak.

- Ile?

- Cztery miliony.

V

Mąż i żona

Wspólników tak to poruszyło, jakby ich poraził prąd elektryczny, a Bournef zwrócił się ku mówiącemu:

- Co takiego?

- Mówię, cztery miliony, to znaczy milion na każdego z was.

Suma ta wydawała się tak wysoka i propozycja tak niesłychana, że wspólnicy odczuli w tej chwili to samo, co Patryk Belval.

Przypuszczali, że zastawiono na nich pułapkę. Bournef nie mógł się powstrzymać i rzekł:

- W istocie, twoja propozycja przechodzi nasze oczekiwania.

Zastanawiam się, do czego zmierzasz.

- Byłbyś się zadowolił mniejszą sumą?

- Tak - przyznał Bournef otwarcie.

- Niestety nie mogłem ofiarować mniej. By uniknąć śmierci, wystarczy mi tylko otworzyć moją szkatułkę. Otóż zawiera ona cztery pakiety tysiącfrankowych banknotów.

Bournef nie mógł się uspokoić i coraz mniej mu dowierzał.

- A cóż daje ci tę pewność, że gdy otrzymamy te cztery miliony, nie zażądamy więcej.

- Czegóż mielibyście żądać więcej? Klucza do mojej tajemnicy?

- Tak.

- Nie, bo wiecie doskonale, że wolałbym umrzeć niż to zdradzić.

Cztery miliony to maksimum. Nie żądam w zamian żadnej obietnicy, żadnej przysięgi. Wiem naprzód, że mając napchane kieszenie, będziecie zmykali, nie trudząc się morderstwem, które by was tylko zgubiło.

Argument był tak dosadny, że Bournef więcej nie nalegał.

- Czy twoja szkatułka znajduje się w tym pokoju?

- Tak, między pierwszym a drugim oknem, za moim portretem.

Bournef spojrział za obraz i rzekł:

- Nie widzę tu nic.

- A jednak szkatułka znajduje się pod gzymsem, naśladowującym ramę. Pośrodku jest żelazna rozeta, a na czterech rogach 47

ramy widnieją cztery mniejsze. Dają się one obracać ku prawej stronie, wedle liter stanowiących słowo: „kora”.

- Cztery pierwsze litery imienia Koralia - rzekł Bournef, stosując się do wskazówek, danych przez Essaresa.

- Nie, cztery pierwsze litery słowa „koran”, rozumiesz?

- Rozumiem, ale gdzie klucz? - odparł Bournef.

- Klucza nie ma. Piąta litera „n” jest literą środkowej rozety.

Bournef przekręcił piątą rozetę, po czym dał się słyszeć trzask.

- Tylko przekręć - zakomenderował Essares. - Dobrze, szkatułka nie jest głęboko, mieści się w jednym kamieniu fasady. Sięgnij ręką.

Znajdziesz tam cztery portfele.

Prawdę mówiąc, Patryk Belval spodziewał się teraz, że niezwykle jakiś wypadek przerwie poszukiwania Bournefa i rzuci go może w jakąś ukrytą zapadnię, przygotowaną zawczasu przez Essaresa. Zdaje się, że i trzej napastnicy musieli podzielać tę obawę, a sam Bournef zdawał się poruszać z niezwykle ostrożnością i niedowierzaniem.

Wreszcie odwrócił się, podszedł i usiadł koło Essaresa. W rękach trzymał pakiet z czterema portfelami, ściągniętymi płócienną taśmą; nie były wielkie, lecz mocno wypchane. Odpiąwszy klamrę taśmy, Bournef wyjął jeden z portfeli. Kolana, na których położył drogocenną zdobycz, drżały mu jak w febrze, a gdy z portfela dobył ogromny zwitek banknotów, ręce jego przypominały dłonie starca, dygocącego w febrze.

Szepnął do siebie:

- Banknoty po tysiąc franków. Dziesięć pakietów tysiącfrankówek.

Każdy ze współników, brutalnych jak ludzie przed kłótnią, chwycił

portfel, szperał w nim i mamrotał:

- Dziesięć pakietów... zgadza się... dziesięć paczek tysiącfrankówek.

Tejże chwili jeden z nich wykrzyknął zdławionym głosem:

- Chodźmy stąd.

Ogarnął ich nagły strach. Nie mogli uwierzyć, że Essares mógł im oddać taką fortunę bez ułożonego z góry planu ograbienia ich, zanim jeszcze opuszczą ten pokój. Byli tego prawie pewni. Może spadnie im na głowę sufit albo ściany cudem jakimś zsuną się i zaduszą ich, nie czyniąc szkody niepojętnemu przeciwnikowi. I Patryk sam spodziewał

się także czegoś niezwykłego. Kata-

strofa zdawała się nieunikniona i natychmiast rewanz Essaresa musiał

nastąpić. Człowiek taki jak Essares, przeciwnik tak niebezpieczny i tak silny, jakim on być się zdawał, nie rozstaje się łatwo z sumą czterech milionów franków, bez obmyślonego z góry podstępu. Belval poczuł

łoczącą go jakąś dziwną duszność. Od początku tej tragicznej sceny, której był świadkiem, nie doznał tak silnego wrażenia, jak teraz, przy czym stwierdził, że również twarz mateczki Koralii wyrażała intensywną trwogę. Bournef odzyskał jednak trochę zimnej krwi i powstrzymując towarzyszy rzekł:

- Nie róbcie głupstw! On gotów przy pomocy starego Symeona rozwikłać pęta i puścić się za nami w pogoń.

Wszyscy czterej, posługując się tylko jedną ręką, gdyż w drugiej trzymali portfele, wszyscy czterej silniej przywiązali ręce Essaresa do fotela, na którym leżał. Essares zaś począł z nich głośno drwić:

- Głupcy, przyszlście, by mi wykraść tajemnicę o niesłychanej wartości, o czym dobrze wiecie, a na widok marnych czterech milionów tracicie łby. Pułkownik miał jednak strawniejszy żołądek.

Zakneblowali mu usta, a Bournef ugodził go tak silnie w głowę, że Essares stracił przytomność.

- Teraz możemy się spokojnie wynieść - powiedział Bournef. Jeden ze współników zapytał:

- A pułkownik? Zostawimy go tu?

- Dlaczegoż by nie?

Lecz po chwili dodał:

- Zresztą nie. To nie leży w naszym interesie, by jeszcze bardziej skompromitować Essaresa. Najślusniejszą rzeczą jest wynieść się stąd jak najprędzej, zanim ten przeklęty list pułkownika dojdzie do policji, co przypuszczam, stać się może około południa.

- A więc?

- Więc trzeba go wpakować do auta i wyrzucić gdziekolwiek bądź

po drodze, niech policja się nad tym głowi.

- A jego papiery?

- Po drodze go przeszukamy. Pomóżcie mi.

Przewiązali ranę, by krew z niej nie ciekła, i biorąc trupa, jeden za ręce, drugi za nogi, odeszli, nie

wypuszczając jednak ani na chwilę portfeli z rąk.

49

Patryk usłyszał ich spieszne kroki, rozbrzmiewające w sąsiednich pokojach, a następnie stąpanie po kamiennych płytach westybulu.

- Teraz zapewne - rzekł do siebie kapitan - Essares lub Symeon naciśnie guzik, a łotry wpadną w sidła.

Essares nie poruszył się jednak wcale.

I Symeon nie poruszył się również.

Kapitan słyszał dokładnie zatrzaśnięcie bramy wejściowej, wprawianie w ruch motoru i na koniec warkot odjeżdżającego samochodu.

I na tym koniec. Nic więcej nie zaszło. Wspólnicy uciekali bez przeszkód z czterema milionami.

Nastąpiła długa cisza, która wcale nie zmniejszyła przerażenia Belvala.

Miał uczucie, że dramat nie dosięgnął końca, a tak się obawiał

nowych komplikacji, że chciał już zdradzić matczce Koralii swą obecność.

Lecz nowa okoliczność powstrzymała go od tego. Koralia wstała.

Oblicze młodej kobiety nie wyrażało już tej strasznej odrazy i tego osłupienia, co przedtem, ale na widok nagłej energii, jaka błysnęła w jej oczach złowrogim blaskiem, Belval przeraził się jeszcze okrutniej.

Pojął, że matczka Koralia postanowiła działać. Lecz w jakim kierunku?

Skierowała się w stronę, gdzie były kręte schody, i powoli, nie starając się nawet przytłumić swoich kroków, wchodziła na salę.

Niewątpliwie jej mąż musiał słyszeć kroki.

Zresztą Belval widział ją w lustrze, gdyż podniósł głowę i śledził jej ruchy. Znalazłszy się na dole, Koralia zatrzymała się.

W ruchach jej nie było żadnego wahania. Plan jej musiał być jasny, zastanawiała się tylko nad najlepszym sposobem wykonania go.

- Ach - rzekł do siebie Patryk, dygocąc cały. - Co chcesz uczynić, matczko Koralio?

Wtem drgnął. Idąc za kierunkiem jej wzroku spostrzegł, że znieruchomiałe jej spojrzenie spoczywało

na przedmiocie, który zdradził jej ukrytą myśl. Koralia patrzyła na sztylet, który wypadł z rąk pułkownika i dotąd leżał na ziemi.

Nie ulegało żadnej wątpliwości, że chce pochwycić ten sztylet 50

tylko po to, by ugodzić nim męża. Silna wola zabicia tego niegodziwego człowieka odbijała się wyraźnie na jej sinobladej twarzy, a zanim jeszcze poruszyła ręką, Essares drgnął z przerażenia i całym wysiłkiem mięśni starał się zerwać krępujące go więzy.

Zbliżyła się, zatrzymała się znowu i nagłym ruchem pochwyciła sztylet. Uczyniwszy jeszcze dwa kroki, znalazła się tuż przy fotelu, na którym leżał Essares. Mógł patrzeć na nią, odwracając trochę głowę.

Minęła jedna długa chwila. Mąż i żona spojrzeli sobie w oczy.

Wszystkie myśli, jakie wirowały w głowach tych dwojga ludzi, z których jedno stać się miało zabójcą, a drugie zginąć, wszystkie te rozpętane namiętności, te nienawiści i trwogi, wszystko to odbijało się w głębi świadomości Patryka Belvala. Co miał uczynić? Jaki mieć udział w tym dramacie, który rozgrywał się przed jego oczami? Czy miał się wdać w tę sprawę i powstrzymać Koralię od strasznego czynu, czy też sam miał ją w tym uprzedzić i wystrzałem rewolwerowym roztrzaskać czaszkę tego człowieka?

Trzeba przyznać, że Patryk Belval prawie od samego początku dramatu doznawał jeszcze innego uczucia. Opanowała go ciekawość, która przewyciężyła inne uczucia. Nie taka zwykła, banalna ciekawość, która by pozwoliła mu poznać kulisy tej ciemnej sprawy, ale było to owo wyższe pragnienie poznania tajników duszy tej kobiety, którą kochał, która porwana wirem wypadków, opanowawszy nagle przejmującą ją grozę, powzięła z największym spokojem ten straszny zamiar. A ponadto i inne jeszcze pytania cisnęły mu się do głowy. Co zmuszało ją do takiego postanowienia? ,

Czy była to zemsta, czy kara, czy zaspokojenie nienawiści?

Patryk Belval trwał bez ruchu.

Koralia podniosła rękę. U jej stóp leżał mąż, nie próbując się poruszyć, pomimo drobnych drgań, zdradzających ostateczny wysiłek.

Był zrezygnowany.

Czekał spokojnie.

Opodal stary Symeon, ciągle jeszcze skrupowany, uniósł się na łokciach i uparcie wpatrywał się przerażonymi oczami.

Koralia podniosła rękę jeszcze wyżej. Cała jej postać, zmieniona, wyolbrzymiała. Wszystkie siły ześrodkowała w ten jeden akt. Była w każdej chwili gotowa do ciosu. Wzrok jej szukał miejsca, gdzie ugodzić, a jednak wzrok ten topniał i stawał się mniej 51

twardy i mniej ponury. Nawet wydało się kapitanowi, że dojrzał w nim pewne wahanie: Koralia wracała do dawniejszej słodyczy; właściwy jej urok kobiecy brał górę.

- Ach, mateczko Koralio! - szepnął do siebie Patryk. - Odnalazłaś się. Poznają cię. Jakikolwiek miałaś powód i prawo zabić tego człowieka, jednak nie zabijesz go i tak będzie lepiej...

Powoli ręka młodej kobiety opadła. Rysy jej twarzy rozprężyły się.

Patryk wprost odczuwał, jaką olbrzymią ulgę sprawiło jej przewyciężenie myśli o zabójstwie, która prześladowała ją tak uparcie.

Ze zdziwieniem oglądała sztylet w ręku, jakby przebudzona ze straszego snu, po czym pochyliwszy się nad mężem, poczęła przecinać jego więzy.

Robiła to z widoczną odrazą, starając się nie dotknąć go i unikając jego wzroku.

Poprzecinała wszystkie sznury jeden za drugim. Essares był wolny.

Ale to, co się działo dalej, było wręcz oburzające. Bez słowa podziękowania człowiek ten, który przeszedł takie okrutne męki, któremu oparzelizna musiała sprawiać dotkliwy ból, potykając się i zataczając, bosy, rzucił się do aparatu telefonicznego, umieszczonego na stole.

Wyglądał jak wygłodniały człowiek, który ujrzał kawałek chleba i który rzuca się nań z chciwością. Dygocząc cały, zdjął słuchawkę i zawołał:

- Centrala, 39-40.

Następnie, zwracając się znowu do Koralii, zawołał rozkazującym tonem:

- Wyjdź stąd!

Koralia zdawała się nie słyszeć go. Pochylając się nad starym Symeonem, uwolniła go również z więzów.

Przy telefonie Essares niecierpliwił się bardzo:

- Hallo, proszę pani, to nie na jutro, to na dziś. Zaraz... 39-40.

No, wreszcie...

A zwracając się do Koralii, powtórzył rozkaz:

- Wyjdź stąd!

Zaprzeczyła na znak, że nie wyjdzie, lecz przeciwnie, że zamierza słuchać.

Pogroził jej pięścią i zawołał:

- Wyjdź stąd! Wynoś się! Rozkazuję ci wyjść. A ty także, Symeonie, wynoś mi się stąd!

Stary Symeon podniósł się i podszedł ku Essaresowi. Zdawało się, że chce mu coś powiedzieć, zaprotestować, lecz po chwili zawahał się, namyślił, skierował ku drzwiom i nie mówiąc ani słowa, wyszedł.

- Wynoś się! Idź stąd! - powtórzył Essares wściekle, przyj mując groźną postawę wobec żony.

Ale Koralia zbliżyła się doń i skrzyżowawszy ręce na piersiach spoglądała na niego z uporem, niemal wyzywająco.

W tej samej chwili Essares musiał dostać połączenie telefoniczne, gdyż odezwał się:

- 39-40? A, dobrze...

Zawahał się. Obecność Koralii była mu bardzo nie na rękę.

Widocznie miał do powiedzenia takie rzeczy, o których chciał, by nie wiedziała.

Ale czas naglił. Dał więc za wygraną i przykładając obie słuchawki do uszu mówił po angielsku:

- To ty Grzegorzu?... Tu ja, Essares, hallo... O, tak, telefonuję z ulicy Raynourd... Nie traćmy czasu, słuchaj...

Usiadł i mówił dalej:

- Ot, co: Mustafa nie żyje, pułkownik także. Lecz, do czarta, nie przerywaj mi, bo przepadniemy... Tak, przepadniemy, i ty także...

słuchaj... przyszli tu wszyscy: pułkownik, Bournef i cała banda, napadli mnie, okradli, ograbili... Wyprawiłem pułkownika na tamten świat, ale zdradził się przy tym, że napisał list do prefektury, list z denuncjacją.

List wpłynie tam lada chwila. Bournef z trzema swymi współnikami umknął... Masz jeszcze dość czasu, by pójść do nich i zabrać im papiery. Myślę, że będą u ciebie za godzinę, najdalej za dwie. Bo dla nich to najpewniejsze schronienie. Oni sami je wymyślili, nie wiedząc, że ty i ja znamy się dobrze. Co do tego nie ma też żadnej wątpliwości.

Przyjdą z

pewnością.

Essares umilkł, a po chwili namysłu mówił dalej:

- Czy masz jeszcze wciąż podwójne klucze do pokoi, w których ich umieścisz? Tak, to dobrze. Masz

także podwójne klucze do skrytek?

Tak? Wyśmienicie. Otóż, kiedy tylko się przekonasz, że śpią twardo, wejdź do każdego pokoju i przetrząśnij skrytki. Nie ulega wątpliwości, że każdy z nich ukryje tam swoją część

53

łupu. Znajdziesz to łatwo. Są to cztery portfele, które zresztą znasz.

Włóż je do walizki, zmykaj jak najprędzej i postaraj się ze mną spotkać.

Nowa przerwa. Tymczasem Essares słuchał jakiś czas, wreszcie zagadnął:

- Co takiego? Ty? Tu się ze mną nie możesz spotkać... Wyobrażasz sobie, że ja tu mogę pozostać po denuncjacji pułkownika? Nie! Czekaj na mnie w hotelu koło dworca. Będę tam około południa lub koło pierwszej, a może i trochę później. Nie obawiaj się, zjedz spokojnie śniadanie, potem się naradzimy. Hallo! Czy zrozumiałeś? W tym wypadku odpowiadam za wszystko. Do rychłego zobaczenia!

Rozmowa była skończona i zdawało się, że rozporządziwszy wszystkim, by odzyskać na nowo owe cztery miliony, Essares nie odczuwał już żadnego niepokoju. Powiesił słuchawkę i wrócił do fotela, w którym tyle przeszedł mąk, odwrócił go oparciem od ognia, usiadł, opuścił podwinięte spodnie, potem naciągnął skarpetki sycząc niekiedy z bólu, nałożył pantofle. Wszystko to czynił powoli, spokojnie, jak człowiek, który nie potrzebuje się spieszyć.

Koralia nie spuszczała go z oczu.

Teraz powinienem odejść - pomyślał kapitan Belval, zakłopotany myślą, że będzie świadkiem rozmowy męża z żoną. Pozostał jednak, zatroskany o mateczkę Koralie. Essares wszczął atak:

- I cóż tak na mnie patrzysz? - powiedział.

Koralia, hamując oburzenie, rzekła:

- A więc to prawda? Nie mam już nawet prawa wątpić w to?

Essares odparł szyderczo:

- Po cóż bym kłamał? Nie telefonowałbym w twojej obecności, gdybym nie był pewny, żeś tu była od samego początku.

- Tak, byłam na górze.

- A więc wszystko słyszałaś?

- Tak!

- I widziałaś wszystko?

- Tak!

- I widząc moje męki, słysząc moje krzyki, nie uczyniłaś nic, by mnie uwolnić od tej męczarni i ocalić od śmierci.

- Nie, nic, dzięki temu poznałam całą prawdę.

- Jaką prawdę?

54

- Tę, o którą cię podejrzewałam, w którą jednak nie chciałam jeszcze wierzyć.

- Jaką prawdę? - powtórzył głośniej.

- To, że jesteś zdrajcą.

- Oszalałaś chyba, nie jestem zdrajcą.

- Ach, nie baw się grą słów! Istotnie znam tylko część tej prawdy.

Nie rozumiałam wszystkiego, co ci ludzie mówili i czego od ciebie żądali, lecz tajemnica, którą chcieli od ciebie wydostać, to sekret zdrady.

Essares wzruszył ramionami:

- Zdradzić można tylko własny kraj, a ja nie jestem Francuzem.

- Jesteś Francuzem, starałeś się nim zostać, stałeś się nim, ożeniłeś się ze mną we Francji i tu dorobiłeś się majątku, i tę oto Francję teraz zdradzasz.

- Niech będzie i tak! Zdradzam, ale na czyją korzyść?

- Właśnie to jest kwestia, której nie rozumiem. Od miesięcy, od lat całych może, pułkownik, Bournef, ty i wszyscy twoi dawni współnicy dokonaliście jakiegoś niezwykłego dzieła, tak, niezwykłego, oni przecież sami to przyznali. A teraz zdaje się, kłócicie się o zyski, wydostane z tego wspólnego przedsięwzięcia. Oni cię oskarżają, że chcesz te zyski schować tylko dla siebie i zachować dla siebie tajemnicę, która nie jest tylko twoją tajemnicą. Z tego widzę, że musi to być sprawa jeszcze brudniejsza i podlejsza niż zdrada kraju... To jest jakieś nieczne złodziejstwo bandyty.

- Dość! - krzyknął, uderzając pięścią o poręcz fotela.

Koralia nie zdawała się być tym przerażona. Jeszcze dodała:

- Dość, masz rację! Dość słów między nami. Zresztą jeszcze jeden fakt, który przemawia przeciw

tobie: to ta twoja ucieczka. Ona jest przyznaniem się do winy. Boisz się policji.

Essares znów wzruszył ramionami.

- Nie boję się niczego.
- A jednak uciekasz.
- Tak.
- Skończmy. O której wyjeżdżasz?
- Wkrótce. Około południa.
- Jeżeli cię nie aresztują przedtem.
- Nawet jeśli, to mnie i wypuszczą na wolność.
- Ale przynajmniej będzie jakieś śledztwo, proces?

55

- Nie, sprawa będzie zatuszowana.
- Tego się spodziewasz...
- Nie, jestem tego pewny.
- Dałby to Bóg! Zapewne opuścisz Francję?
- Jeśli tylko będę mógł...
- To znaczy?
- Za dwa lub trzy tygodnie.
- Powiedz mi wcześniej, kiedy to nastąpi, abym wreszcie mogła odetchnąć.
- Uprzedzę cię o tym, Koralio, ale dla innej przyczyny.
- Dla jakiej?
- Byś mogła za mną wyjechać.
- Ja za tobą!

Essares uśmiechnął się złośliwie.

- Jesteś moją żoną, a żona ma się udawać za mężem, przy tym wiesz, że wedle mojej religii i u mnie w kraju mąż ma wielkie prawa nad żoną, nawet prawo śmierci, a ty jesteś moją żoną!

Koralia zaprzeczyła głową i tonem nieopisanej pogardy powiedziała:

- Nie jestem twoją żoną. Nie czuję dla ciebie nic, tylko nienawiść, wstręt, obrzydzenie. Nie chcę cię więcej widzieć, czymkolwiek byś mi groził.

Podniósł się i zbliżając się do niej, zgięty w pół i cały drżący, na obolałych stopach, wyjąkał, zaciskając pięści:

- Coś ty powiedziała? Co? Śmiesz mówić... Ja, twój pan, rozkazuję ci, byś przyjechała do mnie na moje pierwsze wezwanie.

- Nie przyjadę. Przysięgam to wobec Boga. Przysięgam na wieczne zbawienie duszy.

Tupiąc z wściekłości nogami, z twarzą, która stała się wprost straszna, ryczał:

- Chcesz zostać. Masz więc ku temu powody, których nie znam, lecz których domyślić się łatwo. Powody serca, nieprawdaż? Tam coś w twoim życiu musiało być, bez wątpienia... Milczysz? Zawsze mnie nienawidziłaś... ta nienawiść nie datuje się od dzisiaj. Datuje się od pierwszej chwili, nawet przed naszym ślubem... Żyliśmy ze sobą zawsze jak śmiertelni wrogowie, a ja kochałem cię... uwielbiałem... Na twoje jedno słowo padłbym ci do stóp. Na odgłos twoich kroków moje serce drżało. A ty, ty czujesz do mnie wstręt... I ty sobie wyobrażasz, że ci pozwolę rozpo-

czyć nowe życie beze mnie. Ależ wolałbym cię przedtem zabić, moja mała.

Zaciśnięte palce jego pięści otworzyły się, drapieżne ręce zaczęły szybko się poruszać z prawej i lewej strony głowy Koralii, niby sęp wokół zdobyczy, którą chciałby zadusić szponami. Nerwowym skurczem dygotała mu szczęka, a krople potu spływały z czoła.

Naprzeciw niego Koralia, wiotka i drobna - stała niewzruszona.

Patryk Belval, któremu ten widok zaparł oddech, był zmuszony rzucić się na pomoc. Na jej spokojnej twarzy trudno było dojrzeć coś innego, niż wstręt i pogardę. Wreszcie Essares opanował się i rzekł:

- Pojedziesz za mną, Koralio. Czy chcesz, czy nie, jestem przecież twoim mężem. Sama to przed chwilą czułaś, kiedy chęć zamordowania uzbroiła cię przeciw mnie, a jednak nie miałaś odwagi wykonać tego strasznego zamiaru. Tak będzie zawsze! Bunt twój przeciwko mnie uspokoi się z czasem i podążysz za tym, który jest twoim panem.

Koralia odparła:

- Pozostanę tu, w tym domu, by z tobą walczyć. Muszę zniszczyć skutki twojej zdrady. Będę czynić to bez nienawiści, bo jej już nie czuję, ale za to nieustannie... Muszę naprawić zło, któreś ty popełnił.

Na to Essares odrzekł półgłosem:

- Ale ja umiem nienawidzić; strzeż się Koralio! W chwili gdy będziesz przypuszczała, że nic ci już nie grozi, może właśnie w owej chwili zażądam od ciebie rachunku, strzeż się więc!

Nacisnął guzik elektrycznego dzwonka i wkrótce zjawił się stary Symeon.

- A

więc obydwaj lokaje uciekli? - zapytał Essares.

Nie czekając odpowiedzi, mówił dalej:

- Szczęśliwej drogi! Pokojowa i kucharka wystarczą. Czy one nic nie słyszały? Nie, nieprawdaż? Śpią za daleko. Mimo to, Symeonie trzeba, żebyś strzegł ich i pilnował, kiedy wyjadę.

Patrzył na żonę, zdziwiony, że nie odchodzi, i rzekł w końcu do sekretarza:

- Jutro muszę wstać o godzinie szóstej z rana, by przygotować wszystko. Jestem jednak okropnie zmęczony, zaprowadź mnie do pokoju. Potem zgasisz światła.

57

Wyszedł przy pomocy Symeona. Teraz Patryk Belval spostrzegł, że Koralia starała się całą siłą woli nie okazać swej słabości, lecz że energia jej wyczerpała się i że była już po prostu niezdolna uczynić kroku. Osłabiona upadła na kolana i uczyniła znak krzyża.

Kiedy w kilka chwil potem starała się dźwignąć, spostrzegła na dywanie między nią a drzwiami kartkę papieru z wypisanym na niej jej imieniem. Podniosła ją i przeczytała:

„Mateczko Koralio! ta walka jest ponad twoje siły, dlaczego nie odwołasz się do mojej przyjaźni. Jeden gest, a stanę przy tobie”.

Zachwiała się wzruszona znalezieniem tego listu i wielką śmiałością Belvala, ale wysiliwszy całą energię i wolę wyszła, nie dając znaku, na który czekał Patryk.

VI

Godzina siódma minut dziewiętnaście

Tej nocy Patryk w swoim szpitalnym pokoju nie mógł zasnąć ani na chwilę. W bezsenności miał dziwne uczucie duszności i niepokoju, jakby pod wpływem jakiejś mackowatej zmory. Miał wrażenie, że te dziwne wypadki, w których grał rolę równocześnie bezczynnego świadka i bezsilnego aktora, nie zatrzymały się w swym biegu przez czas, kiedy on starał się odpocząć, lecz przeciwnie, że rozpętują się z tym większą intensywnością i gwałtownością. Pożegnanie męża z żoną nie było ani na chwilę zażegnaniem czy zakończeniem niebezpieczeństw, jakie groziły Koralii i jakie otaczały ją ze wszystkich stron. Patryk Belval uznawał, że sam jest niezdolny, by je przewidzieć, a tym mniej jeszcze, by im zapobiec.

Po dwu bezsennych godzinach Belval zaśwycił lampę elektryczną i w małym zeszyciku ją spisywać w skrócie historię wypadków ostatniego dnia i tych, jakie przeżył tej nocy. Spodziewał się, że pomoże mu to w rozwiązaniu tej zagnatanej sprawy.

O szóstej zbudził Ya-Bona, po czym, stojąc przed zdumionym Murzynem, zaczął mówić skrzyżowawszy ręce:

- Więc tobie się zdaje, żeś już spełnił swój obowiązek? Podczas gdy ja kręcę się i kołaczę pośród ciemności, pan się wysypia zdaje mu się, że wszystko jest w porządku! Mój drogi, widzę, że sumienie to ty masz mocno elastyczne.

Słowo „elastyczne” rozbawiło Senegalczyka, którego usta bardziej jeszcze rozciągnęły się i poczęły mrużyć z rozkoszy.

- Dość tej dyskusji - rozkazał kapitan. - Nikogo nie dopuszczasz do głosu tym twoim gadaniem, weź krzesło, przeczytaj te notatki i wyraż

mi własną opinię. Co? Nie umiesz czytać? Więc na cóż, doprawdy, zdało się zdzierać swoją skórę na ławkach gimnazjum i uniwersytetu w Senegalii! Oryginalna edukacja!

Westchnął, wyrwał mu z ręki notatnik i rzekł:

- Słuchaj, rozważaj, myśl, wnioskujej i konkluduj. Oto na czym stanęliśmy. Streszczam. Primo: Mamy jegomościa Essaresa-Beya, przebogatego bankiera, który to pan jest ostatnim gałganem, zdradzającym Francję, Anglię, Egipt, Turcję, Bułgarię i 59

Grecję... dowodem tego jest, że jego wspólnicy przypiekają mu nogi. W

zamian za to on zabija jednego z nich, a czterem zatyka gęby tyluż milionami franków, które to miliony zamierza im odebrać przez innego wspólnika. Całe to piękne towarzystwo ulotni się o godzinie 11.00

przed południem, bo w południe policja ukaże się na widowni.

Rozumiesz?

Patryk Belval zaczerpnął powietrza i mówił dalej:

- Po wtóre: Mateczka Koralia; co prawda nie wiem, po co ona, na ten przykład, wyszła za tego łotra Beya? Nienawidzi go i chce go zabić.

On kocha ją i też chce ją zabić. Jest tam jeszcze pułkownik, który także ją kocha i dlatego zostaje zabity, no i pewien Mustafa, który ją porywa na rozkaz pułkownika, ale i ten umiera, uduszony przez pewnego Senegalczyka. Jest na koniec kapitan francuski, półkaleka, który ją także kocha, przed którym jednakże ona ucieka, gdyż jest żoną człowieka, którego nienawidzi. Z tym to kapitanem w niewytłumaczalny jakiś sposób w poprzednim jakimś bycie podzieliła się rozłupanym na dwie części ziarnkiem ametystu.

Dodaj do tego, jako inne okoliczności „towarzyszące”: zardzewiały klucz, czerwony sznurek, uduszonego psa i rozżarzone węgle kominka, a jeżeli będziesz śmiały twierdzić, że rozumiesz choć jedno słowo z tych moich wyjaśnień, dostaniesz kulą mojej nogi po głowie, bo ja nic z tego nie rozumiem, mimo że jestem twoim kapitanem.

Ya-Bon śmiały się całą gębą, w czym dopomagała mu blizna, sięgająca od ucha do ucha. Zresztą, wedle rozkazu kapitana, nie rozumiał nic z całej tej sprawy, niewiele zaś z wykładu Patryka, z tą różnicą, że gdy tenże odzywał się do niego tak groźnie, Senegalczyk nie posiadał się z radości.

- Dość! - krzyknął kapitan. - Teraz na mnie kolej rezonować, wnioskować i orzekać.

Oparty o kominek, obu rękami ścisnął głowę. Wesołość jego, która zwykle wynikała z lekkomyślnego usposobienia, tym razem była sztuczna. W głębi duszy nie przestawał myśleć o Koralii z niepokojem i bólem. Cóż uczynić w jej obronie?

Szereg projektów zarysował się w jego myślach, lecz który wybrać?

Czy, znając numer telefonu, odszukać mieszkanie owego Grzegorza, do którego schronił się Bournef z towarzyszami, czy zawiadomić policję?

Czy wrócić na ulicę Raynouard? Nie

wiedział, co począć, w jakim kierunku działać? Tak, owszem, jasne, że gdyby szło o walkę, to rzuciłby się w nią z całym zapalem i z całym męstwem. Lecz przygotować akcję, przeczuć przeszkody, rozjaśnić ciemności i - jak mówił - widzieć to, co niewidoczne, nieuchwytnie, tego nie potrafił stanowczo.

Odwrócił się nagle do Ya-Bona, zasmuconego milczeniem kapitana.

- A tobie co? Dlaczego masz tak grobową minę? To ty mnie naprowadzasz na smutne myśli, ty widzisz wszystko zawsze w czarnych kolorach... jak Murzyn... Wynos się!

Ya-Bon właśnie miał odejść z nosem na kwintę, gdy wtem zapukano do drzwi i ktoś zawołał:

- Proszą pana kapitana do telefonu.

Patryk wybiegł szybko. Któż to, u diabła, mógł telefonować o tak wczesnej porze?

- Kto przy aparacie? - zapytał idącą ku niemu pielęgniarkę.

- Nie wiem, panie kapitanie... głos mężczyzny, któremu śpieszy się bardzo pomówić z panem. Dość długo dzwonił. Byłam na dole w kuchni.

Mimo woli Patryk przypomniał sobie telefon przy ulicy Raynouard, w dużej sali mieszkania Essaresa. Czyżby te dwa fakty pozostawały z sobą w jakimś związku? Zszedł piętro niżej i wszedł w korytarz. Aparat telefoniczny znajdował się w małym pokoiku, służącym za skład bielizny. Wszedł tam, zamknął za sobą drzwi.

-

Hallo! To ja, kapitan Belval. O co idzie?

Odpowiedział mu głos męski, ale taki jakiś dziwnie zziąjany, zdyszany i nieznanany zupełnie.

- Kapitan Belval? Ach, to dobrze... dobrze, że to pan... otóż boję się jednak, że będzie już za późno... Czy zdążę jeszcze... czy dostałeś klucz i list?

- Kim pan jest?

- Czy dostałeś klucz i list? - powtórzył głos.

- Klucz tak, ale listu nie otrzymałem - odpowiedział Patryk.

- Listu nie! Ależ to okropne, a więc nie wiesz?...

Nagle Patryk usłyszał zduszony krzyk, potem jakieś niezrozumiałe słowa, zgiełk kłótni, po czym dosłyszał z przyciśniętych do aparatu ust bełkot:

- Za późno już... Patryk... to ty?... Słuchaj, ametystowy me-61

dalion... Tak, mam na sobie... medalion... Ach, za późno... tak bardzo chciałem... Patryku... Koralia, Patryku... Patryku...

I znowu donośny krzyk, krzyk rozdzierający, jakby już z oddali, krzyk, w którym Patryk zdołał rozróżnić słowa: „na pomoc... na pomoc... ach, nędznik, zbój...” Okrzyki, które powoli, powoli coraz to słabły. W końcu nastąpiła zupełna cisza i wreszcie nagle lekki stuk z tamtej strony. To morderca zawiesił słuchawkę. To wszystko nie trwało dłużej niż dwadzieścia sekund. Kiedy Patryk również chciał zawiesić słuchawkę, musiał uczynić znaczny wysiłek, tak palce trzymały się jej kurczowo.

Przez chwilę stał osłupiały. Oczy jego wpatrzone były w widoczną przez okno wielką wieżę zegara, który wskazywał siódmą dziewiętnaście. Powtarzał to machinalnie, jakby ta godzina miała jakieś nadzwyczajne znaczenie. Potem sam począł rozpatrywać wszystko, co usłyszał. Czy było rzeczywistością; czy też ta nowa zbrodnia nie była tylko złudzeniem, wywołanym poprzednimi przejściami, których wspomnienie tkwiło jeszcze w jego pamięci i mózgu.

Ale echo usłyszanych jęków brzmiało mu w uszach, więc na nowo pochwycił słuchawkę, niby tonący, który dojrzał ostatnią deskę ratunku.

- Hallo... panno... czy pani mnie wołała do telefonu? Czy pani słyszała te krzyki? Hallo, hallo!...

Nikt nie odpowiadał i Patryk wpadł w gniew, nawymyślał

telefonistce, wybiegł z pokoju potrącając Ya-Bona, którego napotkał.

- Zabieraj mi się stąd! To twoja wina... jasne... powinieneś być tam zostać i czuwać nad Koralią. A teraz słuchaj: idź do niej i bądź do jej dyspozycji. Ja idę zawiadomić policję... Gdybyś mi był w tym nie przeszkodził, zrobiłbym to dawno i to wszystko nie byłoby się stało. A teraz leć galopem!

Zatrzymał się:

- Nie, stój, nie ruszaj się, twój plan jest absurdalny. Tu zostań! Ach nie, przy mnie oczywiście. Za mało masz zimnej krwi, mój mały.

Wypchnąwszy go za drzwi, wrócił do pokoju z telefonem i zaczął

chodzić tam i sam w wielkim wzburzeniu, objawianym gwałtownymi ruchami i gniewnymi słowami. Powoli jednak wśród całego tego zamieszania zaczęła się w nim wylaniać myśl, **62**

że przecież nie miał żadnej pewności, iż to, co się stało, działo się w mieszkaniu przy ulicy Raynouard. Wspomnienie tamtej zbrodni, tkwiącej jeszcze żywo w jego pamięci, nie powinno go pochłaniać do tego stopnia, żeby wszystko, co zajdzie, sprowadzać zawsze do jednego i tego samego miejsca i zawsze do tego tragicznego zdarzenia. To pewne, że dramat, tak jak to przeczuwał, rozwijał się dalej, ale może zupełnie gdzie indziej i - daj Boże! - z dala od Koralii. A ta pierwsza myśl naprowadziła go na drugą: dlaczegożby nie miał się o tym dowiedzieć teraz?

Tak, dlaczegoż nie sprawdzić? - pomyślał sobie. Nim zawiadomi policję, zanim znajdzie numer telefonu tego, kto go wezwał i nim dojdzie po nitce do kłębka - co będzie można wszystko potem zrobić -

nic mu nie przeszkadza zatelefonować bezzwłocznie na ulicę Raynouard pod jakimkolwiek pretekstem i do byle kogo. Będzie przynajmniej wiedział, czego się trzymać...

Patryk czuł, że sposób ten niewiele mu wyjaśni. Gdyby nawet nikt nie odpowiadał stamtąd; czy byłby to dowód, że zbrodnia tam miała miejsce? Czy też raczej, że po prostu wszyscy spali. Ale potrzeba działania pomogła mu w decyzji.

Wyszukał w spisie numer telefonu Essaresa i zatelefonował.

Wyczekiwanie na połączenie wprawiło go w stan nieznośnego niepokoju.

Wtem zadrżał od stóp do głów. Połączenie telefoniczne nastąpiło i ktoś z tamtej strony aparatu ułyszał jego wezwanie.

- Hallo! - zawołał.

- Hallo - odparł jakiś głos. - Kto przy aparacie? - Był to głos Essares-Beya. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, bo Essares-Bey miał właśnie tak wcześnie rano porządkować rozmaite swe papiery.

Patryk jednak był tak zdumiony, że w pierwszej chwili nie wiedział, co powiedzieć.

- Czy pan Essares-Bey?

- Tak. A z kim mam przyjemność?

- To jeden z rannych w oddziale rekonwalescentów...

- Czy może kapitan Belval?

Patryk był zupełnie zbity z tropu. Więc mąż Koralii znał go?

- Tak, w istocie, kapitan Belval - wybełkotał.

- Ach! Co za szczęście, panie kapitanie! - zawołał Essares-Bey radosnym tonem. - Właśnie przed chwilą telefonowałem do szpitala, by zapytać...

- Ach to pan telefonował? - przerwał kapitan, którego zdumienie nie miało granic.
- Tak, chciałem dowiedzieć się, o której godzinie mógłbym rozmówić się z panem kapitanem, aby mu podziękować.
- To pan? To pan... - powtarzał Patryk coraz bardziej zdumiony.

Akcent głosu Essaresa zdradzał zdziwienie.

- Tak, nieprawdaż - odparł - ciekawy zbieg okoliczności. Na nieszczęście przerwano mi, jakaś inna rozmowa przerwała moją.
- A więc pan także słyszał?
- Cóż takiego, panie kapitanie?
- Te krzyki...
- Krzyki?
- Tak mi się przynajmniej zdawało, ale komunikacja była tak niewyraźna!
- Co do mnie, to słyszałem tylko kogoś, kto chciał z panem rozmawiać i kto bardzo się spieszył. Ponieważ mnie znowu nie bardzo się spieszyło, więc przerwałem, odkładając na później przyjemność podziękowania panu.
- Podziękowaniami?
- Tak. Dowiedziałem się, że żona moja padła wczoraj ofiarą napaści i w jaki sposób uratował ją pan. Dlatego bardzo zależy mi na widzeniu się z panem i rozmowie z nim. Czy nie zechciałby pan umówić się na spotkanie ze mną? Na przykład w szpitalu? Dziś o godzinie trzeciej?

Patryk nie odpowiadał.

Zuchwałość tego człowieka, zagrożonego aresztowaniem i przygotowującego się do ucieczki, zdumiewała go. Zarazem zapytywał

się, dlaczego Essares właściwie telefonował doń, skoro nic nie zmuszało go do tego.

Milczenie Belvala wcale nie zaniepokoiło Essaresa, który w dalszym ciągu prawił grzeczności i który kontynuował niezrozumiałą mowę, monolog raczej, w którym na własne zapytania sam sobie odpowiadał. Wreszcie, pożegnawszy się, skończył tę rozmowę.

A jednak po tej rozmowie Patryk czuł się spokojniejszy. Wrócił do swego pokoju i rzuciwszy się na łóżko przespał dwie godziny.

Potem wezwał Ya-Bona.

- Na przyszły raz - przemówił do niego - postaraj się opanować nerwy i nie trać głowy, jak to zrobiłeś przed godziną. Byłeś wprost śmieszny, lecz nie mówmy więcej na ten temat. Czy jesteś już po śniadaniu? Nie? Ja tym bardziej nie. Byłeś na wizycie u doktora? Nie?

Ja też tym bardziej nie. A właśnie major obiecał zdjąć mi ten okropny bandaż, który zakrywa mi całą głowę. Myślisz zapewne, że mi to sprawia przyjemność? Drewniana noga to jeszcze. Ale zabandażowana głowa u zakochanego! Idź, pospiesz się. A kiedy będziemy gotowi, w drogę do szpitala! Mateczka Koralia nie może mi zabronić, bym ją zobaczył.

Patryk był niemal uszczęśliwiony.

W godzinę potem, idąc z Ya-Bonem ku bramie Maillot, z zadowoleniem mówił doń:

- Ależ tak, ależ tak, Ya-Bon, to zaczyna się rozjaśniać. Jesteśmy na dobrej drodze. Przede wszystkim Koralia chwilowo nie znajduje się w niebezpieczeństwie. Tak jak się tego spodziewałem, walka odbyła się daleko od niej. Prawdopodobnie między tymi współnikami o te miliony.

Co się zaś tyczy tego nieszczęśnika, który telefonował do mnie i którego śmiertelny krzyk słyszałem, musiał to być jakiś nieznamy przyjaciel, bo nazwał mnie Patrykiem i mówił mi „ty”. On to zapewne przysłał mi klucz do ogrodu; niestety list, który był wysłany razem z kluczem, nie doszedł mnie. Na koniec, prawdopodobnie zmuszony wypadkami, chciał mi wszystko wyjaśnić, lecz właśnie w tej chwili musiał go ktoś napaść. Kto go napadł, pytasz? Zapewne jeden ze współników, który obawiał się zdrady jakichś rewelacji. Widzisz, Ya-Bon, wszystko to jest nadzwyczaj jasne. Możliwe jednak, że prawda wygląda zupełnie inaczej niż to, co ja ci mówię. Ale mniejsza o to. Najważniejsze, by oprzeć się na jakiejś hipotezie, prawdziwej czy fałszywej. Zresztą, jeżeli moja jest fałszywa, całą odpowiedzialność i tak zrzucę na ciebie. Pilnuj się więc dobrze...

Za bramą Maillot wzięli samochód, a Patrykowi wpadło na myśl zboczyć z drogi i pojechać ulicą Raynouard. Właśnie kiedy skręcali przy skwerze Passy, spotkali mateczkę Koralie, wychodzącą z ulicy Raynouard w towarzystwie starego Symeona. Zatrzymała auto i wsiadła do niego. Symeon zajął miejsce obok szofera.

Auto kapitana podążyło za nimi aż do szpitala przy Champs-Elysees.

Była właśnie godzina jedenasta.

- Wszystko w porządku - powiedział Patryk. - Przez ten czas, kiedy mąż jej umyka, ona nic nie chce zmienić w trybie codziennego życia.

Poszli na śniadanie do pobliskiej restauracji, po czym przechadzali się po alei, obserwując przez cały czas szpital, do którego udali się dopiero o wpół do drugiej. Zaraz na wstępie spostrzegł Patryk w głębi oszklonego przedsionka, gdzie zwykle zbierali się żołnierze, starego Symeona, z owiniętą szalem aż po nos szyją, w wielkich żółtych okularach, palącego fajkę i siedzącego na tym samym krześle, co zwykle.

Mateczka Koralia znajdowała się na trzecim piętrze, w jednej z sal swego oddziału; siedziała u wezłowania chorego, trzymając jego rękę w swoich dłoniach. Pacjent spał.

Mateczka Koralia wydawała się teraz Patrykowi bardzo zmęczona.

Oczy jej, ciemno podkrążone, twarz bledsza niż zwykle, były dowodem tego znużenia.

Biedna moja mateczko - myślał sobie Belval. - Te łotry gotowe cię zamęczyć.

Przypominając sobie teraz wypadki ubiegłej nocy, rozumiał, dlaczego Koralia tak ukrywała swoją egzystencję i starała się przynajmniej dla tego małego koła w szpitalu być tylko siostrą miłosierdzia, znaną jedynie z imienia. Niechciała ujawniać nazwiska męża i ukrywała miejsce zamieszkania.

Przeszkody, które jej wola i uczciwość postawiły między nimi, tak dobrze chroniły ją, że Patryk nie śmiał nawet zbliżyć się do niej. Stał, jak wryty, na progu drzwi i niewidziany przez nią patrzył na młodą kobietę.

- Ależ przecież... przecież - mówił do siebie - nie będę jej posyłał

karty wizytowej. - Postanowił właśnie wejść, kiedy jakaś kobieta, która idąc po schodach głośno rozprawiała, stanęła tuż obok i powiedziała:

- Gdzie jest pani Koralia?... Trzeba, żeby natychmiast przyszła...

Symeonie...

Stary Symeon, który wszedł równocześnie z nią, wskazał na Koralie w głębi sali i kobieta szybko podbiegła ku niej. Szepnęła kilka słów, które, jak się zdawało, poruszyły Koralie, bo podskoczyła ku drzwiom i wyminąwszy Patryka szybko zbiegła ze schodów, a za nią Symeon z ową kobietą.

- Mam auto, proszę pani - mówiła zadyszana. - Złapałam je, na szczęście, wychodząc z domu, i zatrzymałam. Śpieszmy się.

Komisarz policj i polecił mi...

Patryk również zszedł za nimi; nie słyszał więcej, lecz te ostatnie wyrazy zdecydowały. Schwyciwszy po drodze Ya-Bona, skoczył z nim do znajdującego się opodal samochodu, nakazując szoferowi, by podążał w ślad auta Koralii.

- Znowu, Ya-Bon. Znowu wypadki zaczynają się toczyć - mówił

kapitan. - Ta kobieta, z pewnością służąca Essaresów, wysłana z rozkazem policji, by przyprowadzić panią. A więc denuncjacja pułkownika wydaje owoce. Rewizje domowe, śledztwo, co za przykrości dla mateczki Koralii. A ty mi tu chcesz doradzać dyskrecję?

Wyobrażasz sobie może, że ja w takiej chwili pozostawię ją samą? Co za nędzna z ciebie natura, mój ty biedny Ya-Bonie.

Wpadła mu nagle myśl i kapitan zawołał:

- *Saperlot!* Byleby tylko ten gałgan Essares nie dał się złapać! To by ci dopiero była katastrofa! Jakoś zanadto był pewny siebie.

Prawdopodobnie spóźnił się... - Przez całą drogę myśl ta nie dawała kapitanowi Belwalowi spokoju i rozgrzeszyła go z wszelkiego rodzaju skrupułów. W końcu doszedł do następującego go stanowczego wniosku: tylko aresztowanie Essaresa mogło wywołać takie nagłe odejście Koralii, wezwanej przez przerażoną służącą. W takich warunkach jeszcze miałby się wahać, kiedy jego zeznania mogły wiele wyjaśnić, tym bardziej że stosownie je podając, mógł służyć interesom Koralii.

Obydwa pojazdy zatrzymały się prawie równocześnie przed pałacykiem Essaresa, gdzie stało jeszcze jedno auto.

Koralia wysiadła i zniknęła w głównej bramie. Za nią podążyli pokojowa i Symeon.

- Chodźmy - rzekł kapitan do Senegalczyka.

Brama była na wpół otwarta i Patryk wszedł. W dużym westybulu na straży stało dwóch agentów policji.

Patryk, salutując, przeszedł mimo nich, jak człowiek należący do rodziny i to tak ważny, że bez niego nic by się obejść nie mogło.

Odgłos własnych kroków w korytarzu przypomniawszy mu ucieczkę Bournefa i jego współników. Był na dobrej drodze. Zresztą na lewo były otwarte drzwi do salonu, przez które wyniesiono zwłoki

pułkownika.

Pokój ten sąsiadował z biblioteką i z tej strony dochodziły odgłosy rozmowy. Patryk przeszedł salon.

W tej chwili usłyszał Koralie, która wykrzyknęła przerażonym głosem:

- Ach, mój Boże, mój Boże, czy to możliwe? Dwóch innych komisarzy zagroziło Patrykowi drogę.
- Jestem krewnym pani Essares, jedynym krewnym.
- Mamy rozkaz, panie kapitanie...
- Ależ wiem o tym, do kroćset: nie wpuszczać nikogo! Ya-Bon, ty zostań tu.

Kapitan przeszedł.

Lecz tu, w wielkiej sali, przejście było zatarasowane grupą sześciu czy siedmiu panów, bez wątpienia komisarzy i urzędników śledczych.

Wszyscy stali pochyleni nad czymś, czego nie mógł dojrzeć. Z grupy tej nagle wyłoniła się Koralia, idąca w jego kierunku na chwiejnych nogach, prująca powietrze rękami. Pokojowa chwyciła ją wpół i pociągnęła na fotel.

- Co się stało? - zapytał Patryk.
- Pani zasłabła - odparła pokojowa, wciąż jeszcze przerażona. -

Ach, i ja tracę głowę.

- Ale dlaczego, co się takiego stało?
- Nasz pan!... proszę pomyśleć! Co za widok! Mną to także wstrząsnęło.
- Jaki widok?

Jeden z panów spośród grupy policjantów zbliżył się.

- Czy pani Essares jest cierpiąca?
- To nic - odparła pokojowa -... lekkie omdlenie... Moja pani zapada na to często.
- Skoro jej będzie lepiej, proszę ją wyprowadzić, jej obecność jest tu niepotrzebna.

Zwracając się do Patryka Belvala, powiedział z gestem zapytania:

- Pan kapitan?...

Patryk udawał, że nie wie, o co idzie.

- Tak, tak, proszę pana, zaraz wyprowadzimy panią Essares. Jej obecność jest tu istotnie niepotrzebna. Tylko przedtem jeszcze zmuszony jestem...

Korzystając z tego, że grupa urzędników rozproszyła się trochę, okrążył ich i zbliżył się do miejsca, które otaczali.

To, co ujrzał, wytłumaczyło mu omdlenie Koralii i wzruszenie pokojowej. Sam uczył, że włosy stają mu na głowie na wi-68

dok o wiele straszniejszy od tego, jaki widział wczorajszego wieczora.

Niedaleko kominka, na podłodze, w tym samym prawie miejscu, gdzie go torturowano wczoraj, leżał Essares-Bey. Miał na sobie to samo ubranie, co i dnia poprzedniego, spodnie z miękkiej wełny kasztanowego koloru i welurową bonżurkę z sutaszami. Twarz i ramiona zakryte miał serwetą, lecz jeden z obecnych, zapewne lekarz sądowy, pochyliwszy się nad nim, odchylił jedną ręką serwetę, drugą wskazał na twarz zmarłego i powiedział przytłumionym głosem:

- Ta twarz, lecz czy można tak nazwać tę bezkształtną masę ciała?

Jedna część zwęglona, a druga jest czymś, co stanowi krwawą masę, złożoną z miazgi ciała, zdruzgotanych kości, ze strzępów skóry, włosów i wypłyniętego oka?...

- Och! - wybełkotał Patryk. - Co za okropność! Zamordowano go i padł głową wprost w płomień kominka. W takim stanie go znaleziono, nieprawdaż?

Ten z komisarzy, który go zagadnął, który zdawał się być główną osobistością, zbliżył się znowu.

- Ale kim pan jest?

- Jestem kapitan Belval, przyjaciel pani Essares, jeden z rannych, których pielęgnowała...

- Dobrze, proszę pana - odparł urzędnik. - Ale pan nie może tu pozostać. Nikomu zresztą nie wolno tu być. Panie komisarzu, proszę opróżnić ten pokój, żeby nikt się w nim nie znajdował, prócz lekarza.

Proszę postawić pod drzwiami straż. Pod żadnym pozorem nie wolno nikogo tu wpuszczać. Stanowczo nie wolno... pod żadnym pretekstem...

- Panie - przerwał kapitan - mam panu do zakomunikowania rzeczy niezwyklej wagi.

- Jak najchętniej ich posłucham, panie kapitanie, lecz później... Pan wybaczy.

VII

Dwunasta minut dwadzieścia trzy

Duży westybul, w którym mieści się klatka schodowa, wiodący z ulicy Raynouard na najwyższą terasę ogrodu, dzieli willę Essaresa na dwie części. Na lewo salon i biblioteka, za nimi znajduje się

boczne skrzydło, oddzielne, z prowadzącymi doń osobnymi schodami. Na prawo sala bilardowa i pokój stołowy, pokoje niższe od tamtych, nad nimi mieściły się pokoje mieszkalne: Essaresa-Beya, od strony ulicy, i Koralii, od strony ogrodu. Dalej znajdowało się skrzydło, przeznaczone dla służby, gdzie sypiał też i stary Symeon.

Do sali bilardowej wprowadzono teraz właśnie kapitana i Senegalczyka, prosząc, by zaczekali. Znajdowali się tam już od

kwadransa, gdy wprowadzono również starego Symeona i pokojową.

Stary sekretarz zdawał się być całkowicie zdruzgotany śmiercią swego pana i tak dalece oszołomiony, że mrucał pod nosem, gestykulując rękami. Patryk jął go wypytywać, na co stary szepnął mu do ucha:

- Jeszcze nie koniec na tym. Trzeba się obawiać rzeczy...

strasznych rzeczy... dziś jeszcze... wkrótce...

- Wkrótce? - zapytał Patryk.

- Tak, tak... - potwierdził stary drżącym głosem, po czym zamilkł.

A pokojowa, zagadnięta przez Patryka, tak odpowiedziała:

- Zaraz dziś rano, panie, pierwsza niespodzianka: zarządca domu, lokaj, stróż, wszyscy trzej zniknęli. Ulotnili się. Dopiero o wpół do siódmej przyszedł do nas pan Symeon z polecenia pana i powiedział, że pan zamknął się w bibliotece i żąda, by nie prze szkodzano mu nawet śniadaniem. Pani nie czuła się jakoś dobrze. Zaniesiono jej czekoladę o dziewiątej. O dziesiątej wyszła z panem Symeonem. Gdym posprzątała pokoje, nie ruszałam się już z kuchni... najpierw wybiła godzina jedenasta, potem południe... z uderzeniem pierwszej słyszę dzwonięcie u bramy... patrzę przez okno... auto z czterema panami. Zaraz poszłam otworzyć.

Był to komisarz policji, który przedstawił się i oznajmił, że chce **70**

się widzieć z panem. Prowadzę go. Pukają do drzwi. Nikt nie odpowiada. Poruszają klamką - drzwi zamknięte na klucz. Wreszcie jeden z nich, który miał wytrych, otworzył. A wtedy... wtedy... zresztą widział pan to... ale nie, to było jeszcze gorzej, bo wtedy jeszcze pan leżał z głową zupełnie prawie wciśniętą między węgle na kominku. O, co za zbroje, nędznicy. Bo on był zamordowany, nieprawdaż?...

Wprawdzie jeden z tych panów, którzy tu byli, zaraz powiedział, że umarł wskutek ataku apopleksji. I dlatego przewrócił się na wznak. Ale ja... Stary Symeon słuchał w milczeniu, jak zawsze owinięty szalem: siwiejąca broda rozczochrana, oczy ukryte za żółtymi okularami. Gdy pokojowa doszła do końcowego punktu w swym opowiadaniu, roześmiał się szyderczo i zbliżywszy się do kapitana rzekł mu na ucho:

- Trzeba obawiać się strasznych... strasznych rzeczy... pani Koralia...

Trzeba, żeby zaraz stąd uciekła, zaraz... jeżeli nie, to grozi jej nieszczęście.

Kapitan drgnął i chciał coś więcej z niego wydobyć, lecz nadaremnie. Po chwili agent policyjny przyszedł po starego i zaprowadził go do biblioteki.

Zeznania jego trwały długo. Po nim zeznawała kucharka i pokojowa. Następnie udano się do Koralii.

O czwartej godzinie zajechał nowy automobil i Patryk zobaczył

dwóch panów, przechodzących przez westybul; wszyscy kłaniali im się bardzo nisko. Belval poznał ministra sprawiedliwości i ministra spraw wewnętrznych. Przez pół godziny naradzali się w bibliotece, po czym odjechali.

Wreszcie o godzinie piątej agent przyszedł po kapitana i poprowadził go na pierwsze piętro. Zapukawszy, wpuścił go i usunął

się. Był to mały buduar, oświetlony ogniem kominka, przy którym siedziały dwie osoby: Koralia, którą Patryk przywitał ukłonem, naprzeciwko niej ów pan, który go badał zaraz na początku, kiedy przyszedł. Ten, zdaje się, kierował śledztwem. Był to człowiek około lat pięćdziesięciu, otyły, o twarzy szerokiej, ociężały w ruchach, ale oczy jego bystre, pełne były inteligencji.

- Zapewne pan sędzia śledczy? - zapytał Patryk.

- Nie - odpowiedział tenże. - Jestem Desmalions, były sędzia śledczy, specjalnie wysłany dla wyjaśnienia tej sprawy. Nie dla 71

wyśledzenia, jak pan mówisz, bo, o ile mi się wydaje, nie ma tu powodu do śledztwa.

- Jak to? - zawołał Patryk zdumiony. - Nie ma powodu do śledztwa?

Popatrzył na Koralię, która nie spuszczała zeń uważnego wzroku.

Potem zwróciła się do Desmalionsa, który mówił dalej:

- Kiedy porozmawiamy, panie kapitanie, nie wątpię, że zgodzimy się pod każdym względem, tak jak z panią.

- Nie wątpię - rzekł Patryk. - Obawiam się tylko, że będzie jeszcze wiele niewyjaśnionych punktów.

- Zapewne, ale wyjaśnimy je, wyjaśnimy razem. Może mi pan zechce powiedzieć, co pan wie.

Patryk rzekł po chwili namysłu:

- Nie będę ukrywał mego zdziwienia. To, co mam panu powiedzieć, jest dość ważne; tymczasem nie widzę tu nikogo, kto by spisywał moje zeznania. Nie będzie to miało charakteru zeznania ani deklaracji, złożonej pod przysięgą, deklaracji, którą bym musiał

potwierdzić podpisem?

- Mój kapitanie, to już będzie zależało od pana, jaką wagę nada pan swoim słowom i jakie znaczenie tkwić w nich będzie. Chwilowo idzie tylko o rozmowę wstępną, o wymianę zapatrywań na bieżące fakty, o których zresztą pani Essares dała mi już informacje, podobne zapewne do tych, jakich pan chce udzielić.

Patryk wstrzymywał się z odpowiedzią. Miał jakieś niejasne wrażenie, że młoda kobieta i urzędnik porozumieli się już ze sobą i że wobec tego on sam przez swoją obecność i przez swoją gorliwość grał

rolę natręta, którego chcą się pozbyć. Postanowił zatem trzymać się w rezerwie aż do czasu, kiedy sędzia odsłoni swoje karty.

- Zapewne - powiedział - pani mogła udzielić panu wystarczających wyjaśnień. A więc zna pan już treść rozmowy, jaką podchwyciłem wczoraj w restauracji.

- Tak.

- I zamierzone porwanie pani Essares!

- Tak.

- I morderstwo?

- Tak.

- Czy pani Essares opowiedziała panu o szantażu, jakiego ofiarą padł pan Essares tej nocy? Szczegóły tortur, o śmierci puł-

kownika, o oddaniu czterech milionów, wreszcie o rozmowie telefonicznej między Essaresem i niejakim Grzegorzem, a w końcu o groźbach, rzucanych pani Essares przez jej męża?

- Tak, panie kapitanie, znam to wszystko. Znam nadto jeszcze i to, co ujawniła moja osobista ankieta.

- W istocie... w istocie - powtórzył Patryk - widzę, że moje zeznanie jest bezużyteczne i że pan ma wszystkie dane, potrzebne do wysnucia konkluzji.

I nie czekając na odpowiedź, dodał:

- Czy mogę więc zapytać, do jakiej konkluzji pan doszedł?

- Mój Boże, kapitanie, konkluzje moje nie są jeszcze pewne.

Chwilowo jednak, póki nie otrzymam dowodu przeciwnego, trzymam się tego, co pisze pan Essares w liście do żony, pisanym dziś koło południa. List ten znaleźliśmy dziś na biurku, jest niedokończony. Pani Essares prosiła mnie, bym go przeczytał i w razie potrzeby zakomunikował panu ośnowę. Oto, jak brzmi jego tekst: *Dziś, 4/4, w południe.*

Koralio!

Uczyliś mi wczoraj zarzut niesłuszny, przypisując odjazdowi memu przyczyny hańbiące. Ale i ja nie miałem racji, nie broniąc się dostatecznie przed twoim oskarżeniem. Jedynym powodem mego wyjazdu jest ta nienawiść, która mnie otacza i którego to okrucieństwa niepojętego byłeś świadkiem. Wobec takiego rodzaju wrogów, którzy pragną ograbić mnie ze wszystkiego, co posiadam, jedynym ratunkiem jest ucieczka. Odjeżdżam więc, ale przypominam ci, Koralio, moje absolutne żądanie. Na pierwszy dany znak musisz przybyć do mnie.

Jeżeli nie opuścisz Paryża, nic nie zdoła cię uchronić przed moim strasznym gniewem, nic -nawet moja śmierć. Wydałem naprawdę nawet i na tę ewentualność dyspozycje... na wypadek gdyby...

- W tym miejscu list urywa się - powiedział Desmalions, oddając pismo Koralii. - I mamy pewne poszlaki, że śmierć pana Essaresa nastąpiła bezpośrednio po napisaniu tych słów. Mianowicie pan Essares, padając na ziemię, zrzucił mały zegarek znajdujący się na biurku, a zegarek ten wskazywał godzinę dwunastą minut dwadzieścia trzy.

Przypuszczam, że kiedy zrobiło mu się słabo, chciał wstać, lecz zabrakło mu sił. Na nieszczęście kominek był w pobliżu, pełen żarzących się węgli. Padając, pan Essa-

73
res uderzył głową o żelazną kratę kominka; rana była tak głęboka i ciężka, jak to stwierdził lekarz, że omdlenie nastąpiło natychmiast.

Wtedy ogień bliskiego kominka dokonał reszty... przekonał się pan sam, w jaki sposób.

Patryk ze zdumieniem słuchał tego nieoczekiwanego objaśnienia.

- A więc - rzekł półgłosem - wedle pana, śmierć Essaresa nastąpiła przypadkowo? Nie było tu morderstwa?

- Morderstwa? Ależ gdzie tam, nie ma żadnych poszlak, które by pozwoliły na przyjęcie podobnej hipotezy.

- A jednak...

- Panie kapitanie, pan jesteś ofiarą pewnego skojarzenia myśli, które pana prześladują, zresztą zupełnie usprawiedliwionego. Od wczoraj jest pan świadkiem całego szeregu tragicznych wypadków i wyobraźnia pana nadaje im oczywiście rozwiązanie najtragiczniejsze, jakie być może: morderstwo. Jednakże... niech pan rozważy... dlaczego miałyby mieć miejsce morderstwo i któż by je miał wykonać? Bournef i jego towarzysze? Byli wypchani banknotami, a gdyby nawet, przypuśćmy, ów nieznajomy imieniem Grzegorz odebrał im był te miliony, czyby je otrzymali z powrotem, mordując Essaresa? A dalej, którędy mogli tu wejść? Jak wyjść niepostrzeżenie? Nie, wybaczn pan, kapitanie, ale pan Essares jest ofiarą nieszczęśliwego wypadku. Fakty pod tym względem są niezaprzeczalne i to jest także opinia lekarza sądowego, który w tym sensie ma złożyć raport.

Patryk Belval zwrócił się do Koralii:

- Czy i pani jest tego samego zdania? Koralia zarumieniła się lekko i odparła:

- Tak.

- A czy i stary Symeon myśli tak samo?

- Och! Stary Symeon - odrzekł urzędnik. - Ten gada od rzeczy.

Podług niego można by mniemać, że wszystko zacznie się na nowo, że pani Essares zagraża niebezpieczeństwo, że powinna uciekać jak najrychlej. Oto co zdołałem wydostać od niego. Zawiódł mnie jednak do jakiejś starej bramy w ogrodzie, wychodzącej w uliczkę prostopadłą do ulicy Raynouard i tam pokazał mi najpierw zabitego psa, a następnie między tą bramą a terasą biblioteki ślady kroków. Lecz ślady te pan zna chyba, panie kapitanie. Są to ślady pańskich kroków i pańskiego Senegalczyka. A

co do uduszonego psa, myślę, że można to zawdzięczać pańskiemu Senegalczykowi? Czy nie tak?

Patryk zaczynał pojmywać. Tłumaczenie urzędnika, jego przemilczenie niektórych faktów, zgodność z Koralią, wszystko to powoli nabierało właściwego znaczenia w jego umyśle. Wypowiedział

dobitnie:

- A więc zbrodni nie było?

- Nie.

- I śledztwa też nie będzie?

- Nie.

- A więc żadnego rozgłosu w tej sprawie? Milczenie, zapomnienie?

- Właśnie to.

Kapitan Belval z przyzwyczajenia zaczął przechadzać się po pokoju wzdłuż i wszerz. Przypomniał sobie słowa Essaresa:

„Nie aresztują mnie..., a jeśli aresztują, to i uwolnią, sprawa będzie zatuszowana...”

Essares dobrze przewidział. Sprawiedliwość milczała. W jaki sposób łatwo zniewolono Koralię, by stała się współniczką milczenia?

Ale takie postępowanie oburzyło kapitana do żywego. Podejrzewał przy tym Desmalionsa, że użył względem Koralii jakiegoś podstępu i tym ją zmusił do poświęcenia własnych interesów dla obcych względów. W

tym też celu starał się przede wszystkim pozbyć jego, Patryka.

Oho, ho! Ten pan - rzekł do siebie Patryk - zaczyna mnie denerwować całą swoją flegmą i ironią. Zdaje się, jakby chciał sobie ze mnie kpić za wszelką cenę.

Lecz kapitan pohamował się i przybierając ton pojednawczy przysiadł się do urzędnika.

- Wybacz pan moją natarczywość - rzekł - natarczywość, która wydać się może niedyskretna. Ale postępowanie moje tłumaczy się nie tylko sympatią i uczuciem, jakie żywię dla pani Essares, a które ona - w tej chwili, kiedy jest osamotniona więcej niż kiedykolwiek - zdaje się odpychać jeszcze silniej niż dawniej. Postępowanie moje tłumaczą pewne tajemnicze więzy, które łączą nas zresztą od niepamiętnych czasów, tak że początków ich niepodobna odszukać. Czy pani Essares powiadomiła pana o tych szczegółach, tak według mnie pełnych znaczenia, a których niepodobna oddzielić od wypadków zajmujących nas obecnie?

Desmalions spojrział na Koralię, ta dała znak głową, po czym odpowiedział:

-

Tak, pani Essares mówiła mi o tym, a nawet...

Zawahał się na chwilę i znowu wzrokiem naradził się z młodą kobietą, która spiekła raka i na razie straciła pewność siebie. Desmalions jednak czekał odpowiedzi: Wreszcie Koralia oświadczyła cichym głosem:

- Kapitan Belval powinien dowiedzieć się o tym, cośmy odkryli w tej sprawie. Prawda ta należy mi się tak samo, jak mnie; nie mam prawa ukrywać jej przednim. Proszę, niech pan powie.

Desmalions odezwał się:

- Czy istotnie trzeba tu coś mówić? Myślę, że wystarczy, gdy pokażę kapitanowi album z fotografiami, jaki znalazłem. Proszę, panie kapitanie.

Mówiąc to podał Belvalowi mały album, oprawiony w szare płótno i ściągnięty elastyczną taśmą gumową.

Patryk wziął go do ręki z pewną obawą. Ale to, co ujrzał otworzywszy album, było tak nieoczekiwane, że wykrzyknął zdumiony:

- Czy to możliwe?

Na pierwszej stronie znajdowały się dwie fotografie. Jedna, na prawo, przedstawiała małego chłopca w mundurku angielskiej szkoły.

Druga, na lewo - małą dziewczynkę. Dwa podpisy widniały pod nimi: na prawo „Patryk Belval, liczący lat 10”. Na lewo: „Koralia, licząca lat 3”. Patryk, wzruszony ponad wszelką miarę, odwrócił kartkę. Na drugiej stronie znów ujrzał siebie w piętnastym roku życia, a Koralię w ósmym. Dalej widział siebie, liczącego lat 19, lat 23 i 28. Koralia towarzyszyła mu wszędzie, zrazu jako dziewczynka, potem młoda panna, a wreszcie kobieta.

- Czy to możliwe? - szepnął. - Jakże to możliwe? Moje fotografie, których zupełnie nie znam, widocznie amatorskie zdjęcia, które towarzyszą mi przez życie. Oto tu moje zdjęcie jako żołnierza, kiedy odbywałem służbę wojskową... Tu oto, na koniu... Któż mógł polecić wykonanie tych fotografii i kto je tak razem poukładał z fotografiami pani?

Nie spuszczał z oczu Koralii, która unikała jego wzroku i opuściła głowę, jakby intymność jestestw, ujawniona na tych stronach, wzruszyła ją do głębi.

Patryk powtórzył:

- Kto je jednak połączył? Czy pani wie, kto, i czy pani wie, skąd pochodzi album?

Pan Desmalions objaśnił:

- Doktor, zdejmując odzienie z Essaresa, znalazł album przy nim.

Pod wełnianą koszulą, na gołym ciele miał Essares tzw. ślepą kieszeń, w której doktor namacał okładki albumu.

Tym razem oczy Patryka i Korali i spotkały się. Myśl, że Essares zbierał ich fotografie, i to ich obojga, od dwudziestu pięciu lat i że je przechowywał w owej ślepej kieszeni, że żył z nimi i umarł z nimi - ta myśl tak bardzo poruszyła kapitana, że nie starał się nawet dowiadywać o osobliwe znaczenie tego faktu.

- Czy pan jest zupełnie pewny tego, co pan mówi? - zapytał Patryk.

- Byłem tam na miejscu - rzekł Desmalions. - Byłem świadkiem tego odkrycia. Zresztą i ja także zrobiłem inne, które potwierdza i uzupełnia to w sposób rzeczywiście zadziwiający. Odkryciem tym jest medalion z ametystu, oprawny w złoty filigran.

- Co pan mówi? - wykrzyknął kapitan Belval. - Ametystowy medalion?

- Zobacz pan sam - rzekł urzędnik, porozumiewając się raz jeszcze wzrokiem z Koralią.

Pan Desmalions podał kapitanowi kamień ametystowy wielkości orzecha, o wiele większy niż ten, którego dwie połowy rozłupane posiadali: Patryk w breloku i Koralia w różańcu. I ten kamień ujęty był

w złotą oprawę filigranową, której wykonanie najzupełniej odpowiadało oprawie ziarenek różańca i breloka. Oprawa opatrzona była zameczkiem.

- Czy

mogę otworzyć? - zapytał.

Koralia zezwoliła skinieniem głowy.

Otworzył.

We wnętrzu medalionu, który dzieliła ruchoma ścianka kryształowa, znajdowały się dwie fotografie w bardzo drobnym formacie: podobizna Korali i w stroju pielęgniarki, a po drugiej stronie podobizna Patryka jako inwalidy, w mundurze oficerskim.

Patryk bardzo zbladł i rozważał coś przez chwilę, po czym rzekł:

- A ten medalion skąd się wziął? Czy to pan znalazł?

- Tak, panie kapitanie.

- A gdzie?

Urzędnik zdawał się wahać przez chwilę. Patryk odniósł wrażenie, że i Koralia, jak wnosił z jej zachowania, nie знаła jeszcze tego szczegółu.

Wreszcie Desmalions odparł:

- Znalazłem go w ręku zmarłego.

- W ręku zmarłego? W rękę pana Essaresa?

Patryk zerwał się, jakby go ktoś nagle uderzył, i pochylił się nad urzędnikiem, żądny odpowiedzi, którą chciał jeszcze raz usłyszeć, zanim uwierzy, że odpowiada prawdzie.

- Tak, w jego rękę. Musiałem przemocą otwierać mu palce, by wydostać go z nich.

Kapitan powstał i uderzając pięścią w stół zawołał:

- Więc dobrze, panie, teraz powiem panu jeszcze jedną rzecz, którą chowałem sobie jako ostatni argument, aby panu dowieść, że moja pomoc nie jest tu bezużyteczna. A rzecz ta nabiera teraz, po tym, co usłyszałem, jeszcze większego znaczenia.

Otóż dziś rano wezwano mnie do telefonu. Zaledwie podjąłem słuchawkę, kiedy ten ktoś, bardzo zaniepokojony, stał się przedmiotem zbrodniczej napaści, której odgłos słyszałem pośród walki, wrzawy i jęków agonii - zdanie, które ten nieszczęśliwy podać starał się jako ostatnie zlecenie: „Patryk... Koralia... medalion z ametystu... mam go na sobie... medalion... ach, za późno... tak bardzo chciałem... Patryk...

Koralia..."

Oto, co usłyszałem, panie. Te dwa fakty niezbite: dziś rano o siódmej minut dziewiętnaście został zamordowany człowiek, mający na sobie medalion z ametystu! To jest fakt nie podlegający dyskusji. Drugi: w kilka godzin później, o dwunastej minut dwadzieścia trzy, znaleziono ten medalion w ręce innego człowieka. I to jest drugi fakt niezbity.

Proszę połączyć ze sobą oba te fakty. Przekona się pan wtedy, że pierwsza zbrodnia, której odgłosy słyszałem, była popełniona w tym samym domu, w tej samej bibliotece, gdzie od wczoraj rozgrywają się dramatyczne sceny, których jesteśmy świadkami.

Rewelacja ta, w której w rzeczy samej tkwiło nowe oskarżenie przeciw Essares-Beyowi, zdawała się wywierać na panu Desmalionsie wielkie wrażenie. Patryk rzucił ten argument z taką siłą

przekonania i logiką w rozumowaniu, że nie chcąc być posądzonym o złą wolę, trudno było mu się oprzeć.

Koralia odwróciła się trochę, tak że Patryk nie mógł dojrzeć jej twarzy, ale odczuwał jej zmieszanie i wzburzenie wobec takiej hańby i takiego wstydu.

Pan Desmalions nadal wątpił:

- Dwa fakty niezbite, powiada pan, kapitanie? Co do pierwszego, muszę zaznaczyć, że nie znaleźliśmy trupa tego człowieka, którego zamordowano o siódmej minut dziewiętnaście rano...

- Ale może jeszcze się znajdzie.

- Dobrze. A teraz druga sprawa: Co się tyczy ametystowego medalionu, znalezionego w ręku Essares-Beya, to kto nam powie, że Essares-Bey odebrał go temu człowiekowi? Może znalazł go gdzie indziej? Ostatecznie, nie wiemy nawet, czy o tej godzinie był w domu, a tym mniej, czy właśnie w tej bibliotece.

- Ja wiem, że był.

- Jakim sposobem?

- Telefonowałem do niego w kilka minut potem i on mi odpowiedział. Więcej: oto, żeby zapobiec wszelkim przypuszczeniom, mówił, że już przedtem do mnie telefonował, ale przerwano mu połączenie.

Desmalions zamyślił się przez chwilę i odparł:

- A czy wychodził dziś rano? Niech na to odpowie pani Essares. Nie odwracając się, widocznie pragnąc uniknąć wzroku Patryka, Koralia oświadczyła:

- Nie sędzę, aby dzisiaj wychodził. Ubranie, które miał na sobie w chwili śmierci, nosił zwykle tylko po domu.

- A czy pani go widziała od wczoraj wieczora?

- Pukał dziś rano trzykrotnie do moich drzwi, lecz nie otworzyłam mu. Około jedenastej wyszłam z domu sama; słyszałam, jak zawołał

starego Symeona i nakazał mu odprowadzić mnie. Wkrótce potem Symeon dopędził mnie na ulicy. Oto wszystko, co wiem.

Nastąpiło długie milczenie.

Każdy z obecnych myślał nad przebiegiem tej dziwacznej historii.

Wreszcie pan Desmalions, nabrawszy widocznie przekonania, że kapitan Belval nie jest snadź człowiekiem, którego łatwo można się pozbyć, a który, zanim zechce wejść w układy, poznać chce

ostatnie słowo przeciwnika, rzekł:

79

- Pójdziemy prosto do celu, mój kapitanie. Pańskie oskarżenie wydaje mi się przypuszczeniem bardzo niejasnym. Ile w nim słuszności?

A jeżeli zastosuję się do niego, jak pan zamyśla postąpić? Oto dwa pytania bardzo wyraźne. Czy zechciałby pan na nie odpowiedzieć?

- Tak samo wyraźnie, jak pan je postawiłeś.

I zbliżywszy się do urzędnika, Belval rzekł:

- Gotów jestem do walki, proszę pana, do ataku. Tak, do ataku, o ile okaże się potrzebny. Człowiek, który mnie kiedyś znał i znał panią Essares, gdy była jeszcze dzieckiem, człowiek, który zbierał nasze fotografie przez całe życie, miał jakieś tajemnicze powody do opiekowania się nami, skoro przesłał mi klucz do ogrodu. I pewnie miał

zamiar zbliżyć się do nas dla motywów, które by nam pewnie wyjawiał -

człowiek ten został zamordowany w chwili, kiedy chciał swoje plany wprowadzić w czyn. Otóż wszystko to dowodzi, że zamordował go Essares. Gotów jestem zgłosić moje oskarżenie w sądzie, nie dbając o konsekwencje

mego kroku... I niech mi pan wierzy, że moja skarga *nie* będzie zatuszowana! Znajdzie się zawsze sposób rozgłoszenia jej... choćbym miał prawdę wykrzyczeć publicznie na całe gardło...

Pan Desmalions roześmiał się:

- W gorącej wodzie pan kąpany, panie kapitanie.

- Postępuję tylko zgodnie z moim sumieniem, proszę pana, i pewny jestem, że pani Essares wybaczy mi to. Czynię to dla jej dobra, ona wie o tym i wie także, że będzie zgubiona, jeżeli cała ta sprawa zostanie zatuszowana i jeśli sprawiedliwość nie stanie po jej stronie. Wie o tym, że jej nieprzyjaciele są nieprzejednani. Nie uchylą się przed niczym, by ją usunąć, ją, która jest im zawadą. Co jednak w tym najokropniejsze, to to, że cel ich jest niedościgły nawet dla najbardziej bystrych oczu. Z

wrogami tymi prowadzimy najstraszniejszą grę, nie znając nawet jej stawki. Tylko sąd może odkryć, o co im idzie.

Pan Desmalions milczał przez kilka chwil, potem kładąc rękę na ramieniu kapitana rzekł łagodnie:

- A jeżeli sąd zna tę stawkę...

Patryk spojrział na niego ze zdziwieniem:

- Jak to, to pan ją zna?

- Być może.

- I mógłby mi pan to powiedzieć?

- No, skoro mnie pan zmusza do tego!

- A więc, o cóż chodzi?

- O, o nic wielkiego! O drobnostkę.

- A więc o cóż wreszcie?

- O miliard.

- O miliard?

- Tak, tylko o tyle. Miliard, z którego niestety dwie trzecie, a może i trzy czwarte wywieziono z Francji jeszcze przed wojną, lecz dwieście pięćdziesiąt milionów, czy trzysta, które jeszcze zostały, ma dziś wartość większą niż miliard, a to z tej prostej przyczyny, że...

- Że co?

- Że są w złocie.

VIII

Dzieło Essares-Beya

Tym razem kapitan Belval zdawał się trochę ustępować. Przeczuwał powody, jakie zmuszały policję do prowadzenia walki z wielką ostrożnością.

- Czy pan jest tego pewny?- zapytał.

- Tak, panie kapitanie. Otóż od dwu lat badam tę sprawę i poszukiwania moje dowiodły, że z Francji wywożono złoto w sposób zupełnie nie wyjaśniony. Przyznaję jednak, że dopiero po rozmowie z panią Essares zrozumiałem, gdzie tkwił początek tego odpływu złota i kto był duszą tej potężnej organizacji, która obejmując całą Francję, nawet w najmniejszych jej zakątkach, wyławiała z niej ten drogocenny kruszec.

- Więc pani Essares wiedziała...

- Nie, ale podejrzewała niejedno. I tej nocy, zanim pan przybył, słyszała jeszcze o innych sprawach, o których mówił Essares i jego wspólnicy. Powtarzając mi to wszystko, częściowo pozwoliła mi na rozwiązanie zagadki. Chciałem rozwiązać ją sam do końca, bez pańskiej pomocy, co było zresztą nakazem ministra spraw wewnętrznych i życzeniem pani Essares, lecz zapał pana zwyciężył moje wahanie, a ponieważ nie ma sposobu wykręcić się przed panem, mój kapitanie -

trzeba iść prostą drogą, tym bardziej że współpracownik tego rodzaju co pan nie jest do pogardzenia.

- A więc? - rzekł Patryk, chcąc się dowiedzieć czegoś więcej.

- A więc głową spisku był Essares-Bey, dyrektor banku francusko-wschodniego z siedzibą przy ulicy La Fayette. Essares-Bey, z pozoru Egipcjanin, w rzeczywistości Turek, mający w Paryżu, zwłaszcza w świecie finansowym wielkie wpływy, naturalizowany Anglik, zachował

jednakże tajne związki z dawniejszymi władcami Egiptu. Essares-Bey otrzymał zlecenie od jednego z obcych rządów - od którego, nie mogę jeszcze dokładnie zbadać - pozbawienia Francji, tak, nie ma na to innego słowa, wyssania, wyssania z niej tyle złota, ile tylko wydobyć zdoła.

Wedle pewnych dokumentów zdążył on w ciągu dwóch lat wysłać stąd aż 700 milionów. Ostatnia przesyłka była przygoto-82

wana, kiedy wybuchła wojna. Rozumie pan, że sum tak wielkich nie można było odtąd tak łatwo przemycać, jak w czasach pokoju. Na granicach rewidują wagony. W portach przeszukiwane są wszystkie okręty. Wobec tego ekspedycja nie mogła dojść do skutku. Tak więc dwieście czy trzysta milionów pozostało we Francji. Upłynęło 10

miesiący. Zaszło to, co było nieuniknione. Oto Essares-Bey, mając pod ręką ten tak bajecznie wielki skarb, przywiązał się do niego, zaczął go powoli uważać za swoją własność, a na koniec postanowił go sobie po prostu przywłaszczyć. Ale miał współników...

- Tych, których widziałem tej nocy?

- Tak, z jakie pół tuzina podejrzanych Lewantyńców o niepewnej narodowości, fałszywych Bułgarów, trochę lepiej lub gorzej poprzebieranych agentów osobistych malutkich państw i dworów niemieckich na Bałkanach. Wszyscy oni reprezentowali przedtem na prowincji filie banku Essaresa. Utrzymywali na rachunek Essaresa setki podagentów, którzy obrabiali wsie i miasteczka, obchodzili jarmarki, pili z chłopami i ofiarowali im banknoty i papiery wartościowe w zamian za złoto francuskie. Z wybuchem wojny wszystko to zamknęło swoje kantory i otoczyło Essaresa, który ze swej strony zamknął też bank przy ulicy La Fayette.

- A wtedy?

- Wtedy zaszły różne wypadki, których nie znamy. Zapewne współnicy dowiedzieli się od swego rządu, że ostatnia wysyłka złota nie doszła do skutku i oczywiście odgadli zamiary Essares-Beya, pewni, że chce zatrzymać dla siebie owych 300 milionów, zebranych przez całą szajkę. To najzupełniej pewne, że rozpoczęła się między dawnymi sprzymierzeńcami zażarta walka: tamci żądali należnej im części łupu, Essares zaś postanowił nic z niego nie stracić, twierdząc, że cały zapas złota został wysłany za granice Francji. W dniu wczorajszym walka osiągnęła punkt szczytowy. Po południu współnicy starali się porwać panią Essares, by mieć w niej zakładniczkę i posługiwać się nią w walce przeciw mężowi. Wieczorem... wieczorem był pan świadkiem ostatecznego epizodu.

- Ale dlaczego właśnie wczoraj wieczorem?

- Z tego powodu wczoraj, gdyż współnicy mieli wszelkie dane po temu, że miliony mogły wczoraj

wieczorem zniknąć.

Mimo że nie znali środków, jakimi się posługiwał Essares-Bey przy poprzednich transportach złota, domyślali się, że każdy z nich, a raczej wysłanie każdego z owych transportów poprzedzane było pewnym sygnałem.

- Tak: deszcz iskier, nieprawdaż?

- Właśnie. Przy końcu ogrodu znajdują się stare oranżerie z wysokim kominem do ogrzewania. Komin ten, zanieczyszczony, pełen sadzy i odpadków, wydaje z siebie, kiedy się pod nim zapali, płomienie i iskry z dala widoczne, które służyły jako znak. Essares-Bey wczoraj sam zapalił pod tym kominem. Przerażeni wspólnicy, zdecydowani na wszystko, przybyli tu natychmiast.

- I plan Essaresa został udaremniony?

- Tak. Ale i plan wspólników się nie udał. Pułkownik nie żyje.

Reszta nie otrzymała nic więcej nad kilka paczek banknotów, które im zapewne już odebrano. Walka nie dobiegła jeszcze końca i tragiczne epizody towarzyszą jej aż do ostatka. Według zapewnień pana, człowiek jakiś, który znał pana i starał się porozumieć z panem, został

zamordowany o godzinie siódmej dziewiętnaście i to prawdopodobnie przez Essaresa, który obawiał się jego interwencji. W kilka zaś godzin później, o godzinie dwunastej minut dwadzieścia trzy zostaje zamordowany także Essares i to zapewne przez jednego ze wspólników.

Oto cała sprawa, panie kapitanie. A teraz, kiedy pan wie to samo, co i ja, czy nie sądzi pan, że śledztwo w tej sprawie pozostać powinno tajne i że nie powinno odbywać się wedle utartych reguł i paragrafów?

Po chwili namysłu Patryk odpowiedział:

- Tak. Słusznie, i ja tak myślę.

- No, naturalnie - wykrzyknął Desmalions. - Oprócz tego, że zupełnie niepotrzebne jest rozgłaszanie tej historii o wywiezionym złocie i o tym złocie, którego nie można już odnaleźć, a które zaalarmowałoby imaginację ogółu - może pan sobie też wyobrazić, że operacja, polegająca na wyławianiu w ciągu dwu lat takiej masy złota nie mogła się odbyć bez różnych pożałowania godnych kompromitacji.

Pewien jestem, że moje osobiste dochodzenie wykryje ze strony pewnych banków - mniej lub bardziej poważnych instytucji kredytowych - cały szereg malwersacji i przekupstw, na które nie chcę na razie kłaść nacisku, a których publiczne rozgłoszenie byłoby obecnie klęską. A zatem na razie milczenie.

- Ale czy milczenie jest tu możliwe?
- Dlaczegożby nie?
- No, bo mamy wszak kilka trupów, choćby takiego pułkownika Fakhi.
- Samobójstwo.
- A ten Mustafa, którego znajdziecie albo już znaleźliście w ogrodzie Galliera?
- Tajemnicze wydarzenie.
- A Essares?
- Nieszczęśliwy wypadek.
- W ten sposób wszystkie objawy działania jednej i tej samej zbrodniczej ręki pozostaną odosobnionymi, odrębnymi wypadkami?
- Na pozór nic nie wskazuje na istniejący między nimi związek.
- Opinia publiczna inaczej może będzie o tym myśleć.
- Opinia publiczna myśleć będzie tak, jak my zechcemy i co będziemy uważali za stosowne, by myślała. Żyjemy w czasie wojny.
- Prasa się wygada.
- Prasa będzie milczała. Mamy przecież cenzurę.
- A jeżeli jakiś nowy wypadek, nowa zbrodnia?
- Nowa zbrodnia? W jakim celu? Sprawa jest zakończona, przynajmniej jej część aktualna i dramatyczna. Główni aktorzy już nie żyją. Na morderstwie Essaresa kończy się przedstawienie; kurtyna opadła. A co do reszty współników, Bournefa i innych, oni najdalej za osiem dni umieszczeni będą w obozie. Znajdujemy się wobec pewnej liczby milionów bez właściciela, o które nikt nie będzie się śmiał

upominać. Francja ma prawo położyć rękę na nich. Ja sam będę się starał o to usilnie.

Patryk Belval potrząsnął głową.

- Pozostaje jeszcze pani Essares, proszę pana. Nie powinniśmy pominąć i zapomnieć tak wyraźnych pogroźek jej męża.

- On już nie żyje.

- Mimo to jednak jest jeszcze groźny. Stary Symeon mówił to panu w sposób znamienny.

- To półwariat.

- Dlatego właśnie umysł jego zachowuje spotęgowaną wrażliwość na niebezpieczeństwo... Nie, proszę pana, walka nie jest

jeszcze zakończona. Być może nawet, że teraz zaczęła się dopiero na dobre.

- Ależ panie kapitanie, czy nie ma tutaj nas? Niech pan zajmuje się panią Essares i chroni wszystkimi sposobami, jakie pan posiada, i tymi, jakie oddam panu do dyspozycji. Współpraca nasza będzie teraz stała, ponieważ moje zadanie związane jest z tym. Jeżeli wyniknie walka, której się pan spodziewa, a którą ja podaję w wątpliwość, to będzie się odbywała w pobliżu tego domu i ogrodu.

- Na jakiej podstawie pan tak przypuszcza?

- Na podstawie pewnych słów, usłyszanych wczoraj przez panią Essares. Pułkownik Fakhi powtarzał kilkakrotnie: „Złoto znajduje się tutaj, Essaresie”, potem zaś dodał: „Od szeregu lat co tydzień automobil mój przywoził z twojego banku przy ulicy La Fayette wszystko, co się w nim znajdowało. Symeon, szofer i ty przesuwaliście worki przez ostatnie okienko w suterrenach na lewo. Jak i gdzie je potem chowałeś i dokąd ekspediowałeś, tego nie wiem. Ale to, co się tu znajdowało w chwili wybuchu wojny, tych tysiąc siedemset czy osiemset worków, których tam oczekiwano - stąd nie wyszło. Spodziewałem się tego i dlatego dniem i nocą czuwaliśmy... Złoto jest tutaj! ”

- I nie ma pan żadnej poszlaki?

- Żadnej. Chyba tylko to, ale do tego nie przywiązuję żadnej wagi...

Urzędnik wydobyl z kieszeni pomięty kawałek papieru, rozprostował go i mówił dalej:

- Oprócz medalionu znajdował się w ręce Essaresa jeszcze ten kawałek papieru, poplamiony atramentem, na którym można było jeszcze jednak rozróżnić kilka niewyraźnie i pośpiesznie napisanych słów, z których bardziej czytelne są tylko te: „Złoty trójkąt”. Co to znaczy złoty trójkąt? Jaki ma związek z naszą sprawą? Wyobrażam sobie, że ten świstek papieru został wyrwany przez Essaresa temu człowiekowi, zmarłemu dziś rano o godzinie siódmej dziewiętnaście, podczas gdy on sam został zamordowany o godzinie dwunastej dwadzieścia w południe, kiedy zajęty był oglądaniem tych przedmiotów.

- Tak, z pewnością wszystko tak się odbyło. Widzi pan jednak -

dokończył Patryk - jak wszystkie te szczegóły łączą się jedne z drugimi.

Niech mi pan wierzy, że wszystko to stanowi jedną i tę samą sprawę.

- Niech i tak będzie- rzekł Desmalions podnosząc się. -Jedna sprawa w dwóch częściach... Niech pan dochodzi tej drugiej, panie kapitanie. Przyznaję, że odkrycie tych rozlicznych fotografii, które was razem przedstawiają, tak w albumie, jak i w medalionie, jest czymś dziwnym i niepojętym. To prawdziwy problem, a rozwiązanie go doprowadzi nas w pobliże całej sprawy. Wkrótce się zobaczymy. Do widzenia, panie kapitanie! Jeszcze raz: jestem na pańskie usługi, ja i moi ludzie.

Po tych słowach stary urzędnik uścisnął rękę Patryka... Patryk zatrzymał go jeszcze:

- Skorzystam z tego, mój panie. Ale czy nie lepiej, byśmy już teraz powzięli potrzebne środki ostrożności?

- Już to uczyniliśmy, kapitanie. Wszak cały dom ten zajęty jest przez nas.

- Tak, tak... wiem... mimo to jednak... mam jakieś przeczucie, że nim dzień dzisiejszy dobiegnie końca... proszę sobie przypomnieć te dziwne słowa starego Symeona.

Desmalions począł się śmiać.

- Ależ panie kapitanie, nie należy przesadzać. Chwilowo, jeśli mamy jeszcze wrogów, których zamierzamy zwalczać, to oni sami potrzebują odpoczynku i skupienia. Pomówimy o tym jutro, dobrze, kapitanie?

Uścisnął raz jeszcze rękę Belvala, ukłonił się pani Essares i wyszedł.

Kapitan Belval w pierwszej chwili przez grzeczność zamierzał

uczynić to samo. Zatrzymał się jednak u drzwi i zawrócił. Zastał panią Essares, która zdawała się go nie słyszeć, nieruchomą, z głową pochyloną i zwróconą do niego.

- Koralio - odezwał się do niej.

Nic nie odpowiedziała, więc po raz drugi powiedział: „Koralio” , spodziewając się, że i tym razem nie odpowie, gdyż teraz nagle to milczenie młodej kobiety wydało mu się czymś niezwykle pożądanym.

Nie było już w tym ani niechęci, ani przymusu. Koralia przyjmowała jego obecność jako rzecz naturalną, widziała w nim opiekuna i przyjaciela. Patryk już przestał myśleć o wszystkich gnębiących go zagadkach, o całym tym szeregu zbrodni, jaki zwałił się wokół nich, jak też o grożących im niebezpieczeństwach. Myślał teraz tylko o samotności i cierpieniu tej młodej kobiety.

- Niech pani nie odpowiada mi wcale, niech pani nie mówi ani słowa. To ja będę mówić. Trzeba, abym pani powiedział to, o czym pani nie wie, to jest o powodach, dla których chciała mnie pani trzymać z dala od tego domu i swojej osoby.

Położył rękę na oparciu fotela, w którym siedziała Koralia, przy czym dłoń lekko musnęła welon pielęgniarki.

- Koralio! Pani wyobraża sobie, że hańba, która zawisła nad jej domem, oddała panią ode mnie. Wstydzi się pani tego, że była żoną takiego człowieka, i to czyni ją nieśmiałą i zalęknioną, jakby sama ponosiła winę. Ale dlaczego? Czy sądzi pani, że ja nie domyślam się, jakie między państwem musiało być pożycie, jaka przeszłość, pełna udręki i nienawiści, i że do tego małżeństwa była pani zmuszona nie wiem jaką nikczemną machinacją? Nie, Koralio, o czym innym chcę z panią mówić. Jest jeszcze inna sprawa...

Pochylił się nad nią jeszcze bardziej. Ogień z kominka oświetlał jej uroczy profil, a Patryk, wpatrzony w nią z wzrastającym uczuciem, wykrzyknął, wołając ją dalej po imieniu, pełen troskliwości i szacunku:

- Czy mam mówić, Koralio? Prawda, że nie? Zrozumiałaś mnie i sama teraz siebie zrozumiesz. Ach, czuję, że drżysz cała. Bo tak, tak, tyś od pierwszego dnia pokochała tego diabelnego wisusa, tego inwalidę, mimo wszystkich jego ran i wszystkich zniekształceń. Cicho, nie przecz! Tak, rozumiem ciebie... To trochę razi, że dziś właśnie słyszysz te słowa. Powinienem był może trochę poczekać, lecz po co? Niczego od ciebie nie żądam. Wiem, i to mi wystarcza. Nie będę o tym więcej mówił, dopiero gdy nadejdzie ta nieunikniona chwila, w której sama będziesz zmuszona powiedzieć mi to samo. Do tej chwili będę milczał.

Lecz między nami jest miłość, a to przecież tak słodko, Koralio. Tak słodko wiedzieć, że ty mnie kochasz, Koralio. Tak! A teraz oto płaczesz i jeszcze chciałaś się tego zapierać? Twoje łzy, Koralio, to dowód... Nie myślałem nawet, że kochasz mnie do tego stopnia!

Po bladych policzkach Koralii łzy spływały cicho. On pragnął te łzy scałować, ale sam czuł, że najmniejsza pieśczoła byłaby w takiej chwili nieodpowiednia. Stał więc milcząco i wpatrywał się w nią zapalczywie.

A kiedy się tak jej przypatrywał, nabierał wrażenia, że uwaga młodej kobiety odwraca się od niego, oczy jej zdają się być zajęte **88**

jakimś innym niespodzianym widokiem, i że w tej wielkiej ciszy miłości ona słucha czegoś, czego on nie dosłyszał. Nagle i on usłyszał

to, co jeszcze prawie było niedosłyszalne. Nie był to nawet szmer, lecz raczej uczucie czyjejś obecności, mieszającej się z dalekim zgiełkiem ulicy.

Co się działo?

Patryk nie dostrzegł wcześniej, że mrok zapada coraz bardziej. Nie zauważył także, że pani Essares uchyliła trochę okna buduaru, bo pokój był niewielki i rozgrzany mocno kominek wytwarzał trochę duszną atmosferę. Kapitan dojrzał teraz, że uchylone okno było przedmiotem bacznej uwagi Koralii i że stamtąd prawdopodobnie grozi niebezpieczeństwo.

Patryk chciał rzucić się ku oknu, nie uczynił tego jednak, gdyż za szybą, w cieniu zmierzchu, rozróżnić począł jakąś ludzką postać.

Potem spostrzegł między uchylonymi skrzydłami okna jakiś przedmiot, połyskujący w blasku ognia, przedmiot ten zaś wydał mu się lufą rewolweru.

Jeżeliby podejrzewano choćby przez moment, że mam się na baczności - myślał Patryk - Koralia byłaby stracona.

W istocie młoda kobieta siedziała twarzą do okna i niczym nie było zasłonięta. Patryk rzekł więc głośno i dobitnie:

- Koralio, jest pani zapewne bardzo zmęczona. Trzeba więc już się pożegnać.

Równocześnie okrążył fotel by ją zasłonić. Nie zdążył tego jednak wykonać. Widocznie i ona spostrzegła lufę rewolweru, gdyż cofnęła się szybko i wyszeptwała:

- Ach, Patryku, Patryku...

Dały się słyszeć dwa strzały z rewolweru, a potem jęk.

- Czy jesteś ranna? - wykrzyknął Patryk, rzucając się ku młodej kobiecie.

- Nie, nie, nie - odparła. - To tylko ze strachu...

- Ach, jeśli ten nędznik cię trafił...

- Nie, nie!

- Czy jesteś tego całkiem pewna?

Trwało ze trzydzieści sekund, zanim przekręcił kontakt elektryczny, po czym z przerażeniem zaczął badać, czy kula nie zraniła Koralii.

Dopiero po chwili rzucił się w stronę okna i otwartwszy je, wyskoczył

na balkon. Pokój znajdował się na pierwszym piętrze.

Mur obrosły był pnącym się na drewnianych żerdziach winem. Ale Patryk z trudem schodził z powodu kuli u nogi.

Na dole zaczął o szczebel wywróconej drabiny pod terasą. Potem wpadł na agentów policyjnych, którzy właśnie nadbiegli. Jeden z nich krzyknął:

- Widziałem go, uciekał w tę stronę.

- W którą? - zapytał Patryk.

Agent biegł w kierunku małej uliczki. Patryk zdążył za nim, lecz w tej samej chwili od strony bramy dały się słyszeć krzyki i wołania:

- Na pomoc! Na pomoc!

Kiedy Patryk nadbiegł, agent oświetlał właśnie grunt elektryczną lampką i obaj spostrzegli wijącą się w gęstwinie krzewów postać ludzką.

- Brama otwarta - wołał Patryk. - Napastnik zbiegł, gonić go!

Agent zniknął w uliczce, a że właśnie nadbiegł Ya-Bon, Patryk rozkazał mu:

- W cwał, Ya-Bon. Jeżeli agent pobiegł w górę uliczki, to ty biegnij w dół. Galopem! Ja zajmę się rannym.

Mówiąc to, Patryk pochylił się i lampkę elektryczną agenta skierował w stronę człowieka wijącego się po ziemi. Rozpoznał starego Symeona, na wpół już zaduszonego. Wokół szyi przeciągnięty miał cienki, jedwabny, czerwony sznurek.

- Jakże tam? - zapytał Belval. - Czy mnie pan słyszy?

Rozluźnił pętlę, ponawiając pytanie.

Symeon począł wreszcie bełkotać niewyraźne sylaby, a w końcu wybuchnął śmiechem, nierównym, cichym śmiechem, przerywanym czkawką. Zdawało się, że oszalał.

- Panie - rzekł Patryk do Desmalionsa, który właśnie nadszedł. -

Czy i teraz pan sądzi, że cała sprawa skończona.

- Miałeś pan rację - przyznał Desmalions. - Musimy przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności, potrzebne dla bezpieczeństwa pani Essares.

Dom będzie strzeżony przez całą noc.

W kilka chwil później powrócił Ya-Bon z agentem, przetrząsnąwszy na próżno okolicę. W uliczce znaleziono klucz, którym otworzono boczną bramę. Był najzupełniej taki sam, jak ten, który otrzymał Patryk.

Był tak samo stary i zardzewiały.

Napastnik, uciekając, porzucił go.

90

Była już siódma wieczór, kiedy Patryk w towarzystwie Ya-Bona opuścił dom przy ulicy Raynouard i powrócił drogą na Neuilly.

Swoim zwyczajem oparłszy się na ramieniu Senegalczyka i tak przy jego pomocy idąc, rzekł:

- Odgaduję twoje myśli, Ya-Bon.

Ya-Bon mruknął:

- Tak.

- Tak, tak - powtórzył kapitan. - Zgadzam się co do joty. Co przede wszystkim ciebie uderza, to zupełna nieudolność policji w tym przypadku, nieprawdaż? Gromada niedołęgów. Sądząc tak, panie Ya-Bon, popełniasz głupstwo i zuchwalstwo, które mnie w tobie nie dziwi, za które jednak powinienem ci dać dobrą nauczkę, na jaką zasłużyłeś w zupełności. Ale mniejsza o to. A więc cokolwiek sądzisz o tym, policja robi, co może, zważywszy, że w czasie wojny ma jeszcze co innego do roboty, niż zajmować się tajemniczymi węzłami, łączącymi panią Essares z kapitanem Belval. To ja powinienem działać i liczyć tylko na siebie. No, dobrze, a teraz pytam się... czy mogę się mierzyć i walczyć z takimi przeciwnikami. Kiedy pomyślę, że jeden z nich miał czelność powrócić do domu strzeżonego przez policję, przystawić drabinę do okna i zapewne podsłuchiwać rozmowę z Desmalionsem, a później z mateczką Koralią, wreszcie zaś wypalić dwa razy z rewolweru... Ha, cóż ty na to? Czy podołamy tej walce? A cała francuska policja, i tak zawałona pracą, czy zdoła dać mi nieodzowną pomoc? Na to, by rozwikłać całą tę aferę, trzeba by człowieka wyjątkowego, który by łączył w sobie wszystkie te zdolności. Słowem, takiego, jaki nie istnieje.

Patryk wsparł się silniej na ramieniu towarzysza.

- Ty, który masz tyle ważnych znajomości i stosunków, czy nie masz tam pod ręką jakiego geniusza, półboga?

Ya-Bon mruknął znowu, tym razem radośnie, i oswobodził ramię, na którym wspierał się Belval. Potem wyjął noszoną zawsze z sobą małą latarkę elektryczną, zaświecił ją i potrzymał w zębach, po czym z kieszeni kurtki wyciągnął kawałki kredy.

Wzdłuż ulicy ciągnął się mur, tynk na nim był czarny i zbrukany.

Ya-Bon zatrzymał się przed murem i ustawiwszy latarkę tak, by na mur padało światło, począł pisać powoli, niepewną ręką, jakby skreślenie każdej litery było dla niego ogromnym wy-

91
siłkiem i jakby wszystkie litery razem były jedynym wyrazem, na który mógłby się zdobyć i zapamiętać. W ten sposób skreślił na murze dwa słowa, które Patryk natychmiast odczytał: „Arsen

Lupin".

- Arsen Lupin? - rzekł Belval półgłosem i popatrzył na Senegalczyka ze zdumieniem:

- A tobie co chodzi po głowie? Co chcesz przez to powiedzieć? Arsen Lupin? Proponujesz mi Arsena Lupina?

Ya-Bon skinął głową potakująco.

- Więc znasz Arsena Lupina?

- Tak - powiedział Ya-Bon.

Patryk przypomniał sobie, że Senegalczyk całe dni spędzał na czytaniu, a raczej na słuchaniu tego, co mu jego usłudźni towarzysze czytali o wszystkich przygodach Arsena Lupina. I zaśmiał się:

- Tak, znasz go, jak się zna tego, o którym czyta się tyle historyjek.

- Nie, nie - zaprotestował Ya-Bon.

- Znasz go więc osobiście?

- Tak.

- Ależ, idioto, Arsen Lupin nie żyje! Rzucił się w morze ze szczytu skały...

- Nie.

- Masz teraz więc okazję zaprzeczyć jego śmierci?

- Tak.

- Do diaska! I władza pana Ya-Bona nad Arsenem Lupinem jest tak wielka, że Arsen Lupin wstanie na znak dany przez pana Ya-Bona.

Patrzcie no! Miałem dla ciebie zawsze wielki szacunek, ale teraz nie pozostaje mi nic innego, jak przed tobą schylić czoła. Przyjaciel nieboszczyka Arsena Lupina, tylko tyle! A ile czasu ci trzeba, byś postawił do dyspozycji twego nieboszczyka. Sześć miesięcy? Trzy miesiące? Pół miesiąca?

Ya-Bon skinął głową.

- Około piętnastu dni - wytłumaczył sobie kapitan Belval. - No, dobrze! Wywołaj ducha twego przyjaciela, ogromnie będę rad, gdy wejdziesz z nim w bliższe stosunki. Ale ty masz doprawdy o mnie bardzo marne wyobrażenie, skoro myślisz, że potrzebuję takiego współpracownika. Ty mnie masz, zdaje się, za niedorajdę?

IX

Patryk i Korali;

Wszystko odbyło się tak, jak przepowiedział to pan Desmalions.

Prasa milczała. Opinia publiczna była obojętna. Kronika wypadków bieżących nie zainteresowała nikogo. Pogrzeb bogacza, bankiera Essaresa-Beya, przeszedł bez wrażeń. Tylko nazajutrz, dzięki pewnym staraniom kapitana Belvala u władz wojskowych, popartych przez prefekturę policji, nastąpiły w domu przy ulicy Raynouard nowe porządki. Uznany za drugi oddział szpitala przy Champs-Elysees pod nadzorem pani Essares, stał się wyłączną rezydencją kapitana Belvala i jego siedmiu inwalidów.

Koralia była tam zupełnie sama. Siedmiu inwalidów wykonywało wszystką pracę. Jeden był portierem, drugi kucharzem, a trzeci zarządcą domu. Ya-Bon, mianowany pokojówką, oddany był do osobistych posług mateczce Koralii. W nocy spał na korytarzu przed jego drzwiami. W dzień stał na straży przed oknem.

- Niech nikt się nie zbliża do tych drzwi ani do tego okna. Nikomu nie wolno tu wejść. Gdyby najmniejsza muszka wtargnęła, za mną będziesz miał do czynienia - zapowiedział mu kapitan Belval.

Mimo to Patryk wcale nie był spokojny. Za wiele miał dowodów, na co potrafią ważyć się nieprzyjaciele, by uwierzyć w absolutną skuteczność przedsięwziętych środków ostrożności. Niebezpieczeństwo przychodzi zawsze z tej strony, skąd najmniej jest oczekiwane, a tym trudniej było go uniknąć, że nie wiedziano zgoła, skąd zagraża. Kto po śmierci Essaresa prowadzi dalej jego dzieło i kto miał niemu występować przeciw mateczce Koralii i stara się dokonać aktu zemsty, jaki on zapowiedział w ostatnim liście?

Pan Desmalions rozpoczął natychmiast swoją pracę wywiadowczą, ale strona dramatyczna tej sprawy zdawała się nie interesować go wcale.

Nie znalazł ciała człowieka, którego przedśmiertny krzyk słyszał Patryk przez telefon, nie odkrył śladów złoczyńcy, który do Patryka i Koralii strzelał owego dnia wieczorem, nie doszedł, skąd pochodziła drabinka, której ów człowiek

użył. W ogóle przestał zajmować się tymi sprawami, ograniczył się tylko do poszukiwania owych tysiąca ośmiuset worków złota. To jedno było dla niego ważne.

- Mamy wszystkie dane - mówił - że znajduje się tu, w tym czworoboku, jaki tworzy ogród i budynek mieszkalny. To prawda, pięćdziesięciokilogramowy worek złota nie ma tej samej objętości, co worek węgla, mający tę samą wagę. Mimo to 1800 worków przedstawia masę siedmiu do ośmiu metrów sześciennych, a taką masę niełatwo ukryć.

Po kilku dniach Desmalions doszedł do przekonania, że worki nie znajdują się ani w domu, ani też nie są umieszczone pod domem. Kiedy szofer samochodu Essaresa zwoził wieczorami złoto z Banku franko-orientalnego na ulicę Raynouard, Essares-Bey z szoferem i niejakim Grzegorzem przez okienko w suterrenach, o którym mówili wspólnicy pułkownika, wysuwali linę drucianą, którą Desmalions odnalazł.

Wzdłuż tej liny umieszczone były ruchome haki, które również odnalazł

- na tych hakach zawieszane były worki ze złotem. Potem gromadzili je w wielkiej piwnicy, mieszczącej się tuż pod biblioteką. Trudno byłoby opowiedzieć, przedmiotem ilu i jak drobiazgowych przeszukiwań Desmalionsa i agentów stała się ta piwnica.

Ludzie ci rozwinęli niezwykłą pomysłowość w badaniu wszelkich zakamarków, a mimo to wszystkie ich wysiłki wykazały tylko tyle, ale tym razem bez najmniejszej wątpliwości, że nie było w niej nic utajonego, prócz ukrytych schodów, wiodących do biblioteki. Wejście do tych schodów, zamknięte kłapą, okryte było dywanem, leżącym na posadzce biblioteki. Oprócz okienka piwnicy, wychodzącego na ulicę Raynouard, znajdowało się drugie, od strony ogrodu na poziomie pierwszej terasy. Oba te otwory zabarykadowane były od wewnątrz żelaznymi, bardzo ciężkimi zasuwami. W ten sposób dziesiątki tysięcy rulonów złota można tam było składać, spokojnie czekając chwili ich transportu.

- Lecz w jaki sposób odbywała się ta ekspedycja? – zapytywał sam siebie Desmalions. - Tajemnicza sprawa. I dlaczego przechowywano to w piwnicach przy ulicy Raynouard? Znowu tajemnica. A także ten Fakhi, Bournef i jego towarzysze. Utrzymują, że tym razem nie było żadnej ekspedycji, że złoto znajduje się tutaj i że wystarczy tylko szukać, by je odnaleźć. Szukaliśmy w całym domu. Pozostaje jeszcze ogród. Szukajmy teraz tam.

Był to wspaniały stary ogród, który należał kiedyś do zakładu zdrojowego, gdzie w XVIII wieku schodzili się goście dla kupowania i picia wód Passy. Od ulicy Raynouard aż do wybrzeża, na szerokość dwunastu metrów schodziły cztery terasy, pokryte pięknym zielonym trawnikiem, okolone krzewami i zakończone u szczytu grupą starych, cienistych drzew. Największą jednak ozdobą ogrodu były owe cztery terasy, schodzące ku rzece; największą ozdobą z powodu pięknego widoku, jaki się z nich roztaczał na rzekę, na dalekie równiny i wzgórza przeciwległego brzegu. Dwadzieścia stopni łączyło je ze sobą, a od jednej do drugiej prowadziło dwadzieścia ścieżek, wykutych wśród murów,

podtrzymujących terasy i tak obrosłych bluszczem, że ścieżki niekiedy ginęły w gęstwinie. Tu i ówdzie widoczna była statuetka, kolumna, przeważnie uszkodzona, lub szczątki kapitelu. Kamienny balkon, wieńczący najwyższą terasę, przyozdobiony został pięknymi staroświeckimi wazami z terrakotowej glinki. Na tej terasie widać również ruiny dwóch małych świątyń, które służyły kiedyś za kioski do'czerpania i picia wody. Przed oknami biblioteki znajdował się okrągły basen, a pośrodku niego wodotrysk w kształcie dziecka -

fontanna, wyrzucająca cienką strugę wody przez otwór muszli; z przepelnionego basenu woda spływała do małego strumienia, obrywającego skałę. W tym właśnie miejscu potknął się Patryk owego pierwszego pamiętnego wieczoru.

Razem wzięwszy - z j akie trzy do czterech hektarów - stwierdził

Desmalions.

Do tej pracy były sędzia wezwał, prócz inwalidów kapitana, z tuzin jeszcze swoich agentów. Była to praca zasadniczo łatwa i powinna była doprowadzić do wyraźnych wyników. Jak to zwykł był pan Desmalions powtarzać, tysiąca ośmiuset worków nie można było przeoczyć. Każda jama, każde kopanie w gruncie pozostawia jakieś ślady, trzeba do tych korytarzy móc wchodzić i wychodzić z nich. Ale ani na trawnikach, ani na posypanych piaskiem ścieżkach nie widać było śladu świeżo rozkopanej ziemi. Mury wspierające terasy, ściany obrosłe bluszczem, wszystko zostało przeszukane, ale nadaremnie. W niektórych miejscach, w których kopano, natrafiono na starą kanalizację, wiodącą do Sekwany, i resztki wodociągów, służących do odprowadzenia wody z Passy. Lecz czegoś, co by przypominało kazamaty, jaskinie lub 95

pieczary, co by służyć mogło za jakąś kryjówkę, czegoś takiego nie znaleziono wcale.

Patryk i Koralia towarzyszyli tym poszukiwaniom, jednak mimo że doskonale rozumieli ich wagę i mimo że jeszcze wciąż żyli pod wrażeniem przeżytych tragicznych wypadków, jednak nie przejmowali się tym tak bardzo, całą swoją uwagę zwracając na zagadkę, tkwiącą w ich przeszłości. Toteż głównie i wyłącznie starali się rozwikłać tę tajemnicę i wszystkie ich rozmowy toczyły się wokół niej. Matka Koralii była córką konsula francuskiego w Salonikach, tam wyszła za człowieka starszego znacznie od niej i bardzo bogatego, za hrabiego Odolavicia, pochodzącego ze starej rodziny serbskiej. Umarł on w rok po przyjściu na świat Koralii. Wdowa po hrabi Odolaviciu bawiła wtedy we Francji, w tym właśnie pałacyku przy ulicy Raynouard, który hrabia kupił za pośrednictwem młodego Egipcjanina Essaresa, swego sekretarza i zaufanego powiernika.

Koralia przebywała tu przez pierwsze trzy lata dzieciństwa, po czym nagle straciła matkę. Osamotnioną sierotę Essares wywiózł do Salonik, gdzie dziadek jej, konsul, pozostawił był siostrę młodszą od siebie, która teraz zajęła się losem sieroty. Lecz na nieszczęście kobieta ta była zupełnie pod wpływem Essaresa, podpisywała papiery i kazała podpisywać je siostrzenicy, tak że cały jej majątek, administrowany przez Essaresa, powoli przepadł zupełnie.

Wreszcie, gdy miała lat 17, Koralia stała się ofiarą przygody, która pozostawiła po sobie straszliwe wspomnienie na całe jej późniejsze życie.

Porwana pewnego dnia przez szajkę Turków w okolicy Salonik, dwa tygodnie przeżyła w czeluściach pałacu i stała się piłąk zachceń gubernatora prowincji. Oswobodził ją Essares. Ale oswobodzenie to odbyło się w okolicznościach tak osobliwych, że Koralia odtąd nieraz zapytywała sama siebie, czy między Turkiem a Egipcjaninem nie było jakiejś zmywy.

Skończyło się na tym, że w miesiąc później, chora, przygnębiona, w obawie nowej napaści, zmuszona przez ciotkę, poślubiła Essaresa, który od dawna zabiegał o nią, a teraz przybierać zaczął w jej oczach rolę wybawcy. Był to związek jak najniezszczęśliwszy; zaraz od pierwszej chwili poznała jego ohydę. Została

96

żoną człowieka, którego nienawidziła, a którego miłość podsycala wzgarda i nienawiść, jakiej zaznawał Essares ze strony Koralii.

W tym samym roku, w którym odbył się ślub, sprowadzili się do Paryża i zamieszkali w pałacyku przy ulicy Raynouard. Essares, który od dawna już założył i prowadził filię banku Frankowschodniego w Salonikach, skupował wszystkie akcje tego banku, zakupił posesję przy ulicy La Fayette celem założenia tam głównego kantoru banku. Z

biegiem czasu stał się w Paryżu jednym z potentatów finansowych, a w Egipcie otrzymał tytuł „Bey”.

Oto historia jej życia, którą pewnego dnia, siedząc w pięknym ogrodzie Passy, Koralia opowiedziała Belwalowi. Nic jednak z owej smutnej przeszłości, którą tak pilnie teraz rozpatrywali zestawiając ją z młodością Patryka, nie przypominało obojgu, by już byli się spotkali ze sobą poprzednio. Ani Koralia, ani Patryk nie mogli odnaleźć żadnego wspólnego wspomnienia. Żadne imię nie przywodziło na pamięć dawnych wspomnień. Żaden szczegół z życia nie tłumaczył, skąd i dlaczego posiadali dwie części tego samego ametystu i dlaczego ich podobizny znalazły się złączone w jednym i tym samym medalionie, a także zebrane i wlepione na jednej stronie albumu.

- W ostateczności - rzekł Patryk - można sobie wytłumaczyć, że medalion, znaleziony w ręce Essaresa, został wyrwany temu nieznanemu przyjacielowi, który czuwał nad nami, a którego Essares zamordował. Ale album, album, który nosił w ślepej kieszeni odzienia?

Zamilkli. Po chwili Patryk zapytał:

- A Symeon?

- Symeon mieszkał tu stale.

- Nawet za życia twojej matki?

- Nie, w rok lub dwa po jej śmierci i po moim wyjeździe do Salonik. Essares zlecił mu nadzór nad tym pałacykiem i utrzymywanie w domu porządku.

- Czy on był sekretarzem Essaresa?

- Nigdy nie znałam jego właściwej roli. Sekretarzem? Nie.

Zaufanym? Też nie. Rozmawiali ze sobą bardzo mało. Trzy lub cztery razy przyjeżdżał do nas do Salonik, by się z nami zobaczyć.

Przypominam sobie jedne jego odwiedziny. Byłam wtedy jeszcze zupełnie małym dzieckiem i słyszałam, jak mówił do Essaresa w sposób bardzo gwałtowny i jak zdawał mu się wygrażać.

- Czemu?

- Nie wiem. Nic więcej nie wiem o Symeonie. Żył tu zupełnie samotnie. Prawie zawsze w ogrodzie, paląc w zamyśleniu fajkę, przy pomocy dwóch czy trzech ogrodników zajmował się drzewami i kwiatami.

- A jak się zachowywał wobec ciebie?

- I w tym względzie nic dokładnego powiedzieć nie umiem. Nigdy z sobą nie rozmawialiśmy, zajęcia jego nie zbliżały go do mnie. Mimo to doznawałam niekiedy uczucia, że pod tymi żółtymi szklami wzrok jego szukał mnie z pewną uporczywością, a nawet może z zajęciem.

Prócz tego w ostatnich czasach lubił mnie odprowadzać aż pod szpital i wtedy tam po drodze był bardzo uprzejmy i uważny... do tego stopnia, że od kilku dni przychodzi mi namysł...

Po chwili wahania mówiła dalej:

- Ale ta myśl jest zupełnie niejasna... ale mimo to... Oto jeszcze jedna rzecz, o której nie mówiłam ci... dlaczego wstąpiłam jako pielęgniarka do tego szpitala przy Champs-Elysees, gdzie i ty leżałeś ranny i chory. Dlaczego? Oto dlatego, że zaprowadził mnie tam Symeon. Wiedział, że chciałam się zaangażować jako pielęgniarka i on sam wskazał mi ten szpital polowy... nie przeczuwając zapewne, że okoliczności zbliżą nas tam właśnie do siebie. A potem, zastanów się...

ta fotografia z medalionem, przedstawiająca nas razem, ciebie w uniformie, a mnie jako pielęgniarkę, zdjęcie to nie mogło być zrobione gdzie indziej, jak właśnie tylko w szpitalu... Więc przez kogoś stąd, z tego domu. Symeon zaś był jedyną osobą, która tam przychodziła.

Wobec tego uprzytamniam sobie i to, że przyjeżdżając do Salonik, widział mnie dzieckiem, potem jako młodą dziewczynę i bardzo łatwo mógł tam wykonać zdjęcia do tego albumu. Jeśliby można nadto przypuścić, że miał jeszcze inną osobę, która śledziła stale i ciebie, można by dojść do wniosku, że tym nieznanym przyjacielem, którego istnienia domyślasz się i który chciał nam pomóc, który przysłał klucz do ogrodu... -

- Że tym przyjacielem jest stary Symeon? - przerwał żywo Patryk. - Ależ to niemożliwe...

- Dlaczego?

- Dlatego, że ten przyjaciel nie żyje. Ten, o którym mówisz, że chciał nam przyjść z pomocą, który przysłał mi klucz do ogrodu, mówił

ze mną przez telefon i chciał wyjawić całą prawdę - ten człowiek został zamordowany... W tym względzie nie mam żadnych wątpliwości.

Słyszałem krzyk człowieka, którego duszono... słyszałem krzyk agonii...

taki, jaki wydaje się tylko w chwili gwałtownej śmierci.

- Czy można być tego pewnym?

- Jestem nim stanowczo. Pewności mojej niczym nie da się zachwiać. Ten, którego nazywam naszym przyjacielem, umarł, zanim dokończył dzieła. Umarł, zamordowano go, a Symeon żyje. A poza tym

- dodał Patryk - tamten miał zupełnie inny głos niż Symeon, głos, jakiego nigdy jeszcze nie słyszałem i nigdy więcej nie usłyszę.

Koralia już nie nalegała, sama raczej przekonana o tym, co mówił

Patryk.

Siedzieli oboje na jednej z ławek ogrodu, korzystając z pięknego słonecznego dnia kwietniowego. Pączki drzew kasztanowych połyskiwały na czubkach gałęzi w świetle słonecznym. Silny zapach lewkonii unosił się w powietrzu, a żółte i ciemnobrązowe kwiaty pochylały główki za każdym podmuchem lekkiego wietrzyku.

Zimny dreszcz wstrząsnął ciałem Patryka. Koralia położyła rękę na ramieniu kapitana ruchem pełnym miłosnego oddania. Nagle Patryk drgnął widząc, że była czymś wzruszona aż do łez.

- Cóż ci to, mateczko Koralio?

Głowa młodej kobiety pochyliła się i dotknęła jego ramienia. Patryk nie śmiał się poruszyć w obawie, by nie zdawało się jej, że ten objaw siostrzanej miłości wziął za pieszczotę. Powtórzył tylko:

- Co ci się stało? Co ci jest, kochanie?

- Ach - szepnęła - to takie dziwne! Patrz, Patryku, patrz na te kwiaty.

Znajdowali się na trzeciej terasie, u stóp ich rozpościerała się czwarta, ostatnia, najniższa, na której zamiast grządek lewkonii znajdował się klomb wszystkich wiosennych kwiatów: tulipanów, stokrotek, narcyzów, a w samym środku duży krąg bratków.

- Tam, tam - powiedziała wskazując ręką. - Patrz na ten krąg, popatrz dobrze... Czy widzisz... te litery?

W istocie Patryk powoli spostrzegł, że bratki zasadzone były między innymi kwiatami w ten sposób, że tworzyły litery. W pierwszej chwili trudno było je rozpoznać. Trzeba było pewnego wysiłku, by je dostrzec, ale raz już zauważywszy, z łatwością można było przeczytać w jednej linii trzy wyrazy: „Patryk i Koralia”.

- Ach! - rzekł przyciszonym głosem. - Rozumiem twoje wzruszenie.

Bo w istocie, czyż nie było dziwną i rozculającą rzeczą czytać własne imiona, przyjazną ręką ułożone z rosnących kwiatów. Było to dziwne i wzruszające, tak na każdym kroku znajdować się razem, jedno przy drugim, złączeni czyjąś tajemniczą wolą; teraz przez drobne kwiecie, które budzi się do życia, rozwija w oznaczonym porządku, na życzenie jakiejś nieznannej siły.

Koralia wyprostowała się i rzekła:

- To stary Symeon zajmuje się ogrodem.

- Tak, oczywiście - rzekł Patryk, zachwiany trochę w swoim przeświadczeniu. - Lecz to nie zmienia mego zapatrywania. Nasz nieznany przyjaciel umarł, ale Symeon musiał go znać. Symeon mógł

być z nim w porozumieniu co do niektórych punktów i może wiedzieć bardzo wiele. Ach, gdyby tak można było z nim pomówić i gdyby nam mógł dać jakieś wskazówki.

W godzinę później, kiedy słońce chyliło się już ku zachodowi, skierowali się ku wyższej terasie.

Gdy do niej dotarli, ujrzeli Desmalionsa, który z daleka już dawał

im znaki, by podeszli:

- Mam państwu do powiedzenia bardzo ciekawą rzecz, nowe odkrycie, które specjalnie panią zaciekawi... no i pana też, panie kapitanie.

Zaprowadził ich do samego końca terasy, do części domu zamieszkaney i tworzącej dalszy ciąg biblioteki. Zastali tam dwóch agentów policyjnych z łopatami w rękach.

- W czasie poszukiwań za złotem - tłumaczył Desmalions - usunęli bluszcz, który pokrywał niskie obmurowanie z palonej gliny i ozdobione wazonami. Niski mur pokryty był na przestrzeni kilku metrów warstwą gipsu, która zdawała się być świeższa od muru.

Skąd ten gips? Czy nie jest to jakiś trop? - Kazałem zatem rozbić tę wierzchnią warstwę i znalazłem pod nią drugą, mniej gru-L00

bą, pomieszaną z odłamkami kamieni. - Proszę się zbliżyć, a raczej nie, trochę się cofnąć... Tak łatwiej będzie można rozróżnić... W istocie warstwa zewnętrzna gipsu służyła tylko do utrwalenia serii małych białych kamyczków, tworzących jakby mozaikę, obramowaną kamyczkami czarnymi,

tworzącymi wielkimi literami wypisane trzy wyrazy. Znów: „Patrik i Koralia”.

- I co państwo na to powiecie? - zapytał Desmalions. - Proszę zauważyć, że napis ten istnieje od wielu lat... przynajmniej od dziesięciu, sądząc z grubości bluszczu, jaki wiję się po murze...

- Przynajmniej z dziesięć lat... - powtórzył Patrik, kiedy został sam na sam z młodą kobietą. - Dziesięć lat, to znaczy w okresie, kiedy nie byłaś, pani, jeszcze zamężna i mieszkałaś w Salonikach... Kiedy nikt nie wchodził do tego ogrodu oprócz Symeona i tych, którym tu wejść pozwalał. A między nimi, Korolio, był również nasz nieznany przyjaciel, który już nie żyje...

Symeon więc musi znać całą prawdę.

Pod wieczór tego dnia ujrzeli starego Symeona, tak jak go widywali, odkąd stracił był zmysły, błądzącego po ogrodzie i po korytarzach domu, pochylonego, o niepewnych ruchach. Wokół szyi przewiązany miał jak zwykle wełniany szal, oczy zasłaniały mu okulary. Bełkotał od czasu do czasu niezrozumiałe słowa. W nocy zaś, jak mówił jego sąsiad, jeden z inwalidów - już kilka razy mamrotał coś pod nosem.

Dwukrotnie Patrik usiłował nakłonić go do mówienia. Symeon podnosił głowę i nie odpowiadał; niekiedy śmiał się naiwnie, głupkowato.

Tak więc zagadka komplikowała się i nie można było przewidzieć, czy będzie rozwiązana. Kto ich połączył już w dzieciństwie, niczym narzeczonych, którymi nieugięty los naprzód już rozporządził? Kto ubiegłej jesieni, a więc w czasie, kiedy się jeszcze nie znali, przygotował tę grządkę bratków? I kto wypisał już przed dziesięciu laty ich imiona białymi kamykami na murze?

Były to pytania pełne niepokoju dla tych dwóch istot, których miłość obudziła się nagle i które nagle ujrzały za sobą długą wspólną przeszłość. Każdy krok, jaki czynili razem w tym ogrodzie, zdawał się im być pielgrzymką wśród zapomnianych wspomnień i na każdym zakręcie drogi spodziewali się odkryć nowy dowód węzła, jaki ich połączył ze sobą bez ich wiedzy.

I na dodatek w ciągu tych kilku dni w dwóch miejscach; na 101

grubym pniu jednego z drzew i na poręczy ogrodowej ławki, napotkali wyryte początkowe litery swych imion, misternie z sobą złączone w monogram. Dwa razy jeszcze ukazały się im ich imiona, wypisane na starym murze, pokrytym lekką warstwą kurzu, osłoniętym bluszczem.

Lecz tym razem do imion ich dołączone były dwie daty: „Patrik i Koralia, 1904”, „Patrik i Koralia, 1907”.

- Jedenaście lat temu i osiem lat temu - rzekł kapitan. - Zawsze nasze obydwaj imiona... Patrik i Koralia.

Dłonie ich splotły się razem. Wielka tajemnica ich przeszłości zbliżała jedno do drugiego, tak jak ich przepelniała głęboka miłość, o której jednak unikali wszelkiej wzmianki. Mimo woli jednak szukali odosobnienia i pewnego dnia, w dwa tygodnie po zamordowaniu Essares-Beya, kiedy właśnie przechodzili koło małej bramy, wychodzącej na uliczkę, zdecydowali się pójść w dół zaułkiem i

zejść aż na brzeg Sekwany. Nikt nie zauważył ich odejścia, bo dostęp do tej bramy i droga do niej zasłonięte były gęstymi krzewami bukszpanu, a pan Desmalions ze swoimi ludźmi tego dnia zajęty był przeszukiwaniem starej oranżerii i komina, który służył do nadawania sygnałów, po drugiej stronie ogrodu.

Ale Patryk, znalazłszy się poza obrębem ogrodu, zatrzymał się.

Prawie naprzeciw, po drugiej stronie uliczki znajdowała się brama w murze najzupełniej podobna do tej, którą właśnie wyszli. Zwrócił na to uwagę Koralii, która odparła:

- Nic w tym dziwnego. Mur ten ogranicza ogród, który dawniej tworzył jedną całość z tym, z którego właśnie wyszliśmy.

- Któż tam mieszka?

- Nikt. Ten mały domek, górujący nad ogrodem i bliższy trochę ulicy Raynouard, jest stale zamknięty.

Patryk wyszeptał:

- Ta sama brama... Może nasz klucz pasuje i tu?

Kapitan włożył w zamek stary zardzewiały klucz, który mu przysłano. Drzwi otworzyły się.

- Wejźmy tam - rzekł Patryk. - Seria cudów ciągnie się dalej.

Może ten przyniesie nam coś pomyślnego?

Ta część ogrodu była dość wąska i pokryta dziko rosnącym zielskiem i różnymi chwastami. Wśród tej bujnej roślinności prowadziła jednak dróżka z ubitej ziemi, jakby ktoś często nią

chodził: ciągnęła się skośnie od bramy ogrodu aż ku terasie, na której zbudowany był mały pawilon o zamkniętych okiennicach, mocno uszkodzony, bez piętra; pośrodku wznosiła się mała wieżyczka w kształcie latarni. Dom ten miał ponadto osobne wejście od ulicy Raynouard, od której dzielił go dziedziniec i bardzo wysoki mur.

Wejście to było zabarykadowane deskami i belkami, przybitymi wielkimi gwoździami.

Okrążyli dom dookoła i stanęli, zdumieni widokiem, jaki przedstawił się po prawej stronie domu.

Były tu cięte szpalery cisów i bukszpanów, coś w rodzaju klasztornej krużganki, i tworzyły prostokąt, doskonale utrzymany, wsparty na regularnych arkadach i obejmujący strzyżone ściany drzew.

Pośrodku znajdował się miniaturowy ogródek, z którego wionęło ciszą i spokojem. I tu widać też było klomby tulipanów, bratków i stokrotek.

Cztery ścieżki, wiodące od czterech kątów krużganka, prowadziły do środkowego okrągłego klombu, pośród którego stała na pięciu kolumnach wsparta mała otwarta świątynia.

Pod kopułą jej widać było kamień grobowca. Przed grobowcem staroświecki drewniany klęcznik, a nad nim, na lewo, zawieszony na drążkach krucyfiks z kości słoniowej, na prawo - różaniec z ametystów, oprawny w złoty filigran.

- Koralio - szepnął Patryk drżącym ze wzruszenia głosem -... któż tu jest pochowany?

Podeszli bliżej. Grobowiec cały był pokryty wieńcami z pereł.

Zdejmowali jeden wieniec po drugim i naliczyli ich dziewiętnaście, a każdy miał kolejną datę ostatnich dziewiętnastu lat. Kiedy usunęli wieńce, ujrzeli napis, złotymi literami ryty w kamieniu: *Tu spoczywają*

Patryk i Koralia

Oboje zamordowani

14 kwietnia 1895 r.

Będą pomśczeni!

Czerwony sznurek

Koralia poczuła, że nogi uginają się pod nią. Padła na klęcznik i gorąco, zapamiętane jąła się modlić. Za kogo? Za jakie nieznane dusze?

Tego sama nie wiedziała. Ale cała jej istota przejęta była jakimś żarem i uniesieniem i tylko gorąca modlitwa mogła ją uspokoić.

Patryk szepnął jej do ucha:

- Jakie imię nosiła twoja matka?

- Luiza - odparła.

- A ojciec mój nazywał się Armand. A więc to ani ona, ani on... a jednak...

Patrykiem też owładnęło silne wzruszenie. Pochyliwszy się, raz jeszcze oglądał te wieńce, to znów kamień grobowca, aż wreszcie rzekł:

- A jednak ten zbieg okoliczności jest naprawdę niezwykły. Mój ojciec umarł również w roku 1895.

- I moja matka umarła też w tym samym roku - rzekła Koralia. -

Ale dokładnej daty nie pamiętam.

- Ale dowiemy się tego, Koralio - zapewnił Patryk. - Wszystko to da się sprawdzić. Lecz już teraz jedno jest pewne. Oto ten, który tak łączył z sobą oba imiona, Patryk i Koralia, nie tylko nas miał na myśli i nie patrzył tylko w przyszłość. Być może, myślał raczej o przeszłości, o tej Koralii i o tym Patryku, którzy zginęli nienaturalną śmiercią, a których śmierć zobowiązał się pomścić. Pójdźmy stąd, Koralio, by nikt nie mógł powziąć podejrzenia, żeśmy dotarli aż tu.

Szybko minęli ogród i boczną furtką wrócili do domu. Nikt nie spostrzegł, jak wracali. Patryk, odprowadziwszy Koralie do jej pokoju, polecił Ya-Bonowi i jego towarzyszom zdwojoną ostrożność i wyszedł

z domu.

Wrócił pod wieczór, by znów wyjść wczesnym rankiem. Dopiero następnego dnia około trzeciej po południu poprosił Koralie o chwilę rozmowy.

Zaraz na wstępie powiedziała doń:

- Czy pan już wie?

- Wiemy już o wielu sprawach, Koralio, ale ta wiedza nie roz-

świetła otaczających nas ciemności, przeciwnie, byłbym prawie skłonny powiedzieć, że jeszcze bardziej je zagęszcza. Z drugiej strony jednak rzuca pewne światło na przeszłość.

- A czy tłumaczy to, cośmy widzieli przedwczoraj? - zapytała trwożnie.

- Posłuchaj mnie, Koralio...

Usiadł naprzeciw i zaczął mówić:

- Nie będę opowiadał o wszystkich zabiegach, jakie poczyniłem.

Streszczę się i opowiem tylko o wyniku tych, które mi się powiodły.

Przede wszystkim więc podążyłem do urzędu gminnego w Passy, a potem do konsulatu serbskiego.

- A więc - rzekła - wciąż jeszcze przypuszczasz, że idzie tu o moją matkę?

- Tak, wziąłem odpis aktu jej śmierci. Koralio, matka pani umarła dnia 14 kwietnia 1895.

- Ach! - zawołała. - Wszak to właśnie data wypisana na grobowcu.

- Tak jest, ta sama data.

- Ale to imię: Koralia?... Matka moja miała na imię Luiza.

- Matka pani nosiła imiona: Luiza Koralia, hrabina Odolavić.

Koralia wyszeptała:

- Och, matko moja... matko droga... a więc zamordowano cię... To za nią modliłam się na jej grobie.

- Tak, Koralio, na jej grobie i na grobie mojego ojca. Ojciec mój nazywał się Armand Patryk Belval. Znalazłem wyraźnie wypisane nazwisko w jego papierach w urzędzie gminnym przy ulicy Drouot. On też umarł 14 kwietnia 1895 roku.

Patryk miał słuszość, że te szczegóły rzuciły nieco światła na przeszłość, choć w sposób dziwny. Oto stwierdził on z najzupełniejszą pewnością, że napis na grobowcu odnosił się do jego ojca i do matki Koralii, obojga zamordowanych tego samego dnia. Lecz przez kogo? Z

jakich powodów? Jaki to dramat rozegrał się tam? - oto pytania, jakie stawiała Patrykowi Koralia.

- Nie umiem ci jeszcze odpowiedzieć na twoje pytania - rzekł

Patryk. - Lecz jest jeszcze to, które sobie sam postawiłem, a odpowiedź

na nie o wiele łatwiejsza i daje nam wyjaśnienie co do jednego szczegółu. A mianowicie, do kogo należy pawilon? Na ze-105

wnętrz, od ulicy Raynouard nie ma żadnej wskazówki po temu.

Widziałaś pani mur z tej strony ulicy i bramę wjazdową od dziedzińca: nic szczególnego. Wystarczy mi jednak tylko numer domu. Byłem u poborcy w tej dzielnicy i dowiedziałem się, że podatki były płacone przez pewnego rejenta, mieszkającego przy avenue del Opera.

Odwiedziłem tego notariusza i oto czego się dowiedziałem...

Przerwał na chwilę, po czym mówił dalej:

- Pawilon ten kupił mój ojciec przed 21 laty. W dwa lata później ojciec mój umarł, a pawilon, część spadku po ojcu, sprzedał poprzednik obecnego rejenta niejakiemu Panu Symeonowi Diodokisowi, Grekowi.

- To on! - zawołała Koralia. - Diodokis to nazwisko Symeona.

- Otóż - mówił dalej Patryk - Symeon Diodokis był przyjacielem mego ojca, o czym sędzę po tym, że ojciec mój w testamencie mianował

go głównym zawiadowcą spadku i że Symeon Diodokis za pośrednictwem poprzedniego notariusza i adwokata w Londynie łożył

na moje utrzymanie w pensjonacie, a kiedy stałem się pełnoletni, oddał

mi 200 000 franków majątku, pozostawionego mi przez ojca w spadku.

Przez długą chwilę milczeli oboje. Zaczęło się im wyjaśniać dużo rzeczy. Lecz pozostało jeszcze wiele niewiadomych spraw, pogmatwanych, niejasnych, niczym obraz oglądany o wieczornym zmierzchu.

Jeszcze jedna rzecz uderzała przede wszystkim.

- Pańska matka i mój ojciec kochali się, Koraliu – szepnął Patryk.

Myśl ta zbliżyła ich do siebie jeszcze bardziej i miłość ich potęgowała się wskutek innej miłości, jeszcze bardziej naznaczonej cierpieniem i tragicznej, bo zakończonej krwią i śmiercią.

- Matka pani i mój ojciec kochali się - powtórzył Patryk. - Bez wątpienia byli parą nieco egzaltowaną, bo ich uczucie nosi uroczo dziecięce znamiona. Chcieli się między sobą nazywać imionami, których nikt nie używał, obrali więc drugie imiona, które są zarazem i naszymi imionami. Pewnego dnia matce twojej wypadł z ręki ametystowy różaniec i największy z ametystów rozłupał się na dwie części. Mój ojciec jedną z połówek kazał oprawić i nosił jako brelok przy łańcuszku zegarka. Matka pani

była wdową i ojciec mój był wdowcem. Pani miała wtedy dwa lata, a ja osiem. By poświęcić się zupełnie tej, którą kochał, ojciec wysłał mnie do Anglii i kupił ten pawilon, znajdujący się w pobliżu pałacyku twojej matki, która, by się z nim spotykać, wchodziła w tę uliczkę przez boczną bramę, używając tego samego klucza. Zapewne w tym pawilonie albo w ogrodzie zostali zamordowani. Przekonamy się zresztą o tym, bo z pewnością pozostać musiały widoczne ślady tego morderstwa, ślady i dowody, które znał Symeon Diodokis, skoro nie wahał się potwierdzić tego napisem na kamieniu grobowca.

- Ale kto był mordercą? - zapytała szeptem Koralia.

- Domyśla się pani tego, tak samo jak i ja. Bo znenawidzone imię musi ci przychodzić na pamięć, mimo że nie mamy żadnych dowodów, dających nam zupełną pewność.

- Essares! - zawołała Koralia z przerażeniem.

- Najprawdopodobniej.

Ukryła twarz w dłoniach.

- Nie, nie... To nie może być... To nieprawda, żebym ja była żoną tego, który zamordował moją matkę.

- Nosiła pani tylko to nazwisko, lecz nigdy nie była pani jego żoną.

Sama mu to powiedziałaś wtedy, w przededniu jego śmierci. Nie upierajmy się już przy faktach, których nie możemy stwierdzić dowodami, ale mimo to pamiętajmy, że Symeon, przyjaciel i wykonawca ostatniej woli mego ojca, był owym człowiekiem, który kupił później ten pawilon dwojga kochanków, że to on poprzysiął

zemstę na ich grobie. Nie zapominajmy, że Symeon w kilka miesięcy po śmierci twojej matki wkręcił się w służbę do Essaresa, jako strażnik jego własności, że został jego sekretarzem i powoli, powoli wkraczał w jego życie. Dlaczego, jeśli nie po to, by wykonać swój plan zemsty?

- Cóż my o tym wiemy? Czy znamy okoliczności towarzyszące śmierci Essares-Beya? To pewne, że Symeon sam nie mógł go zabić, bo był w tym czasie w szpitalu. Może polecił komuś to uczynić? A wreszcie, zemsty dokonać można w rozmaity sposób. Symeon miał

zapewne zlecenie wykonania woli mego ojca. Chciał przede wszystkim spełnić projekt, jaki powzięli mój ojciec i twoja matka: połączenie nas z sobą, Koralio. I ten cel przyświecał jego życiu. To najpewniej on między innymi zabawkami z lat dziecięcych złożył ten ametystowy brelok, którego druga połowa

znajdowała się w twoim różańcu. To on gromadził nasze fotografie. I on to wreszcie jest naszym

nieznanym przyjacielem, który przesłał mi klucz i list... zaginiony, niestety.

- A więc, Patryku, nie myślisz już, że umarł ten nieznanый przyjaciel, którego krzyk agonii słyszałeś przez telefon?

- Nie wiem. Nie wiem, czy Symeon działał sam? Czy też miał

kogoś zaufanego, kto był mu pomocny w dziele i czy nie tamten zginął

o godzinie siódmej dziewiętnaście? Tego nie wiemy. Wszystko, co zaszło tego pamiętnego ranka, wszystko to jest dotąd niezbadaną tajemnicą. Pewność mamy tylko, że Symeon Diodokis podjął się jakiegoś zadania zemsty na mordercach naszych rodziców, i to, że Symeon żyje.

- Żyje, lecz jest w obłądzie - dodał Patryk. - Nie możemy mu podziękować ani zapytać go o całą tę smutną historię, którą on zna, ani też nie możemy dowiedzieć się o niebezpieczeństwach, jakie jeszcze ci grożą.

Chciał jednak Patryk spróbować jeszcze raz, mimo że był

przekonany o bezowocności tych zabiegów. Symeon zajmował w przeznaczonym dawniej dla służby skrzydle pokój w sąsiedztwie dwóch inwalidów. Patryk udał się tam. Symeon był u siebie. Na pół drzemiący w fotelu zwróconym w kierunku ogrodu, trzymał w ustach wygasłą fajkę. Pokój, choć mały i prawie pusty, był jednak schłodzony i jasny.

Całe tajemnicze życie tego starca upłynęło tutaj. Kilka razy pod jego nieobecność pan Desmalions zwiedzał ten pokój. Patryk czynił to również. Lecz każdy z nich w innym celu. Jedynym godnym uwagi odkryciem był tu pobeżny rysunek na białym papierze, którym pokój był wytapetowany, rysunek nakreślony ołówkiem na ścianie za komodą: trzy linie, krzyżujące się i tworzące duży regularny trójkąt. Środek tej geometrycznej figury pomalowany był bardzo niedbale grubą złotą farbą. Złoty trójkąt! Oprócz tego odkrycia, które w niczym nie pomogło panu Desmalionsowi, żadnego innego śladu.

Patryk skierował kroki wprost do staruszka i uderzył go z lekka po ramieniu.

- Symeonie - rzekł.

Symeon zwrócił ku niemu swoje żółte szkła, a Patryk nagle poczuł

nieprzepartą ochotę zerwania tej szklanej przeszkody, która zakrywała oczy tego człowieka i nie pozwalała spojrzeć w głąb jego duszy i dawnych wspomnień.

108

Symeon roześmiał się śmiechem obłąkańca.

Oto przyjaciel mój i mego ojca - pomyślał Patryk. - Kochał go, uszanował jego ostatnią wolę, wierny był jego pamięci, poświęcił mu grobowiec, na którym modlił się za niego, poprzysiągł zemstę i teraz

stracił rozum.

Patryk czuł, że wszelkie usiłowanie rozmówienia się z nim jest bezsensowne. Lecz jeśli dźwięk jego głosu nie wywołał żadnego echa w tym chorym umyśle, to może oczy zachowały jakieś wspomnienia.

Napisał więc na białej kartce papieru słowa, które przedtem Symeon tak często miewał w pamięci: „Patryk i Koralia, 14 kwietnia 1895”.

Stary popatrzył na papier, pokiwał głową i znów począł śmiać się owym cichym śmiechem obłąkańca.

Oficer próbował dalej pisać: „Armand Belval”.

Zachowanie starego nie zmieniło się wcale. Patryk próbował

jeszcze. Wypisał nazwisko Essaresa i pułkownika Fakhi, narysował

trójkąt. Stary niczego jednak nie rozumiał nadal i śmiał się tylko z cicha.

Alę nagle śmiech jego przestał być tak bardzo dziecinny. Patryk napisał nazwisko Bournefa i wtedy wydało się, jakby jakieś wspomnienie ożywiło starca. Usiłował wstać, opadł na nowo w fotel, po czym, zebrawszy wszystkie siły, powstał i chwycił za kapelusz zawieszony na ścianie. Opuścił pokój wraz z Patrykiem, kierując się na lewo, w stronę Auteuil.

Szedł krokiem zahipnotyzowanym autosugestią, krokiem zmuszonego iść, nie wiedząc, dokąd idzie. Skręcił w ulicę Beoulain Vailiers, przeszedł most na Sekwanie i bez wahania poszedł w stronę dzielnicy de Grenelle.

Potem na jednym z bulwarów zatrzymał się i ręką dał znak Patrykowi, by uczynił to samo.

Zasłaniał ich kiosk z gazetami. Symeon wysunął głowę spoza kiosku. Patryk poszedł za jego przykładem. Naprzeciwko, u zbiegu dwóch bulwarów, na rogu znajdowała się kawiarnia z terasą, zasłoniętą od ulicy szpalerem dzikiego wina.

Za szpalerem tym siedziało czterech ludzi. Trzech z nich obróconych było do przybyłych plecami. Patryk dostrzegł twarz jednego, który siedział zwrócony przodem do ulicy, i poznał w nim Bournefa.

Tejże chwili stary Symeon odszedł, jak człowiek, który skoń-

109

czył swoją rolę i finał pozostawia innym. Patryk rozejrzał się dookoła i spostrzegł w pobliżu pocztę, dokąd szybko podążył. Wiedział, że pan Desmalions jest teraz w domu przy ulicy Raynouard. Telefonicznie powiadomił Desmalionsa o Obecności Bournefa. Urzędnik przyrzekł natychmiastowe przybycie.

Od chwili zamordowania Essares-Beya śledztwo pod kierunkiem Desmalionsa w sprawie współników pułkownika Fakhi nie posunęło się. Wprawdzie odnaleziono kryjówkę owego Grzegorza i owe pokoje ze skrytkami, ale wszystko było puste. Wspólnicy zniknęli.

Stary Symeon zna zapewne ich kryjówki i sposób życia - mówił do siebie Patryk. - Widocznie wiedział, że w niektóre dni tygodnia o pewnej godzinie schodzą się w tej kawiarni. Kiedy nakreśliłem mu nazwisko Bournefa, zaraz przypomniał to sobie.

W kilka minut pan Desmalions ze swoimi agentami policyjnymi wysiadł z auta. W okamgnieniu otoczono terasę kawiarni. Cała sprawa nie trwała długo. Wspólnicy nie stawiali oporu. Trzech z nich Desmalions odesłał pod silną eskortą, a Bournefa zatrzymał w jednej z oddzielnych sal kawiarni.

- Chodź pan ze mną - rzekł pan Desmalions do Patryka. -

Wybadamy go.

Patryk zauważył:

- Pani Essares jest sama w domu...

- Sama, nie. Są tam przecież pańscy ludzie.

- Tak, lecz wolę i ja tam być. Po raz pierwszy opuściłem ją, a można się wszystkiego obawiać.

- Idzie tylko o kilka minut - nalegał Desmalions. - Zawsze trzeba korzystać z zaskoczenia wywołanego aresztowaniem.

Patryk poszedł za nim, lecz wkrótce przekonali się, że Bournef nie jest człowiekiem, który by się łatwo dał zbić z tropu. Kiedy mu grożono, wzruszał ramionami.

- Chce mnie pan nastraszyć, to bez sensu. Niczym nie ryzykuję.

Rozstrzelanie? To błaga! We Francji nie rozstrzeliwuje się ludzi z powodu drobnostki! A my wszyscy czterej jesteśmy pod danymi neutralnego państwa. Proces? Więzienie? Wygnanie?

Nigdy w życiu! Przecież pan doskonale pojmuje, że jeżeli dotąd cała sprawa była zatuszowana i jeżeliście ukryli morderstwo Mustafy, pułkownika Fakhi i Essaresa, to nie po to, by całą sprawę wznowić bez wyraźnej potrzeby. Nie, mój panie, jestem naj-110

zupełniej spokojny. Czeka mnie tylko obóz internowanych. Oto wszystko.

- A więc - rzekł Desmalions - nie chce pan odpowiadać?

- Ależ, do czarta, nie. Na obóz internowanych zgoda. Lecz w tym obozie są rozmaite stopnie, a zależy mi na tym, by za pana przyczyną jak najwygodniej zaczekać tam na koniec wojny. A więc, cóż pan wie dotąd?

- Bez mała wszystko.

- Tym gorzej, bo ja przez to tracę na wartości. Czy wie pan, jaka była ostatnia noc Essaresa?

- Tak, i o targu w sprawie czterech milionów franków. Co się z nimi stało?

Bournef uczynił ruch wściekłości.

- Odebrane, skradzione! To była pułapka.

- A kto je odebrał?

- Niejaki Grzegorz.

- A kto to taki?

- To dusza potępiona, zaprzędana do cna. Odkryliśmy przy tym, że ten Grzegorz był również właśnie owym szoferem, który służył

Essaresowi w potrzebie.

- To on wobec tego przywoził worki złota z banku do mieszkania Essaresa?

- Tak, zdaje się nam nawet... a raczej wiemy to z pewnością... że...

no tak: Grzegorz to była kobieta.

- Kobieta!

- Jasne. Jego kochanka. Mamy na to kilka dowodów. Ale to kobieta energiczna, silna i dzielna niczym mężczyzna; taka, która się nie cofnie przed byle czym.

- Czy znacie jej adres?

- Nie.

- A co do złota, czy nie macie żadnych poszlak ani żadnych śladów?

- Nie. Złoto znajduje się albo w ogrodzie, albo w mieszkaniu przy ulicy Raynouard. Widzieliśmy, jak zwożono je przez cały tydzień. Od tego czasu nikt nie wywiózł go stamtąd. Co noc strzeżliśmy cały dom.

Zapewniam pana, że worki znajdują się tam.

- A co do mordercy Essaresa, czy nie macie jakich poszlak?

- Żadnych.

- Na pewno?

111

- Po co miałbym kłamać!

- A może to był pan lub któryś z pańskich przyjaciół?

- Myśleliśmy, że będą nas posądzać. Szczęśliwym przypadkiem możemy dostarczyć alibi i to niezbite.

- To już zbadamy. Nic więcej nie ma pan do powiedzenia?

- Nie. Mam tylko pytanie, na które oczywiście pan mi odpowie lub nie. Kto nas zdradził? Odpowiedź pańska może niejedno wyjaśnić.

Tylko jedna osoba wiedziała o naszych schadzках, odbywających się w tej kawiarni co tydzień od czwartej do piątej po południu, jedna jedyna osoba... Essares-Bey... I on sam tu nieraz przychodził naradzić się z nami. Essares jednak nie żyje. Któż nas zatem mógł

zadenuncjować?

- Stary Symeon.

- Jak to? Symeon? Symeon Diodokis?

- Symeon Diodokis, sekretarz Essares-Beya.

- On! Aha! A to łotr, zapłaci on już za to... ale nie, to niemożliwe!

- Dlaczego powiada pan, że niemożliwe?

- Dlaczego? Dlatego...

Namyślał się przez dłuższą chwilę, chcąc się bezsprzecznie upewnić, że to, co chciał powiedzieć, nie może mu zaszkodzić. A potem dokończył zaczęte zdanie:

- Otóż dlatego, że stary Symeon był po naszej stronie.

- Co też pan mówi? - zawołał Patryk, zdumiony tym, co usłyszał.

- Mówię i stwierdzam, że Symeon Diodokis był po naszej stronie.

To nasz człowiek. To on nam donosił o podejrzanych manewrach Essares-Beya. On był tym, który zawiadomił nas telefonicznie owego wieczora o dziewiątej, że Essares rozpałił piece w oranżerii i że sygnał

iskier zacznie działać. On był tym, który otworzył nam bramę, udając oczywiście opór i pozwalając

związać się w mieszkaniu odźwiernego. I on to wreszcie wypłacił i oddał służbę.

- Ale pułkownik Fakhi nie odzywał się do niego jak do współnika.

- Komedja, aby zmylić Essaresa. Komedja od początku do końca.

- Niech i tak będzie. Ale dlaczego Symeon zdradzał Essaresa? Dla pieniędzy?

112

- Nie, z nienawiści. Nienawidził on tak Essaresa, żeśmy sami nieraz drżeli z trwogi.

- Nienawidził? Z jakiego powodu?

- Nie wiem, Symeon jest bardzo małomówny, ale to datuje się od dawna.

- Czy znał miejsce, gdzie ukrywano złoto? - zapytał Desmalions.

- Nie. Nigdy nie mógł się dowiedzieć, w jaki sposób wydobywano je z piwnicy, która była tylko prowizoryczną kryjówką.

- A jednak je wydostawano! I tym razem mogło się to stać w taki sam sposób.

- Tym razem pilnowaliśmy z zewnątrz. Ze wszystkich stron, czego Symeon sam jeden uczynić nie mógł.

- Czy nie wie pan o nim nic więcej? - rozpoczął Patryk z kolei.

- Nie. A jednak zdarzyło się coś osobliwego. Po południu dnia poprzedzającego ów pamiętny wieczór dostałem od Symeona list, w którym dawał mi pewne wskazówki. W tej samej kopercie znajdował

się jeszcze drugi list, włożony tam przez niepojętą omyłkę, bo list ten zdawał się być bardzo ważny.

- A co było w tym liście? - zapytał zaniepokojony Patryk.

- Była mowa o jakimś kluczu.

- Nie mógłby pan tego sprecyzować dokładniej?

- Oto list. Schowałem go, ażeby mu później go oddać, ostrzec.

Widzi pan, to przecież jego pismo.

Patryk chwycił kartkę papieru i zaraz na początku zauważył swoje imię. List był pisany do niego, tak jak przeczuwał. To był właśnie ten list, który zginął.

Brzmiał:

Patryku!

Otrzymasz dziś wieczorem klucz. Klucz ten otwiera dwoje drzwi: jedno na prawo, drugie na lewo w uliczce, schodzącej ku Sekwanie. Na prawo jest ogród kobiety, którą kochasz. Spotkamy się tam 14 kwietnia o godzinie 9.00 z rana. Ta, którą kochasz, zjawi się również. Dowiedcie się, kim jestem i co postanowiłem wykonać od dnia dzisiejszego do dnia 14 kwietnia. Dowiedcie się tam wielu rzeczy o waszej przeszłości, rzeczy, które Was jeszcze bardziej zbliżą ku sobie. Walka, jaka się dziś wieczorem zaczyna, będzie straszliwa. Jeśli zginę, ta, którą kochasz, Patryku, narażona

113

będzie na wielkie niebezpieczeństwa, lecz czuwaj nad nią i nie opuszczaj jej ani na chwilę. Nie zginę jednak. Dostąpicie tego szczęścia, które przygotowuję dla was z dawna.

Zawsze szczerze oddany

- Nie ma podpisu - rzekł Bournef - ale powtarzam raz jeszcze, że to pismo Symeona. A co do kobiety, to idzie widocznie o panią Essares.

- Ale jakie to niebezpieczeństwo jej grozi? - zawołał trwożnie Patryk. - Essares nie żyje. Nie ma się więc czego obawiać.

- Czy można to wiedzieć? To był okrutny człowiek.

- Komuż by zlecił swoją zemstę? Któż wykonuje jego dzieło?

- Tego nie wiem, ale należy się strzec.

Patryk nie słuchał już więcej. Podał szybko list Desmalionsowi i nie dając się zatrzymać dłużej, wybiegł.

- Ulica Raynouard! Ale prędko! - zawołał do szofera, wskakując do auta. Chodziło mu o jak największy pośpiech. Zdawało mu się, że niebezpieczeństwo, o jakim wspominał stary Symeon, zawisło nad Koralią. Może nieprzyjaciel, korzystając z jego nieobecności, zaatakował jego ukochaną.

„Gdybym zginął, grozi jej niebezpieczeństwo” - pisał w liście -

Symeon. Skoro postradał zmysły, to tak jakby zginął, a więc...

- Ach, głupstwo - mrucał do siebie pod nosem Patryk. -

Niepotrzebnie się lękam, może nie ma po temu powodu. - Ale obawy jego wzrastały z każdą chwilą. Mówił sobie, że stary Symeon w tym celu posłał mu klucz do ogrodu, aby on, Patryk, mógł być jak najczęściej w pobliżu młodej kobiety i opiekować się nią w razie potrzeby. Z dala ujrzał Symeona. Wieczór zapadał i staruszek wracał do domu. Patryk, przebiegłszy koło niego przy domu odzwiernego, słyszał, jak Symeon nucił z cicha. Patryk zapytał żołnierza stojącego na straży:

- Wszystko w porządku?

- Tak, panie kapitanie,

- A mateczka Koralia?

- Przechadzała się po ogrodzie. Przed pół godziną wróciła do siebie.

- A Ya-Bon?

- Ya-Bon postępował za mateczką Koralią. Teraz jest pewnie u jej drzwi.

114

Patryk, uspokojony, wszedł na schody. Lecz gdy doszedł na pierwsze piętro, zdziwiło go, że światło nie było zapalone. Zaświecił, a wtedy zauważył na końcu korytarza Ya-Bona, klęczącego przed drzwiami wiodącymi do pokoju mateczki Koralii. Głowę miał opartą o ścianę. Drzwi pokoju stały otworem.

- Co ty tam robisz? - zawołał Patryk nadbiegając.

Ya-Bon nie odpowiadał, Patryk spostrzegł, że rękaw jego kurtki zbroczony jest krwią. W tejże chwili Senegalczyk osunął się na ziemię.

- Dokrośset! Ranny... czy może zabity?

Przesadził susem ciało leżącego i wpadł do pokoju, zaświeciwszy natychmiast światło.

Koralia leżała wyciągnięta na sofie. Straszliwy czerwony sznurek zaciągnięty miała na szyi. A jednak Patryk nie odczuwał owej strasznej rozpacz, jakiej doznaje się w obliczu śmierci. Zdawało mu się, że twarz Koralii nie ma tej śmiertelnej bladości. I w rzeczy samej młoda kobieta jeszcze oddychała.

- Żyje, żyje... - wołał Patryk. - Nie umrze, jestem tego pewny... i Ya-Bon także... Zamach spalił na panewce.

Patryk rozwikłał pętlę.

W kilka chwil potem młoda kobieta poczęła oddychać swobodnie i powoli odzyskiwała przytomność. Uśmiechnęła się nawet do niego.

Lecz w tej samej chwili, przypomniawszy sobie co zaszło, chwyciła się za głowę drżącymi rękami i wyszeptała w trwodze:

- Och, Patryku, boję się... boję się o pana...

- Czego się boisz, Korolio? Kim jest ten nędznik?

- Nie widziałam go. Zgasił światło... zaraz schwycił mnie za gardło i mówił szeptem: „Ty nasamprzód... a tej nocy przyjdzie kolej na twego kochanka”... Och Patryku, tak się boję o ciebie, Patryku...

XI

Ku przepaści

Decyzja Patryka była stanowcza i szybka. Natychmiast przeniósł

młodą kobietę na łóżko, prosząc, by nikogo nie wzywała i nie ruszała się wcale. Następnie upewnił się, że Ya-Bon nie jest niebezpiecznie ranny. Na koniec zadzwonił gwałtownie we wszystkie dzwonki, rozmieszczone na różnych posterunkach, zajmowanych przez jego ludzi.

W wielkim pośpiechu zbiegli się ze wszystkich części domu, w których umieszczeni byli na straży.

Rzekł do nich:

- Jesteście osły! Przed chwilą wtargnął ktoś, mateczka Koralia i Ya-Bon omal nie zostali zamordowani...

A kiedy podnieśli wrzawę, kapitan rozkazał:

- Milczeć! Zasłużyliście na baty, lecz przebaczę wam pod warunkiem, że dziś wieczór będziecie mówić o mateczce Koralii jako nieżyjącej.

Jeden z nich zaprotestował:

- Lecz do kogo, panie kapitanie? Przecież tu nikogo nie ma.

- Jest ktoś, idioto, skoro mateczka Koralia i Ya-Bon zostali, napadnięci. Chyba, że to któryś z was... Nie? A więc... nie chodzi o to, byście mówili do obcych, ale między sobą, jeden do drugiego... a nawet myśleli o tym w najskrytszej myśli. Wiedźcie, że was tu podsłuchują, śledzą. Słyszą, co mówicie i domyślają się tego, czego nawet nie mówicie. Otóż do jutra rana mateczka Koralia nie wyjdzie z pokoju.

Będziecie nad nią czuwali po kolei. Reszta pójdzie spać po kolacji.

Żadnego łożenia po domu. Zupełna cisza.

- A stary Symeon, panie kapitanie?

- Zamknąć go w jego pokoju. Jako wariat jest niebezpieczny.

Mogliby, korzystając z jego obłądu, kazać mu otworzyć drzwi. Dlatego musi być zamknięty.

Plan kapitana był prosty. Ponieważ nieprzyjaciół, sądząc, że Koralia jest umierająca, odkrył zamiar zamordowania i jego, trzeba było zostawić wrogowi wolne pole do działania, tak jakby nikt nie podejrzewał jego zamiarów i nie miał się na bacności. Przyjdzie, rozpocznie walkę i dostanie się w potrzask.

W oczekiwaniu owej walki, której pragnął ze wszystkich sił, Patryk zajął się Ya-Bonem, którego rana w istocie okazała się zupełnie lekka.

Przy tym wypytał go, jak również i mateczkę Koralię.

Odpowiedzi ich były jednakowe. Młoda kobieta mówiła, że trochę zmęczona leżała na sofie czytając, podczas gdy Ya-Bon siedział

arabskim zwyczajem w kucki przed otwartymi drzwiami w korytarzu.

Ani jedno, ani drugie nie słyszało nic podejrzanego. Nagle Ya-Bon ujrzał przed sobą jakiś cień, zasłaniający światło w korytarzu. Światło to, pochodzące z lampy elektrycznej, zostało natychmiast zgaszone, równocześnie ze zgaszeniem światła w pokoju. Ya-Bon otrzymał silne uderzenie w głowę i stracił przytomność. Koralia usiłowała zbiec przez drzwi buduaru: nie mogąc ich otworzyć, zaczęła krzyczeć, lecz w tej chwili schwycił ją ktoś z tyłu i przewrócił. Stało się to wszystko w ciągu kilku chwil. Jediną wskazówką, jaką Patryk mógł otrzymać od Koralii, była ta, że człowiek ów nie przyszedł głównymi schodami, ale od strony domu nazywanej skrzydłem służby. Do tej części domu prowadziły niewielkie schody, łączące kuchnię z kredensem, skąd przez przedsionek i drzwi dla służby wychodziło się na ulicę Raynouard.

Drzwi te znalazł Patryk zamknięte na klucz, ale ktoś mógł mieć klucz do nich. Wieczorem Patryk odwiedził na chwilę Koralię, po czym około 9.00 udał się do swego pokoju, który znajdował się trochę dalej, lecz po tej samej stronie.

Był to pokój, który służył przedtem Essares-Beyowi za palarnię.

Ponieważ Patryk nie spodziewał się ataku przed północą, więc w oczekiwaniu skutków swego planu usiadł przy biurku i wydobywszy zeszyt, począł od początku, systemem dziennika, spisywać przebieg i szczegóły tych dziwnych wypadków.

Pisał już ze 30-40 minut i właśnie miał zamknąć notatnik, kiedy wydało mu się, że słyszy lekki szmer, niemożliwy do usłyszenia gdyby nie to, że nerwy jego napięte były teraz w najwyższym stopniu. Szmer ten pochodził od strony okna, z zewnątrz. Przypomniał sobie nagle dzień, kiedy strzelano do Koralii i do niego, ale tym razem okno nie było otwarte ani nawet uchylone.

Począł więc dalej pisać, nie odwracając nawet głowy, by nie dać poznać po sobie, że uwaga jego jest pobudzona. Patryk bezwiednie pisał

to, co właśnie odczuwał w tej chwili:

„Jest tam i patrzy na mnie. Co zamierza uczynić? Nie sądzę, by miał

strzaskać szkło szyby i wypalić do mnie z rewolweru. To rzecz nie bardzo pewna i raz już mu się nie

udała. Nie, musi mieć inny plan, trochę sprytniejszy. Myślę, że czyha na chwilę, w której się położy, zaczeka, aż zasną, i wtedy dopiero wejdzie. Którędy? Tego nie wiem.

Tymczasem odczuwam prawdziwą rozkosz, mając go tuż, tuż, prawie obok siebie. Nienawidzi mnie, ja jego też; te nasze nienawiści spotykają się ze sobą niby dwie szpady, szukające się i krzyżujące nawzajem. Patrzy na mnie, jak dziki zwierz, ukryty w gąszczach. Patrzy na zdobycz i obiera miejsce, w które zapuści szpony. Lecz ja wiem, że to on jest tą zdobyczą, skazaną na porażkę i zagładę. Przygotowuje nóż albo czerwony sznurek. Te dwie ręce zakończą walkę. Silne są już i szybkie, a będą nieubłagane..."

Patryk zamknął biurko. Potem zapalił papierosa, zaciągając się z największym spokojem. Następnie rozebrał się, złożył starannie swoje ubranie, przewiesił je na poręczy krzesła, nakręcił zegarek, położył się, zgasił światło elektryczne.

- Nareszcie się dowiem - myślał sobie. - Dowiem się, kim jest ten człowiek. Czy to przyjaciel Essaresa? Kontynuator jego dzieła? Ale skąd ta nienawiść do Koralii? Musi ją kochać, skoro chce dosięgnąć i mnie też? Dowiem się... dowiem się.

Tymczasem minęła godzina, a potem druga i nic się nie zdarzyło.

Tylko raz rozległo się skrzypnięcie w okolicy biurka. Lecz był to zapewne trzask suchego drzewa, jaki się nieraz słyszy w ciszy nocnej.

Patryk począł powoli tracić nadzieję, która podtrzymywała go. W

gruncie rzeczy zdawał sobie sprawę z tego, że cała komedia śmierci Koralii nie była dobrze obmyślona, że człowiek tego rodzaju, jakim był

nieznany wróg, nie da się tak łatwo oszukać.

Zbity tym z tropu, już miał zasnąć, kiedy znowu lekki szmer dał się słyszeć w tym samym miejscu.

Żądza czynu nie dała mu uleżeć spokojnie w łóżku. Zerwał się.

Zaświecił światło. Wszystko było na pozór w tym samym porządku.

Żadnego śladu czyjej obecności.

Nie ma rady - rzekł do siebie Patryk. - Stanowczo jestem od niego słabszy. Widocznie odgadł moje zamiary i zwęszył, że zastawiam nań pułapkę. Śpijmy, tej nocy nic się nie zdarzy.

118

I istotnie noc przeszła spokojnie.

Nazajutrz Patryk, badając okno, zauważył, że na zewnątrz, wzdłuż całej ściany fasady biegł od strony ogrodu na wysokości parteru kamienny gzyms, dość szeroki, by człowiek, trzymając się krawędzi

balkonu i okien, mógł przejść po nim. Belval obszedł wszystkie pokoje z oknami wychodzącymi na ten gzyms. Jeden z nich był pokojem starego Symeona.

- Czy Symeon wychodził? - zapytał kapitan dwóch żołnierzy, stojących na straży.

- Zapewne nie, panie kapitanie. W każdym razie myśmy mu drzwi nie otworzyli.

Patryk wszedł i nie zwracając uwagi na starego, trzymającego w ustach, jak zwykle, wygasłą fajkę, przeszukał cały pokój z myślą, że mógł służyć za schronienie nieprzyjacielowi. Nie znalazł nikogo. Ale w jednej z szafek ściennych zauważył ukryte przedmioty, których nie było tam, kiedy z Desmalionsem rewidowali ten pokój. Były to: drabina sznurowa, rulon rur ołowianych, jakby przeznaczonych na gaz, i mała maszynka do lutowania.

Wszystko to jest diablo podejrzane - myślał Patryk. - Jakim sposobem te przedmioty tu się znalazły? Czyżby Symeon przyniósł je bez żadnego celu, bezmyślnie? Czy mam przypuszczać, że Symeon jest tym ślepym narzędziem wroga? Zanim stracił rozum, znał tego człowieka i dziś jeszcze jest pod jego wpływem.

Symeon siedział w oknie, odwrócony do niego plecami. Patryk zbliżył się do niego i drgnął. Starzec trzymał w ręku wieniec z czarnych i białych pereł oznaczony datą: 14 kwietnia 1915. Był to dwudziesty z rzędu wieniec, jaki Symeon miał złożyć na grobie dwójki zmarłych przyjaciół.

- Złoży go na grobie - rzekł głośno Patryk. - Instynkt przyjaciela i mściciela, jaki go prowadził przez całe życie, wiedzie go i nadal, nawet poprzez obłąd. Położysz go na grobie, nieprawdaż, Symeonie?

Zaniesiesz go jutro, bo jutro jest 14 kwietnia, uświęcona rocznica.

Patryk pochylił się nad starcem, nad tym niepojętym człowiekiem, w którym spotykały się, jak na skrzyżowaniu dróg, wszystkie intrygi: dobre i złe, życzliwe i perfidne, wszystkie, jakie składały się na ten niewyjaśniony dramat.

Symeon, sądząc, że chcą mu wieniec odebrać, przycisnął go do piersi gwałtownym ruchem.

119

- Nie bój się - rzekł Patryk. - Zostawiam ci go. Do jutra, Symeonie.

Do jutra. Koralia i ja stawimy się niezawodnie na oznaczonym przez ciebie miejscu i jutro może wspomnienie strasznej przeszłości rozjaśni twój biedny umysł.

Dzień ten wydał się Patrykowi niezmiernie długi. Pragnął jak najszybciej dotrzeć do jakiegoś jaśniejszego punktu, rozpraszającego otaczające go ciemności. Może właśnie z okazji tej rocznicy, dnia 14

kwietnia, zabłyśnie światło?

Pod koniec popołudnia przybył na ulicę Raynouard Desmalions i rzekł do Patryka:

- Patrz pan, co otrzymałem, dość osobliwe... anonimowy list, skreślony zmienionym piśmem. Proszę posłuchać: *Mój Panie! Ostrzegam pana, że złoto wywiozq. Proszę uważać.*

Jutro wieczorem 1800 worków złota znajdzie się w drodze za granicę Przyjaciel Francji.

- A jutro właśnie jest czternasty kwietnia - powiedział Patryk, który zaraz zauważył tę okoliczność.

- Tak, a dlaczego ta uwaga?

- Ach, nic! Przyszło mi to tylko tak na myśl. - Już miał ochotę powiedzieć Desmalionsowi o wszystkim, co dotyczyło daty 14 kwietnia i wszystko, co odnosiło się do osoby tajemniczego Symeona. I jeśli tego nie uczynił, to chyba dlatego, że miał jakieś ukryte plany; a może dlatego, że sam chciał tę sprawę doprowadzić do końca; a może dla jakiejś przesadnej delikatności i wstydlivosti, która nie pozwalała podzielić się z panem Desmalionsem wszystkimi sekretami przeszłości.

Przemilczał zatem te szczegóły i zapytał:

- I cóż z tym listem?

- Sam nie wiem, co o tym myśleć. Czy to naprawdę ostrzeżenie, czy też tylko zasadzka, by nam poddać taką myśl? Rozmówię się z Bournefem.

- A z tej strony nic nowego, nic specjalnego?

- Nie i niczego więcej się nie spodziewam. Alibi, jakiego nam dostarczył, odpowiada prawdzie. On i jego towarzysze to tylko statyści, których rola już skończona.

120

Z całej tej rozmowy Patryk zatrzymał w pamięci tylko jeden fakt: dziwny zbieg dat. Dwie drogi, którymi w tej sprawie kierowali się obaj, Desmalions i on sam, łączyły się nagle tego samego dnia, wskazanego niepojętym jakimś przeznaczeniem. Miały się spotkać przeszłość i przyszłość. Rozwiązanie zbliżało się niezawodnie. Był to ten sam dzień 14 kwietnia, w którym złoto miało zniknąć na zawsze, ten sam dzień pamiętny, w którym nieznaną głosem naznaczył spotkanie Patryka i Koralii. Ten sam dzień, w którym dwadzieścia lat temu ich rodziców spotkał straszny los.

Następnego dnia był właśnie 14 kwietnia.

Już o godzinie 9.00 z rana Patryk zapytał o starego Symeona.

- Wszedł, panie kapitanie - odpowiedziano mu. - Zniósł pan kapitan przecież rozkaz trzymania go w zamknięciu.

Patryk wszedł do pokoju Symeona i począł szukać wieńca. Nie było go już. Lecz brakło też i drabinki linowej, rur i maszyny do lutowania.

Patryk zapytał:

- Czy Symeon niczego ze sobą nie brał?
- Owszem, panie kapitanie, niósł wieniec.
- Nic poza tym?
- Nie, panie kapitanie.

Okno w pokoju Symeona było otwarte. Patryk nabrał przekonania, że reszta przedmiotów znikła tą drogą; przypuszczenie, że staruszek nieświadomie współdziałał z wrogiem, stawało się tym samym coraz bardziej pewnością i nabierało wagi.

Około 10.00 Koralia zastała kapitana w ogrodzie. Patryk krótko objaśnił ją o ostatnich wypadkach. Młoda kobieta zbladła i zaniepokoiła się bardzo.

Obeszli wkoło klomby, gęstwinę krzewów i niepostrzeżeni przez nikogo, zbliżyli się ku bocznym drzwiom, wiodącym w uliczkę. Patryk otworzył te drzwi.

W chwili otwierania drugiej bramy Patryk zatrzymał się, jakby przez chwilę się wahał. Żałował, że nie zawiadomił Desmalionsa i że się wybrał sam z Koralią na tajemnicze spotkanie, które, sądząc z pewnych znaków, mogło być nawet niebezpieczne. Lecz starał się otrząsnąć z tego wrażenia, bo wszak wziął ze sobą dwa rewolwery.

Czego miałby się obawiać?

- Wejdziemy tam, Koralio?
- Tak - odparła Koralia.
- A jednak wydajesz się niezdecydowana i pełna obaw.

121

- To prawda - szepnęła młoda kobieta. - Mam dziwne jakieś uczucie...

- Dlaczego? Boisz się może?

- Nie... a raczej: tak... Nie boję się o dzień dzisiejszy, ale jakby o to, co było kiedyś. Myślę o mojej biednej matce, która, jak ja, pewnego kwietniowego dnia przekroczyła te drzwi. Taka była szczęśliwa, wiodła ją tam miłość, na której spotkanie szła. I mam teraz uczucie, jak gdyby mnie chciała zatrzymać i zawołać: „Nie idź tam... śmierć czeka tam na ciebie... trzymaj się...” Ten okrzyk przerażenia - ja go słyszę... brzmi mi w uszach. I dlatego nie śmiem iść dalej... boję się...

- Zawróćmy więc, Koralio!

Chwyciła go za rękę i już silniejszym głosem zawołała:

- Idźmy! Pomodłę się. Modlitwa dobrze mi robi. - Odważnie weszła na ścieżkę ogrodu, tę samą drożynę, którą kiedyś szła jej matka, ścieżynę zarosłą już dziś chwastami, przysłoniętą rozrośniętymi gałęziami i okiściami drzew. Pawilon pozostał w tyle na lewo, oni zbliżyli się do zielonego krużganka, gdzie pośrodku spoczywały prochy ich rodziców, i zaraz na pierwszy rzut oka spostrzegli, że dwudziesty już z rzędu wieniec leżał na mogile.

- Symeon już tu był - rzekł Patryk. - Instynkt silniejszy jest nad wszystko. Zmusił go do przybycia tu. Zapewne jest gdzieś w pobliżu.

Koralia uklękła tymczasem do modlitwy, a Patryk poszedł wokół

grobu szukać starca i przeszedł prawie z pół ogrodu. Ale Symeona nigdzie nie spotkał.

Wobec tego nie pozostało im nic innego, jak tylko przetrząsnąć pawilon.

Był to krok wyraźnie trudny, starali się odwlec go na później, bo przejmował ich, jeżeli nie strachem, to w każdym razie jakimś uczuciem lęku i tajemnej trwogi, jaka ogarnia człowieka na miejscu śmierci i zbrodni.

I znowu Koralia była tą, która dała hasło do czynu.

- Wejdźmy - rzekła.

Patryk nie wiedział jeszcze, w jaki sposób dostaną się do pawilonu, którego okna i drzwi wydawały się szczelnie zamknięte. Ale kiedy zbliżyli się ku niemu, spostrzegli, że drzwi na dziedziniec były szeroko otwarte i pomyśleli, że Symeon czeka na nich wewnątrz budynku.

122

Była punktualnie 10.00, kiedy przekroczyli próg pawilonu. Z

małego przedsionka drzwi wiodły z jednej strony do kuchni, z drugiej strony do pokoju.

Naprzeciw musiał być największy pokój. Drzwi do niego były uchylone. Koralia szepnęła:

- To tam zapewne musiało się to stać wtedy...

- Tak - rzekł Patryk. - Tam znajdziemy Symeona. Ale, Koralio, jeżeli nie masz odwagi, lepiej zaniechajmy tego.

Jakaś wielka wewnętrzna moc promieniowała z młodej kobiety. Nic już nie mogło jej powstrzymać. Szła naprzód bez zastanowienia.

Wzruszenie jej wzrastało przy każdej natrafionej pamiątce. Cała drżąca, oparła się na ramieniu Patryka.

Pokój, choć obszerny, przez sposób umeblowania czynił wrażenie przytulne i zaciszne.

Miękkie fotele, kozetki, dywany i draperie tworzyły z tego pokoju prawdziwe gniazdko i wydawało się, jakby się w nim nic nie zmieniło od chwili tragicznej śmierci tych, którzy go przed dwudziestu laty zamieszkiwali. Pokój czynił wrażenie raczej artystycznej pracowni z powodu okna, umieszczonego w suficie, nad którym znajdowała się wieżyczka z widokiem na okolicę; z tego też otworu spływało słoneczne światło. Były tam wprawdzie dwa boczne okna, ale przesłonięte ciężkimi firanami.

- I tu nie ma Symeona - powiedział Patryk.

Koralia nic nie odpowiedziała. Oglądała przedmioty znajdujące się w pokoju, a na jej twarzy malowało się wielkie wzruszenie. Znajdowały się tam książki, wszystkie z zeszłego jeszcze stulecia. Niektóre z nich nosiły na żółtych lub niebieskich okładkach napis ołówkiem: „Koralia”.

Były tam także nie dokończone kobiece robótki, hafty, roboty na kanwie. Z jednej z nich zwisała jeszcze igła, nawleczona kolorową włóczką. Znajdowały się również książki z podpisem: „Patryk”. Obok leżało pudełko z cygarami, teczka na listy, piórnik i kałamarz. Były też dwie małe fotografie w ramkach, przedstawiające dwoje małych dzieci:

„Patryka i Koralie”.

Tak przed ich oczami przesunęło się całe to przeszłe życie, nie tylko życie dwojga kochanków związanych silnym, trwałym uczuciem, ale i życie dwojga istot, odnajdujących siebie w pokoju i w ciszy, i w pewności długiego wspólnego bytu.

- O matko, moja matko - szeptała Koralia.

Wzruszenie jej wzrastało za każdym razem, ilekroć napoty-123

kała na jakąś pamiątkę. Opierając się na ramieniu Patryka, drżała cała.

- Wyjdźmy już stąd - odezwał się Patryk.

- Tak, tak, mój przyjacielu, wyjdźmy. Tak będzie lepiej. Wrócimy tu... wrócimy do nich... podejmiemy tę serdeczną nić ich przerwane go życia. Chodźmy, nie mam już więcej sił.

Ale zaledwie uczynili kilka kroków z powrotem, przystanęli zdmieni. Drzwi były zamknięte.

Oczy ich spotkały się pełne niepokoju.

- Myśmy nie zamykali tych drzwi, prawda? - rzekł Patryk.

- Nie - odparła. - Nie zamykaliśmy ich.

Belval zbliżył się, by otworzyć drzwi, lecz spostrzegł, że nie było w nich ani klamki ani klucza.

Były to drzwi pojedyncze, grube, ciężkie: czyniły wrażenie, jakby wyciosane były z jednej deski, wyciętej z samego serca pnia stuletniego dębu. Gładkie, bez politory, bez lakieru; w niektórych miejscach widać było jakby znaki uderzeń jakichś narzędzi.

Wreszcie po prawej stronie ujrzeli kilka słów nakreślonych ołówkiem: „Patryk i Koralia, 14 kwietnia 1895. Bóg pomści nas”

A pod tym krzyżem, a pod krzyżem inna data, ale napisana inną ręką i zupełnie świeża: „14 kwietnia 1915”.

- 1915... 1915.

..-wyrzekł Patryk. - To okropne. Data dzisiejsza.

Kto to napisał? To jest świeżo napisane! Ależ to straszne... czyżby nie...

a myśmy tu przecież... - Rzucił się ku jednemu z okien i ruchem ręki odsunął firanki, i otworzył okiennice.

Z piersi wydarł mu się okrzyk.

Okno było zamurowane. Zamurowane wielkimi kamieniami, umieszczonymi między szybą, a zewnętrznymi okiennicami.

Pobiegł do drugiego okna: ta sama przeszkoda.

Było tam jeszcze dwoje drzwi, jedno na prawo, wiodące zapewne do pokoju, a drugie do gabinetu, przylegającego do kuchni. Patryk szybko rzucił się, ku nim.

Na próżno! Nie poruszyły się. Czyniły wrażenie niewzruszonej bryły. Wtedy spojrzeli na siebie z przerażeniem. Jedna i ta sama straszliwa myśl owładnęła nimi. Ta rzecz sprzed laty powtarzała się teraz.

Dramat rozpoczyna się na nowo w podobnych warunkach. Po matce i ojcu przyszła kolej na córkę i na syna. Tak jak dawni kochankowie, tak też i ci obecni znaleźli się w potrzasku. Nieubła-124

gany wróg trzymał ich w potężnych szponach. I teraz zapewne dowiedzą się, w jaki sposób zginęli ich rodzice, umierając taką samą śmiercią... 14 kwietnia 1895 - 14 kwietnia 1915.

Część II Zwycięstwo Arsene Lupina

Groza

- Ależ nie, nie - zawołał Patryk - to niepodobna.

Rzucił się w stronę okien. Pochwycił żelazny hak z kominka i uderzał nim w okiennice, to znów w kamienie muru. Próżne wysiłki!

Tych samych używał daremnie jego ojciec, czyniąc te same rysy i szczyrby w kamieniach muru i w okiennicach.

- Ach, mateczko Koralio - wołał z rozpaczą - to moja wina.

W jakąż to otchłań wciągnąłem cię! Ależ było szaleństwem chcieć walczyć samemu. Trzeba było wezwać na pomoc ludzi, którzy mogli nam pomóc! Ale ja sądziłem, że sam podołam temu... Wybacz mi, Koralio!

Młoda kobieta osunęła się na fotel. Patryk niemal na klęczkach, otaczając Koralie ramieniem, prosił ją o przebaczenie. Aby go uspokoić, Koralia uśmiechnęła się i rzekła łagodnie:

- Nie traćmy odwagi, przyjacielu. Być może, że się mylimy... może to wszystko, co widzimy, jest tylko dziełem przypadku.

- A ta data? - rzekł kapitan. - Data tego roku, data dnia dzisiejszego, nakreślona obcą ręką! Tamtą wypisali nasi rodzice, Koralio, ale ta... ta?... czy nie okazuje się najwyraźniej, że to zostało zrobione z premedytacją i że jakaś nieubłagana siła chce naszej śmierci?

Koralia drgnęła. Chcąc jednak Patrykowi dodać otuchy, szepnęła:

- Być może. Ale może nie będzie tak źle. Mamy wprawdzie wrogów, ale mamy też i przyjaciół... oni nas odszukają...

- Będą szukali, ale czy zdołają nas tu odnaleźć? Uczyniliśmy wszystko, by się nikt nie dowiedział, dokąd idziemy. Przy tym nikt nie zna tego domu.

- A stary Symeon?

- Symeon przyszedł tu, złożył swój wieniec, lecz razem z nim przyszedł i ten, który go opanował i który może teraz usunąć go z drogi.

- A więc, Patryku?

Zauważył jej wzruszenie i zawstydził się z powodu swej słabości.

- A więc czekajmy - rzekł opanowując się. - Ostatecznie możliwe i to, że atak wcale się nie rozpocznie. Fakt, że jesteśmy zamknięci, nie znaczy, że jesteśmy już zgubieni. Wreszcie, będziemy walczyli. Nie myśl, że nie mam już sił ani środków. Rzeczą najważniejszą jest zbadać, czy nie ma tu jakiegoś wejścia, które by umożliwiło niespodziewany napad nieprzyjacielski.

Po godzinnym poszukiwaniu nie znaleźli niczego. Ściany były wszędzie jednolite i przy uderzeniu odzywały się tym samym dźwiękiem. Pod dywanem, który odsunęli, prostokąty posadzki nie zdradzały niczego nienormalnego.

Stanowczo nie było żadnego innego wejścia jak drzwi. Ponieważ zaś nie mogli przeszkodzić, by je z zewnątrz otworzono, gdyż otwierały się do wnętrza, zastawili je więc meblami, pozsuwanymi z całego pokoju i zrobili z nich rodzaj barykady, uniemożliwiającej wszelką niespodziankę z tej strony. Następnie Patryk nabił obydwa rewolwery i położył je przy sobie.

- W ten sposób - rzekł - możemy być spokojni. Jakikolwiek nieprzyjaciel się zjawi, położę go trupem.

Lecz wspomnienia przeszłości ciążyły im. Każde ich słowo i każdy czyn były już wykonane i wypowiedziane niegdyś przez innych, w analogicznych okolicznościach. Przenikały ich wtedy chyba te same myśli i ta sama obawa. Ojciec Patryka zapewne także przygotował broń, a matka Koralii też zapewne szukała ulgi w modlitwie. Oboje zabarykadowali drzwi i pospołu przeszukiwali ściany i podnosili dywany. Grozę ich potęgowało wspomnienie grozy, przeżytej przez tamtych dwoje!

By od siebie odpędzić te straszne myśli, przeglądali książki, broszury, które kiedyś czytali ich rodzice. Na niektórych stronach, pod koniec rozdziałów i pod koniec tomów, nakreślone były słowa i zdania, jakie ojciec Patryka i matka Koralii pisywali do siebie:

„Mój Patryku kochany, przybiegłam tu dziś rano, by raz jeszcze przeżyć wczorajsze nasze godziny życia i te, które czekają nas jutro.

Ponieważ będziesz tu przede mną, przeczytasz te słowa. Przeczytasz, że cię Kocham...”

A na innej znów książce:

„Najukochańsza moja Koraliu!

Odeszłaś przed chwilą. Nie zobaczę cię, dopiero jutro. Nie mogę jednak odejść stąd, z tego zakątka, gdzie nasza miłość tyle

nam dała szczęścia i radości, by ci raz jeszcze jeden wśród tylu razy...”

Przeglądali większą część książek, ale nie znaleźli tam żadnych wskazówek, prócz słów miłości i tęsknoty.

Tak minęły z górą dwie godziny pełne niepokoju i oczekiwania.

- Nie - rzekł Patryk. - Nic się nie stanie. To właśnie jest najgorsze i oznacza, że jesteśmy skazani, by

stąd nie wyjść więcej. A wtedy...

Koralia zrozumiała konkluzję rozumowania Patryka. Przed oczyma stanęła im wizja głodowej śmierci. Wtem Patryk zawołał:

- Nie, nie! Tego nie potrzebujemy się obawiać! Nie. Na to, byśmy oboje, ludzie młodzi, umrzeć mieli z głodu, trzeba kilku dni, trzech, czterech dni i więcej. Tymczasem nadejdzie pomoc.

- A w jaki sposób? - zapytała Koralia.

- W jaki? Przez naszych żołnierzy. Przez Ya-Bona, przez Desmalionsa. Oni będą zaniepokojeni naszą nieobecnością, skoro nie wrócimy do nocy.

- Sam wszakże mówiłeś, że nie wiesz, gdzie jesteśmy, Patryku?

- Dowiedzą się. To łatwo: wąska uliczka tylko dzieli obydwie domy, a zresztą wszystko, co zaszło i cośmy zrobili, zapisywałem w dzienniczku, znajdującym się w biurku w moim pokoju. Ya-Bon wie o istnieniu tego dzienniczka i nie omieszka powiedzieć o tym panu Desmalionsowi. A wreszcie... wreszcie jest jeszcze Symeon... Cóż się z nim mogło stać? Czy nie spostrzeżono, co robił? Czy nie da jakiegokolwiek wskazówki?

Ale wszystkie te słowa nie zdołały ich uspokoić. Jeśli nie mieli umrzeć z głodu, nieprzyjaciel wymyślił dla nich zapewne inną jakąś męczarnię. Dręczyła ich bezczynność. Patryk rozpoczął na nowo poszukiwania.

Otworzywszy jedną z książek dotąd nieprzeglądniętych, a pochodzącą z roku 1895, Patryk spostrzegł dwie kartki zagięte razem.

Rozłączył je i przeczytał następującą notatkę, zaadresowaną doń przez ojca:

„Patryku, synu mój! Jeżeli kiedykolwiek przypadek przywiedzie ci przed oczy te słowa, będzie to dowodem, iż śmierć gwałtowna nie pozwoliła mi wymazać ich. Wtedy, synu mój, staraj się

odszukać prawdę o mojej śmierci. Szukaj na ścianie między dwiema ściankami w pracowni. Może zdążę tam jeszcze coś napisać”.

A więc w chwili tej obie ofiary przeczuwały już swój tragiczny los, jaki zgotowano im. Ojciec Patryka i matka Koralii, wchodząc do tego pawilonu, znali niebezpieczeństwo, jakie im groziło.

Należało jeszcze stwierdzić, czy ojciec zdołał wykonać zamiar.

Pomiędzy dwoma oknami, jak i wzdłuż ściany dokoła pokoju, była na wysokości dwóch metrów umocowana karniszami drewniana sztukateria. Powyżej były zwykłe bielone ściany. Patryk i Koralia spostrzegli byli już przedtem, nie zwracając na to zbytnej uwagi, że w jednym miejscu drzewo sztukaterii było odświeżone, bo kolor polityry nie był jednolity. Patryk pogrzebaczem oderwał kawał gzymsu i podważył pierwszą deskę.

Z łatwością ją odłamał i na gołym murze dojrzał kilka zapisanych linii.

- To zwyczaj starego Symeona: pisać po ścianie i pokrywać to następnie drzewem lub tynkiem.

Oderwał jeszcze kilka innych desek i tym sposobem odkrył jeszcze kilka linii, nakreślonych pośpiesznie ołówkiem i mocno już nadwerężonych zębem czasu.

Z jakimże wzruszeniem odczytywał Patryk te słowa. Słowa, nakreślone przez ojca w chwili, kiedy śmierć krążyła już wokół niego.

W kilka godzin później ojciec już nie żył. Było to więc świadectwo jego agonii, a może przekleństwo rzucone wrogowi, który zamordował go wraz z ukochaną kobietą.

Patryk czytał półgłosem:

„Piszę te słowa, aby złoczyńca nie mógł spełnić planu do końca i aby go spotkała kara. Zapewne oboje umrzemy tu, Koralia i ja, ale przyczyna naszej śmierci nie pozostanie nieznana. Przed kilku dniami powiedział morderca Koralii:

«Odpychasz moją miłość i nienawidzisz mnie. Zabiję was, ciebie i twojego kochanka, a zabiję w ten sposób, że nikt nie posądzi mnie o spowodowanie waszej śmierci, która będzie nosiła cechy samobójstwa.

Wszystko przygotowałem. Strzeż się, Koraliu!»

I rzeczywiście, wszystko było przygotowane. Nie znał mnie wcale, ale zapewne wiedział, że Koralia tu się codziennie ze mną spotykała. I tu, w tym pawilonie przygotował nam mogiłę.

132

Jaką będzie nasza śmierć? Nie wiemy tego. Umrzemy z głodu zapewne. Oto od czterech godzin jesteśmy zamurowani. Drzwi się za nami zamknęły, drzwi ciężkie, które zapewne dopiero tej nocy umieścił

tu. Wszystkie inne otwory, drzwi i okna zawalone są bryłami kamieni i zacementowane zostały w czasie ostatniej naszej nieobecności.

Ucieczka jest niemożliwa. Cóż się z nami stanie?"

Tu kończyła się odsłonięta część muru. Patryk powiedział:

- Widzisz, Koraliu, oni przeszli to samo. I oni też znali te długie godziny straszliwego wyczekiwania i bolesnej bezczynności. Pisali te słowa na murze, spodziewając się - jak się też stało - że ten, który będzie miał ich zabić, nie będzie czytał tych słów wyznania. Widzisz, okno to było zasłonięte jedną tylko firanką, czego dowodem jeden tylko pręt żelazny, znajdujący się w tym miejscu. Po śmierci naszych rodziców nikt nie pomyślał o zdjęciu tej zasłony, za którą ukryta była prawda... aż do dnia, w którym odkrył ją stary Symeon i w przezorności ukrył to pod drewnianą sztukaterią i umieścił dwie

firanki zamiast jednej. W ten sposób wszystko wydawało się na swoim miejscu.

Patryk na nowo zaczął szukać dalej. Znowu ukazało się kilka linii:

„Ach! Gdybym to tylko ja sam miał cierpieć, sam tylko umierać!

Ale to najstraszniejsze, że wciągnąłem w to najukochańszą moją Koralię. Przed chwilą omdlała, a teraz spoczęła, obezwładniona przerażeniem i grozą. Biedna, kochana moja. Zdaje mi się, że w tej słodkiej twarzy widzę już bladość śmierci. Wybacz mi, wybacz, kochana moja”.

Patryk i Koralia spojrzeli po sobie. Były to te same uczucia, jakie żywili, te same skrupuły, ta sama subtelność i to samo zapomnienie siebie wobec cierpienia drugiej istoty.

- Ojciec mój kochał twoją matkę tak, jak ja kocham ciebie -

szeptął Patryk. - I mnie śmierć niestraszna. Tyle już razy patrzyłem spokojnie jej w oczy, lecz ty Koraliu, ty, dla której zniosłbym wszystkie udręki...

Zaczął chodzić po pokoju. Gniew go unosił.

- Przysięgam ci, Koraliu, że cię ocale. O, jakaż to będzie radość, kiedy się potem zemszczę na nim! Spotka go ten sam los, jaki nam chciał zgotować, słyszysz, Koraliu. Tu w tym pawilonie umrze... tak tu, całą moją nienawiść wywrę na nim. - Patryk

133

oderwał znowu kawałek deski, ufny, że znów znajdzie i dowie się czegoś, co by mu mogło być pożyteczne, skoro walka rozegrać się miała w tych samych warunkach. Ale słowa, które potem przeczytał, podobne były do tych, jakie przed chwilą sam wypowiedział.

„Koralio! Będziesz pomszczona! Jeśli nie przez nas tu, to przez sprawiedliwość boską. Nie, nie, ten jego szatański plan nie uda mu się.

Nikt nie uwierzy, żeśmy popełnili samobójstwo, my, dla których życie było szczęściem i radością. Zbrodnię jego odkryją. Zostawię tu niezaprzeczalne dowody! ”

- Słowa! Słowa tylko! - wykrzyknął zrozpaczony Patryk. - Słowa groźby i bólu, ale żadnego faktu, żadnej wskazówki dla nas... Ojciec mój! Czy nic mi nie powiesz, by oswobodzić córkę twojej Koralii. Jeśli twoja Koralia zginęła, niechże moja ocaleje, dzięki tobie, ojciec! Pomóż mi! Poradź mi!

Ale ojciec nie odpowiadał synowi, jak tylko podobnymi słowami rozpacz i wołania o pomoc:

„I któż nas tu oswobodzi? Żywce jesteśmy pogrzebani w tym grobie i skazani na mękę bez możliwości obrony. Mam tu przy sobie na stole rewolwer, ale na co mi on potrzebny? Nieprzyjaciel nie atakuje mnie. On ma za sobą czas - nieubłagany czas, który zabija tą właśnie siłą, która w nim jest i którą nazywamy czasem.

"Któż nas ocali? Któż uratuje kochaną moją Koralię?"

Okrutne przerażenie, którego grozę tragiczną sami odczuwali na sobie.

Zdawało im się, że sami już raz byli umarli. Że to, co przeżyli tamci, oni przeżywają raz jeszcze w tych samych warunkach, że nic nie może ich uchronić, że przejść muszą te same męczarnie i wszystkie fazy udręki, jaką przeszli ich rodzice. Analogia ich przeznaczeń polegała na tym, że po raz drugi cierpieli tym samym cierpieniem i przechodzili jakby drugi akt konania.

Koralia, zmęczona, wybuchła płaczem. Patryk, wzruszony widokiem jej łez, rzucił się zapalczywie do odrywania resztek sztukaterii, która wzmocniona poprzeczną belką, stawiała teraz większy opór.

W końcu Patryk przeczytał:

„Co to jest? Mamy wrażenie, jakby ktoś chodził po ogrodzie przed domem. Tak, przyłożywszy ucho do zamurowanego okna, zdaje nam się, że słyszymy czyjeś kroki. Czy to możliwe? Gdyby 134

to było prawdą? Byłoby to nareszcie rozpoczęciem walki... wszystko wszak lepsze, niż to milczenie zabijające i ta niepewność, która nie ma końca.

Tak, to prawda!... to prawda!... coraz wyraźniejszy szmer...

przyłączył się doń inny, tak jakby ktoś kopał dół w ziemi. Tak, ktoś kopie ziemię, ale nie od frontu domu, ale na prawo, z boku, przy kuchni".

Patryk podwoił siły, Koralia zbliżyła się i pomagała mu. Tym razem wiedzieli, że dowiedzą się czegoś pewnego, że uchylą rąbek tajemnicy.

Szereg zapisanych słów ciągnął się dalej:

„Minęła jeszcze godzina, przerywana tajemniczym szmerem, potem znowu ta sama cisza... Znowu szmer rozkopywania ziemi i znów cisza, z której wyczuwa się jednak, że ktoś pracuje nadal.

A potem ktoś wszedł do przedsionka. Jedna osoba tylko... zapewne on... chodzi, nie przytłumiając nawet odgłosu swych kroków...

skierował się do kuchni, w której nadal kopał, jak poprzednio motyką, ale tym razem uderzał o kamień. Słyszeliśmy hałas druzgotanych płyt.

A teraz - wrócił do ogrodu... teraz już inny szmer, który, zdaje się, idzie w górę wzdłuż ścian domu, jakby ten nędznik zmuszony był

wchodzić na górę, by wykonać plan".

Patryk przestał czytać, spojrzął na Koralię; oboje nadśluchiwali.

- Czy słyszysz? - zapytał kapitan cicho.

- Tak, tak - odparła - słyszę kroki przed domem, przed domem lub w ogrodzie...

Oboje zbliżyli się ku zamurowanemu oknu, którego okiennice były otwarte aż po mur z kamieni, i nadśluchiwali.

Ktoś chodził istotnie... Odgadując kroki wroga, doznawali tego samego uczucia ulgi, co i ich rodzice.

Ktoś okrążył dom dwa razy. Potem upłynęło kilka chwil ciszy, a potem nagle inny szmer, a mimo że oczekiwali go, szmer ten wstrząsnął

nimi do głębi. Patryk powtórzył głucho słowa, nakreślone przez ojca przed dwudziestu laty:

„To jest odgłos kopania dołu w ziemi”.

Tak, było to istotnie kopanie w ziemi. Ktoś kopie ziemię, nie od frontu domu, lecz na prawo, z boku, od strony kuchni.

A zatem znowu powtarzał się ten osobliwy dramat. I znowu te same fakty, fakty same w sobie zwykłe, ale jednak straszliwe, bo 135

miały miejsce już kiedyś, dawniej, i zwiastowały przygotowywaną śmierć. W ten sam sposób już raz ją obwieszczono i przygotowano.

Minęła godzina. Praca trwała z przerwami dalej. Można było sądzić, że kopano grób. Grabarzowi nie spieszy się. Wypoczywa, to znów wraca do pracy.

Patryk i Koralia stoją, trzymając się za ręce. Słuchają, spoglądając na siebie.

- Zatrzymał się - rzekł półgłosem Patryk.

- Tak - odparła - ale zdaje mi się...

- Tak, Koralio, wchodzi do sieni... ach, nie trzeba nam nadśluchiwać... Wystarczy tylko... przypomnieć sobie... patrz... „Zbliża się do kuchni i kopie, jak poprzednio, motyką, ale tym razem uderza o kamienie”, a potem...

- O! Koralio to ten sam hałas druzgotanych płyt.

Tak, były to wspomnienia, wspomnienia, które mieszały się z okropną rzeczywistością.

Przeszłość i terażniejszość tworzyły jedno. Przewidywali wypadki w chwili, kiedy naprawdę już realizowały się.

Wróg wrócił do ogrodu, a wtedy „znów inny szmer, który zdaje się, idzie w górę wzdłuż ścian domu, jakby ten nędznik zmuszony był

wchodzić na górę, by wykonać plan”.

A potem... potem, cóż się stanie? Nie myśleli już o odczytywaniu pisma na ścianie, a może i nie śmieli tego czynić. Cała ich uwaga skierowana była na tę robotę niewidzialną, nieuchwytną, wykonywaną za nimi i przeciwko nim, na tę pracę skrytą a nieprzerwaną; na ten plan tajemniczy, którego najmniejsze szczegóły były ułożone niby ruch zegarka i to już od lat dwudziestu!

Nieprzyjaciel wszedł do domu i usłyszeli szelest u dołu drzwi w pawilonie, szelest spowodowany gromadzeniem czegoś i wsuwaniem czegoś miękkiego. Następnie ten sam szelest w obydwóch bocznych pokojach, przy zamurowanych drzwiach i pomiędzy okiennicami zamurowanych okien... W końcu szelest na dachu.

Wzniesli oczy ku górze. Tym razem nie wątpili, że rozwiązanie sprawy jest bliskie. Dach tego pokoju miał w samym środku sufitu oszklony kwadrat; stamtąd jedynie spływało światło na pokój.

I stale dręczyło ich to samo pytanie. Cóż się stanie? Czy nie-136

przyjaciel ukaże im poprzez szyby tego okienka twarz swoją i czy się zdemaskuje nareszcie? Tymczasem praca na dachu trwała dość długo.

Wbijane haki wstrząsały cynkowymi płytami, jakie pokrywały dach od prawej strony domu aż po brzegi okienka.

Nagle okienko to, a raczej tylko część, jeden prostokąt - poruszyła ręka jakaś i lekko uchylila, wsuwając kawałek drewna tak, by okno zostało uchylone.

Nieprzyjaciel znów przechodził po dachu i zszedł w dół.

Takie rozczarowanie i taka żądza dowiedzenia się czegoś więcej ogarnęła Patryka, że rozpoczął znów odrywać ostatnie już kawałki desek sztukaterii i odczytywać koniec zapisków.

Wejście wroga, szelest u drzwi i zamurowanych okien, szmer na dachu, uchylenie okna - wszystko odbyło się wedle tego samego porządku i zapewne w tych samych odstępach czasu. Ojciec Patryka i matka Koralii odczuwali te same wrażenia. Przeznaczenie szło tymi samymi ścieżkami, takie same wykonywało ruchy, żeby zdążyć do tego samego celu.

Dalszy ciąg zapisków brzmiał:

„Wchodzi... wchodzi... oto znowu słysząc jego kroki na dachu, zbliża się do okienka... czy zajrzy?... czy zobaczymy jego twarz znieawidzoną?...” Nie wiemy tylko, jaka twarz nam się ukaże... nasi rodzice znali przynajmniej wroga...

- Wchodzi... wchodzi... - wyszeptała Koralia, tuląc się do Patryka.

Kroki nieprzyjaciela dały się istotnie słyszeć na pokrytym blachą cynkową dachu.

- Tak - rzekł Patryk - wchodzi, jak i wtedy, nie zmieniając porządku, w jakim postępował wtedy.

Koralia zadrżała na wspomnienie tego, który zabił jej matkę.

- To był on, nieprawdaż? - zapytała.

- Tak, to był on. Oto jego imię, nakreślone przez mego ojca.

Patryk obnażył prawie całość zapisków na murze. Zgiął się w pół i wskazał palcem:

- O, tu... czytaj to nazwisko... Essares... czy widzisz je? Oto ostatnie słowa, które mój ojciec napisał... czytaj Koralio:

„Essares, lufcik okna uchylono więcej - jakaś ręka je otworzyła i ujrzeliśmy... patrzył na nas z szyderczym śmiechem... nędznik...

Essares, Essares...

137

. Potem wsunął przez otwór okienka coś, co się zsunęło, opuściło i rozwinęło na środku pokoju na nasze głowy. Drabinka, linowa drabinka...

Nic nie rozumiemy, kołysze się tuż przed nami... w końcu spostrzegam... przypiął do ostatniego szczebla drabinki kartkę papieru...

a na tym skrawku papieru czytam, czytam słowa, pisane ręką Essaresa:

«Niech Koralia wyjdzie sama. Ocalę jej życie. Daję jej 10 minut do namysłu... jeśli zaś nie...»"

- Ach - zawołał Patryk, zrywając się - czyżby to samo miało się znów powtórzyć? A ta drabinka, ta drabinka linowa, jaką widziałem w szafce ściiennej starego Symeona?

Koralia nie spuszczała oka z lufcika okna, około którego słyhać było kroki. Nastąpiła chwila, w której ucichły. Patryk i Koralia nie wątpili, że nadeszła chwila decydująca i że oni także ujrzą wroga za chwilę...

- Któż to? - zapytał Patryk głucho, zmienionym głosem. Tylko trzech ludzi odtworzyć mogło tą złowrogą rolę, odegraną kiedyś przed laty. Dwóch z nich nie żyje: Essares i mój ojciec. A trzeci, stary Symeon, jest obłąkany. Czyżby to on w obłądnie prowadził dalej intrygę? Lecz jak można przypuszczać, żeby on naśladować mógł tak dokładnie. Nie, nie... to kto inny, tamten, który kieruje nim... a sam pozostaje ukryty w cieniu.

Uczuł na swym ramieniu kurczowo zaciśnięte palce Koralii.

- Cicho, oto on...

- Nie, nie - odparł Patryk.

- Tak, jestem tego pewna...

Przewidywała to, co się stać miało. I rzeczywiście, tak jak kiedyś lufcik okienka uchylono szerzej. Uchyliła go czyjaś ręka: i oto nagle ujrzeli czyjaś głowę, wsuwającą się do środka.

Była to głowa starego Symeona.

Nie zdziwiło ich to tak bardzo. Wszak od kilku tygodni wmieszany był w ich sprawę. Cokolwiek czynili, znajdowali go zawsze i wszędzie, spełniającego rolę tajemniczą i niezrozumiałą dla nich. Nieświadomy współwinowajca czy ślepa siła przeznaczenia? Mniejsza o to! Był tym, który działa niezamierzanie, atakuje, i tym, przed którym obronić się nie ma sposobu.

- Szaleniec... szaleniec - mamrotał Patryk.

138

Ale Koralia zaprzeczyła:

- A może nie jest szalony... to niemożliwe, by był szalony...

Koralia dygotała cała, wstrząsana nieustannym dreszczem.

A tam u góry ów człowiek patrzył na nich spoza żółtych okularów, a na twarzy jego nieruchomej nie widać było ani wyrazu nienawiści, ani zadośćuczynienia.

- Koralio! - rzekł Patryk cichym głosem - Chodź, chodź. - Lekko podtrzymując, zaprowadził ją do fotela. W istocie chciał, zbliżywszy się do stołu, na którym położył rewolwer, pochwycić go i wystrzelić.

Symeon nie poruszał się, podobny do jakiegoś demona zła, który przybył rozpętać wrogie żywioły. Koralia nie mogła uwolnić się od tego przykuwającego ją wzroku.

- Nie - szepnęła, jakby w obawie, by plan Belwala nie przyspieszył

strasznego końca. - Nie, nie trzeba...

Ale Patryk, bardziej od niej stanowczy, pochwycił rewolwer, zdecydował się w jednej chwili. Za momentalnym pociągnięciem cyngla nastąpił strzał.

Głowa u góry w okienku zniknęła.

- Ach, źle zrobiłeś —. zawołała Koralia. - Będzie się teraz mścił na nas. - Nie, nie sądzę... - rzekł Patryk, trzymając w ręku rewolwer. - Nie, kto wie, czy go nie trafiłem!... Kula uderzyła w ramę okna... lecz może odskoczyła, a wtedy... wtedy...

Trzymając się za ręce, czekali ożywieni odrobiną nadziei.

Lecz nadzieja nie trwała długo. Ruch jakiś dał się znowu słyszeć na dachu.

Po czym, jak kiedyś (i w istocie zdawało się, że to już kiedyś przedtem widzieli) wsunięto coś w otwór okienka, coś co się zsunęło, opuściło i rozwinęło na środku pokoju. Drabinka, linowa drabinka... ta sama, którą Patryk odkrył na półce w szafce u starego Symeona.

Jak kiedyś, wszystko rozpoczynało się na nowo. Jedne fakty łączyły się z drugimi w nieubłaganej ścisłości, tak że oczy ich szukać poczęły nieuniknionej kartki papieru, przyczepionej do ostatniego szczebla drabinki.

Istotnie była tam kartka zwinięta w rulonik. Zeschła, żółta, zużyta.

139

Była to ta sama kartka co niegdyś... pisana przed dwudziestu laty przez Essaresa: służyć miała teraz, jak i niegdyś, za groźbę i pokusę.

„Niech Koralia wyjdzie sama. Ocalę jej życie. Daję jej 10 minut do namysłu... jeśli zaś nie...”

II

Gwoździe do trumny

Jeżeli nie... te słowa powtarzał Patryk machinalnie; groźne ich znaczenie coraz to straszniej rysowało się w ich wyobraźni. Jeżeli nie...

miało to znaczyć, że jeśli Koralia nie ucieknie z więzienia z tym, który jeden tylko miał klucze od niego, czeka ją niechybna śmierć.

W chwili tej ani jedno, ani drugie nie myślało już o rodzaju śmierci, jaka ich czekała, ani o samej śmierci nawet. Myśleli tylko o rozłace, którą im wróg nakazywał. Jedno z nich miało odejść, a drugie umrzeć...

Obiecywano Koralii życie, jeśli poświęci Patryka, lecz za jaką cenę ta obietnica? I czym opłaci ona tę wolność?

Nastąpiła między nimi dłuższa chwila, niepewności pełna i obawy.

Teraz sprawa poczęła się uwydatniać; przestawali być bezbronnymi tylko ofiarami. Dramat rozgrywał się w nich samych i zmienić mogli jego rozwiązanie.

Okropny problem! Postawiono go już raz tamtej Koralii; rozstrzygnęła na korzyść miłości, skoro umarła... Teraz postawiony był

na nowo.

Patryk czytał napis na murze, na którym słowa stawały się coraz mniej wyraźne:

„Błagałem Koralie... Rzuciła mi się do nóg. Chce umierać razem ze mną”.

Patryk spojrział na młodą kobietę... Czytał te słowa tak cicho, żeby ich nie słyszała. „Wtedy, porwany namiętnością, przycisnąłem ją do siebie z okrzykiem:

- Idź, Koralio. Rozumiesz przecież, że choć nie powiedziałem ci tego zaraz - to nie dlatego, że się wahałem. Nie, tylko... rozmyślałem nad propozycją tego człowieka i boję się o ciebie... straszne to, czego on od ciebie wymaga. Koralio! Jeśli obiecuje ci ocalić życie, to znaczy, że cię kocha... a wtedy, rozumiesz mnie... Mimo to... Koralio, trzeba usłuchać... żyć trzeba... idź! Po co czekać jeszcze tych dziesięć minut.

Może się rozmyślić... skazać na śmierć i ciebie także. Nie, Koralio... idź, idź natychmiast!...”

Koralia odparła prosto:

- Zostanę.

Patryk wzdrygnął się.

- Ależ to szaleństwo! Na co ta ofiara bezużyteczna? Czy obawiasz się tego, co by się stało, gdybyś go usłyszała?

- Nie.

- A więc, idź!

- Nie, zostanę.

- Lecz dlaczego? po co ten upór? Nie zda się na nic! Na co?

Czemu?

- Bo cię kocham, Patryku.

Wyznanie to oszołomiło go całkiem. Wiedział, że kochała go, sam jej to kiedyś powiedział. Ale, że go kochała aż do tego stopnia, by śmierć ponieść u jego boku, to była radość niespodziewana, słodka i straszliwa zarazem.

- Ach! - zawołał. - Kochasz mnie, Koralio moja... ty mnie kochasz...

- Tak, kocham cię, Patryku.

Zarzuciła mu ręce na szyję. Czuł, że trudno uwolnić się od tak słodkiego uścisku.

Mimo to jednak nie ustępował, postanawiając ocalić ją za wszelką cenę.

- Właśnie dlatego, że mnie kochasz - rzekł - powinnaś usłuchać mnie i żyć. Wierz mi, dla mnie sto razy boleśniej będzie umierać z tobą, niż samemu. Jeśli będę wiedział, żeś wolna i żywa, śmierć będzie mi słodka.

Nie słuchała go wcale, ale mówiła wciąż o swej miłości, szczęśliwa, że wypowiedzieć może te słowa, tak długo ukrywane.

- Kocham cię od pierwszego dnia, Patryku. Wiedziałam o tym, zanim ty mi to powiedziałeś. Czekałam tylko jakiejś bardziej uroczystej chwili, jakiegoś wypadku, zdarzenia, jakiejś okoliczności, w jakiej ci to powiem, głęboko patrząc w twoje oczy i oddając ci się całą duszą.

Skoro się tak złożyło, że dopiero u progu śmierci mówić o tym mogę, posłuchaj mnie: nie zmuszaj mnie do rozstania gorszego od śmierci.

- Nie, nie - odparł, starając się odsunąć ją trochę od siebie. -

Obowiązkiem twoim jest pójść i żyć!

- Obowiązkiem moim jest zostać przy tym, którego kocham, i umierać razem z nim.

Z wysiłkiem pochwycił ją za rękę:

- Obowiązkiem twoim jest uciec stąd - szeptał. - A skoro 142

będziesz wolna, uczynisz wszystko, co można, by i mnie uwolnić.

- Cóż ty mówisz, Patryku?

- Tak jest - powtórzył Patryk - ty mnie uwolnisz. Dlaczego nie miałabyś wyrwać się ze szponów tego nędznika, zadenuncjować go.

Poszukać pomocy. Sprowadzić naszych przyjaciół... będziesz krzyczeć, błagać, użyjesz podstępów...

Ale ona patrzyła na niego z takim smutkiem i niedowierzaniem, że musiał przerwać te słowa.

- Usiłujesz mnie oszukiwać, biedaku mój kochany, lecz ty sam nie wierzysz w twoje słowa. Nie, Patryku, ty wiesz dobrze, że jeśli się wydam temu człowiekowi, on zmusi mnie do milczenia, wrzuci mnie do jakiegoś lochu, związawszy ręce i nogi, i trzymać tam będzie aż do ostatniego twego tchnienia.

- Czy jesteś tego pewna?

- Tak jak i ty, Patryku. Tak samo pewna i tego, co się stanie potem.

- Cóż się ma stać potem?

- Słuchaj, Patryku, jeśli ten człowiek chce mnie ocalić, to nie przez wspaniałomyślność. Plan jego, kiedy mnie będzie miał w swojej mocy, to plan ohydny i ty przewidujesz go! Przewidujesz także, jaki jest środek jedyny, by go uniknąć! A więc mój Patryku, jeśli mam umrzeć za kilka godzin, czyż nie lepiej umierać teraz w twoich ramionach...

razem z tobą?

Bronił się przed uściskiem. Czuł, że pierwszy pocałunek ich zdruzgotałby całą jego wolę:

- To okropne - szeptał. - Jak możesz żądać, bym przyjął twoją ofiarę? Ty, taka młoda, masz tyle lat szczęścia i miłości przed sobą!

- Byłyby to dla mnie lata żałoby i rozpacz, gdyby mi ciebie zabrakło...

- Trzeba żyć, Koralio, błagam cię na wszystko, z całej duszy.

- Nie mogę żyć bez ciebie, Patryku. Tyś moją jedyną radością, nie mam już innego celu, jak tylko kochać ciebie; Patryku, tyś mnie nauczył

miłości... ją ciebie Kocham...

Po raz drugi już - o boskie słowa! - brzmiały one w czterech ścianach tego pokoju. Te same słowa miłości, wypowiedziane przez córkę, słowa, jakie matka niegdyś wypowiadała z tą samą namiętnością i z tym samym pragnieniem ofiary! Te same słowa, 143

które wspomnienie śmierci i śmierć samą przepęłniały świętym wzruszeniem. Koralia wymawiała je bez trwogi. Wszelka obawa zdawała się tracić wobec jej miłości i tylko miłość napęłniała drżeniem jej głos, a piękne jej oczy przysłaniała łzami.

Patryk w zachwycie patrzył na ukochaną. Teraz i on też uznawał, że takie chwile warte były śmierci.

Mimo to raz jeszcze usiłował ją nakłonić:

- A jeśli bym ci rozkazał, Koralio?

- To znaczy - szepnęła - gdybyś mi rozkazał iść do owego człowieka i oddać mu się? Tego byś chciał, Patryku?

Zadrżał pod takim ciosem.

- Och! Okropność! Ten człowiek, ten człowiek...

Człowieka tego ani on, ani ona nie przedstawiali sobie dokładnie jako Symeona. Wróg ich zostawał dla nich dalej tajemniczy, mimo tej przelotnej wizji u góry w okienku. Był to może Symeon, a może i kto inny, w którego rękach tamten był tylko ślepy narzędnikiem. W każdym razie był to wróg, demon zła, czyhający tam u góry, nad ich głowami i gotujący im śmierć albo hańbę.

- Czyś ty nie zauważyła dawniej, że Symeon usiłował zbliżyć się do ciebie?... - zapytał Patryk.

- Nigdy, nigdy... nie szukał mego towarzystwa. Niekiedy nawet unikał mnie...

- W takim razie jednak on jest obłąkany.

- Nie, nie jest, on mści się tylko.

- Rzecz niemożliwa. Był przyjacielem mego ojca. Życie całe pracował nad tym, by nas z sobą połączyć, a teraz miałby nas zabijać dobrowolnie?

- Nie wiem, Patryku, już nic doprawdy nie rozumiem.

Przestali mówić o Symeonie. W rzeczy samej nie miało to żadnego znaczenia, czy śmierć zadawał on, czy kto inny. Przeciw samej śmierci należało walczyć, nie zwracając uwagi na to, z czyjej ręki ona pochodzi.

Lecz cóż oni mogli uczynić i jak się obronić?

- Ty zgadzasz się na to, prawda, Patryku? - zapytała Koralia cichym głosem.

Patryk nic nie odpowiedział. Koralia mówiła dalej:

- Nie odejdę stąd, ale musisz i ty przyznać, że tak należy uczynić.

Proszę cię o to. To taka męka dla mnie myśleć, że ty przez to więcej jeszcze cierpisz. Trzeba, by udział nasz był równy. Ty zgadzasz się, nieprawdaż?

144

- Tak! - odparł.

- Podaj mi obie ręce. Spójrz mi w oczy i uśmiechnij się do mnie, Patryku.

Przez dłuższą chwilę milczeli tak, stojąc jakby w pewnego rodzaju ekstazie, pełni miłości i tęsknoty. Lecz oto Koralia zapytała:

- Co ci to, Patryku? Czy znowu cię coś przeraża?...

- Spójrz no, spójrz...

Z piersi jego wydobył się stłumiony okrzyk. Tym razem widział

dokładnie; nie mylił się.

Drabinkę wciągano do góry. Dziesięć minut upłynęło. Rzucił się gwałtownie i pochwycił ostatni szczebel.

Drabinka nie poruszyła się.

Co chciał uczynić? Nie wiedział tego. Drabinka ta była jedynym ratunkiem Koralii. Czyż miał się wyrzec jej i zrezygnować? Minuta, dwie minuty minęły. U góry ktoś znowu umocował drabinkę, bo Patryk czuł opór przy pociągnięciu.

- Patryku, Patryku - wołała błagalnie - czy się jeszcze spodziewasz czego?

Patrzył wokół siebie i ponad siebie, jakby szukając rady, która mogła ich ocalić. Zdawało się, jakby patrzył w siebie i szukał tej rady we wspomnieniach ojca, który tak samo, jak i on w pewnej chwili trzymał drabinkę w ręku ostatnim wysiłkiem woli.

I nagle jednym skokiem lewej nogi znalazł się na piątym szczeblu, wspinając się rękami coraz to wyżej wzdłuż sznurów drabinki.

Niedorzeczny wysiłek! Po drabince dostać się do okienka?

Schwycić wroga, czyhającego tam u góry, i w ten sposób uwolnić Koralię i siebie? Czy to możliwe?

Skoro nie udało się ojcu, jak można przypuścić, że uda się to jemu?

Toteż nie minęły i trzy sekundy, a Patryk spadł z góry. Drabinkę spuszczone z haków, na których była umocowana, i oto spadła razem z Patrykiem na ziemię. W tejże chwili zabrzmiał u góry przenikliwy szydery śmiech. Potem jakiś łomot. Okienko zamknęło się.

Patryk, wściekły, podniósł się i począł kłąć po żołniersku wroga, a pochwyciwszy w coraz to wzmagającej się pasji rewolwer strzelił dwa razy, rozbijając dwie szyby. Zarazem rzucił się ku oknom i drzwiom, uderzając w nie hakami z kominka.

145

Tłukł w ściany, tłukł w posadzkę, wygrażał pięściami niewidzialnemu wrogowi, który zdawał się drwić z niego. Nagle zaś stanął, po kilku gestach bezsiły, jakby obezwładniony. Zdawało się, jakby ktoś z góry zarzucił gęstą zasłonę. Nastął mrok. Zrozumiał. Oto nieprzyjaciel zamknął okiennicę, która zasłoniła zupełnie okienko u góry.

- Patryku, Patryku! - krzyknęła Koralia przerażona ciemnością, tracąc całą odwagę. - Patryku, gdzie jesteś, mój Patryku. Boję się...

gdzie jesteś?...

Zaczęli się więc po omacku szukać niby ślepcy i zdało się im, że ta noc ciemna, nieubłagana, jaka ich otoczyła, jest najstraszniejszym z tego, co przeżyli dotąd.

- Patryku! Gdzie jesteś, mój Patryku?!

Wreszcie ręce ich spotkały się, te biedne zlodowaciałe dłonie Koralii i rozpalone gorączką ręce Patryka. Spotkały się i pochwyciły. Wpijały się w siebie, jakby chciały dać dowód widoczny, że jeszcze żyją, jeszcze istnieją.

- Ach, nie opuszczaj mnie, Patryku - błagała Koralia.

- Nie! Jestem tu-odparł Patryk.-Nie bój się... nikt nie zdoła nas rozłączyć.

- Nikt nie zdoła nas rozłączyć, masz słusność - wyszeptała Koralia. - Żyjemy we wspólnym naszym grobie...

Słowa te były tak straszne, Koralia wypowiedziała je tak bolesnym głosem, że Patryk z nowym wybuchem buntu zawołał:

- Ależ nie!... cóż mówisz?! Nie trzeba rozpaczać i wątpić, do ostatniej chwili możliwe jest jeszcze ocalenie.

Jedną rękę wydobył z uścisku Koralii i skierował rewolwer w stronę światła, sączącego się z góry przez szparę w okienku. Wystrzelił

trzykrotnie. Usłyszeli trzask drzewa i szyderczy śmiech wroga. Ale okiennica pozostała nietknięta, zapewne podbita była blachą.

Zresztą natychmiast niemal wszystkie szpary zostały szczelnie pozatykane. Przekonali się, że nieprzyjaciel wziął się do tej samej roboty, jakiej dokonywał poprzednio w drzwiach i oknach. Trwało to dość długo, bo czynił to bardzo skrupulatnie. Potem zaś, na zakończenie, usłyszeli coś, co uzupełniało początkową pracę: nieprzyjaciel przybijał gwoździami okiennicę do ram okienka.

Okropny odgłos! Uderzenia młotka były lekkie i szybkie, lecz 146

jakże głęboko wdzierały się w ich mózgi! To zabijano ich trumnę - ich olbrzymią trumnę, której wieko szczelnie zamknięte ciążyło, niby kamień grobowy. Teraz nie ma już ratunku.

Nie ma już nadziei. Każde uderzenie młotka umacniało to ciemne więzienie i stawiało zaporę coraz to silniejszą między nimi a światem, zamykało ich w murach, których żadna siła ludzka nie była zdolna zburzyć.

- Patryku! - wyjąkała Koralia – Boję się...O, jak cierpię pod tymi uderzeniami.

Słaniała się w ramionach kapitana, który czuł, jak łzy spływały jej po twarzy.

Tymczasem tam u góry okropne dzieło dobiegało końca.

Doznawali tak straszliwego uczucia, jakie odczuwać muszą skazańcy o brzasku ostatniego dnia życia. Z głębi więziennej celi słyszą przygotowania, wnoszenie straszliwej maszyny śmierci, słyszą elektryczne przewody, jakie są w ruchu. Ludzie wysilają się, by wszystko było w porządku, by żaden przychylny los nie uśmiechnął się skazańcom i by wyrok śmierci spełniony był z całą nieubłaganą surowością.

Miał się dokonać i ich wyrok. Śmierć była na usługach wroga: śmierć i nieprzyjaciel pracowali pospołu. On, wróg - sam był dla nich śmiercią, działającą, kombinującą, toczącą walkę przeciwko tym, których postanowił zgładzić ze świata.

- Nie opuszczaj mnie - łkając szeptała Koralia. - Nie opuszczaj...

- Tylko na chwilę - odparł. - Trzeba, by nas pomszczono kiedyś.

- Na co? Mój Patryku, cóż to pomoże nam?

Miał w kieszeni pudełko z kilkoma zapałkami. Zapalając jedną po drugiej, zaprowadził Koralie do miejsca przy ścianie, gdzie znajdowały się napisy.

- Cóż chcesz uczynić? - zapytała.

- Nie chcę, by myślano, że śmierć nasza była samobójstwem.

Zrobię to samo, co uczynili nasi rodzice. Ktoś przeczyta to i pomści nas.

Schylił się i wydobył z kieszeni ołówek. U samego dołu było jeszcze cokolwiek miejsca. Napisał: „Patryk Belval i jego narzeczona Koralia umierają tą samą

147

śmiercią, zamordowani przez Symeona Diodokisa - 14 kwietnia 1915".

Ale kiedy skończył pisać, spostrzegł jeszcze kilka słów pisma ojca, których dotychczas nie był zauważył, gdyż nakreślone były za dawniejszymi liniami, jakby nie należały do nich.

- Jeszcze zapalkę - rzekł do Koralii. - Czy widziałaś?... jeszcze kilka słów tam jest... zapewne ostatnie, jakie ojciec mój napisał.

Koralia zaświeciła zapalkę.

Przy słabym, migotliwym świetle odcyfrowali z trudem kilka niewyraźnych liter, krzywo, naprędce rzuconych i tworzących dwa słowa:

„Zaduszeni gazem...”

Zapalka zgasła. Byli podnieceni, milczeli. Zaduszeni... Teraz wiedzieli, w jaki sposób zginęli rodzice i w jaki - sami mieli zginąć.

Lecz nie pojmowali jeszcze dobrze, jak się to stanie. Brak powietrza w tym dużym pokoju nigdy nie będzie mógł być tak bezwzględny, a ilość znajdującego się tu powietrza wystarczyłaby na długie dni.

- Chyba - mruknął Patryk - chyba, żeby zmieniono rodzaj tego powietrza i w konsekwencji - przerwał, po czym po chwili mówił dalej:

-Tak... to tak chyba... przypominam sobie...

I opowiedział Koralii o swych przypuszczeniach, co do których nie pozostawała tu żadna wątpliwość.

W szafce ściennej starego Symeona znajdowała się nie tylko owa drabinka linowa, którą obłąkaniec przyniósł ze sobą, ale był tam też i rulon rur ołowianych. Teraz zatem wszystko się wyjaśniło, całe postępowanie Symeona od chwili, w której zostali zamknięci w pawilonie; jego krążenie wokół domu, zatykanie wszelkich szczelin, praca wzdłuż muru i na dachu - wszystko to tłumaczyło się teraz jak najjaśniej. Oto stary Symeon ze zbiornikiem gazowym, umieszczonym prawdopodobnie w kuchni, połączył rurę i poprowadził ją wzdłuż ściany aż na dach.

Więc to w ten sposób zginęli ich rodzice i oni mieli zginąć tak samo, uduszeni gazem świetlnym.

Oboje przerażeni tą myślą, która przyprawiała ich prawie o szaleństwo, jeśli biegać, trzymając się za ręce, po pokoju; bezmyślnie, bezwolnie, beładnie, pędzeni strachem, niby liść jesienną gwałtowną burzą.

Koralia wypowiadała słowa bez związku. Patryk błagał ją o spokój, ale sam nie mógł się oprzeć uczuciom lęku i udręki, niezdolny opanować trwogi ani przerażenia, wywołanego przytłaczającym ich zmrokiem, wśród którego bładzili, oczekując czyhającej na nich z każdego zakątka śmierci.

Tak pragnęli uciec i tak pragnęli schronić się przed zimnem, śmiertcionośnym tchnieniem, które już zdawało się ich dosięgać. Trzeba by uciec... trzeba. Ale dokąd? Którędy?, Ściany są nie do przebycia, a ciemności grubsze jeszcze od muru.

Zatrzymali się wyczerpani. Wtem dał się słyszeć lekki świst, syk, świst, jaki wydaje wydobywający się z rury gaz. Nadśłuchując uważnie, przekonali się, że ten świst pochodzi z góry. Męka zaczęła się na dobre.

Patryk szepnął:

- To potrwa z pół godziny, może i godzinę, a nawet i więcej.

Koralia odzyskała równowagę i spokój, potem rzekła:

- Bądźmy odważni, Patryku.

- Ach, gdybym był sam! Lecz ty, moja biedna Koralio!

- Nie cierpi się przy tym wcale - odparła całkiem cichym głosem.

- Będziesz cierpiała, ty słabiutka.

- Im się jest słabszym, tym mniej się cierpi! A zresztą jestem pewna, że nie będziemy cierpieli, Patryku.

Zdawała się tak nagle spokojna i pogodna, że i on z kolei odzyskał

zupełny spokój.

Milczeli trzymając się za ręce i przytuleni do siebie siedzieli na sofie. Powoli ogarniał ich zupełny spokój wobec nieubłaganej konieczności; rezygnacja i poddanie się siłom wyższym. Ludzie o naturze takiej jak oni przestają się buntować, kiedy widzą wyraźny nakaz i manifest przeznaczenia, wobec którego nie pozostaje nic, jak tylko słuchać i modlić się. Koralia otoczyła ramionami szyję Patryka i rzekła:

- Przed Bogiem jesteś mi narzeczonym: niechże nas Bóg przyjmie jako dwoje małżonków.

Słodycz jej poruszyła go do łez. Ale łzy jego suszyła pocałunkami i sama pierwsza podała mu usta.

-

Ach! - rzekł. - Masz słuszość! Taka śmierć to życie! Otulała ich niczym nie zmacona cisza. Czuli już wokół dochodzący odór gazu, lecz nie odczuwali wcale strachu.

Patryk szepnął:

149

- Wszystko odbędzie się jak kiedyś, aż do ostatniej chwili, Koralio.

Twoja matka i mój ojciec, którzy się kochali, jak my się Kochamy, umarli także razem. Jedno w ramionach drugiego, usta na ustach. Oni postanowili złączyć nas ze sobą i złączyli nas.

- Mogła nasza znaleźć się przy ich mogile - wyszeptała Koralia.

Powoli w głowach ich zaczęło się mącić, a myśli ich owiane były jakby gęstą mgłą. Nie jedli nic od rana, więc głód osłabiał ich i zwiększał zawroty głowy, jakie ich ogarnęły z wolna; w miarę zaś, jak się zwiększały, tracili uczucie niepokoju i trwogi. Było to raczej oszołomienie, unicestwienie, błogi spokój, przechodzący w ekstazę, w której zapomnieli o okropności zbliżającej się śmierci.

Koralia pierwsza zaczęła słabnąć i szeptała słowa bez związku, które zdziwiły Patryka słyszającego, jak mówiła:

- Kochany mój, to kwiaty na nas padają, róże, och, jakże słodko!

Ale on sam odczuwał dziwną jakąś błogość i takie samo upojenie, pełne tkliwości i wzruszeń.

Czuł, że mu Koralia zwisa w rękach, opada; zdawało mu się, że sam idzie za nią w głąb, w głąb niezmierną, zalaną światłem i że płyną dokądś powoli, bez wysiłku, w jakąś krainę szczęścia i radości. Czy to chwile, czy godziny mijały? Płynęli coraz bliżej; on, trzymając ją w objęciach, ona z głową pochyloną na jego ramieniu, z zamkniętymi oczami, z uśmiechem na ustach. Przypominały mu się widziane kiedyś obrazy, w których bogowie złączeni płynęli tak samo w lazurze.

Upojony światłem i powietrzem unosił się nad krainą szczęścia. Ale kiedy zbliżył się do tej krainy, czuł się coraz bardziej zmęczony. Koralia zaczynała mu ciążyć w ramionach. Spadali coraz szybciej. Fale światła zaciemniały się coraz bardziej, napływała czarna chmura, jedna po drugiej, wreszcie utworzyła koło niego wir mroku. I oto nagle wyczerpany, z czołem zroszonym potem, drżąc cały od febrycznych dreszczy zapadł w straszną czarną otchłań.

III

Osobliwe indywiduum

Ale nie była to jeszcze śmierć. W tej osobliwej agonii, która pozostawiła mu jeszcze resztę zdolności myślenia, przewijały się obrazy rzeczywistego życia, zmieszane z tymi, jakie wytwarzała wyobraźnia w tym nowym świecie, w którym panowanie roztaczała śmierć.

W nowym tym świecie Koralia nie istniała więcej i to mu sprawiało szalony ból. Ale zdawało mu się

wciąż, że widzi i słyszy kogoś, kogo obecność zdradzał cień, przesuający się przed zamkniętymi jego powiekami.

Ten ktoś zdawał mu się być starym Symeonem, który przyszedł

stwierdzić śmierć swoich ofiar i zabrał najpierw Koralię, potem wrócił

do niego, by również go zabrać i wynieść dokądkolwiek. Wszystko wydawało mu się dokładne, jakby na jawie, tak że wreszcie Patryk sam siebie zapytywał, czy też nie obudził się naprawdę?

Potem minęły godziny... a może sekundy tylko... Wreszcie Patryk doznał uczucia, że zasypia, lecz snem jakimś okropnym, piekielnym, podczas którego cierpiał fizycznie i moralnie, jak cierpieć musi potępieniec. Znowu znalazł się w głębi tej czarnej otchłani, z której mimo rozpaczliwych wysiłków nie mógł się wydobyć.

Jak człowiek tonący w morzu usiłuje wszelkimi sposobami wydostać się na powierzchnię wody, tak wśród niesłychanych trudności wydobywał się Patryk spod przygniatającej go masy wodnej. Rękami i nogami czepiał się rzeczy śliskich, umykających przed nim, linowych drabin, wiszących w próżni i opadających za dotknięciem.

Powoli jednak ciemności zaczęły rzednąć. Poczęła je przebijać odrobina mdłego światła dziennego. Patryk poczuł na sobie mniej już przygniatające brzemie. Otworzył oczy, odetchnął kilka razy, rozglądnął

się i ujrzał osobliwy widok: otwarte szeroko drzwi, obok których leżał

na wolnym powietrzu, na sofie.

Obok, na drugiej sofie, spostrzegł leżącą Koralię. Poruszała się, ale zdawała się cierpieć niewymownie.

151

Kapitan pomyślał:

„Wydostała się z tej czarnej toni... jak ja, męczy się tak samo...

biedna Koralia...”

Między nimi stał mały stolik, a na tym stoliczku dwie szklanki wody. Spragniony pochwycił jedną z nich, ale nie miał odwagi wypić.

W tej chwili przez otwarte drzwi - Patryk zdawał sobie sprawę z tego, że były to drzwi pawilonu - wyszedł ktoś; a ten ktoś, jak to zauważył

Patryk, to nie był stary Symeon, jak mu się zdawało poprzednio, ale ktoś obcy, ktoś, kogo nigdy nie widział dotąd.

Kapitan rzekł sam do siebie:

- Nie śpię przecież... jestem pewny, że nie śpię i że ten nieznajomy to nasz przyjaciel.

Chciał na poparcie tych słów głośno wypowiedzieć je, a to dla stwierdzenia faktu, ale zabrakło mu sił.

Nieznajomy zbliżył się do niego i rzekł łagodnie:

- Nie męcz się pan, kapitanie. Wszystko idzie dobrze. Trzeba to wypić.

Nieznajomy podał Patrykowi jedną ze szklanek, którą Patryk wychylił do dna. Bez obawy i z radością zauważył, że Koralia uczyniła to samo.

Rzekł:

- Mój Boże, jak to dobrze, że żyjemy. Koralia żyje istotnie.

Nieprawdaż?

Nie słyszał już odpowiedzi, gdyż w tej chwili zasnął snem pokrzepiającym.

Kiedy się obudził, czuł się lepiej, zostało jeszcze tylko lekkie oszołomienie i pewna trudność w oddychaniu, kiedy chciał głęboko wciągnąć powietrze. Podniósł się jednak i zaraz spostrzegł, że wszystkie poprzednie niewyraźne wrażenia okazały się trafne; że znajdował się u wejścia do pawilonu. Koralia po wypiciu szklanki wody spała spokojnie obok.

- Jak to dobrze żyć! - powtórzył Patryk głośno.

Równocześnie obudziło się w nim pragnienie czynu, nie śmiał

jednak wejść do pawilonu, choć drzwi były otwarte. Udał się w kierunku mogiły i bez ścisłego celu, bo sam jeszcze nie zdawał sobie dokładnie sprawy ze swojego postępowania i z tego, co się z nim działo, szedł

machinalnie przed siebie, okrążył pawilon i znalazł się z drugiej jego strony, od ogrodu, gdzie nagle zatrzymał się.

152

Na kilka metrów przed nim w cieniu drzewa odpoczywał na leżaku człowiek. Głowa jego była w cieniu, nogi wyciągnięte w słońcu, zdawał

się spać. Na kolanach leżała półotwarta książka.

Patryk zrozumiał dopiero teraz jasno, że Koralia i on uniknęli śmierci, że żyją naprawdę oboje i że zbawcą ich jest ten człowiek, którego spokojny sen jest wyraźnym dowodem zupełnego

bezpieczeństwa i zadowolonego sumienia.

Kapitan zaczął mu się przyglądać. Szczupły, lecz w ramionach szeroki, cerę miał matową, nosił niewielki wąs, a mimo kilku siwych włosów na skroniach, nieznajomy zdawał się liczyć lat najwyżej pięćdziesiąt. Ubranie, dobrze skrojone, zdradzało człowieka dbałego o elegancję. Patryk pochylił się i dostrzegł tytuł książki: *Pamiętniki Benjaminina Franklina*. Przeczytał także inicjały, znajdujące się wewnątrz kapelusza, porzuconego na trawie: L. P.

- Poznaję go - rzekł do siebie Patryk. - To on mnie ocalił. Wyniósł

nas oboje z pawilonu i przyszedł nam z pomocą. Lecz jakim cudem dokonał tego? Kto go nam przysłał?

Dotknął jego ramienia. W tej chwili nieznajomy zerwał się, a twarz jego rozjaśnił uśmiech.

- Przepraszam pana, panie kapitanie, ale mam czas zawsze tak bardzo zajęty, że jak tylko mam wolną chwilę, korzystam z niej, by wypaść się, wszystko jedno gdzie... jak Napoleon, nieprawdaż? Mój Boże, to małe podobieństwo bardzo mi pochwlebia... lecz dość gadania o sobie! Jakże się pan czuje, panie kapitanie? A pani, mateczka Koralia?

Czy jej już lepiej? Otworzywszy drzwi i wyniósłszy was do ogrodu, nie uważałem za potrzebne budzić was od razu. Oddychaliście oboje, kiedy wszedłem. Świeże powietrze dopełniło reszty.

Nieznajomy przerwał na widok Patryka, zupełnie zbitego z tropu.

Roześmiał się wesoło.

- Ach! Zapomniałem, wszak pan mnie nie zna, prawda? List, który napisałem do pana, przejął ktoś inny. Trzeba więc, żebym się przedstawił: Jestem Don Luis Perenna, ze starej rodziny hiszpańskiej, szlachcic autentyczny, papiery w porządku. - Śmiał się jeszcze głośniej.

- Widzę, że to panu nie wystarcza jeszcze. Zapewne Ya-Bon inaczej nazwał mnie, kiedy pewnego wieczora przed dwoma tygodniami kreślił

na murze tej uliczki moje nazwisko...aha! zaczyna pan - rozumieć... ten pan, którego wzywaliście na

153

pomoc... czy potrzebuję panu jeszcze wymieniać to imię?... zresztą proszę, panie kapitanie: Arsen Lupin! - do usług!

Patryk osłupiał. Zupełnie już był zapomniał o propozycji Ya-Bona i o pozwoleniu, danym w roztargnieniu Senegalczykowi, w sprawie wezwania pomocy słynnego awanturnika. I oto stał przednim Arsen Lupin. I ten Arsen Lupin jednym tylko wysiłkiem woli, cudem jakimś niepojętym wydobył Koralie i jego z hermetycznie zamkniętego grobowca.

Kapitan wyciągnął ku niemu rękę i rzekł:

- Dziękuję.

- Cicho! - rzekł wesoło Don Luis. - Bez podziękowań. Serdeczny uścisk ręki, to mi wystarcza. A niech mi pan wierzy, panie kapitanie, można mi podać rękę. Jeżeli mam na sumieniu jakieś grzechy, w zamian za to wykonałem też kilka dobrych uczynków, które powinny zjednać mi szacunek u ludzi uczciwych... no, i mój własny na początek. A więc...

Przerwał znowu i zdawał się namyślać, po czym chwytając za jeden z guzików bluzy kapitana rzekł:

- Nie ruszaj się pan... śledzą nas...

- Ale kto taki?

- Ktoś, kto znajduje się na ulicy, przy samym końcu ogrodu. Mur jest tam dość niski. Są tam sztachety i przez nie ktoś stara się nas zobaczyć.

- Jakim sposobem może pan to widzieć? Stoi pan przecież plecami do ulicy, oprócz tego widok zasłaniają drzewa.

- Posłuchaj pan.

- Nie słyszę nic szczególnego.

- Owszem, hałas motoru... motoru zatrzymanego auta. Cóż tu robi auto w tej ulicy, naprzeciw muru w miejscu, gdzie nie ma wcale mieszkań?

- A więc, wedle pana, któż to może być?

- Tam u diaska! Stary Symeon.

- Symeon?

- Zapewne. Przychodzi się przekonać, czy zdołałem uratować was oboje.

- Nie jesteście więc obłąkany?

- Obłąkany? On obłąkany? Wcale nie bardziej niż pan i ja.

- A przecież...

- Przecież Symeon opiekował się wami, chcesz pan powie-

dzieć, jego marzeniem było połączyć was, przesłał panu klucz do ogrodu etc, etc...

- Więc wie pan o tym wszystkim?

- Rzecz jasna, bez tego jakimże sposobem mógłbym pomagać wam?

- Ale - rzekł znowu Patryk z pewną obawą - jeśli ten bandyta znowu zaczyna swą robotę, czyż nie należy przedsięwziąć środków ostrożności? Wróćmy do pawilonu. Koralia jest sama.

- Nic jej nie grozi.

- Dlaczego?

- Ja tu jestem.

Zdumienie Patryka wzrastało:

- Więc Symeon zna pana? Wie o tym, że pan tu jesteś?

- Tak, dowiedział się z listu, który napisałem do pana pod adresem Ya-Bona, z listu, który on przejął. Zawiadaniałem tam o moim przyjeździe i to skłoniło go do pośpiechu. Ale zwyczajem moim w takich razach jest przyspieszać przybycie o kilka godzin, tak jak teraz, kiedy nieprzeczuwającego nic, zastałem przy pełnej robocie.

- A wtedy nie wiedział pan, że on jest wrogiem... nie wiedział pan o niczym?

- O niczym.

- To było dziś rano?

- Nie, było to po południu, o trzy kwadransy na drugą. Patryk wyciągnął zegarek:

- A teraz jest czwarta. Więc w ciągu dwu godzin...

- Nawet nie tyle, dopiero od godziny jestem tutaj.

- Wypytywał pan Ya-Bona?

- Czy myśli pan, że traciłem czas na to! Ya-Bon odpowiedział mi tylko, że pana nie ma, co go zaczynało trochę dziwić.

- A wtedy?

- Szukałem, gdzie pan jesteś.

- W jaki sposób?

- Nasamprzód przetrząsałem pokój pana, tak jak to umiem robić. I oto odkryłem, że w głębi pańskiego cylindrowego biurka znajduje się szpara i że naprzeciwko niej jest druga taka sama od ściany sąsiedniego pokoju. Przez otwór ten wyciągnąć udało mi się zeszyt, w którym spisywał pan dziennik wypadków i zdarzeń. Stamtąd dowiedziałem się o tym, co zaszło. W ten sam zrestą spo-155 sób poinformowany był też Symeon o wszystkich zamiarach pańskich.

Wiedział np. o projekcie przybycia tu w rocznicę 14 kwietnia. Ostatniej nocy, widząc pana piszącego, wolał, zanim rozpocznie atak, dowiedzieć się, co pan pisze. Dowiedziawszy się z notatek pańskich, że ma się pan na baczności, wstrzymał się z tym na razie. Widzi pan, że wszystko to jest bardzo proste i łatwe. Pan Desmalions, którego zaniepokoić musiała pańska nieobecność, byłby zrobił to samo. Ale zrobiłby to jutro...

- To znaczy, za późno - wtrącił Patryk.

- Tak, za późno. To zresztą nie jego rzecz, to ani nawet rzecz policji. Toteż wolę, żeby nie mieszało się do tego. Poleciałem wszystkim pańskim kalekom, by milczeli o wszystkim, co by się im wydawało dziwne albo dwuznaczne. W ten sposób, jeśli Desmalions przyjdzie dziś, będzie przypuszczał, że wszystko w porządku.

Uspokojony w ten sposób i mając od pana potrzebne wskazówki, poszedłem razem z Ya-Bonem i wszedłem do tego ogrodu.

- Czy brama była otwarta?

- Nie, ale w tej samej chwili właśnie wychodził z ogrodu Symeon, na swoje nieszczęście. Skorzystałem z tego, położywszy śmiało rękę na klamce. W ten sposób weszliśmy do ogrodu, w czym Symeon nie mógł

nam przeszkodzić. Z pewnością jednak wiedział, kim jestem.

- A pan jednak nie wiedział, że to on jest owym nieprzyjacielem?

- Jak to nie wiedziałem?... A pański dzienniczek?

- Nie sądziłem...

- Ależ kapitanie, każda strona jest oskarżeniem jego osoby. Nie było wypadku w waszym życiu, w którym by on nie brał udziału, nie było żadnej zbrodni, której by on nie przygotował.

- W takim razie należało schwycić go za kołnierz.

- A co potem? Cóżby mi przyszło z tego? Czy bym go zmusił do mówienia? Nie. Pozostawiając go na wolności, mam go właśnie w rękach. To właśnie go zgubi. Widzi pan przecież, zamiast umykać, krąży wokół tego domu. Zresztą miałem coś ważniejszego do roboty: śpieszyć wam obojgu z pomocą, o ile był jeszcze czas po temu. Toteż Ya-Bon i ja pobiegliśmy galopem ku drzwiom pawilonu: Te były otwarte. Ale te drugie były zamknięte na klucz i na zasuwę.

156

Wtedy, poczuwszy woń gazu, zrozumiałem wszystko. Symeon musiał połączyć jakiś stary zbiornik gazowy z rurą, która doprowadzała gaz do latarni w uliczce i za pomocą niego dusił was gazem. Nie pozostawało nam nic innego, jak wynieść was na świeże powietrze i zastosować zwykłe w takich razach środki, jak masaż, sztuczne oddychanie itd. Byliście ocaleni!

- Zapewne Symeon zabrał był już ze sobą wszystkie śmiertelne przyrządy? - zapytał Patryk.

- Nie. Zamierzał pewno wrócić, by wszystko doprowadzić do porządku, tak żeby działalność jego nie mogła być stwierdzona i żeby z braku dowodów uwierzono w wasze samobójstwo... zagadkowe samobójstwo... śmierć bez widocznej przyczyny, krótko: zupełnie ten sam dramat, co kiedyś... dramat śmierci pańskiego ojca i matki pani Koralii?

- To pan i o tym coś wie?

- A jakżeż! Czy nie mam oczu, by czytać? A napisy na murze, zapiski pańskiego ojca? Wiem tyle co pan, panie kapitanie, a może i więcej jeszcze...

- Więcej jeszcze?

- Mój Boże, przyzwyczajenie... Doświadczenie... ileż to zagadek nierozwiązywalnych dla innych, mnie zdaje się prostych i najjaśniejszych w świecie... Tak więc...

- Tak więc, co?

Don Luis zawahał się, po czym wreszcie odparł:

- Nie, nie... lepiej nie mówmy o tym... ciemności rozjaśnią się z wolna. Zaczekajmy. Tymczasem...

Don Luis nadśłuchiwał.

- Musiał pana zobaczyć. A teraz, kiedy przekonał się, chyba odejdzie.

Patryk poruszył się:

- Odjeżdża - zawołał. - Widzi pan, odjeżdża. Lepiej było go pochwycić. Czy znajdziemy go jeszcze kiedyś, tego nędznika? Czy zdołamy się zemścić?

Don Luis uśmiechnął się.

- Oto nazywa pan nędznikiem człowieka, który czuwa nad panem od dwudziestu lat i który zbliżył pana do matczki Koralii! Przecież to wasz dobroczyńca!

- Czy ja wiem! Wszystko to takie zagmatwane! Nienawidzę 157

go. Ucieczka jego martwi mnie. Chciałbym go widzieć na mękach, jednak...

Ruchem pełnym rozpaczyci chwycił rękami głowę. Don Luis pocieszał go:

- Nie obawiaj się pan. Nigdy nie był bardziej bliski zguby, jak obecnie. Mam go w ręce, jak liść tego drzewa.

- Lecz jakim sposobem?

- Człowiek, który prowadzi jego samochód, jest na moje usługi.

- Jak to, co pan mówi?

- Mówię, że umieściłem w taksówce jednego z moich ludzi, że ta taksówka znajdowała się na moje polecenie w pobliżu tej uliczki, że Symeon nie omieszkał wskoczyć do tego auta właśnie.

- To znaczy, że pan przypuszczał... - powiedział Patryk, coraz bardziej zdumiony.

- Rozpoznałem turkot motoru, przy końcu ogrodu, kiedy zwróciłem panu nań uwagę.

- Czy jesteś pan pewny tego człowieka?

- Najzupełniej pewny.

- Lecz mimo to! Symeon może kazać się zawieźć daleko od Paryża, potem rzuci się na tego człowieka, a wtedy, jakże się dowiemy?

- Czy pan sobie wyobraża, że teraz tak łatwo można wydostać się z Paryża i spokojnie bujać po okolicach bez specjalnego zezwolenia?...

Nie! Jeśli Symeon zechce opuścić Paryż, każe się zawieźć zapewne na jakiś dworzec, o czym w dwadzieścia minut potem będziemy już powiadomieni. Zaraz popędzimy też za nim.

- Jak?

- Automobilem.

- Ma więc pan glejt?

- Tak, ważny na całą Francję.

- Czy to możliwe?

- Najzupełniej. W dodatku jeszcze autentyczny, na nazwisko: Don Luis Parenna. Glejt podpisany przez ministra spraw wewnętrznych i kontrasygnowany... .

- I kontrasygnowany?

- Przez Prezydenta Republiki.

Zdumienie Patryka zmieniło się rtagłę w głębokie wzruszenie. W tej straszliwej przygodzie, w jakiej się znalazł, był dotąd bezu-158

stanie w nieubłaganej mocy wroga. Nie miał dotąd nic innego, jak tylko ciągłe porażki i strach przed groźącą śmiercią. Teraz nagle pojawiła się jakaś siła potężna, stojąca po jego stronie i działająca na jego korzyść. Nagle wszystko zaczęło się zmieniać. Dola poczęła zmieniać kierunek, jak żeglarz,

którego dogodny wiatr kierować poczyna w stronę przystani.

- Doprawdy, panie kapitanie - rzekł do niego Don Luis. - Można by myśleć, że ma pan ochotę trochę popłakać, jak mateczka Koralia. Ma pan nerwy trochę przeczulone, panie kapitanie... a przy tym jest pan trochę głodny... trzeba będzie się posilić. Więc chodźmy...

Don Luis pociągnął kapitana w stronę pawilonu, delikatnie podtrzymując go, po czym rzekł poważnie:

- Przede wszystkim, panie kapitanie, proszę o najzupełniejszą dyskrecję. Prócz kilku dawnych przyjaciół i prócz Ya-Bona, którego spotkałem w swoim czasie w Afryce i który ocalił mi tam życie, nikt we Francji nie zna mnie pod prawdziwym nazwiskiem: Don Luis Parenna.

W Maroku, gdzie walczyłem, miałem sposobność oddać przysługę bardzo sympatycznemu władcy jednego z tamtejszych krajów, sąsiadujących z posiadłościami francuskimi, a neutralnego w obecnej wojnie. Władca ten, zmuszony ukrywać rzeczywiste swoje sympatie, pragnie gorąco naszego zwycięstwa. Wezwał mnie do siebie, a wtedy poprosiłem go o zaakredytowanie mnie i o list żelazny. Oficjalnie sprawuję więc tajną misję, której termin upływa za dwa dni. Za dwa dni wracam...

skąd przybyłem i gdzie w czasie wojny służyć Francji na swój sposób...

który nie jest najgorszym, jak się o tym przekonacie dziś lub jutro.

Zbliżali się obydwaj do miejsca, w którym odpoczywała śpiąca Koralia. Don Luis zatrzymał Patryka:

- Jeszcze słówko, panie kapitanie. Przysiągłem sobie i dałem słowo temu, który mi zaufał, że cały mój czas w trakcie tej misji poświęcony będzie tylko obronie interesów mego kraju, w rozmiarach dostępnych dla mnie, naturalnie. Muszę więc pana przestrzec, że mimo całej mej sympatii dla pana, nie będę mógł przedłużyć mego pobytu tutaj ani o jedną chwilę od znalezienia owych tysiąca ośmiuset worków ze złotem.

Przybyłem na wezwanie przyjaciela mego, Ya-Bona, tylko w tym jednym celu.

Kiedy te worki już będą w naszym posiadaniu, to znaczy najpóź-

159

niej pojutrze wieczorem, zniknę. Zresztą obie sprawy są z sobą ściśle związane. Przedstaw mnie pan mateczce Koralii i przystąpmy do dzieła.

I Don Luis roześmiał się:

- Przed nią nie musimy utrzymywać tajemnicy, kapitanie. Powiedz jej pan moje prawdziwe nazwisko. Nie obawiam się niczego: Arsen Lupin zawsze ma wszystkie kobiety za sobą.

W czterdzieści minut później mateczka Koralia znajdowała się w swoim pokoju, otoczona gorliwą opieką i dobrze strzeżona. Patryk posilił się dostatecznie; przez ten czas Don Luis przechadzał się po

tarasie, pałac papierosa.

- A więc kapitanie, zaczynamy?

Spojrzał na zegarek.

- Jest teraz wpół do szóstej. Będziemy mieli jeszcze godzinę do zmroku, to wystarczy.

- To wystarczy? Nie przypuszczam, by miał pan nadzieję dojść celu w ciągu jednej godziny.

- Do ostatecznego celu nie, ale do celu, jaki sobie nakreśliłam, tak...

a może nawet wcześniej. Cała godzina? Na cóż tyle? Mój Boże, w kilka minut będziemy wiedzieli, gdzie są ukryte worki złota.

Don Luis kazał się zaprowadzić do piwnicy, umieszczonej pod biblioteką, gdzie Essares przechowywał złoto do czasu jego ekspedycji.

- Wszak przez to okienko wyrzucano worki, panie kapitanie?

- Tak.

- Czy nie ma innego wyjścia?

- Nie, prócz schodów wiodących do biblioteki i okienka z przeciwnej strony.

- A to okienko wychodzi na terasę?

- Tak.

- A więc to jasne. Worki zanoszono przez jedno, a wynoszono przez drugie okienko.

- Ależ...

- Nie ma tu żadnego „ale”, panie kapitanie. Jakże pan chce, by miało być inaczej? Widzi pan, zawsze błądzimy, szukając daleko tego, co jest pod ręką.

Powrócili na terasę. Don Luis badał przy okienku piwnicy najbliższe otoczenie.

160

Nie trwało to długo. O cztery metry przed oknami biblioteki znajdował się okrągły basen, przyozdobiony w środku posągiem dziecka, trzymającego w ręku konchę, z której tryskał strumień wody.

Don Luis zbliżył się i zaczął przyglądać się basenowi, pochyliwszy się zaś, dotknął posągu dziecka, obracając nim z prawej strony ku lewej.

Równocześnie obrócił się i postument o ćwierć koła.

- Otóż i mamy - rzekł Don Luis, podnosząc się.

- Cóż takiego?

- Basen zacznie się opróżniać.

Istotnie woda jęła szybko opadać i ukazało się dno basenu.

Don Luis wszedł do basenu i przysiadł na dnie. Wewnętrzna ściana pokryta była mozaiką marmurową z białych i czerwonych kamieni, ułożonych w grecki wzór.

W środku wzoru wmurowany był żelazny pierścień, za który Don Luis silnie pociągnął. Natychmiast cała część ściany, którą wypełniał

wzór, poruszyła się i odsunęła, odkrywając otwór na 30 centymetrów długi i na 25 szeroki.

Don Luis oświadczył:

- Worki szły tędy. Był to drugi etap. Ekspediowano je w ten sam sposób przy pomocy haczyka, który zsuwał się po żelaznym drucie. Czy widzi pan tu u góry, w kanale, ten drut żelazny?

- Do kroćset! - wykrzyknął kapitan Belval. - Lecz my nie możemy iść za tym drutem.

- Nie, ale wystarczy, jeśli się tylko dowiemy, dokąd prowadzi.

Teraz, kapitanie, niech pan pójdzie aż na koniec ogrodu, idąc w prostej linii od domu. Tam proszę odciąć z drzewa dość długą gałązkę. Ach, prawda! Zapomniałem, muszę przecież wyjść przez uliczkę. Czy ma pan klucz od tej bramy? Tak? Więc proszę mi go dać.

Patryk podał klucz i udał się do bramy w murze, oddzielającym ogród od ulicy.

- Trochę więcej na prawo - zawołał Don Luis. - Jeszcze trochę, dobrze. Teraz proszę poczekać.

Sam zaś wyszedł z ogrodu przez uliczkę, dostał się na bulwar i będąc po drugiej stronie muru, zawołał:

- Czy jesteś pan tam, kapitanie?

- Tak.

161

- No to proszę wetknąć w ziemię gałąź, którą pan przyniósł z sobą, tak abym ją stąd mógł widzieć... Tak, doskonale...

Patryk podążył za Don Luisem, który przeszedł na drugą stronę bulwaru.

Wzdłuż brzegów Sekwany ciągną się bulwary, zbudowane na samym brzegu rzeki i służące do holowania statków. Liczne łodzie przybijają tam, wyładowują swoje towary i zabierają z sobą nowe: często pozostają tam jedne przy drugich, powiązane linami.

W miejscu gdzie Don Luis i Patryk schodzili w dół po stopniach, bulwar składał się z szeregu placyków, a ten, do którego zdążali, zdawał

się być zupełnie opuszczony zapewne od czasu wojny. Wśród nagromadzonego tam materiału bezużytecznie leżały stosy kamieni brukowych i cegieł, dalej drewniana szopa o potłuczonych szybach, resztki podmurowania parowego żurawia. Na słupie zawieszona była tabliczka z napisem «Plac budowlany Berthou»,

Don Luis szedł dołem wzdłuż podmurowania bulwaru i zatrzymał

się w miejscu, gdzie bulwar tworzył terasę.

Wał piasku zajmował połowę terasy, a w murze dojrzeć można było sztabę żelaznej kraty, której część dolną zakrywał piasek, przywarły do ściany.

Don Luis rozgrzebał piasek, by uzyskać dostęp do kraty i rzekł

żartem:

- Czyś pan zauważył w całej tej awanturze: żadne drzwi nie są zamknięte?... Miejmy nadzieję, że i z tymi będzie podobnie.

Przypuszczenie sprawdziło się, co jednak zdziwiło mimo wszystko Don Luisa. Znaleźli się w środku skrytki, gdzie robotnicy zwykli byli składać narzędzia.

- Do tej pory nic nienormalnego - mrucał Don Luis, zaświeciwszy lampkę elektryczną. - Wiadra, łopaty, taczki, drabina... aha! oto co podejrzewałem... szyny, cały system szyn wąskotorowych... proszę mi pomóc, kapitanie, oczyścimy to aż do dna. Znakomicie... już mamy!

Naprzeciwko kraty równo z ziemią znajdował się prostokątny otwór najzupełniej podobny do otworu w basenie. U góry widać było drut żelazny, a na nim zawieszony cały szereg haków.

Don Luis tłumaczył:

- A więc tutaj przybywały worki złota. Wpadały, że tak po-162

wiem, wprost do owych małych wagoników, które pan tam widzi obok, w kącie. Zestawiano szyny naturalnie w nocy wzdłuż wybrzeża, wagoniki przesuwano aż do jednej z łodzi, gdzie wyładowywano je przez zwykłe przechylenie!

- W ten sposób więc?...

- W ten sposób wywożono złoto z Francji... dokąd, nie wiadomo...

w każdym razie za granicę.

- A czy sądzi pan, że i ostatnie worki złota wyekspediowano w ten sposób?

- Obawiam się tego.

- A więc przychodzimy za późno?

Zapanowała między nimi długa chwila milczenia. Don Luis rozmyślał. Patryk, choć zawiedziony tak niespodziewanym za-kończeniem, zdumiony był jednak nadzwyczajną zręcznością, z jaką towarzyszy jego zdołał w tak krótkim czasie rozwiązać jedną część zagadki.

Szepnął więc:

- To naprawdę cud. Jak pan mógł dojść do tego?

Nie mówiąc słowa, Don Luis wydobyl z kieszeni książkę, którą Patryk poprzednio był już zauważył u niego: *Pamiętniki Benjamina Franklina* i palcem wskazał mu jeden z rozdziałów książki.

Było to pisane w ostatnich latach panowania króla Ludwika XVI i brzmiało:

„Codziennie chodzimy do wsi Passy, przyległej do miejsca mego zamieszkania, tam pijemy wodę we wspaniałym parku. Ze wszech stron w kaskadach i strumieniach spływa woda, rozprowadzona kanałami, niezwykle dobrze urządzoneymi.

Ponieważ znany jestem jako amator pomysłowych maszynierii, więc pokazano mi basen, w którym zbiera się woda ze wszystkich źródeł.

Wystarczy posunąć o ćwierć koła z prawa na lewo główkę małego chłopca z marmuru, by woda w basenie się znajdująca spłynęła do Sekwany przez wodociąg, który się otwiera na dnie i wiedzie wprost do rzeki”.

Patryk zamknął książkę, a Don Luis wyjaśniał:

- Od tego czasu dużo się zmieniło. Zapewne za przyczyną Essares-Beya. Woda uchodzi innym ujściem, a wodociąg służył do odpływu złota. Zresztą i łóżysko rzeki zostało zwężone. Pobudowano bulwary, pod którymi przeprowadzono kanalizację. Oto 163

widzi pan, kapitanie, że bardzo łatwo mogłem wszystko to odnaleźć, mając w ręku tę pouczającą książkę. *Doctus cum libro*.

- Tak, zapewne, lecz trzeba było dostać tę książkę i przeczytać.

- Przypadek. Znalazłem ją w pokoju Symeona i schowałem do kieszeni, ciekaw powodów, dla których on ją czytał.

Patryk zawołał:

- Ach, to z pewnością i on, czytając ją, odkrył tajemnicę Essares-Beya, sekret, którego nie znał dotąd. Znalazł tę książkę wśród papierów swego pana i w ten sposób dowiedział się o tym. A jak pan sądzi? Czy nie tak? Czy ma pan co innego na myśli w tym względzie?

Lecz Don Luis Parena nie odpowiadał. Patrzył na rzekę. Przy bulwarze, trochę opodal placu budowlanego stał na kotwicy niewielki statek, jak się zdawało, pusty. Ale po chwili cienka smuga dymu unosić zaczęła się z wystającego nad pomost komina.

- Chodźmy zobaczyć! - rzekł Don Luis.

Statek nosił napis: „La Nonchalante-Troyes”.

Musieli przesadzić przestrzeń, dzielącą statek od bulwaru. Pomost zasłany był próżnymi beczułkami i linami okrętowymi. Po drabince zeszli na dół do kabiny, będącej zarazem pokojem mieszkalnym i kuchnią. Zastali tam człowieka o solidnym wyglądzie, szerokiego w piersiach, o czarnych falistych włosach, bez zarostu.

Miał na sobie bluzę i płócienne spodnie, brudne i połatane.

Don Luis wręczył mu dwudziestofrankowy banknot, który człowiek ów chciwie zagarnął.

- Chciałem się czegoś dowiedzieć, towarzyszu. Czy widziałeś w tych dniach jakąś łódź przy placu budowlanym Berthou.

- Tak, łódź motorową, która odpłynęła wczoraj.

- Jak się nazywała ta łódź?

- „Piękna Helena”. W łodzi tej znajdowało się dwóch mężczyzn i kobieta: byli to cudzoziemcy. Mówili z sobą jakimś językiem... zdaje się angielskim, a może być, hiszpańskim... zresztą, nie wiem, jakim,

- Warsztat Berthou nie pracuje przecież obecnie.

- Nie, właściciel wzięty, jak mi mówiono, do wojska... czela-164

dnicy również... wszystkich teraz powołują... ja sam oczekuję wezwania, choć mam chore serce.

- Lecz jeżeli w warsztacie teraz nie pracują, cóż tam robiła ta łódź?

- Nie wiem tego. Lecz pracowali tam przez całą noc. Rozłożyli szyny na brzegu. Słyszałem turkot wagoników, na które ładowano...

coś, nie wiem co. A potem, o świcie podnieśli kotwicę.

- Dokąd popłynęli?

- W dół rzeki, w kierunku Mantes.

- Dziękuję, towarzyszu. To wszystko, co chciałem wiedzieć.

W dziesięć minut później, kiedy Patryk i Don Luis przybyli do pałacu Essaresa, spotkali tam szofera samochodu, do którego wsiadł

Symeon Diodokis, tak jak to przewidział Don Luis, i który zawieźć się kazał na dworzec Saint-Lazare, gdzie zakupił bilet.

- Dokąd? - zapytał Don Luis.

- Do Mantes - odparł szofer.

IV

„Piękna Helena”

- Wszystko się zgadza - rzekł Patryk. - Przestroga dana Desmalionsowi, że złoto będzie wysłane... Pośpiech, z jakim wykonano to wszystko w nocy bez przygotowań, bez cudzej pomocy, a tylko przez samą załogę statku... Cudzoziemska przynależność tych ludzi...

kierunek, w którym popłynęli... wszystko to zgadza się. Należy przypuszczać, że między piwnicą, w którą złoto wrzucono, a kanałem, którym je wywożono, znajduje się gdzieś jeszcze skrytka, w której przechowywano worki ze złotem: chyba, że tysiąc osiemset worków czekało ekspedycji porozwieszane, jeden za drugim, na sztabie, wzdłuż rury wodociągowej?... Lecz mniejsza o to. Najważniejsza rzecz, że

„Piękna Helena”, ukryta w jakimś podmiejskim kącie, czekała dobrej sposobności. Dawniej Essares-Bey dawał jej dla ostrożności sygnał w postaci owego deszczu iskier, jaki sam zaobserwowałem. Tym razem stary Symeon, kontynuując dzieło Essaresa, zapewne już na własny rachunek, sam uświadomił załogę i oto worki złota płyną teraz poprzez Rouen do Havru - skąd statek jakiś powiezie je na Wschód. Wszakże kilkadziesiąt ton na spodzie okrętu, przykrytych warstwą węgla, to ostatecznie drobnostka. Co pan na to? Jesteśmy na tropie, nieprawdaż?

Co do mnie, to pewny jestem... A Mantes? To miasto, do którego Symeon kupił bilet i dokąd zmierza „Piękna Helena”? Czy to nie jasne?

W Mantes dogoni Symeon swój ładunek złota i wsiądzie, przebrany za marynarza... i potem ani słyhu ani dychu... złoto ulotni się wraz z bandytą. Cóż pan na to? Wszak nie ma wątpliwości?

Lecz i tym razem Don Luis nie odpowiadał. Widać jednak zgadzał

się z przypuszczeniami kapitana, gdyż po chwili rzekł:

- Niech i tak będzie. Pojedziemy za nim..

A zwracając się do szofera, dodał: - Spiesz do garażu i przygotuj auto o sile 80 koni. Za godzinę chcę być w Mantes. A co do pana, kapitanie...

- Co do mnie, towarzyszę panu...

- A ktoś będzie się opiekował...

- Mateczką Koralią? Jakie niebezpieczeństwo może jej teraz 166

grozić? Nikt nie będzie teraz na nią nastawał. Symeon wypuścił sprawę z rąk i myśli już tylko o własnym bezpieczeństwie i o workach złota.

- Czy obstaje pan więc przy tym?

- Stanowczo.

- Może pan i źle robi, ale ostatecznie to rzecz pańska. Jedźmy więc... Aha! jeszcze jedna mała ostrożność. Ya-Bon! - zawołał Don Luis.

Senegalczyk nadbiegł.

O ile Ya-Bon żywił dla kapitana przywiązanie wiernego psa, o tyle dla Don Luisa odczuwał jakiś kult religijny. Najdrobniejszy ruch awanturника wprawiał go w zachwyty. W obecności wielkiego swego mistrza nie przestawał się śmiać.

- Ya-Bon, czy czujesz się już całkiem dobrze? Twoja rana zagojona? Nie odczuwasz zmęczenia? Nie, to świetnie. W takim razie chodź ze mną.

Don Luis zaprowadził Ya-Bona na bulwar niedaleko placu Berthou.

- Od dziewiątej wieczorem będziesz pełnił tu straż, na tej ławce.

Przyniesiesz z sobą jedzenie i napitek i będziesz przede wszystkim uważał na to, co dzieje się tam w dole... Co się tam stanie, nie wiadomo.

Być może, że nic. Mimo to nie ruszaj się stąd, dopóki nie wrócę...

chyba... chyba... że się coś stanie... a wtedy postąpisz, jak będzie trzeba.

Don Luis przerwał na chwilę, po czym mówił dalej:

- Przede wszystkim Ya-Bon, nie ufaj Symeonowi. Masz się go strzec! To on cię zranił. Gdybyś go spostrzegł, chwytaj za gardło i przyprowadź tutaj... Nie zabijaj go! Bez głupstw... jasne? Nie chcę, byś mi przyniósł trupa... Potrzeba mi go żywego. Czyś zrozumiał, Ya-Bon?

Patryk, zaniepokojony, zapytał:

- Czy obawia się pan czegoś z tej strony? To przecież niemożliwe, skoro Symeon wyjechał.

- Panie kapitanie - rzekł Don Luis. - Jeżeli dobry generał udaje się w pościg za wrogiem, to mówi: „Nic mi nie przeszkadza zabezpieczyć zdobytego terenu i pozostawić załogę w miejscach obronnych”. Plac Berthou jest bezsprzecznie takim punktem i to chyba dla naszego nieprzyjaciela najważniejszym. Muszę go strzec.

167

Don Luis przygotował także wszelkie środki ostrożności dla mateczki Koralii.

Młoda kobieta była bardzo osłabiona i potrzebowała opieki i spokoju. Umieszczono ją w samochodzie i odbywszy małą przejażdżkę w stronę centrum Paryża - dla zmylenia przypuszczalnego szpiega, zawieziono ją do filii szpitala przy bulwarze Maillot, gdzie Patryk oddał

ją w ręce pielęgniarki i polecił opiece lekarza. Zakazano wprowadzać do niej jakąkolwiek obcą osobę. Nie miała odpowiadać na żaden list, chyba żeby nosił podpis: Kapitan Patryk.

O 9.00 wieczorem auto Don Luisa pędziło drogą na Saint Germain do Mantes. Siedząc obok Don Luisa w głębi samochodu, Patryk rozkoszował się uczuciem zwycięstwa i tonął w hipotezach, jakie miały dla niego już wartość absolutnej pewności.

Jednak różne wątpliwości przychodziły mu na myśl; pragnął

wyjaśnić niektóre ciemne punkty i dowiedzieć się, jakiego był o nich zdania Arsen Lupin.

- Dla mnie - mówił - dwie rzeczy przede wszystkim pozostały najzupełniej niepojęte. Po pierwsze, kto został zamordowany przez Essaresa w dniu 4 kwietnia o 7 godzinie minut 19 z rana?

Słyszałem przecież jego krzyk. Kto to był i co się stało z trupem?

Don Luis wciąż jeszcze milczał, więc Patryk mówił w dalszym ciągu:

- Następnie druga rzecz, jeszcze dziwniejsza, mianowicie zchowanie się Symeona. Jak to, ten człowiek, który całe życie swoje poświęca jednemu celowi, to jest pomszczeniu śmierci przyjaciela swego Belvala i zapewnieniu szczęścia mnie i Koralii, i który żadnym czynem nie zbaczał z raz wytkniętej drogi, tak że cel ten staje się u niego manią, ten sam człowiek od dnia, w którym ginie jego wróg -

Essares, nagle zmienia się i zaczyna prześladować nas, tj. Koralię i mnie. I to tak dalece, że knuje tę samą intrygę, którą Essares uknuł, by zadać śmierć naszym rodzicom. Zechciej pan sam przyznać, że jest w tym coś niesłychanego. Czyżbyto żądza złota tak przewróciła mu w głowie? Kiedy ten skarb olbrzymi nagle dostał się w jego ręce z chwilą wykrycia tajemnicy jego kryjówek? Czy miałyby to być wytłumaczeniem jego zamierzonej zbrodni? Człowiek do tej pory uczciwy staje się teraz zbrodniarzem, byle zaspokoić rozbudzone nagle podłe uczucia? Copan sądzi o tym?

168

Don Luis milczał nadal. Patryk, który spodziewał się, że słynny awanturnik rozwiąże w mgnieniu oka wszystkie te zagadki, zdumiony był tym milczeniem i trochę zbity z tropu.

Spróbował po raz ostatni:

- A ten złoty trójkąt? Czy to jeszcze jedna zagadka? Czy ma pan jakieś jej rozwiązanie? Co ma oznaczać ten złoty trójkąt i gdzie się ten trójkąt znajduje? Jak pan przypuszcza?

I znów milczenie. W końcu oficer nie mógł się opanować i zawołał:

- Cóż to panu? Czemu pan nie odpowiada? Taki pan jakiś za troskany.

- Może trochę - odparł Don Luis.

- Ależ, z jakiego powodu?

- Och! Tak bez powodu!

- A przecie...

- No tak! Uważam, że idzie nam za dobrze.

- Co takiego idzie za dobrze?

- Nasza sprawa.

Kiedy Patryk chciał go jeszcze o coś zapytać, Don Luis przerwał mu mówiąc:

- Panie kapitanie, mam dla pana bardzo szczerą sympatię i zajmuje mnie żywo wszystko, co pana dotyczy, ale przyznać muszę, że istnieje tylko jedno zagadnienie, opanowujące wszystkie moje myśli, i jeden cel, na który kierują się wszystkie moje wysiłki. Jest to pogoń za złotem, które nam skradziono, a które nie chcę, by mi uszło... Co do pana, powiodło mi się zupełnie, ale tamto jeszcze nie całkiem. Wy oboje jesteście zdrowi, wyszliście bez szwanku, ale ja nie mam tysiąca ośmiuset worków złota, które mieć chcę, które mieć muszę...

- Ależ będziesz je pan miał, skoro wie pan gdzie są.

- Będę je miał - rzekł Don Luis - kiedy będą leżały tuż przede mną.

Do tego czasu nic nie wiadomo.

W Mantes poszukiwania nie trwały długo. Prawie zaraz, ku wielkiemu ich zadowoleniu, dowiedzieli się, że jakiś podróżny, podobny do starego Symeona, zajechał do hotelu „Des Trois Empereurs” i że obecnie śpi w swoim pokoju, znajdującym się na trzecim piętrze.

Don Luis zajął pokój na parterze tegoż hotelu, podczas gdy 169

Patryk, który swoją kulą u nogi łatwo mógł zwrócić uwagę na siebie, udał się do Grand Hotelu.

Nazajutrz kapitan obudził się późno. Telefonicznie doniósł mu Don Luis, że Symeon poszedł na pocztę, a potem udał się nad brzeg Sekwany, a stamtąd na dworzec; skąd przyprzewadził jakąś kobietę, dość elegancką, z twarzą zakrytą gęstą woalką. Oboje jedli teraz śniadanie w swoim pokoju na trzecim piętrze.

O czwartej po południu znów dzwonek telefonu. To Don Luis prosił

kapitana, by tenże udał się natychmiast do małej kawiarni, znajdującej się u krańca miasta w pobliżu wybrzeża. Kiedy Patryk przybył tam, dostrzegł natychmiast Symeona, przechadzającego się po wybrzeżu.

Symeon przechadzał się z założonymi w tyle rękami, jak człowiek bez określonego celu.

- Szalik, okulary, zawsze to samo dziwne ubranie - rzekł Patryk.

Po chwili zaś dodał:

- Proszę mu się przypatrzeć. Udaje obojętnego, ale nietrudno się domyślić, że oczy ma skierowane w górę rzeki, skąd przybyć ma

„Piękna Helena”.

- Tak, tak - rzekł szeptem Don Luis. - A oto i ta kobieta.

- Ach, to ona?- rzekł Patryk. – Spotkałem ją już kilka razy na ulicy.

Kobieta towarzysząca Symeonowi ubrana była w płaszcz z gabardyny, uwydatniający jej figurę i ramiona szerokie i silne. Duży, filcowy kapelusz przysłonięty woalem. Podała Symeonowi depeszę, którą ten przeczytał natychmiast.

Potem rozmawiali przez chwilę, zdawali się coś rozważać, przeszli obok kawiarni i o kilka kroków dalej zatrzymali się.

Wtedy Symeon napisał ołówkiem kilka słów na kartce papieru i podał ją towarzysze.

Ta, odebrawszy papier, udała się do miasta. Symeon zaś przechadzał się dalej wzdłuż brzegu rzeki.

- Niech pan tu zostanie, panie kapitanie - rzekł Don Luis.

- Przecież - zaprotestował Patryk - nieprzyjaciel nie myśli, że go śledzimy. Ani razu nie oglądnął się nawet.

- Rozsądniej jest być ostrożnym. Ale co za szkoda, że nie możemy dowiedzieć się, co napisał na tej kartce.

- A gdybym tak poszedł...

170

- Gdyby pan poszedł za tą kobietą? Nie, nie, panie kapitanie.

Niech się pan nie gniewa, ale to nad pańskie siły. Zaledwie ja sam bym...

Don Luis oddalił się.

Patryk czekał. Na rzece widać było łodzie i barki płynące w dół i w górę rzeki. Machinalnie odczytywał Patryk ich nazwy. Wtem nagle w pół godziny po odejściu Don Luisa usłyszał kapitan wyraźnie silny, miarowy odgłos motoru, jednego z tych nowoczesnych typów używanych przy łodziach.

Istotnie na zakręcie rzeki ujrzał Patryk nadpływający statek. Kiedy łódź zbliżyła się, odczytał dokładnie, nie bez pewnego wzruszenia, napis: „Piękna Helena”. Statek płynął szybko i równo, wydając miarowe odgłosy.

Była to łódź szeroka, wypukła i głęboko zanurzona w wodzie, choć na zewnątrz nie widać było żadnego ładunku.

Na pokładzie zauważył Patryk dwóch marzynarzy, siedzących i palących fajki. Z tyłu przyczepiona płynęła mała łódka.

Statek oddalił się po chwili i zniknął na zakręcie rzeki.

Jeszcze całą godzinę czekał Patryk powrotu Don Luisa. Kiedy go zobaczył, natychmiast zapytał:

- No, i cóż tam „Piękna Helena”?

- Jest o dwa kilometry stąd. Odczepili barkę i popłynęli po Symeona.

- Więc odpłynął z nimi?

- Tak.

- I niczego się nie domyśla?

- Za wiele mnie pan pytasz, panie kapitanie.

- Mniejsza z tym, i tak zwyciężyliśmy. Samochodem prześcigniemy ich. W Vernon, na przykład, uwiadomimy władze wojskowe i inne, by ich aresztowano i schwytano.

- Nikogo nie uwiadomimy, kapitanie. My sami zajmiemy się tym i zrobimy to.

- My sami? W jaki sposób? Ależ...

Spojrzeli na siebie i Patryk nie mógł ukryć pewnego zdziwienia, a nawet podejrzenia.

Don Luis nie obraził się jednak wcale.

- Obawia się pan, abym nie wziął dla siebie tych trzystu milionów?

- zapytał. - Do diaska - rzekł - taką paczkę trudno by ukryć w kieszonce kamizelki.

171

- A jednak czy mogę zapytać, jakie ma pan zamiary w tym względzie?

- I owszem, panie kapitanie, ale pozwoli pan, że odpowiem na to pytanie dopiero wtedy, kiedy się nam powiedzie. W chwili obecnej należy przede wszystkim odszukać statek.

Powróciwszy do hotelu „Les Trois Empereurs”, wsiadli do auta, kierując się w stronę Vernon. Tym razem jechali obaj w milczeniu.

Ujechawszy kilka kilometrów, zbliżyli się ku rzece, do kilka stóp wysokiego, stromego brzegu, który zaczyna się w Rosny. W chwili, kiedy dojeżdżali do Rosny, „Piękna Helena” wpływała właśnie w wielki zakręt, którym Sekwana niby wstęgą otacza Roche Guyon i gdzie zwraca się następnie ku szerokiej szosie, wiodącej do Bonnières. Statek wymagał na przebycie tej drogi trzy godziny, podczas kiedy auto, przecinając wzgórze, znalazło się w Bonnières w kwadrans potem.

Przejechali wzdłuż wsi.

Cokolwiek dalej na prawo znajdowała się oberża. Don Luis dał

szoferowi znak, by się zatrzymał, i rzekł do niego wysiadając:

- Jeśli do północy nas tu nie będzie, wracaj do Paryża. Czy będzie mi pan towarzyszył, panie kapitanie?

Patryk podążył za Don Luisem. Skierowali się w prawo wąską dróżką, wiodącą brzegiem rzeki. Po kwadransie zdawał się Don Luis znaleźć to, czego szukał. Była to mała łódka, umocowana do pala, w pobliżu willi, której wszystkie okiennice były szczelnie pozamykane.

Don Luis odczepił łańcuch.

Było około siódmej wieczorem. Noc zapadała szybko, lecz jasne światło księżyca rozświetlało mrok.

- Przede wszystkim - rzekł Don Luis - muszę pana objaśnić.

Będziemy tu czatowali na „Piękną Helenę”, która punktualnie o jedenastej wieczorem musi tędy przepłynąć. Spotkamy się z nią na rzece przy świetle księżyca lub mej lampki elektrycznej; każemy jej się zatrzymać. Sądzę, że ze względu na mundur pański, usłuchają nas.

Wtedy przejdziemy na statek.

- A jeżeli nas nie usłuchają?

- To wtargniemy. Ich jest tam trzech, a nas dwóch. A więc...

- A potem?

- Potem? Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ci dwaj lu-172

dzie załogi są tylko na usługach Symeona, a nie są jego współnikami.

Nie znają go bliżej i nie wiedzą, jaki to ładunek wiozą ze sobą. Kiedy obezwładnimy Symeona, wynagrodzę ich sownie i polecę skierować statek w stronę, w którą zechcę. Ale, kapitanie, przede wszystkim chcę panu oświadczyć, że ze statkiem tym uczynię, co mi się będzie podobało. Oddam

jego ładunek wtedy, kiedy zechcę. To jest mój łup, moja zdobycz. Nikt oprócz mnie nie ma doń prawa.

Oficer sprzeciwił się:

- Przecież nie mogę wziąć na siebie podobnej roli.

- W takim razie niech mi pan da słowo honoru, że dochowa pan tajemnicy. W takim razie dobranoc. Niech każdy idzie w swoją stronę.

Ja zajmę się statkiem sam, a pan niech wraca do swoich spraw.

Zaznaczam, że nie wymagam od pana natychmiastowej odpowiedzi. Ma pan czas do namysłu i do powzięcia takiego postanowienia, jakiego będzie wymagał pański interes i pańskie zaszczytne zresztą skrupuły.

Co do mnie, to skorzystam ze sposobności i zdrzemnę się trochę. Skoro mam chwilę czasu, to obrócę ją na drzemkę: *Carpe somnum* — powiada poeta. A więc dobranoc, kapitanie.

Nie dodając więcej ani słowa, Don Luis zawinął się w swój płaszcz i stoczywszy łódź ułożył się na spoczynek.

Patryk całą siłą woli powstrzymywał się, by nie wpaść w gwałtowny gniew. Pełen ironii spokój Don Luisa, jego intonacja grzeczna i uprzejma, w której jednak odczuwał szyderstwo, denerwowała go w najwyższym stopniu, tym bardziej, że czuł na sobie wpływ tego dziwnego człowieka i uznawał swoją bezsilność w działaniu bez jego pomocy. Wreszcie, jakże mógł zapomnieć, że Don Luis uratował życie jemu i Koralii. Mijały godziny. Don Luis spał w łodzi spokojnie. Patryk wahał się i szukał sposobu, który by pozwolił mu pochwyć Symeona i pozbyć się tego wroga, i przeszkodzić Don Luisowi w zagarnięciu tego olbrzymiego skarbu.

Przerażała go myśl, że miał być jego współnikiem. Mimo to jednak, gdy usłyszał oddalony turkot motoru i Don Luis obudził się, Patryk stanął obok niego gotowy do czynu.

Nie zamienili ze sobą ani słowa. Na wieży kościelnej zegar wybił

jedenastą. „Piękna Helena” zbliżała się.

Patryk czuł wzrastające wzruszenie. „Piękna Helena” to było 173

nieszkodliwienie Symeona i odebranie milionów, uwolnienie Koralii od grożącego jej nieustannie niebezpieczeństwa, to był koniec dręczącej ich okropnej zmory, unicestwienie zbrodniczego dzieła Essaresa raz na zawsze. Stukot motoru stawał się coraz bliższy, regularny rytm jego rozbrzmiewał po rzece. Don Luis chwycił za wiosła i silnie uderzając o fale wypłynął na środek rzeki.

Nagle ukazała się w oddali ciemna masa statku, rysująca się wyraźnie w świetle księżyca. Jeszcze dziesięć, piętnaście minut, a zbliży się zupełnie.

- Czy chce pan, żebym panu pomógł? - szepnął Patryk. - Zdaje mi się, że prąd silny i trudno panu wiosłować.

- Wcale nietrudno - odparł Don Luis i zaczął z cicha nucić.

- Ale cóż to?

Patryk patrzył zdumiony. Barka okręciła się w miejscu i zaczęła wracać w stronę brzegu.

- Jak to, jak to? - powtarzał. - Wracamy? Cóż to, pan się zrzeka?

Nie rozumiem wcale... a raczej... Czy to dlatego, żeśmy tylko we dwóch? Dwóch przeciw trzem? Czy pan się obawia?

Jednym susem Don Luis znalazł się na brzegu i podał rękę Patrykowi.

Ten odsunął się od niego i warknął:

- Niech pan się wytłumaczy!

- Toby za długo trwało - odparł Don Luis. - Jedno tylko pytanie: czy ta książka, którą znalazłem w pokoju Symeona, *Pamiętniki Benjamina? Franklina*, czy zauważył ją pan przy ostatnim poszukiwaniu?

- Do kroćset! Zdaje mi się, że mamy inną sprawę tu...

- Pytanie bardzo ważne, panie kapitanie.

- A więc nie, nie było jej tam.

- W takim razie - rzekł Don Luis - wpadliśmy, a raczej po sprawiedliwości: to ja wpadłem. W drogę, panie kapitanie, i to prędko.

Patryk dotąd nie ruszał się z łodzi. Nagłym ruchem odepchnął barkę od brzegu i chwyciwszy wiosło, mruknął:

- Na Boga! Zdaje się, że on kpi ze mnie, ten pasażer.

I odbiwszy z jakich dziesięć metrów od brzegu, zawołał:

- Jeśli się pan boi, popłynę sam. Nie trzeba mi nikogo!

174

Don Luis odparł:

-

Do widzenia, panie kapitanie, spotkamy się w oberży.

Wyprawa kapitana nie natrafiła żadnych trudności. Na pierwszy rozkaz, wydany głosem stanowczym, „Piękna Helena” natychmiast zatrzymała się, tak że wejście na statek odbyło się zupełnie spokojnie.

Obydwaj marynarze, ludzie starsi już, rodem z wybrzeża Basków, którym Patryk przedstawił się jako wysłannik władz wojskowych, pozwolili zrewidować mu statek.

Nie znalazł tam ani starego Symeona, ani najmniejszego woreczka ze złotem. Spód okrętu był zupełnie pusty.

Pytania trwały krótko:

- Dokąd płyniecie?

- Do Rouen. Zarekwirowano nas do służby aprowizacyjnej.

- Po drodze jednak wzięliście kogoś ze sobą?

- Tak, wMantes.

- Jego nazwisko?

- Symeon Diodokis.

- I co się z nim stało?

- Krótko po tym kazał przybić do brzegu i wysiadł, by resztę drogi odbyć koleją.

- Czemu wsiadł na statek?

- Chciał nam zapłacić.

- Za co?

- Za ładunek, który przed dwoma dniami wzięliśmy w Paryżu.

- Worki?

- Tak.

- Z czym?

- Tego nie wiemy. Zapłacono dobrze, to nam wystarczy.

- Gdzie teraz znajduje się ten ładunek?

- Przeładowaliśmy go ubiegłej nocy na mały parowiec, który nas spotkał w pobliżu Poissy.

- A jak się nazywa ten parowiec?

- „Kozica”. Sześciu ludzi załogi.

- Gdzie znajduje się teraz ten statek?

- Przed nami, płynął szybko. Musi już być w pobliżu Rouen.

Symeon Diodokis ma go doścignąć.

175

- Od jakiego czasu znacie Symeona Diodokisa?

- Widzieliśmy go po raz pierwszy. Ale słyszeliśmy, że był na ślubie u pana Essaresa.

- Ach, to pracowaliście już u pana Essaresa?

- Tak, kilkakrotnie... ta sama robota, ta sama droga.

- W jaki sposób wzywał was? Czy dawał sygnał?

- Zapalał sadze w starym kominie fabrycznym.

- Czy zawsze były worki?

- Tak, worki. Nie wiadomo z czym. Zawsze płacił dobrze.

Patryk nie pytał więcej. Szybko zbiegł do swej barki, dopłynął do brzegu i zastał Don Luisa w hotelu, przy sutej wieczerzy.

- Niech się pan zbiera. Ładunek znajduje się na pokładzie parowca

„Kozica”, który możemy dogonić między Rouen a Havrem.

Don Luis wstał i podał kapitanowi paczkę zawiniętą w biały papier.

- Oto kanapki, panie kapitanie. Noc będzie ciężka. Żałuję bardzo, że pan się nie przespał, jak ja. Ale teraz jazda! Tym razem ja prowadzę.

Popędzimy jak wicher. Siadaj pan koło mnie, kapitanie.

Skoczyli obydwaj do samochodu, wraz z nimi i szofer. Gdy tylko ruszyli, Patryk zawołał:

- Uwaga! Nie w tę stronę! Wracamy przecież do Mantes i do Paryża!

- Dobrze, bo właśnie tam zdążamy - zaśmiał się złośliwie Don Luis.

- Co? Do Paryża?

- Oczywiście.

- No nie, tego już trochę za wiele. Przecież mówię panu, że obaj marynarze...

- Pańscy marynarze to zwyczajni oszuści!

- Zapewniali mnie, że ładunek...

- Ich ładunek! Co za ładunek?

- Lecz ostatecznie „Kozica”...

- „Kozica”? Taki sobie statek. Powtarzam panu, kapitanie, że wpadliśmy w obrzydliwą pułapkę, wpadliśmy na całego! Stary Symeon to spryciarz! To ci przeciwnik, ten staruch! Dobrze się z nim można zabawić. Przygotował mi zasadzkę, w którą

176

wpadłem po szyję. Cudowne! Tylko że wszystko miewa swoje granice!

Nawet najlepszy żart; na teraz zaś mam go dość!

- Jednak...

- Pan niezadowolony, mój kapitanie? Po „Pięknej Helenie” chce pan atakować „Kozicę”? Bardzo proszę, może pan wysiąść w Mantes, tylko uprzedzam pana, że Symeon znajduje się w Paryżu i to od trzech do czterech godzin przed nami.

Patryk drgnął. Symeon w Paryżu! W Paryżu znajdowała się Koralia.

Nie protestował już dłużej, a Don Luis mówił dalej:

- A to gałgan! Jak on dobrze odegrał swoją rolę! I te *Pamiętniki Franklina*, to prawdziwy majstersztyk... Wiedząc o moim pobycie tu, powiedział sobie: „Arsen Lupin? O, to niebezpieczny ptaszek, on gotów przeniknąć całą sprawę i schować mnie do kieszeni wraz z workami złota. Trzeba by się go pozbyć. Lecz na to jest tylko jeden środek: urządzać się tak, by wpadł na prawdziwy trop i to z takim rozmachem, że nie dostrzeże momentu psychologicznego, w którym trop prawdziwy zamienia się w fałszywy”. I cóż, czy to zły pomysł? Ten tomik *Pamiętników Franklina*, przygotowany niby wędka. Ta karta książki otwarta na właściwym miejscu. To nieuniknione i łatwe odkrycie przeze mnie kanalizacji, to wszystko przygotowane było jak najuprzejmiej.

Namotana

nitka Ariadny, za którą szedłem posłusznie, wiedziony ręką Symeona, począwszy od piwnicy przy ulicy Raynouard, aż do placu Berthou. Aż do tej pory wszystko szło dobrze.

Ale odtąd uwaga! Na placu budowlanym Berthou nie ma nikogo, tylko na uboczu niewielka łódź, a więc możliwość zasięgnięcia języka i pewność, że to uczynię. Istotnie informowałem się tam. A raz fałszywie poinformowany, przepadłem...

- A więc ten człowiek?...

- Tak, naturalnie, współnik Symeona! A Symeon, domyślając się, że będziemy go śledzić aż do dworca Saint Lazare, postarał się wskazać mi aż dwa razy kierunek na Mantes. A w Mantes dalszy ciąg komedii...

„Piękna Helena” nadchodzi z podwójnym ładunkiem: z Symeonem i workami złota. Ścigamy więc „Piękną Helenę” i naturalnie nie znajdujemy na niej ani Symeona, ani złota: „Ścigajcie więc «Kozicę»!”

Wszystko przetransportowaliśmy na ten statek! " Dalej więc, śpieszymy, ścigamy „Kozicę” do końca, do Rouen, do Havru, aż na koniec świata.

Ale pogoń dare-

177

mna. Bo „Kozica” oczywiście wcale nie istnieje. Ale my wierzymy święcie, że istnieje i tylko co dopiero nam zdołała zbiec. A wtedy sztuka udała się! Wywieziono przez ten czas miliony, Symeon zaś znikł z oczu.

A nam nie pozostaje nic innego, jak zrezygnować i zaniechać wszelkich poszukiwań. Słyszysz pan? Zaniechać poszukiwań, oto czego życzy sobie ten jegomość. Gdyby to osiągnął, gdyby...

Auto pędziło z pełną szybkością. Od czasu do czasu Don Luis z niesłychaną zrećnością zatrzymywał je nagle. To posterunek wojskowy. Rewizja przepustek. Potem na nowo pęd szalony, zawrotny.

- Gdyby... co takiego?... - zapytał Patryk, na pół tylko przekonany.

- Cóż to pana naprowadziło na dobrą drogę?

- Obecność tej kobiety w Mantes. Była to poszlaka z początku bardzo niepewna. Lecz potem nagle przypomniało mi się to indywiduum na tej pierwszej łodzi, „Nonchalante”, które nam dawało wskazówki... przypominasz pan sobie, tam przy placu budowlanym Berthou... Na widok tego człowieka doznałem dziwnego jakiegoś uczucia... niepojętego... że to może być kobieta... przebrana... To wrażenie, znów się we mnie odezwało. Zacząłem czynić porównania z tą kobietą w Mantes... i wreszcie... wreszcie wszystko mi się wyjaśniło.

Don Luis rozmyślał przez chwilę, potem cichym głosem mówił

dalej:

- Ale, do diabła, kim może być ta kobieta?

Nastąpiła chwila ciszy, którą przerwał Patryk, mówiąc instynktownie:

- Grzegorz. Bez wątpienia. Grzegorz.

- Co? Co takiego? Grzegorz?

- Tak, Grzegorz, bo ten Grzegorz podobno jest kobietą.

- Jak to? Co pan też opowiada, kapitanie?

- Rzecz jasna! Oczywiście. Przypomnij pan sobie. To mi wyjawili wspólnicy Essaresa, kiedy ich kazałem aresztować w kawiarni.

- Jak to? A w pańskim pamiętniku nie ma o tym ani słowa.

- Ach! W istocie... zapomniałem o tym szczególe.

- Szczegół! On to nazywa szczegółem! Ależ kapitanie, wszak to niezwykle ważne. Gdybym był o tym wiedział, domyśliłbym się natychmiast, że człowiek z owej łodzi, to nikt inny, jak właś-

178

nie Grzegorz. Nie straciłbym całej nocy. Dobryś sobie, panie kapitanie!

Lecz to nie zmąciło dobrego humoru Don Luisa. Podczas kiedy kapitan, pełen złych przeczuć, posepniał coraz bardziej, tamten radośnie i zwycięsko prawil:

- Wyśmienicie! Potyczka staje się poważna. Ale bo też doprawdy wszystko szło zbyt gładko i łatwo i oto dlaczego ja, Arsen Lupin, byłem przygnębiony! Czy w rzeczywistości sprawy takie idą jak po maśle...

Czy wszystko się tak układa, z taką ścisłością?

Franklin, kanał ze złotem, kolejka drutów nieprzerwana, ślad, który sam się rzuca w oczy, schadzka w Mantes, „Piękna Helena"! Nie, wszystko to mnie drażniło... Za wiele kwiatów, o, pani - nie rzucaj ich więcej! A potem jeszcze ta ucieczka ze złotem na małym statku!... Dobre to w czasie pokoju, ale podczas wojny, w pełnym rozkwicie przepustek, paszportów, rewizji, poszukiwań, okrętów patrolowych itd., itd. Jakim sposobem taki jegomość jak Symeon ryzykować może podobną podróż?

Nie, nie dowierzałem temu i dlatego, kapitanie, na wszelki wypadek postawiłem Ya-Bona na straży przy placu budowlanym Berthou. Teraz mi przyszło na myśl, że ten plac, zdaje się, jest ośrodkiem całej awantury. I cóż? Czy miałem rację? Czy Arsen Lupin stracił węch?

Panie kapitanie, potwierdzam panu to, co mówiłem o moim wyjeździe jutro wieczorem. Zresztą powiedziałem, że muszę: jako zwyciężony czy zwycięzca, muszę odjechać... Ale my zwyciężymy... Wszystko się wyjaśni... cała zagadka... nawet ta, o złotym trójkącie...

Och, nie mam pretensji przynieść panu takiego pięknego trójkąta z cennego metalu. Nie! Nie trzeba dać się mamić słowami. Może to tylko figura geometryczna tych worków złota - nagromadzenie ich w formie trójkąta... albo też może kształt otworu w ziemi w ten sposób zrobionego. Lecz mniejsza o to! Będziemy go mieli i worki ze złotem będą nasze. A Patryk i Koralia pójda do mera i z moich rąk otrzymają błogosławieństwo, i będą mieli dużo, dużo dzieci.

Zbliżano się ku bramom Paryża. Patryk, coraz bardziej ponury, zapytał:

- A więc sądzisz pan, że nie potrzebujemy się już niczego obawiać?

- Oho! Tego wcale nie twierdzę, dramat nie zakończył się jeszcze wcale. Po wielkiej scenie aktu trzeciego, którą nazwiemy 179

sceną z gazem świetlnym, nastąpi jeszcze na pewno akt czwarty, a być może i piąty. Przeciwnik wcale nie daje za wygraną. Wcale nie!

Jechali wzdłuż wybrzeża.

- Zejdźmy tutaj - rzekł Don Luis.

Gwizdnął lekko trzykrotnie.

- Nikt nie odpowiada - mruknął. - Ya-Bona tu nie ma. Walka już się rozpoczęła.

- Ale Koralia...

- Bez obaw. Symeon nie zna jej adresu.

Na placu Berthou nie było nikogo. Tak samo pusto było i na bulwarze wzdłuż rzeki. Lecz przy świetle księżyca dojrzeć można było łódź „Nonchalante”.

- Chodźmy tam - rzekł Don Luis. - Czyżby ta łódź była zwykłym mieszkaniem kobiety, zwanej Grzegorzem; czyżby ona wróciła już, w mniemaniu, że znajdujemy się w drodze do Havru? Spodziewam się, że tak. W każdym razie Ya-Bon musiał tam być i pozostawić jakiś znak.

Czy idzie pan ze mną, kapitanie?

- Proszę bardzo. To tylko dziwne, że się tak boję!

- Czego? - zapytał Don Luis, który sam zanadto był odważny, by zrozumieć to uczucie.

- Boję się tego, co ujrzymy.

- A może właśnie niczego nie zobaczymy.

Zaświecili swoje elektryczne latarki i wzięli do rąk rewolwery.

Przeszli po desce, łączącej statek z brzegiem. Po kilku stopniach weszli do kabiny.

Drzwi do kajuty były zamknięte.

- Ej, kolego, racz otworzyć.

Nikt nie odpowiadał. Zaczęli więc drzwi rozwalać, co nie przyszło im łatwo; mocne były i szczelne, niepodobne do zwykłych drzwi kajuty.

Wreszcie rozwarli je.

- Tam, do licha! - rzekł Don Luis, który wszedł pierwszy. - Tego się nie spodziewałem.

- Czegóż to?

- Spójrz pan... ta kobieta, którą nazywano Grzegorzem... zdaje się martwa...

Leżała na wąskim, żelaznym łóżku, przebrana w męską, ro-180

zerwaną na piersiach bluzę. Twarz wyrażała niesłychane przerażenie.

Nieporządek w kabinie wskazywał, jak dziką musiała być walka, jaka się tu rozegrała.

- Nie omyliłem się... Obok niej leży strój, jaki miała na sobie w Mantes. Ale cóż to panu, kapitanie?

Patryk wydał przytłumiony krzyk:

- Tam., naprzeciwko nas... pod oknem.

Było to małe okienko, wychodzące na rzekę. Ramy w nim były wyrwane.

- Ależ - mówił Don Luis - co takiego? Ach, tak... musiano kogoś przez nie wyrzucić...

- Ten woal... ten niebieski woal... - wyjąkał Patryk - to jest woal pielęgniarce, woal Koralii!...

Don Luis zawrzał gniewem:

- To niemożliwe, co pan powiadasz! Nikt przecie nie znał jej adresu.

- A jednak...

- Jednak co? Pan przecież do niej nie pisał ani nie telegrafował?

- Tak... telegrafowałem... w Mantes.

- Co takiego? W takim razie... ależ to byłoby szaleństwo! Pan tego nie zrobił?

- Zrobiłem...

- Depeszował pan z urzędu pocztowego w Mantes?!

- Tak...

- A był kto jeszcze na poczcie?

- Tak, kobieta.

- Czy ta? Ta, którą tu zamordowano?

- Tak.

- Ależ ona nie czytała przecież tego, coś pan napisał?

- Nie, ale zaczynałem dwa razy moją depeszę.

- A zaczęta depeszę rzuciłeś pan na ziemię... i pierwszy lepszy mógł ją podnieść... Ech! Doprawdy, kapitanie, przyzna pan sam...

Ale Patryk był już daleko - całym pędem pobiegł ku samochodowi.

W pół godziny potem wrócił, mając w ręku dwa telegramy, znalezione na stole w pokoju Koralii.

181

Pierwszy wysłany przez niego, zawierał następujące słowa: „Wszystko dobrze. Bądź spokojna i nie wychodź z domu. Dużo serdeczności.

Kapitan Patryk".

Drugi telegram, wysłany widocznie przez Symeona, brzmiał: „Ważne wypadki. Plan zmieniony. Wracamy. Czekaj mnie dziś o dziewiątej wieczorem przy małej furtce ogrodowej. Kapitan Patryk".

Tą drugą depeszę otrzymała Koralia o godzinie ósmej wieczorem i natychmiast wyszła.

Akt czwarty

- Panie kapitanie - zauważył Don Luis - oto strzeliłeś pan dwa grube byki. Po pierwsze, żeś mnie pan nie zawiadomił, że Grzegorz to kobieta, a po wtóre...

Jednak Don Luis, spostrzegłszy przygnębienie kapitana, nie dokończył zdania, tylko oparł rękę na jego ramieniu i rzekł pocie-szająco:

- No, no, kapitanie, nie trzeba się poddawać. Położenie nie jest tak straszne, jak się panu zdaje.

Patryk wymamrotał:

- Żeby ująć ręki tego człowieka, Koralia rzuciła się z okna.

Don Luis wzruszył ramionami:

- Mateczka Koralia żyje. Wprawdzie jest w rękach Symeona, ale żyje.

- Ach, skąd pan może wiedzieć? Zresztą być w rękach tego potwora, czyż to nie gorsze od śmierci?

- To tylko groza śmierci. A jeśli przybędziemy na czas, to życie.

Przybędziemy zaś z pewnością na czas.

- Czy jest pan na tropie?

- A pan sobie myślisz, że siedziałem z założonymi rękami i że pół

godziny nie wystarczyło takiemu staremu rutyniarzowi do odgadnięcia wszystkich tajemnic, jakie zawiera ta kajuta.

- A więc, chodźmy! - zawołał Patryk gotów już do walki. -

Spieszmy na spotkanie wroga.

- Jeszcze nie - rzekł Don Luis, który w dalszym ciągu przeglądał

kajutę. Niech pan posłucha. Oto opowiem panu bez ogródek, co wiem.

Nie zamierzam wcale olśnić pana wywodami, ani słowem nie wspominając o tych wszystkich drobiazgach, które służą mi za dowody, powiem tylko to, co jest tu faktem. Jeden punkt. Więc...

- Więc?

- Mateczka Koralia przybyła o dziewiątej na oznaczone miejsce.

Symeon znajdował się tam ze swoją współniczką. Oboje pochwycili Koralię, związali i przynieśli tu, w to miejsce. Niech pan zauważy, że wedle ich mniemania, kryjówka ta była bezpie-

183

czna, bo z pewnością ani pan, ani ja nie wiedzieliśmy o ich zasadzce.

Wszakże domyślać się należy, że kryjówka ta miała być prowizoryczną, tylko na część nocy, i że Symeon postanowił zostawić mateczkę Koralię w rękach swojej towarzyszki, a sam udać się na poszukiwanie pewniejszego schronienia, które miałyby stanowić jej więzienie. Lecz na szczęście, i z tego - przyznaję - jestem dumny, Ya-Bon był tam. Ya-Bon, ukryty w ciemnościach, czuwał. Widział zapewne tych ludzi, przechodzących bulwarem i rozpoznał z pewnością kroki Symeona.

Natychmiast rozpoczął pościg. Ya-Bon skoczył na pomost statku i nadbiegł w tym samym niemal czasie, co napastnicy, zanim jeszcze zdolali się zamknąć. Cztery osoby w tym małym pokoiku, w zupełnym mroku. Musiała to być bójka straszliwa. Znam Ya-Bona. W takich wypadkach jest straszny. Na nieszczęście nie był to Symeon, którego pochwycił w swoją rękę, nie wypuszczając zdobyczy z garści. To była ta kobieta. Symeon skorzystał z tego. Nie wypuścił Koralii, wziął ją na rękę, rzucił na schody, potem wróciwszy, zamknął na klucz walczących.

- Tak pan sądzi?... Więc to Ya-Bon zabił tę kobietę, a nie Symeon?

- Z pewnością. Gdyby nawet nie było innych dowodów, to zgniecenie krtani nosi cechy czynu Ya-Bona. Jednej rzeczy tylko nie rozumiem. Mianowicie, dlaczego Ya-Bon, obezwładniony przeciwnika, nie wyważył drzwi i nie pośpieszył za Symeonem.

Przypuszczam, że był ranny i nie miał dość siły. Przypuszczam również, że ta kobieta nie umarła od razu i że mówiła; oskarżała Symeona, który opuścił ją, zamiast jej bronić. To jednak pewne, że Ya-Bon wybił szybę okna kabiny.

- Aby rzucić się do Sekwany, ranny, z jedną ręką? - zauważył

Patryk.

- Wcale nie. Wzdłuż tego okna jest gzysik. Mógł na nim oprzeć nogę i skoczyć.

- Dobrze, ale miał dziesięć, może dwadzieścia minut spóźnienia w stosunku do Symeona.

- Cóż to znaczy, jeśli kobieta miała czas po temu, by zdradzić mu przed śmiercią kryjówkę Symeona.

- Skąd można wiedzieć o tym?

- Oto, czego właśnie szukam przez cały czas naszej rozmowy i co właśnie odkrywam.

184

- Tutaj?

- Tak. Spodziewałem się tego po Ya-Bonie. Kobieta ta wskazała mu jeden przedmiot w tej kajucie -

widzi pan? Zapewne tę szufladę, pozostawioną otworem - w niej leżała karta wizytowa z adresem. Ya-Bon wziął tę kartę i, by mi dać znak jakiś, przypiął ją do firanki.

Widziałem ją już przedtem, ale w tej chwili dopiero zauważyłem szpilkę, którą jest przypięta. Jest to złota szpilka, którą sam przypiąłem na piersi Ya-Bona krzyż marokański.

- A ten adres?

- Amadee Vacherot, rue Guinard 18. Ulica ta znajduje się w pobliżu i to utwierdza mnie w moim odkryciu.

Obaj wyszli natychmiast, pozostawiając na miejscu zwłoki kobiety, bo jak twierdził Don Luis, policja sama da sobie radę z tym.

Przechodząc przez plac budowlany Barthou, zajrzeli do komórki i Don Luis zauważył:

- Brak tu drabiny. Zapamiętajmy ten szczegół. Symeon był tutaj i, jak widzę, i on strzelać zaczyna głupstwa.

Samochód zawiózł ich na ulicę Guinard, małą uliczkę dzielnicy Passy. Numer 18 okazał się dużym domem z oficynami starego typu.

Była godzina druga w nocy, kiedy zadzwonili do bramy.

Długo czekali zanim im otworzono i ledwie weszli, ukazała się w okienku głowa portiera:

- Kto tam?

- Musimy widzieć się koniecznie z panem Amadeuszem Vacherot.

- Ja nim jestem.

- Pan? Pan nim jesteś?

- Tak, ja jestem odźwiernym tego domu. Lecz jakim prawem panowie przychodzicie o tej porze?

- Na rozkaz prefektury - odparł Don Luis, pokazując jeden z medali.

Weszli do loży portiera.

Amadeusz Vacherot był to niewielkiego wzrostu staruszek o twarzy pocziwca, okolonej siwymi faworytami, o wejrzeniu kościelnego.

- Niech pan odpowie wyraźnie i bez wykrętów – rozkazał ostrym tonem Don Luis. - Szukamy niejakiego Symeona Diodokisa.

Portier wystraszył się.

- Chcecie wyrządzić mu coś złego? Jeśli macie ten zamiar, nie warto mnie wcale wypytywać. Wolałbym być żywcem upieczony, niż uczynić krzywdę panu Symeonowi.

Don Luis pohamował się.

- Dlaczego mielibyśmy uczynić mu coś złego? Przeciwnie, szukamy go, aby mu pomóc, by go uchronić przed wielkim niebezpieczeństwem.

- Przed wielkim niebezpieczeństwem? - krzyknął Vacherot. - Ha!

Wcale mnie to nie dziwi, nigdy go jeszcze nie widziałem tak wzburzonego.

- Był więc tutaj?

- Tak, trochę po północy.

- Czy jest tu jeszcze?

- Nie, wyszedł.

Patryk poruszył się niespokojnie i zrozpaczonym głosem zapytał:

- A może zostawił tu kogoś?

- Nie, ale chciał przyprowadzić kogoś.

- Panią?

Pan Vacherot zawahał się.

- My wiemy o tym - rzekł Don Luis - że Symeon Diodokis zamierza umieścić w bezpiecznym miejscu pewną osobę, dla której żywi największy szacunek.

- Czy może mi pan powiedzieć nazwisko tej osoby - zapytał

portier, wciąż jeszcze niedowierzając.

- Oczywiście. To pani Essares. Wdowa po bankierze, u którego Symeon pełnił funkcję sekretarza. Panią Essares prześladowają zacięci nieprzyjaciele, przed którymi on ją broni, a ponieważ my obaj pragniemy jej przyjść z pomocą i chcemy zająć się tą sprawą zbrodniczą, zatem nalegamy na pana...

- A więc - rzekł pan Vacherot, zupełnie już uspokojony - znam Symeona Diodokisa od wielu, wielu lat. W czasie kiedy pracowałem jako stolarz, wyświadczył mi wiele przysług, pożyczał pieniądze, postarał się o miejsce i często przychodził na pogawędkę, opowiadając rozmaite rzeczy.

- O swoich przejściach z Essares-Beyem? O projektach, dotyczących Patryka Belvala? - wtrącił

Portier znów się zawahał, lecz rzekł:

- O rozmaitych *rzeczach*. Pan Symeon to dobry człowiek, tyle dobrego czynił i przeze mnie bardzo pomagał okolicznym biedakom. I teraz, przed chwilą jeszcze, życie narażał dla pani Essares...

- Jeszcze słówko. Czy widział go pan od śmierci Essares-Beya?

- Nie, dziś po raz pierwszy. Przybył o pierwszej w nocy. Był

zdyszany i mówił cichym głosem, nad słuchując szmerów ulicznych:

„Ścigali mnie - mówił do mnie. - Ścigali mnie... ”-Ale kto? - zapytałem

- „Nie znasz go... ma tylko jedną rękę, ale ściska nią grdykę tak...” -

potem zamilkł i znów zaczął szeptać „Słuchaj, pójdziesz ze mną... po panią Essares... chcą ją zamordować... ukryłem ją dobrze, ale omdlała, trzeba ją będzie nieść... albo nie... pójde sam, dam sobie jakoś radę...

Ale chciałbym... wiedzieć, mój pokój?... czy zawsze jest wolny?” -

Muszę panom powiedzieć, że miał u mnie małe mieszkanie od chwili, kiedy sam był zmuszony się ukrywać. Od czasu do czasu wracał do niego. Utrzymywał to mieszkanie na wszelki wypadek, gdyż zupełnie jest oddzielone i nie sąsiaduje z innymi.

- A potem? - zapytał zaniepokojony Patryk.

- Potem? Wy szedł przecież.

- Tak, ale dlaczego jeszcze nie wrócił?

- Przyznaję, że mnie to niepokoi. Może ten człowiek, który go ścigał, dopadł go? A może to tej damie... może jej przydarzyło się jakieś nieszczęście?

- Co pan mówi? Nieszczęście tej damie?

- Można się tego obawiać. Kiedy mi z początku wyjaśniał, w którą stronę mamy po nią pójść, powiedział do mnie: „Szybko! śpieszmy się!

By ją uratować, zmuszony byłem wsadzić ją w taki dół... dwie, trzy godziny można tam wytrzymać, lecz nie dłużej... gdyby dłużej, toby się udusiła... z braku powietrza...”

Patryk nagle chwycił staruszka za ramię; tracił niemal przytomność.

Myśl, że Koralia, już chora i osłabiona, konała może gdzieś w ukryciu, narażona na nie wiadomo jaką grozę i mękę, ta myśl pozbawiała go zmysłów.

- Mów pan! - krzyczał. - Mów pan zaraz. Gdzie ona jest? Ach, myślisz, że można do tego stopnia z nas kpić! Gdzie ona jest? On to panu powiedział... pan wiesz, gdzie...

187

Potrząsał staruszką z całej siły i miotał się w gwałtownym gniewie, jak opętany. Don Luis szydził:

- Wybornie, mój kapitanie! Winszuję panu! Widzę, żeś pan ogromnie skorzystał z mojego współpracownictwa. Pan Vacherot będzie nam zupełnie oddany.

- Ach, tak! - krzyknął Patryk. - Zobaczysz pan zaraz, czy mu języka nie rozwiążę.

- To daremne, mój panie - odparł portier z godnością i stanowczością. - Oszukaliście mnie panowie. Jesteście wrogami pana Symeona. Nie powiem ani słowa, które mogłoby wam dać jakąś wskazówkę.

- Nie chcesz mówić? Nic nie powiesz?

Rozdrażniony Patryk skierował ku portierowi lufę rewolwerową:

- Liczę do trzech. Jeżeli do tej chwili nie zdecydujesz się mówić, to zobaczysz, jak sobie zwykł postępować kapitan Belval.

Portier zadrżał. Na twarzy jego odbiło się zdumienie.

- Kapitan Belval? Cóż pan powiedział? Pan jest kapitanem Belval?

- Do usług. Jeśli za dwie sekundy mi nie wytłumaczysz...

- Patryk Belval! Pan jesteś kapitanem Belval i pan chcesz być wrogiem Symeona? Zobaczymy, zobaczymy, to niemożliwe... Jak to, pan byś chciał...

- Chciałem go zabić, jak psa, bo nim jest w istocie... Tak, ten twój łotr Symeon i ty także, jego współnik... Ha, to łajdak! No, nuże! Czyś się wreszcie zdecydował?

- Ależ to nieszczęście! - mamrotał portier. - Nieszczęście! Pan nie wiesz, co robisz... zabić pana Symeona! Pan! Pan! Ależ pan powinien być ostatnim, który by mógł popełnić taką zbrodnię!

- I cóż jeszcze? Mówże więc, stary niedołęgo!

- Pan miałbyś zabić pana Symeona? Pan, Patryk! Pan, kapitan Belval!

- A dlaczegożby nie?

- Bo są rzeczy...

- Jakie rzeczy?...

- To, że...

188

- Ach, czy będziesz nareszcie mówił, niedołęgo stary! O cóż ci idzie?

- Pan... Patryk! Zabić pana Symeona?

- Dlaczego nie? dlaczegoż! mów! W imię Boga, dlaczegoż nie?

Portier przez chwilę milczał, a potem wyszeptał:

- Jesteś jego synem.

Cała wściekłość Patryka, jego trwoga o Koralię, jego niecierpliwość i wszystek niepokój, i smutek, ustąpiły na chwilę wesołości - Patryk wybuchnął szalonym śmiechem:

- Synem Symeona? Co ty mi tu gadasz! A to dobre! Nie, doprawdy, czego on nie wynalazł, ten stary łotr, by go tylko uratować!

Do diabła! To wygodne: „Nie zabijaj tego człowieka, bo jest twoim ojcem”. Moim ojcem! Ten wstrętny Symeon! Symeon Diodokis ojcem kapitana Belvala! Nie, można skonać ze śmiechu.

Don Luis, który dotąd słuchał w milczeniu, wreszcie dał znak Patrykowi i rzekł:

- Panie kapitanie, pozwoli pan, że rozwikłam tę sprawę. Kilka minut wystarczy, a to sprawy nie opóźni. Wręcz przeciwnie!

I nie czekając na odpowiedź kapitana, pochylił się Don Luis nad starcem i rzekł powoli:

- Musimy się porozumieć, panie Vacherot. W obopólnym naszym interesie. Proszę tylko odpowiadać krótko i nie tracić czasu na niepotrzebne frazesy. Zresztą powiedział pan już za wiele, by nie powiedzieć wszystkiego do końca. Prawda, że nazwisko Symeona Diodokisa nie jest prawdziwym nazwiskiem pańskiego dobroczyńcy?

- W istocie, nie.

- Nazywa się Armand Belval, a ta, która go kochała, czy nazywała go Patrykiem Belval?

- Tak jest, tak jak jego syna.

- A jednak Armand Belval wraz z tą, którą kochał, matką Koralii Essares padł ofiarą morderstwa?

- Tak, ale tylko matka Koralii umarła. On nie umarł.

- Było to 14 kwietnia 1895.

- Tak, 14 kwietnia 1895.

Patryk chwycił za rękę Don Luisa:

- Chodź pan - wyjąkał. - Koralia tam umiera. Ten potwór pogrzebał ją. Teraz to jedno tylko jest ważne.

189

Don Luis odparł:

- Ten potwór, a więc pan nie wierzysz, że on jest pańskim ojcem?

- Pan chyba oszalałeś?

- A jednak, kapitanie, pan drży cały...

- Być może... być może, ale to z obawy o Koralie!... Nie słucham nawet tego, co mówi ten człowiek. Ach, co za straszny koszmar, zawarty w tych słowach! Niechże on milczy... niech milczy...

powiniennem go zadusić!

Upadł na krzesło, ukrywając twarz w dłoniach. W istocie chwila była straszliwa i żadna katastrofa nie mogłaby go zdruzgotać bardziej niż ta wiadomość.

Don Luis ze wzruszeniem patrzył na niego, a zwracając się do portiera, rzekł:

- Niech nam pan to wyjaśni, panie Vacherot. W kilku słowach. Bez żadnych szczegółów. A więc, 14 kwietnia 1895...

- Dnia 14 kwietnia 1895 przyszedł do mnie kancelista pewnego notariusza w towarzystwie komisarza policji, by zamówić u mego majstra dwie trumny pod warunkiem natychmiastowej dostawy. Cały warsztat zabrał się do roboty. O 10.00 wieczorem majster, jeden z robotników i ja udaliśmy się na ulicę Raynouard do pawilonu...

- Znam go. Mów pan dalej.

- Zastaliśmy tam dwa ciała. Każde z nich zawinięto w całun i złożono do trumny, po czym o godzinie jedenastej majster mój z drugim robotnikiem odeszli, zostawiając mnie samego z zakonnica. Nie było już nic więcej do roboty, jak tylko zabić trumnę gwoździami. Otóż w tej właśnie chwili kiedy zakonnica, która poprzednio czuwała modląc się, zasnęła, zaszła pewna rzecz... ach, coś takiego, że mi włosy stanęły na głowie. Coś, czego nigdy, nigdy nie zapomnę... Nie mogłem ustać na miejscu. Trząsałem się ze strachu... Otóż proszę pana... ciało mężczyzny poruszyło się... Człowiek ten żył.

Don Luis zapytał:

- Czy nic pan wtedy nie wiedział o tej zbrodni? Nie słyszał pan nic o tym zamachu?

- Nie, powiedziano nam, że oboje zaczadzili się gazem. Toteż dlatego dopiero w kilka godzin odzyskał przytomność. Był jak zatruty.

190

- Dlaczego nie powiedział pan o tym zakonnicy?

- Sam nie wiem dlaczego! Byłem jakby oszołomiony. Patrzyłem na tego nieboszczyka, jak z wolna wracał do życia i otwierał oczy.

Pierwsze jego słowa brzmiały: „Prawda, ona nie żyje?” A potem zaraz rzekł do mnie jeszcze: „Ani słowa, milcz o tym. Będą sądzili, że i ja nie żyję... tak będzie lepiej! ” I sam nie wiem znowu, dlaczego zgodziłem się na to. Nie miałem już woli. Słuchałem go, jak dziecko. W końcu zdołał wstać. Pochylił się nad drugą trumną, odchylił całun i kilkakrotnie ucałował twarz zmarłej, szepcząc: „Pomszczę cię! Całe życie poświęcę tej zemście, temu, by - jak pragnęłaś - połączyć nasze dzieci. Jeśli nie pozbawiam się życia, to tylko dla nich, dla Patryka i Koralii, żegnaj!”

Potem rzekł do mnie: „Pomóż mi”.

Następnie wydobyliśmy zmarłą z trumny i przenieśliśmy do sąsiedniego pokoju. W ogrodzie nazbieraliśmy wielkich kamieni i powkładaliśmy je do obu trumien w miejsce zmarłych. Kiedy to uczyniliśmy, przybiłem wieka do obu trumien, odszedłem, zbudziwszy uprzednio zakonnice.

On tymczasem zamknął się ze zmarłą w pokoju. Rankiem ludzie z zakładu pogrzebowego przyszli zabrać trumny.

Patryk odsunął ręce i ze zmienioną twarzą, ze wzrokiem osłupiałym spoglądał to na opowiadającego, to na Don Luisa, mruczając przy tym z cicha:

- A jednak mogiły? A te dwa napisy na nagrobkach: „Spoczywają tam ciała dwojga zmarłych, w pobliżu pawilonu, niedaleko miejsca zbrodni...” A ten cmentarz?

- Armand Belval żądał, by tak było. Zamieszkiwałem wówczas mansardę w domu, w którym obecnie jesteśmy. Wynająłem tu dla niego pokój, gdzie mieszkał przez jakiś czas pod nazwiskiem Symeona Diodokisa. Bo Armand Belval oficjalnie był nieboszczykiem. Tutaj mieszkał i nie wychodził stąd przez kilka miesięcy.

Aż potem pod nowym nazwiskiem odkupił za moim pośrednictwem swój pawilon... Z czasem wykopaliśmy dwa groby, jeden dla Koralii, jeden dla niego. Tak, dla niego, powtarzam, bo sam sobie tego życzył.

Patryk i Koralia - oboje nie żyli. Zdawało mu się, że w ten sposób nie rozstaje się z nią. Może też, przyznam się, że mi to przychodziło na myśl, może zmartwienie to pomąciło

191

mu trochę w głowie... o, tylko trochę... tylko w tym względzie, co się odnosiło do wspomnień i do

kultu tej, która zmarła 14 kwietnia 1895.

Wszędzie kreślił jej imię i swoje. Na nagrobkach, na murach, nawet wśród kwiatowych grządek w ogrodzie. Było to zarazem i pańskie imię, i imię Koralii Essares. Ale co do swej zemsty nad zbrodniarzem i co do swego syna, i co do córki zmarłej narzeczonej, co do tego, mój panie, wszystkie zmysły miał w porządku... O, tak!

Patryk zwrócił się ku niemu z twarzą wykrzywioną bólem i z zaciśniętymi pięściami:

- Dowody, dowody! - krzyczał. - Zabraniam ci mówić więcej, dopóki mi nie dostarczysz dowodów prawdziwości twoich słów.

Staruszek nie poruszył się, wyciągnął tylko rękę w stronę starego sekretarzyka mahoniowego i po naciśnięciu sprężyny wydobył z szuflady plik papierów.

- Zna pan pismo swego ojca, panie kapitanie? Rozpozna pan zapewne jego listy, które do mnie pisał. Znajdzie pan w nich swoje imię po sto razy powtarzane wraz z imieniem Koralii, którą dla pana przeznaczał. Całe życie pana: nauka, podróże, prace, wszystko jest w tych listach. Znajdzie pan jeszcze oprócz tego fotografie pana, które polecał wykonywać, a także i fotografie Koralii, którą odwiedził w Salonikach. Lecz przede wszystkim ujrzy pan jego nienawiść do Essares-Beja, którego sekretarzem został, by wykonać plan zemsty, o której przemyślał z nieubłaganą cierpliwością i uporem. A potem zobaczy pan jego rozpacz na wieść o małżeństwie Essaresa z Koralią, a zaraz potem jego radość na myśl, że zemsta jego będzie tym okrutniejsza, skoro uda mu się połączyć syna swego z żoną tegoż właśnie Essaresa.

Starzec podsuwał kapitanowi jeden list za drugim, w każdym z nich Patryk od razu rozpoznawał pismo ojca. Gorączkowo odczytywał

pojedyncze urywki i zdania, w których bezustannie wracało jego imię.

Vacherot obserwował go pilnie przez cały czas, w końcu rzekł:

- A więc, przestaje pan już wątpić, kapitanie?

Oficer znowu zacisnął ręce na czole i odparł po chwili:

- Widziałem twarz jego tam u góry w okienku, w pawilonie, w którym nas zamknął... Patrzył na naszą agonię... z twarzą prze-

pełnioną nienawiścią... On nas nienawidzi więcej jeszcze niż samego Essaresa.

- Nie... to omyłka... to złudzenie - protestował stary.

- Albo szaleństwo - mruknął Patryk.

Lecz w tej samej chwili, uniesiony znowu gniewem i oburzeniem, uderzył pięścią w stół i zawołał:

- Nie! To nieprawda! Nieprawda! Ten człowiek nie jest moim ojcem! Nie! Taki zbrodniarz!...

Przemierzył kilka kroków wzdłuż i w szerz łoża portiera, po czym stanąwszy przed Don Luisem, wymówił przerywanym głosem:

- Chodźmy stąd! I ja tu gotów jestem oszaleć. To zhora jakaś! ...

Zhora, sen straszliwy, w którym wszystko przybiera inne znaczenie i rozum się miesza. Chodźmy stąd! Koralia jest w niebezpieczeństwie...

To teraz najważniejsze...

Starzec podniósł głowę:

- Bardzo się obawiam, że...

- Czego się obawiasz? - ryknął oficer.

- Obawiam się, że mojego biednego przyjaciela dogonił ten, kto go śledził, a wtedy... jakże zdoła uratować panią Essares? Jak sam mówił, tam, gdzie ona jest, zaledwie może oddychać, ta nieszczęśliwa...

- Zaledwie może oddychać... - powtórzył głucho Patryk. - A więc Koralia umiera...

Wyszedł z łoża portiera chwiejąc się, jak człowiek pijany, a uczepiwszy się ramienia Don Luisa zapytał:

- Ona jest stracona, nieprawdaż?

- Ależ wcale nie - odparł Don Luis. - Symeon jest, podobnie jak pan, w gorączce działania. Jego akcja zbliża się ku końcowi, więc drży z przerażenia i nie oblicza już słów swych. Wierz mi pan, mateczka Koralia nie znajduje się w bezpośrednim niebezpieczeństwie. Mamy jeszcze kilka godzin czasu przed sobą.

- Czy jest pan tego pewny?

- Absolutnie.

- Ale Ya-Bon?

- Więc cóż?

- Jeżeli Ya-Bon go dogonił...

- Dałem rozkaz Ya-Bonowi, by go nie zabijał. Cokolwiek więc zajdzie, Symeon żyje. To najważniejsze. Dopóki Symeon 193

żyje, nie ma się czego obawiać. On nie dopuści, by mateczka Ko-ralia zginęła.

- Dlaczego nie? Skoro pełen jest nienawiści. Dlaczego? Co kryje się w głębi duszy tego człowieka? Życie całe poświęca dla dzieła miłości nas obojga i nagle w jednej chwili ta miłość jego staje się nienawiścią.

Przycisnął silniej ku sobie ramię Don Luisa i wyrzekł słabnącym głosem:

- Czy i pan wierzy w to, że on jest moim ojcem?

- Nie można w istocie zaprzeczyć, że niektóre okoliczności...

- Proszę pana - przerwał oficer - bez wybiegów... Proszę o odpowiedź wyraźną... pańską opinię w dwóch słowach.

- Symeon Diodokis jest ojcem pana, kapitanie.

- Ha, zamilcz pan! Milcz! To okropne! Boże mój, jakie to straszne, jakie otchłanne!

- Przeciwnie - rzekł Don Luis. - Ciemności rozjaśniają się powoli i przyznaję, że rozmowa nasza z panem Vacherotem przyczyniła się do tego.

- Czy to możliwe?...

Lecz w zburzonym umyśle kapitana jedna myśl goniła drugą. Nagle zatrzymał się.

- Może Symeon powróci do łoża portiera... A nas tam nie będzie!

Może przyprowadzi Koralię?

- Nie - zapewniał go Don Luis. - Gdyby był mógł, już by to uczynił. Nie, to my powinniśmy iść naprzeciw niemu.

- Ale w którą stronę?

- A, mój Boże! Naturalnie w tę stronę, w której cała ta walka się toczy... W stronę, gdzie znajdujesię złoto... Wszelkie operacje wroga odnoszą się do tego złota i bądź pan pewien, że nawet w odwrocie nie oddala się zbyt od niego. Zresztą wiemy o tym, że jest w pobliżu placu Berthou.

Nie mówiąc już ani słowa więcej. Patryk dał się prowadzić. Ale Don Luis nagle wykrzyknął:

- Czyś pan słyszał?

- Tak, wystrzał rewolweru.

Znajdowali się w tej chwili u wejścia na ulicę Reynouard. Wysokość domów nie pozwalała im jednak rozpoznać dokładnie miejsca, z którego padł strzał, lecz odgłos pochodził w przybliżeniu z

willi Essaresa lub najbliższej okolicy.

194

Patryk zaniepokoił się:

- Czyżby to Ya-Bon?

- Obawiam się tego - rzekł Don Luis. - Ale ponieważ on nie strzela, wobec tego do niego strzelano... Ach! Do kroćset, czyżby mój biedny Ya-Bon miał ulec?

- A gdyby to do niej strzelano, do Koralii? - szepnął Patryk.

Don Luis roześmiał się.

- Zaczynam prawie żałować, kapitanie, że się wmieszałem w tę sprawę. Przed moim przybyciem byłeś pan zupełnie inny, jakiś silniejszy... i trochę jaśniej patrzący. Dlaczegożby, do diabła, Symeon miał strzelać do mateczki Koralii, skoro ona i tak jest w jego mocy?

Przyspieszyli kroku. Przechodząc koło pałacyku Essaresa, zauważyli, że wszędzie panował zupełny spokój, poszli więc dalej wzdłuż uliczki.

Patryk miał przy sobie klucz, lecz drzwi boczne ogrodu otaczającego pawilon były z zewnątrz zaryglowane.

- Oho! - rzekł Don Luis. - To znak, że się zbliżamy! Kapitanie, punkt zborny na bulwarze, ja zaś biegnę na plac Berthou przekonać się, co się tam dzieje.

Od kilku chwil zaczęło świtać i blade światło dnia rozpraszało ciemności nocne.

Na bulwarze jednak było jeszcze zupełnie pusto.

Don Luis nie zauważył nic szczególnego na placu, lecz gdy wrócił

do kapitana, ten wskazał mu leżącą na chodniku w ogrodzie drabinę, tę samą, której brak zauważył Don Luis w komórce na placu Berthou.

Natychmiast z tą nadzwyczajną przenikliwością i darem jasnowidzenia jemu tylko właściwym, orzekł Don Luis:

- Ponieważ Symeon miał klucz do ogrodu, więc jasne, że tylko Ya-Bon posługiwał się tą drabiną, by wejść do ogrodu. A zatem, widział

Symeona, który powróciwszy tu po wizycie u Vacherota, szukał ukrycia worków złota; prawdopodobnie w tym samym miejscu jest też ukryta i mateczka Koralia, gdzie na nieszczęście jeszcze się znajduje - jeśli jej nieprzyjaciel, myśląc przede wszystkim o własnym bezpieczeństwie, nie miał dosyć czasu, by ją stamtąd wydobyć.

- Jesteś pan tego pewny?

- Ya-Bon nosi zawsze z sobą kawałek kredy. Ponieważ nie 195

umie pisać, z wyjątkiem kilku liter mego imienia, narysował więc na murze dwie linie proste, które złączone z linią chodnika, którą zresztą podkreślił także, tworzą trójkąt. Znak złotego trójkąta. Don Luis podniósł się z ziemi:

- Wskazówka jest trochę niedokładna, lecz Ya-Bon uważa mnie za czarodzieja. Nie wątpił, że zdołam dojść tutaj i że trzy linie mi wystarczą. Biedny Ya-Bon!

- Według pana - zauważył Patryk - wszystko to odbyło się przed naszym przybyciem do Paryża, a więc około północy lub pierwszej po północy?

- Tak jest!

- A więc, cóż oznacza ten wystrzał, który usłyszeliśmy przed chwilą?

- W tym wypadku nie mogę twierdzić stanowczo, ale przypuszczam, że Symeon ukrył się gdzieś w ciemnościach i dopiero nad ranem, uspokojony, nie widząc Ya-Bona, zaryzykował wyjście z ukrycia. Ya-Bon zaś, czuwając w milczeniu, rzucił się nań.

- A więc pan sądzi...

- Sądzę, że przyszło do walki, że Ya-Bon został raniony i że Symeon...

- I że Symeon uciekł?

- Lub

że nie żyje! Zresztą dowiemy się za kilka minut.

Postawił drabinę i oparł ją o sztachety na murze. Z pomocą Don Luisa kapitan przeszedł na drugą stronę, a za nim Don Luis, po czym wciągnęli drabinę i wrzucili do ogrodu. Idąc wśród chwastów i krzaków, zbliżyli się do pawilonu.

Dniało coraz bardziej i otaczające ich przedmioty stawały się coraz to wyraźniejsze. Okrążyli pawilon.

Kiedy zbliżyli się do wejścia, Don Luis, który szedł w przodzie, odwrócił się i zawołał:

- Nie omyliłem się!

Po tych słowach pobiegł szybko przed siebie. Przed bramą, u wejścia, leżały na ziemi dwa złączone z sobą ciała, ciała obu przeciwników. Z roztrzaskanej głowy Ya-Bona płynęła krew, zalewając twarz. Prawą ręką Ya-Bon ścisnął Symeona za gardło.

Don Luis skonstatował natychmiast śmierć Ya-Bona. Symeon Diodokis jeszcze żył.

VI

Symeon podejmuje walkę

Nie mało czasu potrzeba było, żeby uwolnić Symeona z zaciśniętej dłoni Ya-Bona. Nawet martwy już Senegalczyk nie chciał wypuścić swej zdobyczy. Palce jego, twarde jak stal, o zakrzywionych paznokciach, jak szpony tygrysa wpiły się w szyję wroga, który omdlały, jęczał z cicha.

Na bruku, w dziedzińcu, leżał porzucony rewolwer Symeona.

- Miałeś jeszcze szczęście, stary bandyto - mówił cichym głosem Don Luis - że Ya-Bon nie zdążył cię przycisnąć, zanim wystrzeliłeś. Ale nie ciesz się zbytnio. On byłby cię może oszczędził, podczas gdy teraz, skoro Ya-Bon nie żyje, radzę ci napisać list do swej rodziny i zarezerwować sobie w piekle fotel. *De profundis*, Diodokisie! Już nie należysz do tego świata!

A po chwili dodał ze wzruszeniem:

- Biedhy Ya-Bon, uratował mnie pewnego razu w Afryce od straszliwej śmierci, a dziś umiera z mego rozkazu, że tak powiem.. . Mój biedny Ya-Bon!

Uklęknął przy nim, zamknął szeroko otwarte oczy, ucałował

skrwawione czoło i pochylony szeptał do ucha zmarłego, przyrzekając to wszystko, co ma wartość dla dusz wiernych i prostych: pamięć i zemstę.

Na koniec z pomocą kapitana przeniósł ciało do małego pokoiku, położonego obok dużej sali.

- Kapitanie - rzekł - wieczorem, po zakończeniu całej sprawy, zawiadomimy policję. Tymczasem musimy pomścić śmierć Ya-Bona i innych.

Zabrał się zaraz do szczegółowego zbadania terenu walki, następnie wrócił do Ya-Bona i znowu potem do Symeona, oglądając jego ubranie i obuwie.

Patryk Belval stał naprzeciwko nieprzejednanego swego wroga, którego oparł o mur i milcząc przeszywał go wzrokiem nieruchomym, przepojonym nienawiścią i zemstą. Symeon Diodokis, ten szatan wcielony, który dzień przedtem uknuł jeszcze tę okrutną zasadzkę i który, pochylony nad zgotowanym im grobem, mógł patrzeć i śmiać się z ich męki konania, ten zwierz dzi-197

ki, ukrywający w jakimś nieznanym miejscu Koralię, by ją móc potem swobodnie umęczyć! Ten zacięty wróg leżał oto na ziemi przed nim, zdawał się cierpieć dotkliwie, oddychając z trudem. Zapewne krtań miał

zgniecioną żelazną ręką Ya-Bona. Podczas walki spadły mu żółte okulary, zakrywające zazwyczaj jego oczy. Gęste siwe brwi zasłaniały opuchnięte, ciężkie powieki.

- Niech go pan zrewiduje - odezwał się Don Luis. Lecz widząc obrzydzenie, przejmujące kapitana,

sam przetrząsnął jego kieszenie i wydobyl z nich portfel, który podal oficerowi.

Znaleźli w nim przede wszystkim kartę pobytu na nazwisko Symeona Diodokisa, poddanego greckiego. Dokument ten opatrzony był fotografią świeżo zrobioną, z pieczęcią prefektury, datowaną w grudniu 1914 roku.

Okulary, szalik na szyi, długie włosy, wszystko w porządku. Prócz tego znaleźli cały szereg papierów, rachunków, listów adresowanych do Symeona, sekretarza Essaresa-Beja; między innymi znajdował się list portiera Amadee Vacherota.

Brzmiał następująco:

Drogi Panie Symeonie!

Udało mi się! Jeden z mych młodych przyjaciół zdołał zrobić w szpitalu zdjęcie fotograficzne pani Essares, a obok niej Patryka. Cieszę się niewymownie, że mogę tym panu sprawić przyjemność. Lecz kiedy powie pan wreszcie całą prawdę swemu synowi? Co to za radość będzie dla niego!

U dołu listu, jakby adnotacja, znajdowały się słowa pisane ręką Symeona:

Raz jeszcze zobowiązuję się uroczyście nie wyjawić nic mojemu synowi, dokąd narzeczona moja, Koralia, nie będzie pomszczona, a Patryk i Koralia nie będą mogli połączyć się z sobą.

- Czy to jest pismo ojca pańskiego? - zapytał Don Luis.

- Tak - odparł Patryk cały wzburzony. - I tu także pismo jego... w listach adresowanych przez tego urzędnika do jego przyjaciela Vacherota... Ach, co za hańba! Ten człowiek!... Ten bandyta!...

Wtem Symeon poruszył się. Powieki jego kilkakrotnie podniosły się i opadły. Budząc się, spojrzal na Patryka. W tej samej chwili tenże głosem stłumionym zawołał:

- Koralia...

198

A ponieważ Symeon zdawał się nie rozumieć i oszołomiony jeszcze przyglądał mu się z osłupieniem, Patryk powtórzył ostrzej:

- Gdzie Koralia?... Gdzie ją pan zagrzebałeś? Ona umiera, nieprawdaż?

Powoli Symeon wracał do przytomności:

- Patryku... Patryku... - szeptał.

Rozejrzał się wokoło, spostrzegł Don Luisa, przypomniał sobie zapewne śmiertelną walkę z Ya-Bonem i zamknął na nowo powieki.

Lecz Patryk ze wzrastającą wściekłością krzyczał:

- Słuchaj pan... nie ociągaj się... odpowiadaj... chodzi o twoje życie...

Starzec otworzył oczy zasłane krwią, okrążone czerwoną obwódką.

Uczył ruch, wskazując na gardło, jakby chciał pokazać, że mu trudno mówić, wreszcie z widocznym wysiłkiem wyszeptał:

- To ty, Patryku?... Od tak dawna oczekiwałem tej chwili... A dziś stoimy naprzeciw siebie, jak dwaj wrogowie...

- Jak dwaj śmiertelni wrogowie - powtórzył z naciskiem Patryk. -

Śmierć jest między nami... Śmierć Ya-Bona... a może i śmierć Koralii...

Gdzie ona jest? Musisz powiedzieć... jeśli nie powiesz...

- Patryku!...

Więc to ty jesteś? - powtórzył stary szeptem.

Nazywanie go po imieniu rozjętrzyło oficera. Pochwycił przeciwnika za wyłogi ubrania i potrząsnął nim brutalnie...

Lecz Symeon zobaczył w drugiej ręce Patryka portfel i nie opierając się kapitanowi, rzekł:

- Nie zrobisz mi nic złego, Patryku. Znalazłeś moje listy, znasz już węzły, jakie łączą nas z sobą... Byłbym szczęśliwi...

Patrykowi opadły ręce, spoglądał na niego ze zgrozą i szepnął

przyciszonym głosem:

- Zabraniam panu mówić cokolwiek... Milcz pan, to niepodobieństwo!...

- A jednak to prawda, Patryku...

- Kłamiesz! kłamiesz! - wykrzyknął oficer, nie mogąc się już dłużej pohamować. Jego twarz, skurczona bólem, była nie do poznania.

- Ha! widzę, żeś wszystko już przeczuł, nie potrzebuję ci tłumaczyć...

199

- Kłamiesz!... jesteś bandytą!... Gdyby to była prawda, w jakim celu ta zasadzka przeciw Koralii i mnie? Dlaczego ten mord dwukrotny?

- Byłem szalony... Patryku. Tak, tak, chwilami jestem wariatem...

Wszystkie te nieszczęścia zamąciły mi rozum... Śmierć mojej Koralii...

niegdyś... a potem moje życie w cieniu Essaresa... a potem... potem...

zwłaszcza to złoto... Czyżbym chciał zabić was oboje? Nie przypominam sobie tego... przypominam sobie... jakiś zły sen... To było w pawilonie, nieprawdaż? Tak jak nigdyś... O, to szaleństwo!... co za męczarnia! co za męka!... być zmuszonym, jak zbrodniarz jakiś... czynić rzeczy wbrew własnej woli!... A więc to się stało w pawilonie, tak jak wówczas i w ten sam sposób? Tym samym przyrządem? Tak... w istocie, w tym moim śnie przeżyłem całą mą mękę konania, moją i mej ukochanej... i zamiast być męczonym... to ja sam męczyłem... co za tortura!...

Mówił cichym głosem do siebie, przerywając na chwilę, jakby wahając się; czynił wrażenie cierpiącego bez miary. Patryk słuchał go ze wzrastającą trwogą; Don Luis zaś nie spuszczał go z oczu, jakby starał

się przeniknąć, do czego zmierza.

A Symeon mówił dalej:

- Mój biedny Patryku... tak cię kochałem... a teraz nie mam większego wroga nad ciebie... I jakże mogłoby być inaczej? Jak mógłbyś to wszystko zapomnieć?... Ha! Dlaczego nie zamknięto mnie po śmierci Essaresa? Od tego czasu czuję, że umysł mój jest chory...

- Więc to pan go zamordowałeś? - zapytał Patryk.

- Nie, nie... Właśnie, że nie ja... ktoś inny się pomścił za mnie.

- Kto taki?

- Nie wiem... to wszystko jest jednak niezrozumiałe... Nie mówmy o tym... tak mnie to wszystko boli... tyle cierpiałem od śmierci Koralii!...

- Koralii? - wykrzyknął Patryk.

- Tak, tej, którą kochałem... a co do tej małej... to i przez nią także, także... tak i przez nią cierpiałem... Nie powinna była wychodzić za Essaresa. Wtedy może nie byłoby się to wszystko stało...

Patryk ze ściśniętym sercem wyszeptał:

- Gdzie ona jest?

- Nie mogę ci tego powiedzieć.

- Bo nie żyje! - wybuchnął Patryk.

- Nie, nie, ona żyje! Przysięgam ci.

- A więc gdzie jest? O to jedno mi tylko chodzi. Wszystko inne, to przeszłość...

- Posłuchaj.

Symeon zatrzymał się i rzuciwszy spojrzenie na Don Luisa rzekł::

- Powiedziałbym, ale...

- Co ci przeszkadza?

- Obecność tego człowieka, mój Patryku. Niech on stąd przedtem odejdzie.

Don Luis roześmiał się:

- Ten człowiek, to niby ja, nieprawdaż?

- Tak, to pan.

- Mam stąd odejść?

- Tak.

- Dopiero wtedy, stary łotrze, podasz kryjówkę, w której się znajduje mateczka Koralia?

- Tak...

Wesołość Don Luisa wzmogła się jeszcze.

- A, do kata! Mateczka Koralia jest tam, gdzie schowane są worki ze złotem! Ocalić mateczkę Koralię, znaczy to samo, co wydać nam złoto.

- A więc - rzekł Patryk tonem, w którym brzmiało trochę niechęci.

- A więc, mój kapitanie - odparł nie bez ironii Don Luis - mam nadzieję, że pan, w razie gdyby imć pan Symeon, który choć wariat, jednak wyprowadził nas w pole w Mantes i dał dowód takiego zrównoważenia umysłowego i przebiegłości, gdyby złożył świętą obietnicę, to jednak pan rozumiesz, że zbyt niebezpiecznie ufać jego przyrzeczeniom. Z tego wynika...

- Co z tego wynika?

- To, że szanowny pan Symeon zaproponuje panu umowę... która mniej więcej tak będzie brzmiała: „Ja ci dam Koralię, a ty pozwolisz mi zatrzymać złoto ”.

- I co z tego?

- Co z tego? To byłoby doskonałe, gdybyś pan tu był sam jeden tylko z tym szanownym gentlemanem. Układ szybko zostałby zawarty.

Ale jestem jeszcze ja, i do diabła...

201

Patryk wyprostował się. Zbliżył się do Don Luisa i wymówił

głosem, w którym brzmiała zaczepka:

- Przypuszczam, że i pan na to się zgodzi? Wszak tu idzie o życie kobiety...

- Oczywiście. Ale z drugiej strony idzie o trzysta milionów...

- Więc pan odmawiasz?

- Czy odmawiam...

- Odmawiasz pan, a ta kobieta może tam konać? Wolisz pan, żeby umarła!... Zapominasz, że to się mnie tyczy, że ta sprawa... ta sprawa...

Obaj mężczyźni stali naprzeciwko siebie: Don Luis zachował

spokój, trochę sarkastyczny, i tę minę, jakby wiedział coś więcej, która tak drażniła kapitana. W gruncie rzeczy Patryk, mimo że był pod wpływem Don Luisa, był niezadowolony i niechętnie korzystał z współpracy tego człowieka, o którego przeszłości tyle słyszał.

Zaciskając pięści, zapytał z gniewem:

- Pan odmawiasz?

- Tak - odparł zawsze spokojny Don Luis. - Tak, mój kapitanie, nie zgadzam się na ten układ, który uważam za nedorzeczny. To prawdziwe oszustwo! Do diabła! Trzysta milionów! Miałbym zaniechać podobnej gratki? Nigdy w życiu! Lecz w każdym razie, najzupełniej godzę się pozostawić pana sam na sam z szanownym Symeonem...

byleby tylko nie chciał stąd odchodzić! Wystarczy ci to, Symeonie?

- Tak.

- A więc dobrze. Rozmówcie się obaj, podpiszcie układ. Szanowny pan Symeon Diodokis, który tak ufa swemu synowi, powie ci kapitanie, gdzie znajduje się kryjówka, i ocalisz pan mateczkę Koralię.

- A pan? Pan? - zgrzytnął Patryk.

- Ja uzupełnię moje małe śledztwo co do przeszłości i teraźniejszości, jeszcze raz zwiedzając

miejsce, w którym o mało pan nie postradał życia. Do widzenia, kapitanie. A przede wszystkim... niech się pan dobrze ma na baczności.

Don Luis, zaświeciwszy kieszonkową latarkę, wszedł do pawilonu, następnie do pracowni. Patryk dojrzał światło elektryczne, odbijające się na framudze zamurowanych okien.

Po chwili wrócił do Symeona i rzekł rozkazującym tonem:

- Tak... poszedł już. Bierzmy się do rzeczy!

202

- Czy jesteś pewny, że nie słyszy nas?

- Najzupełniej.

- Strzeż się go, Patryku. On chce zabrać złoto i zatrzymać je dla siebie.

Patryk niecierpliwił się:

- Nie traćmy czasu, Koralia...

- Powiedziałem ci już, że Koralia żyje.

- Żyła, gdyś ją widział,, ale od tamtego czasu...

- Co! Nie jesteś pewny?...

- Nie można być pewnym niczego. To było w nocy, pięć do sześciu godzin temu, obawiam się tedy...

Patryk czuł zimny pot, spływający mu po plecach. Dałby wszystko, byleby usłyszeć jakąś stanowczą odpowiedź, a równocześnie miał ochotę rzucić się na tego starca i zadusić go.

Pohamował się jednak i powtórzył:

- Nie traćmy czasu.. Słowa są tu niepotrzebnie. Wskażcie mi drogę do niej.

- Nie, pójdziemy tam razem.

- Nie będziecie mieli dosyć sił do tego.

- Tak, tak, będę miał siły... To niedaleko.!.. Tylko, tylko posłuchaj mnie...

Starzec wydawał się wyczerpany. Oddychał z przerwami, jak gdyby ręka Ya-Bona ścisnęła mu jeszcze gardło. Chciał wstać, lecz upadł znowu, jęcząc.

Patryk pochylił się nad nim i rzekł:

- Słucham, ale na Boga spieszcie się.

- Oto - zaczął Symeon - oto... za kilka minut Koralia będzie wolna...

ale pod jednym warunkiem... pod jednym... Patryku.

- Przyjmuję go. Gdzie ona?

- Słuchaj, przysięgnij mi na jej głowę, że zostawisz złoto i że nikt na świecie się nie dowie...

- Przysięgam na jej głowę.

- Tak, ty przysięgasz, dobrze, ale tamten... ten twój przekłety towarzysz... on pójdzie za nami... zobaczy ...

- Nie.

- Pójdzie... chyba, że się zgodzisz...

- Na Co? Na miłość Boską!...

- No, to słuchaj... Tylko pamiętaj, że musimy iść na pomoc Koralii... i spieszyc się... gdyż inaczej...

203

Patryk pochylony, klęcząc prawie na lewej nodze, trząsł się cały.

- Więc chodźmy... chodźmy... - rzekł. - Skoro Koralia...

- Tak, ale ten człowiek...

- Koralia przede wszystkim!...

- Co mówisz? A gdy nas zobaczy? Jeśli mi zabierze złoto?

- Mniejsza z tym!

- Nie mów tak, Patryku! Złoto! W nim jest wszystko! Od kiedy to złoto jest moje, całe me życie uległo zmianie. Przeszłość już się nie liczy, ani nienawiść, ani miłość ...nie ma nic, tylko złoto... te worki ze złotem...!

Wołałbym raczej umrzeć i niech Koralia umiera, i świat cały niech umiera i znika...

- Czego więc chcesz? Czego żądasz?

Patryk chwycił obie ręce tego człowieka, który był jego ojcem, a którego nienawidził w tej chwili więcej niż kiedykolwiek. Prosił go i błagał całą duszą. Byłby płakał, gdyby wiedział, że łyzy potrafią wzruszyć tego starca.

- Czego chcesz?

- Posłuchaj. On jest tam, prawda?

- Tak.

- W pracowni? -

Tak.

- W takim razie... nie można dopuścić, by stamtąd wyszedł.

- Jak to?

- Bardzo łatwo. Tak długo, dopóki my nie skończymy, trzeba, by tam pozostał...

- Ależ...

- To proste. Zrozum mnie... nic innego nie masz do zrobienia... jak zamknąć za nim drzwi... Wprawdzie zamek w drzwiach jest zepsuty, ale są dwie zasuwki, to wystarczy... Rozumiesz?

Patryk oburzył się:

- Chyba oszalałeś! Ja miałbym się na to zgodzić?! Człowieka, który mi życie ocalił... i który uratował Koralię!....

- Lecz który teraz ją gubi. Namyśl się... Gdyby go tu nie było... gdyby się nie wmieszał do tej sprawy... Koralia byłaby wolna... Czy zgadzasz się?

- Nie.

- Dlaczego? Czy wiesz, co to za człowiek?... Bandyta... nędznik, którego jedynym celem jest pochwycić te miliony. A ty 204

masz jeszcze skrupuły? Ależ, Patryku, to niedorzeczność! Wszak godzisz się? - Nie, po sto razy nie!

- Ha, tym gorzej dla Koralii... A tak!... Widzę, że nie zdajesz sobie sprawy z sytuacji. To już czas, Patryku! A może już nawet za późno?

- Milczże!

- Ależ nie, trzeba, żebyś wiedział i rozumiał całą odpowiedzialność.

Gdy ten przekłety Murzyn mnie ścigał, pozbyłem się Koralii tak, jak mogłem na razie, sądząc, że za godzinę lub dwie będę mógł ją uwolnić...

A potem... potem... wiesz co zaszło... To było o jedenastej wieczorem... a więc to już blisko osiem godzin minęło... Namyśl się więc...

Patryk załamywał ręce z rozpaczy. Nigdy nie myślał, że człowiek może być wystawiony na podobne męczarnie. Tymczasem Symeon nieubłaganie mówił dalej:

- Ona nie może tam oddychać, zaręczam ci... Zaledwie cokolwiek powietrza dochodzi do niej... A jeszcze zastanawiam się nad tym, czy to wszystko, co ją pokrywa i osłania, nie zaważyło się...

Jeśli tak, to wtedy ona dusi się, słyszysz... dusi się, podczas gdy ty tu rozmawiasz ze mną. Powiedz sam, cóż ci to może szkodzić, że zamkniesz tego człowieka na dziesięć minut?... Nie więcej niż dziesięć minut, słyszysz? Jeszcze się wahasz?. A w takim razie to ty sam ją zabijesz, Patryku... Namyśl się... ona jest żywcem pogrzebana!...

Patryk podniósł się zdecydowany. W chwili tej żaden czyn, choćby najstraszniejszy, nie odrażał go. A zresztą Symeon żądał od niego takiej drobnostki... żądał tylko złota.

- To twój ostatni warunek? Nie przyjdą nowe?

- Nie, żadne. Gdy to zrobisz, Koralia będzie wolna za kilka chwil.

Zdecydowanym krokiem oficer wszedł do pawilonu i przekroczył
przedsionek.

W głębi pracowni dojrzał migotliwe światło latarki.

Nie wyrzekł słowa. I nie wahał się już: zamknął silnie drzwi i jednym ruchem ręki zasunął oba rygle, po czym szybko powrócił. Uczuł pewną ulgę. Wprawdzie czyn ten był podły, lecz nie wątpił, że było jego obowiązkiem to uczynić.

- Załatwione... spieszmy się...

205

- Pomóż mi - rzekł starzec. - Nie mogę wstać.

Patryk objął go w pól i postawił na nogi. Lecz zmuszony był go podtrzymywać, gdyż starzec trząsał się całym.

- Ha! Do diabła! - mruczał Symeon. - Ten przeklęty Murzyn pogniótł mi kości. Duszo mi, nie mogę chodzić.

Patryk niósł go prawie, podczas gdy stary bełkotał bezsilny:

- Tędy... tu, teraz na prawo...

Przeszli próg pawilonu i zbliżyli się do mogiły.

- Czyś pewny, że dobrze zamknąłeś drzwi? - mówił stary. - Prawda, że tak? Słyszałem zresztą...
Ha! Ale z niego niebezpieczny gałgan...

trzeba się strzec... Lecz przyrzekłeś mi, że nic nie powiesz... Co?

Przysięgnij mi jeszcze na pamięć twojej matki... nie, lepiej jeszcze na Koralię... Niech zginie w tej chwili, jeśli byś złamał przysięgę!

Zatrzymać się.. Nie mógł mówić dłużej i używał wszystkich sił, by zaczerpnąć trochę powietrza. Mimo to mówił dalej:

- Mogę być spokojny, prawda? Zresztą ty nie lubisz złota. Po cóż byś więc miał mówić? Mniejsza o to. Przysięgnij, że będziesz milczeć.

Albo raczej daj mi słowo honoru... To najlepiej... dalej... dalej... dawaj słowo!

Patryk podtrzymywał go ciągle, obejmując ramieniem. Ten powolny marsz i bliskość tego człowieka były dla oficera niewypowiedzianą męką, ale znosił ten przymus dla uwolnienia Koralii. Czując przy sobie ciało tego człowieka, tak znienawidzonego, miał raczej ochotę przy cisnąć go i udusić.

A mimo to haniebne te słowa krążyły mu po głowie: „Jestem jego synem... jestem jego synem...”

- To tutaj - rzekł starzec.

- Tu? Ależ tu są groby.

- To grób mej Koralii, a tu obok mój grób... Jesteśmy u celu. - Potem odwrócił się i rzekł lękliwie: - A! Ślady kroków!!! Zatrzesz je, gdy będziemy wracali, dobrze? Mógłby odkryć nasz trop i wiedziałby, że to tutaj...

- Nie ma obawy! - zawołał Patryk. - Spieszmy się. Więc Koralia jest tutaj?... Tu w dole, zagrzebana żywcem! Ha! Co zanikczemność!...

Kapitanowi zdawało się, że każda miniona sekunda była godziną spóźnioną i że ocalenie Koralii zależało jedynie od jednej już tylko chwili.

Dlatego dawał wszystkie żądane przyrzeczenia.

206

Przysięgał na życie Koralii. Dawał słowo honoru. W tej strasznej chwili byłby uczynił wszystko, czego by tylko od niego zażądano. Symeon, przysiadłszy na trawie pod sklepieniem kapliczki, z palcem wyciągniętym przed siebie, powtarzał:

- To tam... tam... tam, pod tym...

- Czy to możliwe, w tym grobie?

- Tak.

- Więc kamień można podnosić? - zapytał z trwogą Patryk.

- Tak.

- Ależ ja sam nie zdołam go unieść!... To niemożliwe, trzeba by ze trzech ludzi...

- Nie - odparł stary. - Kamień porusza się na osi; należy go tylko przeważać... To pójdzie łatwo... Wystarczy podważyć z jednej strony...

- Z której?

- Tutaj, z prawej!

Patryk zbliżył się i pochwycił wielką płytę grobową, na której znajdował się napis: „Tu spoczywają Patryk i Koralia”. W rzeczy samej bez wielkiego wysiłku uniósł kamień do góry, jakby z drugiej strony ciężar jakiś go przeważał.

- Zaczekaj - rzekł stary. - Należy go podtrzymać, gdyż upadnie.

- Czym go podtrzymać?

- Żelazną sztabą....

- Czy jest tu jaka?

- Tak, tam na dole, na drugim stopniu.

Ukazały się trzy kamienne stopnie, schodzące do sklepienia, w którym człowiek zgięty we dwoje mógłby się zaledwie utrzymać. Patryk spostrzegł zaraz żelazną sztabę i podpierając plecami płytę grobową, chwycił sztabę i podparł nią kamień.

- Dobrze - mówił dalej Symeon - już się nie poruszy. Teraz trzeba, żebyś się schylił. Tam miała znaleźć się moja trumna i tam też przychodziłem nieraz, by się położyć przy mojej kochanej Koralii.

Spędzałem tam całe godziny przy niej, rozmawiając z nią.

Rozmawialiśmy z sobą... zapewniam cię, że mówiliśmy z sobą... Ach, Patryku...

Patryk zgiął swą wysoką postać, z trudem wytrzymując tę niewygodną pozycję na tak ciasnej przestrzeni i zapytał:

- Cóż mam teraz robić?

- Czyś nie słyszał swojej Koralii? Cienkie przepierzenie tylko was dzieli... kilka cegieł, nakrytych

ziemią... jedne drzwi tylko... Za nimi drugi grobowiec Koralii... A za nim, Patryku... za nim jest jeszcze jeden... a w nim są worki ze złotem.

Starzec, pochylony, klęcząc na murawie, dawał wskazówki poszukującemu:

- Drzwi są na lewo... cokolwiek dalej... Nie możesz znaleźć?...

dziwne, musisz się jednak spieszyć. O! o! Już jesteś... Nie? Ha!

Gdybym tak sam mógł zejść!... ale tam nie ma miejsca, tylko na jedną osobę.

Nastąpiła długa chwila milczenia, po czym stary mówił dalej:

- Wyciągnij się jak długi... jeszcze więcej... Czy możesz się ruszać?

- Tak - odparł Patryk.

- Ale niewiele, co?

- Zaledwie odrobinę.

- A, to dobrze! Siedz tam sobie dalej! - krzyknął stary, wybuchając śmiechem.

Odskoczywszy szybko, odrzucił żelazną sztabę, powoli, lecz z ogromną, nie dającą się powstrzymać siłą. Olbrzymia płyta kamienna zasunęła się nad kapitanem.

Patryk, czując zbliżające się niebezpieczeństwo, mimo że był na wpół zagrzebany w ziemi, chciał się zerwać. Symeon jednak pochwycił

żelazną sztabę i wymierzył nią silny cios w głowę oficera. Patryk krzyknął i nie poruszył się więcej. Kamień grobowy pokrył go zupełnie.

To wszystko nie trwało dłużej nad kilkanaście sekund.

- Widzisz - wykrzyknął Symeon - jak dobrze zrobiłem, że cię rozłączyłem z twoim towarzyszem. Tamtem nie dałby się tak schwytać w pułapkę! Ale co za komedię musiałem dla ciebie odegrać!...

Symeon nie tracił ani chwili. Wiedział dobrze, że Patryk, ogłuszony uderzeniem, przy tym osłabiony niewygodną pozycją, na którą był

skazany, nie będzie miał dosyć siły, aby podnieść kamień ze swego grobu. Z tej więc strony nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo.

Powrócił tedy do pawilonu i choć szedł z trudnością, widocznie poprzednio udawał większe zmęczenie, gdyż obecnie nie zatrzymał się ani razu po drodze do przedsionka. Za-208

niechał nawet ukrywania swych kroków. Szedł wprost do celu, jak człowiek mający wytknięty plan i

spieszący się, by go wykonać, bo wie, że po wykonaniu go wszystkie drogi są przed nim otwarte!

Gdy stanął przed wejściem, zaczął nadśłuchiwać. Wewnątrz pracowni, od strony pokoju Don Luis uderzał pięściami o mur i o drzwi.

- Znakomicie! - zaśmiał się szyderczo Symeon. - I ten także wpadł. Teraz kolej na niego. Nie, doprawdy ci panowie nie są zbyt sprytni.

Poszedł na prawo do kuchni, otworzył klapę zbiornika gazowego, odkręcił kurek i wypuścił w ten sposób gaz, powtarzając z Don Luisem to, co mu się nie udało z Koralią i Patrykiem.

Wtedy dopiero uczuł ogromne zmęczenie i przez minut kilka trwał

jakby w omdleniu. Nareszcie i ten jego wróg, najzaciętszy, był jak i tamten, pokonany! Lecz nie koniec na tym! Trzeba dalej jeszcze działać i zapewnić swe własne ocalenie. Obszedł dokoła pawilon, odnalazł

swoje żółte okulary, włożył je i przeszedłszy ogród wyszedł, zamykając za sobą bramę. Dostał się małą uliczką na bulwar.

Tu znowu się zatrzymał. Zdawał się jakby wahać, co ma dalej robić.

Lecz widok przechodniów, handlarzy, robotników przyspieszył decyzję.

Gwizdnął na zbliżający się samochód i kazał się zawieźć na ulicę Guimard, do portiera Vacherota. Zastał przyjaciela na progu łoży: pocziwiec przyjął go z radością i wzruszeniem, okazując mu swe przywiązanie.

- Ach, to pan, panie Symeonie! - wykrzyknął portier. - Ale, Boże mój, w jakim pan jest stanie!

- Ciszej, nie wymawiaj mego nazwiska - mruczał Symeon, wchodząc do wnętrza. - Czy nikt mnie nie widział?

- Nikt. Jest dopiero w pół do ósmej; ludzie zaledwie się budzą. Ale, Boże, Boże, co ci nędznicy panu zrobili, pan ledwie oddycha. Czy ktoś napadł na pana?

- Tak, ten Murzyn, który mnie śledził.

- A ci inni?

- Jacy inni?...

- Ci, którzy tu byli?... Patryk?

209

- Co? Patryk tu był? - rzekł Symeon, znowu szeptem.

- Tak, był tu w nocy po odejściu pana, był z jednym ze swych przyjaciół.
- I tyś mu powiedział...
- Że jest pańskim synem?... Oczywiście... musiałem to zrobić...
- A więc to dlatego... - mruzczał stary. - Dlatego nie zdawał się być zdziwiony tym odkryciem.
- Gdzież oni są teraz?
- Z Koralią. Zdołałem ją ocalić. Oddałem ją w ich ręce. Lecz to nie o nią teraz idzie. Szybko... doktora... czas najwyższy...
- Tu w domu mieszka doktor.
- Nie chcę stąd żadnego. Czy masz spis abonentów telefonicznych?...
- Oto... proszę.
- Otwórz i poszukaj.
- Jakie nazwisko?
- Doktor Geradec.
- Co? To niemożliwe! Dr Geradec? Pan chyba nie mówi serio?
- Czemu nie? Jego klinika jest tu w pobliżu, na bulwarze Montmorency i leży na uboczu.
- Wiem o tym. Ale pan musi przecież wiedzieć... różne złe o nim chodzą słuchy. Panie Symeonie... miał aferę o paszporty i fałszywe świadectwa...
- Otóż to właśnie!
- Ależ panie Symeonie, cóż to? Czyżby pan miał zamiar wyjechać?
- A gdyby...

Symeon przerzucił kilka kartek książki telefonicznej, po czym zadzwonił. Ponieważ nie dostał połączenia, zapisał sobie numer telefonu na kawałku papieru i po chwili znowu zadzwonił.

Odpowiedziano mu, że doktor wyszedł z domu i wróci dopiero o dziesiątej rano.

- Tym lepiej - rzekł Symeon. - Nie miałbym siły pójść tam teraz.

Powiedz im, że przyjdę o dziesiątej.

- Czy mam pana zaanonsować pod nazwiskiem Symeona?

- Pod moim prawdziwym nazwiskiem Armanda Belval. Powiedz, że pilne... że trzeba będzie zabiegu chirurgicznego.

210

Portier usłuchał starca i po chwili, zawiesiwszy słuchawkę, rzekł

jękliwym głosem:

- Mój biedny panie Symeonie! Pan taki dobry i miłosierny. Co się panu mogło stać?

- Niech cię to nie zajmuje. Czy moje mieszkanie gotowe?

- Tak.

- Chodźmy tam, ale tak, by nas nikt nie dojrzał...

- Przecież pan wie, że nikt nas nie zobaczy.

- Spiesz się. Zabierz twój rewolwer... A twoje mieszkanie? Możesz tak zostawić?

- Tak... na kilka minut mogę.

Z mieszkania portiera wychodziło się od tyłu na małe podwórko, kończące się długim korytarzem. Na końcu tego podwórka znajdował

się długi dziedziniec, a w nim mały, parterowy domek.

Weszli doń.

Przedpokój, trzy pokoje jeden za drugim, oto całe mieszkanie. Tylko drugi pokój był umeblowany, ostatni miał drzwi wychodzące wprost na ulicę, biegnącą równoległe do ulicy Guimard. Zatrzymali się właśnie w środkowym pokoju.

Symeon zdawał się być wyczerpany. Mimo to jednak podniósł się ruchem człowieka zdecydowanego na wszystko i nie dającego się niczym zbić z tropu.

- Czy dobrze zamknąłeś drzwi mieszkania? - zapytał portiera.

- Tak, panie Symeonie.

- Czy nikt nas nie widział wchodzących tutaj?

- Nikt.

- Czy nikt nie może podejrzewać, że tu jesteś?

- Nikt.

- Daj mi twój rewolwer!

Portier podał mu broń.

- Proszę.

- Jak myślisz - szepnął Symeon - czy gdybym wystrzelił, usłyszałby kto wystrzał?

- Z pewnością nie! Któżby miał go słyszeć?... Ale...

- Ale co?

- Pan przecież nie będzie strzelał?

- A któż mi zabroni?

211

- Pan chce strzelić... do siebie... Panie Symeonie... chce się pan zastrzelić?

- Idioto!

- A więc do kogóż?

- Do kogoś, który stoi mi na przeszkodzie i może mnie zdradzić.

- Któż to taki!?

- Ty, do diabła! - zaśmiał się Symeon szyderczo.

I jednym strzałem strzaskał portierowi czaszkę.

Vacherot runął na ziemię, zabity na miejscu.

Symeon, odrzuciwszy rewolwer, wstał, patrząc z zimną krwią, a tylko chwiejąc się trochę na nogach. Powoli rozkładał palce, jakby liczył do sześciu. Czyżby rachował sześć osób, które sprzątnął w ostatnich kilku godzinach? Grzegorz, Koralia, Ya-Bon, Patryk, Don Luis i Vacherot?

Usta jego wykrzywił uśmiech zadowolenia. Jeszcze jeden wysiłek i oto - wybawienie w ucieczce. Ale w obecnej chwili nie mógł już zdobyć się na ten wysiłek. W głowie mu się zmaciło, na piersiach czuł

nieznośny ciężar, zatrzepotał rękami w powietrzu i charcząc upadł

omdlały.

Lecz o trzy kwadranse na dziesiątą, siłą woli ocucony, podniósł się, opanowując zmęczenie i nie zważając na ból, wyszedł z mieszkania prosto na ulicę. O dziesiątej, zmieniając po drodze dwa razy

samochód, przybył na bulwar Montmorency w tej samej chwili, kiedy doktor Geradec, wysiadłszy ze swej limuzyny, wchodził po stopniach do wspaniałej willi, w której od wybuchu wojny znajdowała się jego klinika.

VII

Doktor Geradec

Klinika doktora Geradeca składała się z kilku pawilonów, otoczonych pięknym ogrodem. Sama willa była zarezerwowana dla wielkich operacji.

Doktor miał w niej gabinet i tam też wprowadzono Symeona Diodokisa. Po pobieżnym zbadaniu go przez asystenta, zaprowadzono Symeona do sali, znajdującej się na końcu zupełnie oddzielnego skrzydła.

Zastał tam doktora. Był to człowiek lat około sześćdziesięciu, mimo to o młodym jeszcze wyglądzie. Twarz miał ogoloną, w prawym oku umieszczony monokol zmuszał go do ciągłego grymasu twarzy. Duży biały fartuch zasłaniał całą jego postać.

Symeon z trudnością, bo ledwie mógł mówić, przedstawił doktorowi sprawę: Oto ubiegłej nocy jakiś napastnik pochwycił go za gardło i, obrabowawszy, porzucił na wpół zaduszonego na ulicy.

- Dlaczegoż pan do tej pory nie wezwał lekarza? - zauważył

doktor, patrząc na niego przenikliwie.

A gdy Symeon nic nie odpowiedział, dodał:

- Zresztą, to niewielka rzecz. Jeśli pan żyje, to dowód, że nie ma zgniecenia; to były pewnie tylko skurcze krtani, które z łatwością usuniemy.

Doktor wydał polecenie pomocnikowi. Do gardła pacjenta wprowadzono długą rurkę aluminiową. Po pół godzinie doktor wyjął

rurkę i zbadał chorego, który zaraz też zaczął łatwiej oddychać.

- Skończone - rzekł doktor Geradec - i to znacznie prędzej, niż sądziłem; było lekkie zgniecenie krtani. Proszę wrócić do siebie; trochę spokoju i nie będzie ani śladu.

Symeon zapytał o honorarium i zapłacił. Lecz gdy doktor odprowadzał go do drzwi, zatrzymał się nagle i rzekł tonem poufnym:

- Jestem przyjacielem pani Albouin.

Doktor zdawał się nie rozumieć, o co chodzi.

- Może to nazwisko nic panu nie mówi? Ale kiedy przypomnę 213

panu, że pod nim ukrywa się osoba pani Mosgranem, nie wątpię, że się porozumiemy.

- Porozumiemy się co do czego? - zapytał doktor, którego twarz pod wrażeniem zdumienia skrzywiła się jeszcze silniej.

- Ależ, doktorze! Nie dowierza mi pan, to źle. Wszak jesteśmy sami. Wszystkie drzwi są podwójne i wyściełane. Możemy rozmawiać spokojnie.

- Nie wzbraniam się rozmawiać, muszę jednak wiedzieć...

- Trochę cierpliwości, panie doktorze.

- Tak, lecz moi chorzy czekają...

- To długo nie potrwa. Proszę o chwilę czasu, chcę powiedzieć parę słów. Usiądźmy.

Siadł bez ceremonii, a doktor z coraz bardziej zdziwioną miną zajął

miejsce naprzeciw Symeona.

Symeon bez żadnego wstępu rozpoczął:

- Jestem narodowości greckiej. Ponieważ Grecja jest krajem neutralnym, a nawet, jak do dziś, przyjacielskim, łatwo by było otrzymać paszport i wyjechać z Francji. Dla powodów jednak osobistych nie chcę, by ten paszport wystawiony był na moje nazwisko, lecz pragnąłbym go mieć na jakiegokolwiek inne, jakie wyszukamy. To by mi pozwoliło odjechać stąd bezpiecznie.

Oburzony doktor wstał z krzesła. Lecz Symeon nalegał:

- Proszę pana, po co udawać. Wszak chodzi tylko o cenę. Ja jestem zdecydowany. Ile?

Jednym ruchem ręki doktor wskazał mu drzwi. Symeon nie zaprotestował. Wziął kapielusz. Ale zbliżywszy się do drzwi, wymówił:

- Dwadzieścia tysięcy... wystarczy?

- Czy mam kazać wyrzucić pana za drzwi? - odrzekł doktor.

Symeon Diodokis roześmiał się i powoli, zatrzymując się przy każdej cyfrze, wymawiał:

- Trzydzieści tysięcy?... Czterdzieści... Pięćdziesiąt?... Ho, ho, jeszcze więcej? To zdaje mi się wielka stawka! Sumka jest okrągła...

Mniejsza z tym, ale musisz pan wiedzieć, że za tę sumę ma być wszystko. Nie tylko wystawisz mi pan paszport, którego autentyczność nie może być kwestionowana, ale zagwarantujesz mi pan wyjazd z Francji, jak to zrobiłeś mojej przyjaciółce, pani Mosgranem i to pod przyjemniejszymi warunkami! Ostatecznie

ja się nie targuję. Potrzebuję pana, a więc zgodzimy się, doktorze? Sto tysięcy?

Doktor Geradec popatrzył na niego przeciągle, a następnie szybkim ruchem zaryglował drzwi. Powróciwszy, siadł przy biurku i rzekł

zwyczajnym tonem:

- Pomówmy o tym.

- Nie żądam też nic innego. Porządni ludzie zawsze się porozumieją. Lecz przede wszystkim powtarzam moje pytanie: czy zgadzamy się co do stu tysięcy?

- Zgadzamy się - odparł doktor - o ile sytuacja nie pokaże się w innym świetle.

- Co pan mówi?

- Mówię, że suma stu tysięcy franków wystarcza jako odpowiednia podstawa dyskusji. Oto wszystko.

Symeon Diódokis zdawał się wahać przez chwilę. Doktor wydał mu się zanadto chciwy. Mimo to siadł.

- Proszę o pańskie prawdziwe nazwisko - odezwał się doktor.

- To niemożliwe! Powtarzam panu, że dla powodów...

- A! W takim razie, dwieście tysięcy...

- Co?

Symeon podskoczył w miejscu.

- Do pioruna, ależ pan sobie jedzie! Taka cyfra!

Geradec odparł spokojnie:

- A któż pana zmusza do jej przyjęcia? Targujemy się. Wolno panu dać lub nie.

- Ale, o cóż idzie? Z chwilą kiedy się pan godzisz na wystawienie fałszywego paszportu, co pana obchodzi moje prawdziwe nazwisko.

- Obchodzi mnie. Nawet bardzo. Narazam się o wiele więcej, pozwalając uciec - gdyż to jest ucieczką - szpiegowi niż człowiekowi uczciwemu.

- Nie jestem szpiegiem.

- Skąd mogę wiedzieć? Przychodzisz pan do mnie i proponujesz mi tę nieczystą sprawę, ukrywasz

pan swoje nazwisko i tak panu spieszo, by stąd zniknąć, że gotów pan za to zapłacić sto tysięcy. I jeszcze masz pan pretensje, by uchodzić za uczciwego człowieka! Zastanów się pan.

Człowiek uczciwy nie postępuje jak złodziej... lub morderca.

215

Stary Symeon nie poruszył się. Po chwili chustką otarł pot z czoła.

Pomyślał, że Geradec jest twardym przeciwnikiem i że byłoby może lepiej, gdyby się do niego nie był udał; ale ostatecznie układ był

warunkowy; zawsze jest dosyć czasu, by go zerwać.

- Ho! ho! - rzekł, próbując śmiać się. - Ależ pan używa mocnych słów!

- Tylko słów - odparł lekarz. - Nie czynię żadnych przypuszczeń.

Zadawałam się skonstatowaniem sytuacji i usprawiedliwieniem moich warunków.

- Masz pan najzupełniejszą słuszność.

- A więc, powtarzam pańskie pytanie: zatem zgadzamy się?

- Tak, zgadzamy się. Jednakże, a to jest moja ostatnia uwaga, mógłby pan mieć cokolwiek więcej względu dla przyjaciela pani Mosgranem.

- Skąd pan wiesz, że postępowałam z nią inaczej niż z panem? -

zapytał doktor. - Czy powiedziała panu o tym?

- Tak, pani Mosgranem przyznała, że pan od niej nie wziął nic.

Doktor, pewny siebie, z uśmiechem, szepnął:

- Tak, w istocie, nic od niej nie wziąłem, ale za to ona sama dała mi bardzo wiele... Pani Mosgranem była jedną z tych pięknych kobiet, których względy są drocenne.

Po tych słowach nastąpiła chwila milczenia. Stary Symeon wydawał

się coraz bardziej nieswój.

- Moja niedyskrecja - mówił doktor - jest, jak widzę, panu nieprzyjemna. Czyżby między panem a panią Mosgranem miały miejsce jakieś czulsze stosunki? W takim razie przepraszam pana. Zresztą, mój drogi panie, to wszystko nie ma już znaczenia... po tym, co zaszło...

To mówiąc westchnął:

- Biedna pani Mosgranem!
- Jak to? O czym pan mówi? - zapytał Symeon.
- O czym? Ależ właśnie o tym, co się stało!
- Absolutnie nic nie wiem...
- Jak to? Pan nie wie o tej strasznej tragedii?
- Od czasu wyjazdu nie pisała do mnie.
- A ja otrzymałem list od niej wczoraj wieczorem i bardzo 216
byłem zdziwiony, dowiedziawszy się, że powróciła do Francji.
- Do Francji? Pani Mosgranem?!
- Ależ tak, i nazaczyła mi spotkanie na dzisiaj rano. Osobistą schadzkę.
- Gdzie? - zapytał Symeon z widocznym niepokojem.
- Niech pan zgadnie.
- Ależ, mów pan.
- Na statku.
- Co?
- Tak, na statku zwanym „La Nonchalate”, a stojącym na kotwicy przy bulwarze w Passy koło placu Berthou.
- Czy to możliwe? - wyjąkał Symeon.
- W rzeczy samej! A czy wiesz pan, jakim imieniem był podpisany ten list? Otóż podpisała się „Grzegorz”.
- Grzegorz?... imię męskie - rzekł głuchym głosem stary.
- Tak, w istocie, imię męskie, mam tu przy sobie jej list. Pisze mi, że to życie, które wiedzie, jest zbyt niebezpieczne, że nie dowierza człowiekowi, który jest współnikiem jej majątku i chciałaby się mnie poradzić.
- A więc... więc... pan tam poszedłeś?
- Tak, byłem tam dziś rano, byłem w tym czasie, kiedy pan telefonowałeś do mnie. Na nieszczęście...

- Co, na nieszczęście?

- Przybyłem za późno. Grzegorz, a raczej pani Mosgranem nie żyła już. - Nie żyła?

- Zaduszono ją!

- To okropne! - rzekł Symeon, którego znowu zaczęły męczyć duszności. — I nie wie pan nic, więcej?

- Nic więcej! Ale o czym nic więcej?!

- O tym człowieku, na którego się żaliła.

- Owszem, w liście podała mi jego nazwisko. To Grek, który się nazywa podobno Symeon Diodokis. Nawet opisała mi jego wygląd, na co niezbyt zwracałem uwagę.

Doktor rozłożył list i rzucił wzrokiem na drugą stronicę, czytając półgłosem:

„Jest to człowiek dosyć stary, uchodzi za wariata; nosi zawsze na szyi wełniany szal... i żółte okulary...”

217

Doktor przerwał czytanie i spojrzał zdumiony na Symeona.

Obaj przez jakiś czas nie mówili ani słowa, po czym doktor powtórzył machinalnie te wyrazy:

„Człowiek dosyć stary, zgarbiony, nosi wełniany szal i wielkie żółte okulary...”

Po każdym wyrazie zatrzymywał się, by konstatować szczegóły rysopisu starego.

- Pan jesteś Symeon Diodokis...

Symeon nie zaprzeczył. Wszystkie wypadki łączyły się z sobą tak dziwnie, a zarazem czuł, że wszelkie kłamstwa byłyby daremne.

Doktor Geradec, uczyniwszy szeroki ruch ręką, oświadczył:

- Oto, co przewidywałem. Sytuacja niezupełnie jest taka, jak mi ją pan przedstawiłeś. Teraz nie chodzi już o bagatelę, lecz o rzecz bardzo poważną i dla mnie ogromnie niebezpieczną.

- Co to ma znaczyć?

- To, że cena teraz będzie inna.

- Ileż więc?

- Milion.

- Ha! Nie! Nie! - krzyknął gwałtownie Symeon. - Zresztą ja nie zabiłem pani Mosgranem, gdyż sam byłem zaatakowany przez tego, który ją zadusił. Jest to to samo indywiduum, które mnie ścigało i chwyciło za gardło: Murzyn, niejaki Ya-Bon.

Doktor pochwycił go za ramię.

- Powtórz pan imię! Powiedziałeś pan: Ya-Bon?

- Istotnie, to Senegalczyk. Ma jedną rękę obciętą. -

- I między panem a tym Ya-Bonem doszło do walki?

- Tak.

- I pan go zabiłeś?

- Bronilem się.

- Zgoda, lecz go pan zabiłeś?

- To jest...

Doktor wzruszył ramionami uśmiechając się:

- Posłuchaj pan, to dziwny zbieg okoliczności. Otóż opuszczając statek, napotkałem jakieś pół tuzina inwalidów, którzy właśnie szukają jednego ze swoich towarzyszy - Ya-Bona. Oprócz niego szukali również swego kapitana... kapitana Belvala, i szukali jeszcze przyjaciela i pewnej pani, u której mieszkali. Wszystkie te cztery osoby znikły bez śladu. Oskarżają o to pewne

218

indywiduum. Ale, ale, czekaj pan. Powiedzieli mi przecież jego nazwisko... O, to coraz dziwniejsze! Symeon Diodokis. Toż oni pana oskarżali... To ciekawe!... Lecz z drugiej strony, przyznasz pan sam, że to wszystko stanowi nowe fakty; wobec tego...

Tym razem Symeon siedział nieporuszony. Czuł, że znajduje się w szponach tego człowieka, jak mysz w pazurach kota. Doktor wprost igrał z nim. To chwycił, to znów wypuszczał, tak że już zupełnie stracił

nadzieję wyrwania się z tej śmiertelnej igraszki.

Rzekł więc po prostu:

- To szantaż!...

Doktor potwierdził głową.

- W rzeczy samej, nie znam na to innego słowa. To szantaż. I to jeszcze taki szantaż, że nie mam nawet wymówki, jakobym to ja stworzył okazję, z której korzystam. Nie, cudowny przypadek, który mi sam włązi w rękę. Rzucam się więc na to, jakbyś i pan zrobił na moim miejscu. Cóż pan chce? Miałem z policją mego kraju kilka sprawek, o których pan wiesz zapewne. Pogodziliśmy się już ze sobą, lecz moje stanowisko jako lekarza jest tak zachwiane, że trudno mi odsuwać z pogardą to, co mi pan z taką życzliwością ofiarujesz.

- A jeżeli ja się nie zgodzę?

- W takim razie zatelefonuję do prefektury policji, gdzie obecnie jestem bardzo mile widziany, tym bardziej że będę mógł tym panom oddać pewne usługi.

Symeon spojrział z ukosa ku oknu, popatrzył na drzwi.

Doktor pochwycił słuchawkę telefonu. Nie było innego ratunku -

przynajmniej w tej chwili - jak tylko poddać się, czekając okoliczności sprzyjających.

- Zgoda - oświadczył Symeon - mimo wszystko tak jest jeszcze lepiej; pan mnie zna, ja pana również, możemy się ugodzić.

- Na wymienionej podstawie?

- Tak.

- Dwa miliony?

- Tak, proszę mi teraz bliżej wytłumaczyć pański plan.

- Nie, nie warto. Mam swoje sposoby i uważam za niepotrzebne mówić o nich naprzód. Najważniejsze, to pańska ucieczka, nieprawdaż?

I uniknięcie niebezpieczeństw, które by panu groziły. Za to wszystko odpowiadam.

- A kto mi to zapewni?

219

- A, pan mi zapłaci połowę gotówką zaraz, a drugą połowę po załatwieniu sprawy. Pozostaje jeszcze kwestia paszportu. Dla mnie to drobiazg. Trzeba go wystawić. Pod jakim nazwiskiem?

- Pod jakim pan chce.

Doktor wyjął kartkę papieru, by spisać rysopis i obserwując starego, i mrużąc: „włosy siwe... twarz ogolona... okulary żółte...” - zapytał: -

Tak, lecz... kto mi zagwarantuje, że pan mi zapłaci?... Żądam banknotów... prawdziwych,

autentycznych banknotów!...

- Będziesz pan je miał.

- A gdzie one są?

- W niedostępnym ukryciu.

- Proszę to bliżej określić.

- I owszem. Choćbym nawet wskazał miejsce, gdzie są umieszczone, jeszcze byś ich pan nie znalazł.

- Więc?

- To Grzegorz miał je u siebie. Są tam cztery miliony. Znajdują się na statku. Pójdziemy tam razem i odliczę panu pierwszy milion.

Doktor uderzył pięścią w stół.

- Co? Co pan mówi?

- Mówię, że te miliony znajdują się na statku. Na tym statku, stojącym na kotwicy przy placu Berthou, tam gdzie pani Mosgranem została zamordowana. Tak, tam ukryłem cztery miliony i jeden z nich wręcę panu.

Doktor pokiwał głową przecząco i oświadczył:

- Nie... nie zgadzam się na zapłatę w tych pieniądzach.

- Dlaczego, czyś pan oszalał?

- Dlatego, że nie możesz mi płacić tym, co i tak jest moją własnością.

- Co pan mówi? - wykrzyknął przerażony Symeon.

- Mówię, że te cztery miliony są moją własnością. Wobec tego nie może mi pan ich ofiarować.

Symeon wzruszył ramionami:

- Mówisz pan od rzeczy. Zanim one będą do pana należały, trzeba żebyś je pan miał.

- Naturalnie!

- I pan je masz?

- Mam je!

- Co? Wytłumacz się pan, wytłumacz się pan natychmiast - zawołał

z wściekłością Symeon.

- Zaraz to wytłumaczę. Tą niedostępną kryjówką są cztery stare książki adresowe Paryża i departamentu, każda po dwa tomy. Te cztery tomy wewnątrz puste, z wydartymi kartkami, zawierały - każdy po jednym milionie.

- Kłamiesz pan! Kłamiesz pan.

- Leżały na stoliczku, obok kabiny. A teraz, cóż? Są tutaj...

- Tutaj?

- Na. tym stoliku, tuż przed panem. A więc w tych warunkach, będąc już legalnym ich właścicielem, nie mogę się zgodzić...

- Złodziej! Złodziej! - krzyknął Symeon, trzęsąc się z wściekłości i grożąc pięściami. - Jesteś pan zwykłym złodziejem... Ja pana nauczę!...

Ha! Bandyta.

Doktor Geradec uśmiechnął się z niezwykłym spokojem i podniósł

rękę, jakby protestując:

- O! To za grube słowa! I jakie niesprawiedliwe! Powtarzam: wielce niesprawiedliwe! Czyż mam panu przypomnieć, że pańska metresa, pani Mosgranem, darzyła mnie względami? A pewnego poranka rzekła mi w chwili szczerości: „Mój przyjacielu” - Nazywała mnie swym przyjacielem i w takich chwilach mówiła mi „ty”. - „Otóż -

mówiła - mój przyjacielu, gdy umrę - miewała zawsze smutne przeczucia - kiedy umrę, wszystko, co znajduje się w moim mieszkaniu, należy do ciebie”. Mieszkaniem jej w chwili śmierci był statek, o którym mowa. Czyżbym mógł wyrządzić jej obelgę i nie wypełnić jej ostatniej woli?

Stary Symeon nie słuchał. Piekielny pomysł przyszedł mu na myśl.

Zwrócił się do doktora z wytężoną uwagą.

- Marnujemy drogi czas, mój panie - odezwał się. - Jakaż jest więc pańska decyzja?

Geradec bawił się kartką, na której zapisał informacje, potrzebne do wystawienia paszportu.

Symeon zbliżał się ku niemu w milczeniu.

- Daj mi pan tę kartkę... Chcę wiedzieć, na jakie nazwisko wystawiłeś mi pan paszport.

Wyrwał mu z ręki papier i rzuciwszy okiem na kartkę, nagle odskoczył w tył.

- Co za nazwisko podał pan? Co to za nazwisko? Jakim prawem dałeś mi pan to nazwisko? Dlaczego?

221

- Kazałeś mi pan wypisać jakiegokolwiek nazwisko.

- Ale nie to! Nie to!... Dlaczego pan to napisał?...

- Mój Boże, sam nie wiem dlaczego. Ot, przyszło mi właśnie takie do głowy. Nie mogłem przecież podać: Symeon Diodokis, prawda?

Skoro pan się tak nie nazywa... Ani nie mogłem napisać... Armand Belval, bo pan również tak się nie nazywa. A zatem podałem to nazwisko.

- Lecz dlaczego właśnie to?

- Ach, do diabła! Dlatego, że to jest prawdziwe pańskie nazwisko.

Na twarzy starego odbiło się przerażenie i szeptem, coraz bardziej pochylając się nad doktorem, rzekł, wstrząsany dreszczem:

- Jeden jedyny człowiek, jeden tylko człowiek na świecie mógł to odgadnąć...

Nastąpiła długa chwila milczenia. Wreszcie odezwał się szyderczy głos doktora:

- W istocie tylko jeden człowiek był zdolny do tego. Przypuśćmy więc, że to ja jestem tym jedynym człowiekiem...

- Jeden jedyny tylko - powtarzał stary głosem zdławionym. - I jeden jedyny mógł odkryć kryjówkę z czterema milionami.

Doktor nie odpowiadał. Na twarzy jego błąkał się coraz pogodniejszy uśmiech.

Zdawało się, jakoby Symeon nie mógł wymówić tego groźnego nazwiska. Pochylił głowę, zachowywał się niby niewolnik przed swoim panem. Coś strasznego, coś, czego ciężar odczuwał podczas całej poprzedniej walki - coś niewypowiedzianego tłoczyło go ku ziemi.

Człowiek, przed którego obliczem stał, zaczął przybierać w jego umyśle rozmiary olbrzyma, który jednym słowem może go usunąć, jednym ruchem unicestwić. Tym jednym, przechodzącym miarę zwykłego człowieka, mógł być tylko... Wreszcie z nieopisaną grozą wyjąkał jego nazwisko:

- Arsen Lupin... Arsen Lupin...

- Tak, odgadłeś - zawołał, powstając, doktor. Wypuścił z oka monokl. Wydobył z kieszeni małe

pudełeczko z maścią, którą natarł

twarz, obmył się i ukazał oblicze świeże, ironicznie, uśmiechnięte.

- Arsen Lupin - powtarzał osłupiały Symeon. - Arsen Lupin !...

Zginałem, przepadłem...

- I to z kretesem, stary idioto. Szczytowa głupota! Jak to, 222

znasz moją reputację, odczuwasz wobec mnie trwogę, jaką łotr taki jak ty powinien mieć przed każdym uczciwym człowiekiem, i mimo to mogłeś przypuszczać, stary idioto, że będę na tyle głupi, by dać się zamknąć w twoim pudle z gazem?

Lupin przechadzał się po pokoju, jak dobry aktor, który, odegrawszy swoją rolę, cieszy się wywołanym efektem.

- Zanotuj to sobie dobrze - mówił dalej - że już wtedy mogłem pochwycić cię za kołnierz i odegrać z tobą zaraz wielką scenę piątego aktu, którą odgrywamy obecnie. Tylko widzisz, mój piąty akt byłby trochę za krótki, a ja jestem człowiekiem sceny!

O ileż zainteresowanie wzrosło obecnie! Przy tym wcale zabawnie było obserwować pomysły, które się rodziły w twoim potwornym łbie. Ach, jakie to było śmieszne, pójść do pracowni, zawiesić na sznurku elektryczną latarkę, żeby poczciwy Patryk myślał, że ja jestem tam!

Następnie wyjść i słyszeć, jak się mnie Patryk zapierał po trzykroć i zamykał w więzieniu moją latarkę elektryczną! ... Tak, wszystko to, to była dobra robota; co o tym myślisz?

Czyż nie?... Czuję, że jesteś pełen podziwu... A w dziesięć minut później, gdyś powrócił... cóż to za piękna scena z kulisami! Oczywiście dobrze tłukłem w zamurowane drzwi między pracownią a pokojem na lewo... Tylko, mój stary Symeonku, nie byłem już wtedy w pracowni, ale w pokoju obok. A stary Symeon nie domyślił się niczego i najspokojniej w świecie poszedł sobie, myśląc że zostawił za sobą kogoś skazanego na śmierć. To mistrzowskie pociągnięcie, prawda?! Nie potrzebowałem nawet śledzić cię do końca. Byłem pewny, jak dwa razy dwa jest cztery, żeś się następnie udał do starego przyjaciela, Vacherota. I rzeczywiście, poszedłeś wprost do niego.

Lupin zatrzymał się, by zaczerpnąć powietrza, i mówił dalej:

- Ha! Ale wtedy, na przykład, ładną popełniłeś nieostrożność... i wybawiłeś mnie tym z kłopotu... Przychodzę, nikogo w loży... Co robić?... Jak odnaleźć ślady? Na szczęście Opatrzność czuwała nade mną. Cóż to, znajduję kawałek gazety? Oto numer telefonu świeżo nakreślony ołówkiem. No! No! Patrzcie, piękny ślad! Żądam tego numeru, otrzymuję połączenie i z zimną krwią przemawiam: „Panie, to ja telefonowałem do pana przed godziną, mam wprawdzie numer pańskiego telefonu, ale nie mam adresu”. Na co dostaję ten adres: Doktor Geradec, bulwar Montmorency. Wtedy zrozumiałem, o co chodzi. Doktor Geradec? Aha, to

tak! Przede wszystkim stary Symeon każe sobie „naprawić” gardło.

Następnie zajmie się sprawą paszportu, bo doktor Geradec jest specjalistą od fałszywych paszportów. Oho! Stary Symeon chciałby drapnąć? O! Co to, to nie! Wtedy przybyłem więc tutaj, nie troszcząc się już o biednego przyjaciela Vacherota, którego tam, w jakimś kącie zapewne zamordował, by się pozbyć niepotrzebnego świadka. Tutaj widziałem się z doktorem Geradec, człowiekiem bardzo miłym, któremu... I ten odstąpił mi na dziś rano swój urząd. To mnie cokolwiek drogo kosztowało, ale... kto smaruje, ten jedzie... Krótko mówiąc, ponieważ twoja wizyta byłaznaczona na dziesiątą, miałem jeszcze przed sobą dobre dwie godziny: udałem się więc na zwiedzenie statku, zabrałem miliony, sprawdziłem niektóre rzeczy i oto jestem! Lupin zatrzymał się przed starym i rzekł do niego:

- A więc, jesteś gotów?

Symeon, pogrążony w myślach, zadrżał.

- Do czego gotów? - mówił dalej Lupin, nie czekając odpowiedzi starca. - Ależ do wielkiej podróży! Paszport twój już gotów: Paryż -

piekło. Bilet *direct*. Pociąg pośpieszny, *sleeping*- trumna. Jazda!...

Przez długą chwilę milczeli obaj. Stary rozmyślał i widocznie szukał

sposobu, by wydostać się z rąk wroga. Lecz drwiny i żarty Arsena Lupina do głębi go poruszyły, tak że bełkotał tylko niewyraźne słowa.

Wreszcie wykrztusił:

- A Patryk?

- Patryk? - powtórzył Lupin.

- Tak, co się z nim stanie?

- Czy masz jaki nowy pomysł?

- Oddam jego życie w zamian za moje!

Lupin mocno się zdziwił:

- Więc według ciebie, znajduje się on w niebezpieczeństwie?

- Tak, i dlatego proponuję ten układ: moje życie w zamian za jego.

Lupin skrzyżował ręce na piersiach i rzekł tonem oburzenia:

- Nie! Naprawdę to już jest bezczelność! Jak to? Patryk jest moim przyjacielem, a ty sądzisz, że

byłbym zdolny opuścić go w ten sposób?... Ja, Arsen Lupin, miałbym rozprawiać mniej lub więcej dowcipnie o twojej bliskiej śmierci, podczas gdy mój przy-224

jaciel Patryk byłby w niebezpieczeństwie! Symeonie, starzejesz się i garbisz. Czas najwyższy, byś się już przeniósł na lepszy ze światów!

Rozsunął zasłonę, otworzył drzwi i zawołał:

- Panie kapitanie!

Po czyta, zwróciwszy się do Patryka, powiedział:

- Widzę, że pan odzyskuje przytomność, kapitanie. Tym lepiej ! I nie dziwisz się pan, że mnie tu widzisz? Tylko proszę nie dziękować!

Niech pan raczy wejść. Nasz stary Symeon pragnie pana zobaczyć. A stary Symeon ma teraz prawo do pewnych względów.

Zwracając się zaś do starego, rzekł:

- Oto twój syn, wynaturzony ojciec.

\

VIII

Ostatnia ofiara Symeona

Patryk wszedł do pokoju. Głowę miał obandażowaną, gdyż cios, który zadał mu Symeon, i ciężar kamienia otworzyły mu dawniejsze rany. Błady był niezmiernie i zdawał się cierpieć bardzo.

Widok Symeona Diodokisa wzniecił w nim na nowo szalony gniew; powstrzymał się jednak. Stali naprzeciw siebie, jak wryci, i obaj patrzyli w siebie nieruchomo; a Lupin, zacierając ręce, mówił półgłosem:

- Co za scena! Co za znakomita scena! Czyż to nie wspaniałe widowisko! Ojciec i syn! Zbrodniarz i ofiara. Baczość, orkiestra. ...

Tremolo stłumione... Co zamierzają uczynić? Czy syn zabije ojca, czy ojciec zabije syna? Wzruszająca chwila.... Co za cisza! Głos krwi się odzywa i jakimiż słowy! Masz! Oto jest! Głos krwi przemówił, rzucają się sobie teraz w objęcia, by się łatwiej mogli zadusić.

Patryk zbliżył się o dwa kroki i jak zapowiadał Lupin, obie ręce oficera już wyciągały się do walki. Lecz nagle Symeon, osłabiony cierpieniem, pokonany jakąś wyższą siłą, osunął się wołając błagalnie:

- Patryku... Patryku... Co chcesz uczynić?

Wyciągnął do niego ręce, błagał o litość przeciwnika, a ten powstrzymany w zapędzie, wzruszony, patrzył długo na tego człowieka, z którym łączyły go węzły tajemnicze i nieodgadnione. Z pięściami ciągle jeszcze wzniesionymi, wołał:

- Koralia!... Koralia!... Powiedz mi, gdzie ona jest, a daruję ci życie!

Stary wzdrygnął się; nienawiść podsycona wspomnieniem Koralii i chęcią wyrządzenia zła dodała mu siły, tak że odparł z okrutnym uśmiechem:

- Nie... nie... Mam ocalić Koralie? Nie, wolę raczej umrzeć. A zresztą... kryjówka Koralii to i schowek złota... Nie, przenigdy.... Raczej umrzeć....

- Zabij go, kapitanie - przerwał Don Luis. - Zabij, skoro on to woli.

226

Znowu myśl zamordowania zbrodniarza i chęć zemsty oblała twarz oficera gorącą łuną krwi. Lecz ta sama niepewność powstrzymywała go i tym razem.

- Nie - rzekł cichym głosem. - Nie, nie mogę....

- Dlaczego? - nalegał Don Luis. - To tak łatwo! Dalejże! Ściśnij go za gardło i już po nim, jak z kurą...

- Nie mogę!

- Dlaczego! Cóż to znaczy dla ciebie? Brzydzisz się, a gdyby to był

Niemiec na polu walki...

- Tak, ale ten człowiek...

- A może to twoje ręce nie mogą się na to zgodzić? Myśl, że masz pochwycić to ścierwo i zdusić je?... Bierz mój rewolwer, kapitanie, i ubij go, jak psa.

Patryk pochwycił skwapliwie broń i wycelował ją w stronę starego Symeona. Nastąpiła chwila straszliwej ciszy. Symeon zamknął oczy, krople potu spływały po jego wybladłej twarzy. Lecz ręka oficera opadła bezwładnie, po czym wyjąkał:

- Nie mogę.

- Nuże! - komenderował zniecierpliwiony Don Luis.

- Nie... nie...

- Dlaczego nie możesz? - zapytał raz jeszcze Don Luis. - Czy mam ci powiedzieć dlaczego?... Bo myślisz jeszcze, że ten człowiek jest twoim ojcem!

- Może - odrzekł cicho oficer. - Pozory chwilami każą mi w to wierzyć.

- A choćby: skoro to jest łotr i bandyta...

- Nie, nie, nie mam prawa. Niech ginie, lecz nie z mojej ręki. Nie mam prawa do tego.

- Więc zrzekasz się zemsty?

- To byłoby wstrętne, to byłoby potworne!

Don Luis zbliżył się do Patryka i kładąc mu rękę na ramieniu rzekł

poważnie:

- A gdyby to nie był twój ojciec? Patryk spojrzał na niego. Nic nie rozumiał.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, że pewności nie ma żadnej. Przypuszczenie to opiera się na pozorach i nie jest poparte żadnym dowodem. Trzeba również z drugiej strony wziąć pod uwagę twój wstręt, kapitanie, i nienawiść do tego człowieka. Gdy się jest tak jak ty, 227

człowiekiem uczciwym, rzetelnym, na wskroś przejętym honorem i godnością, czyż to jest prawdopodobne, byś był synem takiego łotra?

Zastanów się nad tym, Patryku... Zatrzymał się chwilę i powtórzył:

- Zastanów się nad tym, Patryku... a także nad inną rzeczą, która ma też swoje znaczenie.

- Nad jaką rzeczą? - zapytał Patryk, wpatrując się weń z przerażeniem.

Don Luis dokończył:

- Jakakolwiek jest moja przeszłość, cokolwiek o mnie myślisz, musisz mi jednak przyznać, że mam sumienie. Wiesz także o tym, że moje postępowanie w całej tej sprawie nie ulegało wpływom, do których nie mógłbym się głośno przyznać.

- Tak, tak - oświadczył z siłą Patryk Belval.

- A więc, mój kapitanie, czy sądzisz, że mógłbym cię namówić do zabicia tego człowieka, gdyby on był twoim ojcem?

Patryk, z trudnością hamując wzruszenie, zawołał:

- Pan wiesz coś pewnego?! Powiedz mi, błagam!

- Czy sądzisz - mówił dalej Don Luis - że mógłbym cię namawiać do nienawiści, gdyby to był twój ojciec?

- Więc on nie jest moim ojcem?

- Nie! nie! - wykrzyknął Don Luis głosem pełnym przekonania, z coraz to wzrastającym zapalem. - Nie, po tysiąc razy nie. Ależ przypatrz mu się tylko. Spojrzyj na głowę tego łotra! Wszystkie zbrodnie, wszystkie występki wypisane są na tej bydlęcej twarzy. W całej tej awanturze od początku do końca nie było jednego występku, który by nie był jego dziełem. Rozumiesz... ani jednego! Nie było tam, jak to sądziliśmy, dwóch zbrodniarzy, nie było Essaresa, który zaczynał, ani starego Symeona, który kończył. Nie, był tylko jeden bandyta, jeden jedyny, rozumiesz, Patryku?! Jeden i ten sam bandyta, który zamordował nam prawie przed nosem Ya-Bona, zabił portiera Vacherota i zabił swo ją współpraczkę; ten sam łotr, który od dawna rozpoczął swoje dzieło i usuwał tych, którzy mu przeszkadzali. A między innymi zabił jednego, którego ty znałeś, Patryku, zabił tego, z którego krwi i kości jesteś, kapitanie.

- Kogo? O kim pan mówisz? - zawołał Patryk zmieszany.

- O tym, którego przedśmiertny krzyk słyszałeś przez telefon, o tym, który cię wzywał, który żył tylko dla ciebie, Patryku!

228

On go zabił... Armanda Belvala! Czy rozumiesz mnie teraz?! Ale Patryk nie rozumiał jeszcze. Słowa Don Luisa były dla niego ciemne niby mrok. Wreszcie straszna myśl zaczęła świtać w jego umyśle:

- Słyszałem głos mojego ojca? - wyszeptał. - Więc to on mnie wzywał?

- Tak, to był twój ojciec.

- A człowiek, który go zabił?

- Oto zabójca - rzekł Don Luis, wskazując starego Symeona. Ten siedział nieporuszony z oczami błędnymi, jak przestępca oczekujący śmierci. Patryk nie spuszczał z niego wzroku. Ciałem jego wstrząsał

dreszcz wściekłości.

Mimo to z wolna ogarniało go uczucie ulgi, radość ogarniała jego myśl. Ten potwór nie jest jego ojcem! Wolał wiedzieć, że ojciec nie żyje! Mógł nareszcie lżej odetchnąć.

Mógł znowu podnieść głowę i z całą swobodą nienawidzić nienawiścią sprawiedliwą i świętą.

- Ktoś ty jest? Ktoś ty?

A zwracając się do Don Luisa, zapytał:

- Nazwisko jego? Błagam... powiedz; muszę je znać, zanim go zmiażdżę.

- Jego nazwisko? - rzekł Don Luis. - Jego nazwisko? Jak to, czyż jeszcze nie odgadłeś pan? Prawda! I

ja go długo szukałem. A jednak jest to jedyna możliwość...

- Jaka? Co pan ma na myśli? - wołał zrozpaczony Patryk.

- A więc...

Nastąpiła długa chwila milczenia. Obaj mężczyźni patrzyli na siebie, stojąc naprzeciw siebie. Don Luis miał widocznie uczucie, że należało powstrzymać się jeszcze z wyjaśnieniem wszystkiego, gdyż zaczął:

- Nie, Patryku, nie jesteś pan jeszcze dość przygotowany na usłyszenie prawdy. Chcę, byś, kiedy się jej dowiesz, nie miał już żadnych wątpliwości. Nie chodzi mi o wywołanie efektu, lecz pragnę, abyś pan nabrał niezbitego przekonania, kim jest ten człowiek, który, jak sam już przypuszczasz, nie jest twoim ojcem, ale i nie jest Symeonem Diodokisem, mimo że przybrał wszelkie tego pozory, wygląd i sposób życia Symeona. Zaczynasz mnie pan rozumieć, prawda? Przypomnij sobie poprzednio wypowiedziane przeze mnie zdanie: „W walce tej nie było dwóch zbrod-

niarzy, nie było Essaresa, rozpoczynającego tę piekielną robotę i kończącego ją starego Symeona". Był i jest jeden zbrodniarz, dotąd żyjący, wciąż działający, wciąż zmierzający do jednego celu: usunięcia z drogi tych, którzy mu zawadzają... W razie potrzeby przybiera nawet ich postać, by tym łatwiej doprowadzić do końca przekłete dzieło. Mam ci go nazwać?... Cofnij się myślą wstecz, Patryku, przypomnij to, coś widział własnymi oczami... Nie pytaj jedynie własnych wspomnień, lecz sięgnij do wspomnień innych i do tego, co panu Koralia mówiła o przeszłości. Któż to jest ten jedyny prześladowca, jedyny zbior, jedyny morderca, geniusz wszystkiego zła, wyrządzonego twemu ojcu i matce Koralii, i samej Koralii, następnie pułkownikowi Fakhi, Grzegorzowi, Ya-Bonowi i Vacherotowi: wszystkim, Patryku, którzy tylko byli wmieszani w tę tragiczną sprawę. Czuję, żeś pan prawie odgadł. Jego potworna dusza wyłania się z mroków, jego prawdziwa postać przyobleka się w ciało, maska opada. I oto masz przed sobą tego złoczyńcę. Jest nim...

Kto wyrzekł to imię złowrogie, Don Luis, przekonany o prawdzie?

Czy Patryk, wahający się jeszcze i zdumiony tym odkryciem? To pewne, że po usłyszeniu tych dwóch słów, które zabrzmiały w ciszy uroczystej, oficer nie miał już ani cienia wątpliwości. Po kilka razy powtarzał to nazwisko, o którym nigdy nie myślał, a które jedno wyjaśniało w sposób najlogiczniejszy i najbardziej zarazem zdumiewający tę nieodgadnioną dotąd zagadkę:

- Essares-Bej... Essares-Bej...

- Essares-Bej... - powtórzył Don Luis. - Essares-Bej, człowiek, który zabił twego ojca; a zabił twego ojca, rzecz można, po dwakroć, niegdyś w pawilonie, zabierając mu całą wartość życia, i po raz drugi niedawno, przed kilku dniami w bibliotece, wtedy gdy ojciec twój, Armand Belval, telefonował do ciebie. Essares... człowiek, który zabił

Koralię i zagrzebał w nie odnalezionym grobie...

Tym razem wyrok śmierci był nieodwołalny. Wzrok oficera wyrażał

nieubłagane postanowienie. Morderca jego ojca i morderca Koralii musiał zginąć natychmiast, obowiązek ten przedstawiał się jasno i wyraźnie. Potworny Essares miał umrzeć z ręki syna i narzeczonego.

230

- Poleć duszę Bogu - rzekł kapitan z zimną krwią. - Za dziesięć sekund przestaniesz żyć.

Z rewolwerem w ręku liczył sekundy i przy dziesiątej miał już wypalić, gdy nieprzyjaciel zerwał się ostatnim wysiłkiem szalonej energii, co dowodziło, że pod maską starego Symeona ukryty był człowiek jeszcze młody i jeszcze silny. Z niesłychaną gwałtownością, która powstrzymała na chwilę oficera, wykrzyknął:

- A więc dobrze! Tak, zabij mnie. Tak, niech się to raz skończy! ...

Przyjmuję porażkę, lecz ona jest zwycięstwem, skoro Koralia nie żyje i moje złoto ocalało!... Umieram, lecz nikt nie posiadzie ani jej, ani złota!... Ani tej, którą kocham, ani złota, które było mi życiem. Ha!

Patryku! Kobiety, którąśmy obaj kochali do szaleństwa, tej kobiety nie ma już... lub kona bez nadziei ratunku, obecnie już niemożliwego. Jeśli ja jej nie mam, to i ty jej mieć nie będziesz! Mojej zemsty dokonałem!

Koralia stracona... stracona na zawsze!!!

Ryczał i jęczał zarazem, odzyskując dziką wprost siłę. Naprzeciw niego Patryk, z rewolwerem w ręku, trzymał go w swej mocy; gotów do wystrzału, słuchał tych słów okropnych, które były mu męczarnią.

- Ona stracona, Patryku - mówił dalej wróg z coraz większą gwałtownością. - Stracona... Nawet jej zwłok nie znajdziesz we wnętrzościach ziemi. Ukryłem ją wraz z workami złota. Może w grobowcu? O, nie ma głupich! Nie, Patryku, nie znajdziesz jej nigdy!

Złoto ją dusi. Koralia nie żyje! Ha! Co za rozkosz móc ci to rzucić w oczy. Jak ty musisz cierpieć, Patryku! Koralia nie żyje, słyszysz?... Nie żyje!

- Nie krzycz tak bardzo, obudzisz ją jeszcze - rzekł ze spokojem Don Luis Perenna.

Wydobył papierosa z pudełka znajdującego się na stole, zapalił go i puszczał dym przed siebie w równomiernych kłębach. Rzucił to zdanie lekko, jak przestrożę, którą się daje od niechcenia.

Mimo to słowa jego wywarły piorunujące wrażenie. Kapitan opuścił

ręce, Symeon zachwiał się i runął na fotel. Obaj wiedzieli dobrze, do czego zdolny był Lupin. Więc rozumieli, co chciał przez to powiedzieć.

Lecz Patrykowi nie wystarczały niejasne słowa. Chciał mieć pewność.

Głosem przerywanym zapytał:

231

- Co pan mówisz! Można ją obudzić?

- Ha! - odparł Don Luis. - Wszakże głośnym krzykiem można obudzić człowieka!

- Więc ona żyje?

- Nie budzi się umarłych, budzi się tylko żyjących.

- Koralia żyje! Koralia żyje! - powtarzał Patryk w upojeniu. - Czyż to możliwe? Ależ wtedy byłaby tu? Błagam pana, powtórz mi to, potwierdź... Nie mogę w to uwierzyć...

- Powtórzę więc panu, kapitanie, to, co mówiłem do tego nędznika:

„Czy pan przypuszczasz, że mógłbym przerwać rozpoczęte dzieło przed ukończeniem?” Kiepsko mnie pan znasz. To, do czego ja się zabieram, kapitanie, musi się udać! Taki już mam zwyczaj!

Zwrócił się ku ścianie.

Równoległe do ukrytych drzwi, przez które wszedł przed chwilą Patryk, znajdowały się drugie, również zasłonięte portierą, którą odsunął.

Patryk Belval powtarzał szeptem:

- Nie, nie, jej tam nie ma... nie mogę w to uwierzyć... Przysięgnij mi pan...

- Nie potrzebuję przysięgać, kapitanie. Otwórz pan tylko oczy. Do diaska! A to mi postawa godna francuskiego oficera! Pobladłeś? Ależ tak! To ona! To mateczka Koralia. Śpi na tym łóżku, pod opieką dwóch pielęgniarek, nie odniosła żadnej rany. Trochę gorączki i silne osłabienie; niebezpieczeństwa nie ma żadnego. Biedna mateczka Koralia, żałuję, że jej nigdy więcej nie zobaczę.

Patryk, porwany radością, rzucił się ku drzwiom. Ale Don Luis powstrzymał go:

- Stój, kapitanie! Jeżeli ją tu przywiozłem, zamiast do jej mieszkania, to dlatego, że uważałem za konieczne, by zmieniła otoczenie i atmosferę. Żadnych wzruszeń. Miała ich dosyć...

- Masz pan słuszność - rzekł Patryk - lecz czy jesteś pewny?...

- Że ona żyje? - odparł, śmiejąc się Don Luis. - Tak jak pan i ja.

Najzupełniej gotowa dać panu szczęście, na które zasługujesz, i nazwać się panią Patrykową Belval. Trochę cierpliwości. Poza tym niech pan nie zapomina, że jest jeszcze jedna przeszkoda do

pokonania, kapitanie, bo przecież ostatecznie ona ma męża...

232

Zamknął drzwi i przywiódł kapitana przed Essares-Beja.

- Oto przeszkoda, kapitanie. Czy tym razem jest pan zdecydowany?

Między mateczką Koralią a panem jest jeszcze ten nędznik. Cóż z nim zrobisz?

Essares nie zajrzał nawet do sąsiedniego pokoju, aż nazbyt pewny, że słowa Don Luisa nie mogą być podane w jakąkolwiek wątpliwość.

Skurczony we dwoje, bezsilny, trzął się na swym fotelu, jak w febrze: Don Luis zwrócił się doń:

- Powiedz mi, mój kochanku, co ci to dolega? Coś ty mi wyglądasz, jakbyś był nieswój. Cóż ci tak dokucza, a może boisz się? Dlaczego?

Przyrzekam ci, że nie zrobimy nic bez poprzedniego porozumienia, bo musimy wszyscy trzej zgodzić się na jedno. Ta myśl cię pociesza, co?

Osądzimy cię wszyscy trzej i to zaraz. Kapitan Patryk Belval, Don Luis Parenna i stary Symeon będą stanowić trybunał. Rozprawa rozpoczęta, czy nikt nie podejmie obrony Essares-Beja?

- Nikt.

- Essares-Bej skazany jest na śmierć!

Nie ma okoliczności łagodzących. Nikt nie wniósł o uniewinnienie. Nie ma ulaskawienia ani odroczenia. Wykonanie wyroku natychmiastowe.

Wyrok zapadł!

Uderzył starego po ramieniu i dodał:

- Widzisz, to nie trwało długo. Jednogłośnie, co? A to mi wyrok zadowolający! Wszystkich wprawia w dobry humor. Pozostaje jeszcze oznaczenie rodzaju śmierci. Kula rewolwerowa? Bardzo dobrze. To idzie prędko i porządnie. Kapitanie Belval, na pana kolej - bierz pan nabój.

Cel jest na swoim miejscu. A oto broń.

Patryk nie poruszył się. Wpatrywał się w nędznika, który mu wyrządził tyle złego. Miotła nim nienawiść, mimo to jednak rzekł:

- Nie zabiję tego człowieka!

- Masz pan słuszość - pochwalił Don Luis. - Pańskie skrupuły przynoszą panu zaszczyt. Nie, nie

masz pan prawa zabijać tego człowieka, o którym wiesz, że jest mężem kobiety przez ciebie kochanej. Nie pana rzeczą jest usunąć tę przeszkodę. A poza tym masz wstręt do zabójstwa. Ja także. Tobydłę jest zbyt podłe. A więc, mój kochanku, nie pozostaje ci nic innego, jak tylko to, że ty sam musisz nam pomóc w wydostaniu się z tej delikatnej sytuacji.

233

Don Luis umilkł na chwilę i pochylił się nad Essaresem. Czy nędznik słyszał jego słowa? Czy w ogóle żył jeszcze? Zdawał się omdlały i bez przytomności.

Don Luis pochwycił go szorstko za ramiona i potrząsnął nim.

Essares jęknął:

- Złoto!... Worki ze złotem...

- A, to o tym myślisz, stary łotrze, to cię boli? Don Luis wybuchnął

śmiechem.

- Ależ prawda, prawda, zapomnieliśmy pomówić o tym. A ty tylko o tym myślisz, łajdaku! To cię zajmuje! A więc, mój kochany, worki ze złotem są w mojej kieszeni. O tyle, naturalnie, o ile kieszeń może pomieścić 1800 worków złota.

Stary zaprotestował:

- A kryjówka?...

- Twoja kryjówka? Nie istnieje; nie potrzebuję chyba na to dostarczać dowodów, skoro Koralia jest tutaj? A ponieważ Koralia była zagrzebana między workami ze złotem, potrafisz z tego wysnuć logiczny wniosek?... Przepadłeś! Kobieta, której ty pożądałeś, jest wolna i co najstraszniejsze, wolna dla tego, którego kocha i którego nie opuści nigdy więcej. Z drugiej strony, skarb twój jest odkryty. A zatem wszystko skończone. Zgadzasz się? Masz oto tę zabawkę - to jest twoje wyzwolenie.

Podał mu rewolwer, który tamten machinalnie wziął i wymierzył w Lupina, lecz ręka jego nie miała dosyć siły i opadła.

- Znakomicie! - rzekł Don Luis. - Twoje sumienie buntuje się i twoja ręka nie zwraca się ku mnie. Znakomicie! Rozumiemy się. Czyn, który masz wykonać, okupi całe twoje życie, stary bandyto. Gdy się już straci wszelką nadzieję, nie pozostaje nic inne go, jak śmierć. To jest ostatnia ucieczka.

Pochwycił jego rękę i uciskając palce wokół rękojeści rewolweru skierował go ku twarzy Essaresa.

- Dalejże! Trochę odwagi. To bardzo słuszne, coś postanowił

uczynić. Ponieważ kapitan i ja nie chcemy się plamić twoją śmiercią, postanowiłeś zrobić to sam. Winszujemy! Zawsze mówiłem: „Essares, to prawdziwa kanalia, ale w godzinę śmierci potrafi

umierać z godnością, jak bohater, z uśmiechem na ustach i z kwiatkiem w butonierce". Trochę się jeszcze waha, lecz coraz bliżej jesteśmy celu.

Raz jeszcze ci gratuluję. Podoba mi się twój sposób wyjścia. Zdajesz sobie doskonale sprawę, że na ziemi nie

234

ma miejsca dla ciebie i że przeszkadzasz Patrykowi i Koralii... Ależ tak, mąż to zawsze przeszkoda... Jest prawo... Są konwenanse, a więc wolisz się usunąć. Jesteś prawdziwym gentlemanem! Masz przy tym najzupełniejszą słuszość! Ani miłości, ani złota, Essaresie! Te tak piękne błyszczące sztuki złota, tak pożądane przez ciebie, przy pomocy których miałbyś tak miłe, wygodne życie. To wszystko zniknęło, przepadło. Nie, stanowczo lepiej usunąć się samemu, nieprawda?

Essares prawie nie stawiał oporu. Czy było to poczucie własnej bezsilności? Czy też zgadzał się z Don Luisem, że jego życie nie miało żadnej wartości? Broń w jego ręku podniosła się ku czołu. Lufa rewolweru dotykała skroni.

Lecz to dotknięcie zimnej stali wywołało w nim dreszcz trwogi i oto jęknął:

- Łaski!

- Ależ nie, nie! - rzekł Don Luis. - Nie wypada, byś żądał

ułaskawienia. Ja ci w tym nie pomogę! Może gdybyś nie był zabił mego biednego Ya-Bona, może wtedy poszukalibyśmy razem jakiego innego wyjścia. Ale, doprawdy, nie wywołujesz we mnie współczucia, którego i sam dla siebie nie posiadasz. Umrzesz i słusznie. Nie przeszkodzę ci w tym wcale. Zresztą paszport twój już gotowy, bilet masz w kieszeni. Nie możesz się dłużej ociągać! Oczekują cię po tamtej stronie. Ale, wiesz? Nie potrzebujesz się tam obawiać nudów. Czy widziałeś kiedykolwiek rysunki, przedstawiające piekło? Każdy ma tam swój ogromny kamień i każdy go dźwiga i podtrzymuje plecami, by uniknąć płomieni, buchających spod niego. Prawdziwa kąpiel ogniowa! Jak widzisz, są i tam rozrywki. Otóż kamień już zamówiony, płomienie buchają, kąpiel dla jaśnie pana gotowa!

Powoli, cierpliwie zdołał wprowadzić jego palec wskazujący pod kurek w ten sposób, by mógł pociągnąć za cyngiel. Essares poddawał się.

Był to już tylko bezwładny łachman ciała.

Śmierć mieszkała już w nim.

- Zauważ tylko - mówił dalej Don Luis - że jesteś najzupełniej wolny.

Od ciebie tylko zależy, byś nacisnął, jeśli ci się tak podoba. Mnie to nic nie obchodzi. Pod żadnym pozorem nie chciałbym na ciebie wpływać. Nie jestem tu po to, by popełnić zabójstwo, lecz by ci doradzać i pomagać.

W istocie popuścił Don Luis palce Essaresa i podtrzymał

235

tylko jego ramię. Lecz ciążył na nim całą swoją wolą i całą energią.

Wolą zgładzenia go, wolą zniszczenia, wolą niepokonaną. Nawet Essares nie mógł się już jej oprzeć.

Właśnie śmierć otarła się jeszcze bliżej o to gnuśne ciało, poplątała instynkty, zamąciła myśli i sprowadziła ogromne pragnienia bezczynności i bezwładu.

- Widzisz, jakie to łatwe. Tamyś cię upaja? Co za rozkosz nie myśleć o tym złocie, którego już nie ma i mieć go nie możesz, o tej kobiecie, która należeć będzie do innego i całą swoją uroczą istotę odda temu innemu na zawsze... Czy mógłbyś żyć z tą myślą?...

Nędznik tchórzliwie ustępował. Znajdował się wobec siły duchowej, która przygniatała, wobec natury potężnej jak przeznaczenie, zmuszającej do posłuszeństwa. Jakiś zawrót głowy zaczął go ogarniać.

Czuł, że się stacza w przepaść.

- No dalej... dalej... Nie zapominaj, żeś już raz umarł... Przypomnij sobie. Miałeś pogrzeb, jako Essares-Bej, i pochowano cię, mój kochanku. Wobec tego nie możesz się już ukazać na tym świecie. Tak, chyba tylko po to, by cię dosięgła sprawiedliwość. A rozumie się, ja postaram się już o to, by ją skierować w twoją stronę. Więc czeka cię więzienie... to znaczy... szafot! Szafot, mój stary... Lodowaty brzask...

Gilotyna...

To już był koniec. Essares pogrążył się w ciemnościach. Wszystko wirowało wokół niego. Wola Don Luisa przenikała go i obezwładniała.

Na jedną chwilę zwrócił się ku kapitanowi z błagalnym spojrzeniem, ale Patryk trwał nadal w swej postawie, niewzruszony, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, patrzył bez litości na mordercę swego ojca. Kara była zasłużona. Należało pozostawić wszystko przeznaczeniu. Patryk Belval nie będzie tu pośredniczył i nie przemówi w jego obronie.

- Dalejże, dalej... Pomyśl o złocie, któreś utracił... Trzysta milionów odfrunęło... Koralia także stracona. Matka i córka; nie miałeś ani jednej, ani drugiej. W takim razie życie to jedno wielkie głupstwo.

Lepiej się go pozbyć. Tylko jeden mały wysiłek, jeden lekki ruch...

Ten lekki ruch... Bandyta wykonywał go właśnie... Bezprytomnie prawie nacisnął kurek. Strzał padł... I Essares runął naprzód twarzą ku ziemi. Don Luis zmuszony był odskoczyć w bok, by nie być zbryzgany krwią, buchającą ze zdruzgotanej czaszki.

- Do kata! - zawołał. - Krew tego łotra przyniosłaby mi jeszcze nieszczęście. Ale, mój Boże, co za bezczelna szelma! Stanowczo myślę, że spełniłem jeden dobry uczynek więcej w moim życiu i że jego samobójstwo zjedna mi dobre miejsce w niebie. Och, nie jestem wymagający... skromna ławeczka gdzieś w cieniu. Ale zasłużyłem na nią. Cóż ty na to, kapitanie?

IX

Niech się stanie światło!

Tego samego wieczora, około szóstej, Patryk przechadzał się po Quai de Passy. Na ulicy mało było przechodniów, od czasu do czasu przejeżdżał tramwaj lub wóz ciężarowy. Patryk był niemal samotny. Od rana nie widział Don Luisa Parenny. Otrzymał jedynie kilka słów od niego z poleceniem, aby przetransportować ciało Ya-Bona do pałacyku Essaresa i aby sam udał się następnie na plac Berthou.

Umówiona godzina zbliżała się i Patryk cieszył się bardzo na to spotkanie, które nareszcie odkryje mu całą prawdę. Znał ją już wprawdzie częściowo, lecz ileż jeszcze niejasności było w tym wszystkim! Ile jeszcze nierozwiązanych zagadek! Dramat już się skończył. Zastłona opadła nad zwłokami zbira. Wszystko dobrze. Nie trzeba się już obawiać niczego, żadne sidła nie będą zastawione. Groźny wróg był unieszkodliwiony. A mimo to, z jak intensywną, trwożną tęsknotą oczekiwał Patryk Belval chwili, w której na dramat spłynie rzeka światła!

- Kilka słów tylko - mówił do siebie - kilka słów z ust tego niezwykłego człowieka, a cała tajemnica będzie wyjaśniona.

Długo to nie potrwa! Za godzinę ma odjeżdżać.

I Patryk sam sobie postawił pytanie:

- Czy odjedzie z tajemnicą kryjówki złota? Czy dowiem się, co znaczy ów złoty trójkąt? W jaki sposób zatrzyma ten skarb dla siebie?

Jak go zabierze ze sobą?

Od strony Trocadero nadjeżdżał samochód, powoli zwalniając bieg.

Zatrzymał się przy chodniku; był to z pewnością Don Luis.

Lecz ku niemałemu zdziwieniu, zamiast Don Luisa, Patryk rozpoznał pana Desmalionsa, otwierającego drzwi i z wyciągniętą dłonią zbliżającego się doń:

- Witam, kapitanie! jak się pan miewa? Stawiam się punktualnie na oznaczone *rendez-vous*. Cóż to, pan znowu ranny w głowę?

- Tak, ale to drobnostka - odrzekł Patryk. - Ale o jakim *ren-dez-vous* pan mówi?

- Jak to? O tym, które mi pan naznaczył.

- Ja nie naznaczyłem panu żadnego spotkania.

- No, no - rzekł Desmalions. - Przed chwilą przyniesiono mi do prefektury tę kartkę: „*W imieniu kapitana Belvala zawiadamia się pana Desmalionsa, że zagadka trójkąta została rozwiązana. Tysiąc osiemset worków jest do jego dyspozycji. Uprasza się o przybycie o godzinie szóstej na Quai de Passy, z pełnomocnictwem rządu, celem przyjęcia warunków oddania złota. Należy przysłać ze dwudziestu silnych agentów policyjnych, z których połowę rozstawić o sto metrów przed mieszkaniem Essaresa, a drugą połowę o sto metrów dalej*”. Czy nie dość jasne?

- Najzupełniej - rzekł Patryk. - Ale ja tego nie pisałem.

- A więc kto?

- Człowiek, który wszystko wie i wszystko odgaduje, i który z pewnością przybędzie sam dopowiedzieć resztę.

- Jego nazwisko?

- Nie mogę wyjawić.

- O! W czasie wojny taka tajemnica nie da się ukryć.

- Bardzo łatwo, mój panie! - odezwał się nagle głos za panem Desmalionsem. - Trzeba tylko trochę dobrej woli.

Desmalions i Patryk odwrócili się i ujrzeli człowieka ubranego w czarny, długi surdut; na szyi miał wysoki kołnierz, na wzór angielskiego duchpwnego.

- Oto przyjaciel, o którym panu mówiłem - rzekł Patryk, z trudnością rozpoznawszy w nim Don Luisa. - Dwa razy uratował mi życie, mnie i mojej narzeczonej. Mogę ręczyć za niego.

Pan Desmalions skłonił się, a Don Luis rozpoczął natychmiast mówić, przybierając lekki, swobodny ton:

- Czas pana jest drogi. Mój również, bo tego wieczora opuszczam Paryż, a jutro Francję. Wobec tego objaśnienia moje będą bardzo krótkie, tym bardziej że zna pan przebieg dramatu, ukończonego dziś rano. Kapitan Belval dopowie panu resztę szczegółów, których pan jeszcze nie zna. Zresztą przy pańskich zdolnościach zawodowych i bystrym umyśle, łatwo się pan domyśli niejasnych punktów. Ja powiem panu to tylko, co najważniejsze, a więc: nasz biedny Ya-Bon nie żyje.

Tak, przestał żyć tej nocy, walcząc dzielnie z wrogiem. Poza tym znajdzie pan jeszcze trzy inne trupy: Grzegorza, którego właściwie nazwisko brzmi „pani Mosgranem” - na tym oto statku, następnie niejakiego Vacherota, którego ciało ukryte jest w jakimś kącie domu przy ulicy Gui-239

mard pod numerem 18, i na koniec w klinice doktora Geradeca, bulwar de Montmorency, zwłoki Symeona Diodokisa.

- Starego Symeona? - zapytał zdziwiony bardzo pan Desmalions.

- Stary Symeon zastrzelił się. Kapitan Belval dostarczy panu, co do tego osobnika i jego właściwej osoby, wszelkich możliwych objaśnień.

Jestem przekonany, że uzna pan, tak jak i ja, że należy tę sprawę zatuszować. Lecz, jak mówię, mniejsza o to. Wszystkie te szczegóły odnoszą się do przeszłości. Co pana zajmuje przede wszystkim, to sprawa złota i dla niej się pan tu fatygował, nieprawdaż?

- W istocie.

- Mówmy więc o nim. Przyproceedził pan ludzi?

- Tak, ale po co? Kryjówka, choć mi pan nawet wskaże jej miejsce, pozostanie nieznana dla tych, którzy o niej nie wiedzą.

- Zapewne, lecz ponieważ liczba tych, którzy ją znają, zwiększyła się, tajemnica nie będzie mogła być utrzymana. W każdym razie - i tu każde słowo Don Luis wymawiał dobitnie - w każdym razie jest to jeden z moich warunków.

Pan Desmalions uśmiechnął się:

- Może pan być przekonany, że naprzód był już przyjęty. Nasi ludzie są na posterunkach. A drugi warunek?

- Ten poważniejszy. Do tego stopnia nawet, że jakiegokolwiek są pańskie upoważnienia, wątpię, czy będą wystarczające w tym względzie.

- Proszę powiedzieć. Zobaczymy.

- A więc...

I Don Luis Perenna flegmatycznie, jakby opowiadał najpospolitszą historyjkę, przedstawił sucho swoją niezwykłą propozycję:

- Przed dwoma miesiącami dzięki moim stosunkom na Wschodzie i wskutek wpływów, które posiadam w pewnych kołach tureckich, uzyskałem to, że koteria rządząca obecnie Turcją przyjęła gotowość zawarcia odrębnego pokoju. Zależałoby to tylko od wyasygnowania kilkuset milionów. Ofertę tę przedstawiłem państwu sprzymierzonym, została odrzucona. Zapewne nie ze względów finansowych, ale politycznych, o czym sąd nie należy do mnie. Nie chcę się narazić na drugą porażkę

tyczną. Pierwsze pertraktacje nie udały mi się, lecz drugie muszą się udać. Oto dlaczego jestem ostrożny.

Uczynił pauzę, której pan Desmalions, zbity zupełnie z tropu, nie przerywał. Po chwili, przybierając ton uroczysty, Don Luis mówił dalej:

- W kwietniu 1915 roku, jak to panu wiadomo, odbywały się układy między sprzymierzonymi a

jednym z wielkich mocarstw europejskich, które pozostało jeszcze neutralne. Układy te zbliżają się do końca i dojdą do skutku, gdyż wymagają tego losy owego mocarstwa i cały naród żąda tego z entuzjazmem.

Wśród poruszonych kwestii znajduje się jedna, będąca przedmiotem pewnej rozbieżności poglądów. To kwestia pieniężna. Mocarstwo to prosi nas o pożyczkę trzystu milionów w złocie, dając jednak do zrozumienia, że odmowa z naszej strony nie zmieni zupełnie ich decyzji, nieodwołalnie już powziętej. A więc trzysta milionów w złocie

- ja je posiadam, jestem ich właścicielem i rozporządzam nimi na korzyść naszych nowych przyjaciół! Oto jest mój ostatni, a w rzeczywistości jedyny warunek.

Pan Desmalions zdawał się zupełnie oszołomiony. Co to wszystko miało znaczyć? Co to była za zdumiewająca osobistość, która zdawała się igrzać najważniejszymi zagadnieniami, jak zabawką dziecinną, i rozporządzać osobistymi relacjami, od których zależy koniec nieszczęsnej wojny światowej.

Toteż odpowiedział skromnie:

- Mój panie, sprawy te nie należą do nas i powinny być badane i traktowane przez innych, niż my.

- Każdy ma prawo użycia swoich pieniędzy, jak mu się podoba.

Pan Desmalions uczynił ruch, pełen ubolewania:

- Przecież pan sam powiedziałeś, że to mocarstwo uważa kwestię tę za drugorzędną...

- Tak, lecz sam fakt dyskusowania nad nią opóźni układ o kilka dni. - Kilka dni nie czyni różnicy.

- Owszem, nawet kilka godzin, mój panie.

- Dlaczego to?

- Dla powodu, którego pan ani nikt tutaj nie zna... z wyjątkiem mnie i kilku osób, znajdujących się o pięćset mil stąd.

- Dlaczego więc...

- Rosjanie nie mają więcej amunicji.

Pan Desmalions wzruszył ramionami, zniecierpliwiony. Co miała oznaczać ta historyjka, ta bajka z tysiąca i jednej nocy?

- Rosjanie nie mają już amunicji - powtórzył Don Luis. - Otóż w obecnej chwili toczy się tam potężna batalia, która zakończy się za godzin kilka bez wątpienia. Front rosyjski zostanie przełamany... i armia rosyjska zacznie się cofać, cofać. Jak daleko? Oczywiście, ta ewentualność... pewna, nieunikniona, w niczym nie może wpłynąć na decyzję owego mocarstwa, o którym mówiliśmy. Lecz mimo to znajduje się tam zaciekle partia, obstająca za neutralnością. Jakaż broń zostawia się w jej rękach odraczając decyzję! W jaki kłopot wprowadzić można tych, którzy kierują i przygotowują wojnę! Byłby to błąd nie do przebaczenia.

Chcę, by kraj mój uniknął tego. Dlatego postawiłem ten warunek.

Pan Desmalions był zupełnie zbity z tropu. Gestykulował, kiwał

głową, mamrotał:

- To niemożliwe. Nigdy, przenigdy podobna propozycja nie będzie przyjęta. Trzeba by czasu... rokowań...

- Trzeba pięciu minut czasu, najwyżej sześciu.

- Ależ panie, pan mówi o rzeczach...

- O rzeczach, które znam lepiej niż ktokolwiek; o sytuacji bardzo wyraźnej, niebezpieczeństwie bardzo realnym, a które może być zażegnane w mgnieniu oka.

- Ależ to niemożliwe, mój panie! Niemożliwe! Trafiamy na trudności...

- Jakie?

- Trudności wszelkiego rodzaju - wykrzyknął Desmalions. - Tysiące przeszkód nie do przebycia...

Wtem ktoś położył rękę na jego ramieniu, ktoś, kto przed chwilą wysiadł z auta i zbliżywszy się przysłuchiwał się małej dyspacie Don Luisa.

Był to mężczyzna w podeszłym wieku, o twarzy energicznej.

Pojawienie się jego nie wywołało zdziwienia ani opozycji w osobie pana Desmalionsa, ani Don Luisa; tylko dla Patryka było ono dużą niespodzianką.

- Mój drogi Desmalionsie, zdaje mi się, że zapatrujesz się na tę sprawę z fałszywej strony - rzekł nowo przybyły.

242

- To jest i moje zdanie, panie prezydencie - odparł Don Luis.

- To pan mnie znasz? - zdziwił się staruszek.

- Pan minister Valenglay, nieprawdaż? Miałem już zaszczyt być przyjętym przez pana przed kilku laty, wtedy gdy pan był prezydentem ministrów.

- Tak, w istocie!... Zdaje mi się... przypominam sobie, choć nie mógłbym dokładnie...

- O, proszę nie szukać, panie prezydencie. Przeszłość nas nie zajmuje. Najważniejsze, że pan jest mego zdania.

- Nie wiem, czy jestem pańskiego zdania, ale to obojętne, chciałem tylko powiedzieć panu Desmalionsowi, że nie ma co dyskutować nad propozycją pana. W tych okolicznościach nie można się targować. Przy targu każda strona coś z sobą przynosi. My nic nie przynosimy...

absolutnie nic... podczas gdy pan przynosi wszystko, oświadczając:

„Chcecie trzysta milionów w złocie? Jeśli tak, oto, co zrobicie. Jeżeli nie, to do widzenia”. Taka jest obecna sytuacja, nieprawdaż panie Desmalions?

- Tak, panie prezydencie...

- A więc, czy możesz się obejść bez tego pana? Czy możesz bez niego odnaleźć kryjówkę złota? On panu ułatwi zadanie, wskazując, gdzie jest ukryte. A może pan jeszcze żywisz nadzieję, że sam odkryjesz tajemnicę, którą tropisz od miesięcy i tygodni daremnie?

- Nie, panie prezydencie, nie mam nadziei.

- A więc?

Zwracając się zaś do Luisa, Valenglay zapytał:

- Czy to ostatnie pańskie słowo?

- Ostatnie.

- Jeśli się nie zgodzimy... to do widzenia?

- Znakomicie pan to określił, panie prezydencie...

- A jeśli się zgodzimy, czy oddanie złota nastąpi natychmiast?

- Tak jest. Natychmiast.

- Zgadza się więc!

To było kategoryczne.

Były premier przydał zapewnieniu mały, twardy gest, który podkreślił pełną wartość tegoż.

Po krótkiej pauzie były prezydent mówił dalej:

- Zgadza się. Jeszcze dziś wieczorem polecę zawiadomić ambasadora.

243

- Czy da mi pan na to słowo honoru, panie prezydencie?

- Daję panu na to słowo.

- W takim razie układ zawarty.

- Tak, zawarty. Mów pan!

Wszystkie te słowa wymieniono błyskawicznie. Nie minęło pięć minut, odkąd były premier brał udział w rozmowie. Nie żądał więcej od Don Luisa, niż tylko tyle, by dotrzymał obietnicy.

Chwila była istotnie uroczysta. Ci czterej ludzie szli teraz obok siebie, niby spacerowicze, którzy się spotkali i przez chwilę rozprawiają ze sobą.

Valenglay, wsparty jednym ramieniem o bulwarowy parapet, zwrócony ku Sekwanie, podnosił i opuszczał laskę, grzebiąc w kopcu piasku. Patryk i Desmalions milczeli, twarze ich były nieco wzburzone.

Don Luis roześmiał się:

- Nie licz pan, panie prezydencie, że wydobędę złoto za pomocą jakiejś różdżki czarodziejskiej lub wskażę ukryte sklepienie, a w nim nagromadzone worki tego drogiego kruszcu. Cały czas myślałem, że wyrażenie „złoty trójkąt” kryje w sobie coś tajemniczego i zagadkowego. Tymczasem, według mnie, chodziło tu tylko o przestrzeń, na której znajdowało się złoto, mającą formę trójkąta.

Trójkąt złoty więc jest to miejsce, na którym umieszczono w trójkąt worki złota. Rzeczywistość więc jest znacznie prostsza i może pan będzie rozczarowany, panie prezydencie?

- Nie będę - odrzekł Valenglay - o ile mi pan wskaże te tysiąc osiemset worków złota.

- Pan je ma przed sobą, panie prezydencie.

- Jak to przed sobą?!... Co pan chce przez to powiedzieć?

- Tylko to, co mówię, panie prezydencie. Nie można być bliżej niż pan jesteś w tej chwili.

Mimo całego opanowania się, Valenglay nie mógł ukryć zdumienia.

- To przecież nie znaczy, że chodzę po złocie, że wystarczyłoby wyjąć kamienie tego chodnika?...

- Byłaby wtedy przeszkoda do usunięcia, a tymczasem żadna przeszkoda nie dzieli pana od celu.

- Żadna przeszkoda?

244

- Żadna, panie prezydencie, ponieważ wystarczy jeden mały ruch ręki, by pan dotknął złota.

- Jeden mały ruch? - rzekł Valenglay, który machinalnie powtarzał

słowa Don Luisa.

- Tak, nazywam małym ruchem taki, który można wykonać bez wysiłku, prawie nie ruszając się z miejsca, na przykład zagłębiając koniec laski w kałużę lub...

- Lub?

- Lub w kopiec piasku.

Valenglay stał nieporuszony i milczący. Lekki dreszcz wstrząsnął

jego ramionami. Nie robił wskazanego mu ruchu. Zrozumiał, o co idzie.

Wszyscy zamilkli w obliczu tego prostego, a tak nadzwyczajnego odkrycia.

Don Luis mówił dalej cichym głosem:

- Niech pan zagłębi laskę... niewiele, najwyżej pięćdziesiąt centymetrów, wtedy odczuje pan pewien opór, nie pozwalający iść głębiej. To worki ze złotem. Powinno ich być tysiąc osiemset. A jak pan widzi, to nie jest znowu taka wielka przestrzeń. Jeden kilogram złota w monecie - proszę mi wybaczyć te techniczne szczegóły, które są niezbędne - przedstawia trzy tysiące franków w małych rulonach po tysiąc franków; jest to worek niewielki. Ułożone jeden obok drugiego i jeden na drugim, worki te przedstawiają objętość około pięciu metrów kubicznych i to najwyżej tyle. Jeżeli pan tej masie nada formę trójkątnej piramidy, będzie trójkąt wtedy miał u podstawy trzy metry i każdy bok będzie miał trzy metry w przybliżeniu, albo trzy metry pięćdziesiąt, wliczywszy przestrzeń wolną między workami. Wysokość nadaje ten mur.

Proszę to wszystko przykryć warstwą piasku, a będzie pan miał przed oczami tę oto przyzmykę...

Po małej przerwie Don Luis mówił dalej:

- Ona jest tu od wielu miesięcy. Nie tylko ci, którzy tego złota szukali, nie mogli go tu odkryć, lecz nawet żaden przypadek nie mógł

wyjawić kryjówki. Proszę pomyśleć tylko, kupa piasku. Szuka się w piwnicy, przeszukuje się to wszystko, co mogłoby przedstawiać jaką grotę, jamę. Przetrzęsa się każdą dziurę, każde zagłębienie, studnie, kanały, sutereny. Ale kupę piasku? Komu mogłaby wpaść do głowy myśl robienia w niej otworu, by

245

zajrzeć, co w sobie skrywa? Psy się przy niej zatrzymują, dzieci się tu bawią, czasem jakiś włóczęga rozciągnie się na niej i drzemie. Deszcz ją rozmiękcza, słońce praży, śnieg pokrywa, przysypuje białym całunem.

Lecz to wszystko dzieje się na jej powierzchni. We wnętrzu kryją się niezbadane ciemności. Nie ma na całym świecie lepszej kryjówki, niż wewnątrz kopca piasku, wystawionego na widok publiczny. Ten, kto ją wymyślił, by ukryć w niej trzysta milionów w złocie, miał nie lada głowę.

Valenglay słuchał słów Don Luisa w milczeniu. Wreszcie kilkakrotnie pokiwał głową i rzekł:

- Tak, to prawda, to głowa nie lada. Ale są jeszcze silniejsi od niego...

- Nie sędzę.

- Tak! Ten, kto odgadł, że kupa piasku kryje w sobie trzysta milionów w złocie. Ten to mistrz, przed którym należy schylić głowę!

Don Luis skłonił się, mile dotknięty tym komplementem, Valenglay wyciągnął ku niemu rękę:

- Nie ma dość wielkiej nagrody, godnej usługi, którą pan oddałeś krajowi.

- Nie szukałem nagrody - odrzekł Don Luis.

- Dobrze, jednak pragnąłbym, by ktoś bardziej jeszcze ode mnie upoważniony, podziękował panu.

- Czy to konieczne, panie prezydencie?

- Nieuniknione. Przy tym muszę przyznać, że jestem ogromnie ciekawy dowiedzieć się, w jaki sposób odkrył pan tę tajemnicę? Proszę więc, bądź pan łaskaw przyjść za godzinę do ministerstwa.

- Ogromnie żałuję, panie prezydencie, lecz za kwadrans wyjeżdżam.

- Ależ nie, nie, pan nie może odjechać - odparł stanowczym tonem Valenglay.

- A dlaczego nie?

- Nie znamy ani pańskiego nazwiska, ani pańskiej osoby...

- To przecież obojętne!

- W czasie pokoju, może, lecz w czasie wojny to rzecz konieczna.

- Ale, panie prezydencie, dla mnie zrobi się wyjątek.

- O! O! Wyjątek...

246

- Przypuśćmy, że będzie to nagroda, jakiej mogę żądać.

Czyżby mi jej odmówiono?

— To jest właśnie jedyne, czego zmuszeni jesteśmy panu odmówić.

A zresztą nie będziesz pan tego właśnie wymagał. Tak dobry obywatel państwa, jak pan, rozumie, że są prawne przepisy, którym należy się poddać.

- Bardzo dobrze rozumiem przepisy, o których pan wspomina, panie prezydencie. Niestety...

- Niestety?

- Nie mam zwyczaju poddawać się im.

W tonie Don Luisa brzmiało lekkie wyzwanie. Valenglay zdawał się nie zwracać uwagi na to i rzekł śmiejąc się:

- Bardzo zły zwyczaj, mój panie, a na ten raz musi pan od niego odstąpić. Pan Desmalions panu dopomoże. Nieprawdaż, mój drogi Desmalionsie. Proszę się w tym względzie porozumieć z tym panem. A więc za godzinę... w ministerstwie, co? Liczę z pewnością na pana.

Jeżeli nie... do widzenia mój panie... oczekuję pana...

Ukloniwszy się nader uprzejmie i wywijając wesoło laską, Valenglay wraz z panem Desmalionsem oddalił się w stronę, gdzie czekał samochód.

- Cha! Cha! Cha! - zaśmiał się ironicznie Don Luis. - To mi się podoba! Jak on to w mgnieniu oka wszystko zręcznie załatwił. Przyjął

trzysta milionów w złocie, podpisał traktat historyczny i zarządził

aresztowanie Arsena Lupina.

- Co pan mówi? - wykrzyknął zdumiony Patryk. - Pańskie aresztowanie?

- Lub co najmniej moje stawienie się, zbadanie dokumentów i tego rodzaju przyjemności...

- Ależ to byłoby ohydne!

- Zupełnie legalne, mój drogi kapitanie. Trzeba więc poddać się...

- Ależ...

- Niech mi pan wierzy, kapitanie, że te drobne nieprzyjemności zupełnie mi nie odbierają satysfakcji, jaką odczuwam, oddając wielką usługę memu krajowi. Podczas tej wojny koniecznie pragnąłem uczynić coś dla Francji i chciałem dobrze wykorzystać dla niej czas tu spędzony.

Co mi się udało. A potem mam jeszcze inną nagrodę... cztery miliony.

Gdyż mateczka Koralia tyle

247

wzbudza we mnie szacunek, że nie sądzę, by zechciała dotknąć tych pieniędzy... które w rzeczywistości do niej należą.

- Ręczę za nią.

- Dziękuję i bądźcie pewni, że podarunek ten będzie zużyty i że ani jedna cząsteczka z niego nie będzie wzięta w innym celu, jak tylko dla dobra mej ojczyzny i dla jej zwycięstwa... Wszystko więc w porządku...

Teraz mam jeszcze kilka minut dla pana; korzystajmy z niego. Widzę tam pana Desmalionsa, zbierającego swych ludzi. By mu ułatwić zadanie i uniknąć skandalu, zejdźmy na dół, przed kupę piasku. Tam będzie mu łatwiej pochwycić mnie za kołnierz.

Zeszli razem, a Patryk mówił idąc:

- Tych kilka minut przyjmuję, lecz przede wszystkim proszę o przebaczenie mi...

- Czego mój kapitanie? Żeś mnie pan troszeczkę zdradził i zamknął

w pawilonie? Co pan chcesz! Broniłś mateczki Koralii. Że sądziłeś, bym zdolny był przywłaszczyć sobie odkryty skarb? Cóż dziwnego?

Czyż można było przypuścić, że taki Arsen Lupin pogardzi trzystoma milionami złota?

- Nie, już nie chcę się tłumaczyć - rzekł śmiejąc się Patryk. - Chcę tylko podziękować!

- Za co? Że uratowałem życie panu i mateczce Koralii? Nie dziękuj mi pan. U mnie ocalać ludzi to

sport.

Patryk ujął rękę Don Luisa i silnie ją uściśnił. Po chwili rzekł tonem żartobliwym, ukrywając wzruszenie:

- Nie będę więc panu dziękował. Nie będę mówił o tym, żeś mnie pan uwolnił od strasznej zmory, jaką była dla mnie myśl, że jestem synem tego potwora. Nie będę mówił panu, jak jestem szczęśliwym, że otwiera się przede mną życie z Koralią, skoro jest wolna i może mnie kochać. Przyznam się jednak panu, że to moje szczęście nie jest jeszcze zupełne... Gdyż nie rozumiem i nie znam dostatecznie całej prawdy, a jak długo jej nie rozumiem... tak długo sprawia mi to coś w rodzaju niepokoju. Więc powiedz mi pan... wytłumacz... chcę wiedzieć.

- A jednak ta prawda jest jasna! - wykrzyknął Don Luis. - Prawdy najbardziej skomplikowane są zawsze jednak bardzo proste! Pomyśl pan... Przez szesnaście do osiemnastu lat Symeon Diodokis zachowuje się względem pana jak najlepszy przyjaciel, oddany panu aż do zaparcia się siebie, słowem, jak najtkliwszy

248

ojciec. Poza zemstą, jedno tylko ma na myśli: to szczęście pana i Koralii. Chce was ze sobą połączyć: zbiera wasze fotografie. Przez całe życie podąża za wami krok w krok. Prawie już ma się z panem zetknąć.

Posyła w tym celu klucz od ogrodu i przygotowuje spotkanie. A potem nagle następuje zmiana! Staje się pańskim najzaciętszym wrogiem i o niczym nie myśli, jak tylko o tym, by was zgładzić: Koralię i pana. Co zaszło? Co się stało między tymi dwoma przeobrażeniami? Oto... jeden wypadek, a raczej jedna data... noc z 3 na 4 kwietnia, kiedy miała miejsce dramatyczna scena w pałacu Essaresa, tej nocy i w dniu następnym. Przed tą datą byłeś pan synem Symeona Diodokisa. Po tej dacie stałeś się największym wrogiem Symeona Diodokisa. Czy to panu nie otwiera oczu? Z tego punktu widzenia odkryłem wszystko w związku z tą przygodą.

Patryk skinął głową w milczeniu. Tak, rozumie, lecz to mu jeszcze całkowicie nie wyjaśniało tajemniczej sprawy.

- Usiądź pan - rzekł Don Luis - na tej naszej sławnej kupie piasku i posłuchaj. W dziesięć minut dokończę wyjaśnięć.

Znajdowali się przed placem budowlanym Berthou. Zmierzch począł zapadać i na drugim brzegu Sekwany kontury rysowały się już niewyraźnie. Przy brzegu lekko kołysał się statek.

Don Luis mówił dalej:

- Owego wieczoru, kiedy ukrywając się na galerii biblioteki, byłeś pan świadkiem dramatu rozgrywającego się w pałacu Essaresa, miał pan przed sobą dwóch ludzi, związanych przez współników: Essaresa-Beja i Symeona Diodokisa. Obaj w chwili obecnej już nie żyją: jeden z nich był ojcem pana. Pomówimy narazie o drugim, o Essaresie-Beju. Owego wieczoru sytuacja jego była

krytyczna. Wycisnąwszy ile mógł złota z Francji na korzyść pewnego orientalnego państwa - pod egidą oczywiście Niemców - starał się schować do swej kieszeni resztę uzbieranych milionów. „Piękna Helena”, powiadomiona sygnałem iskrowym, czekała u brzegu rzeki w pobliżu placu Berthou.

Przeniesienie zawartości kopca piasku na pokład motorowego statku miało się odbyć nocą. Wszystko szło dotąd składnie. Tymczasem zaszedł niespodziewany *coup de theatre*: wspólnicy, zawiadomieni przez Symeona, wpadli do mieszkania Essaresa... I oto scena szantażu, śmierci pułkownika Fakhi, etc, etc, a pan Essares dowiaduje się 249

naraz, że jego wspólnicy znają jego intrygi, jego projekt kradzieży złota i że pułkownik Fakhi wdrożył już w sądzie skargę przeciw niemu. Był

stracony! Cóż robić? Uciekać? Lecz podczas wojny ucieczka jest rzeczą niemożliwą. A wreszcie uciekać to znaczy pozostawić złoto, a także pozostawić Koralię. Nigdy, przenigdy! Więc? Więc jedyny sposób, to zniknąć. Zniknąć, a mimo to pozostawać tam, na miejscu walki, w pobliżu złota i w bliskości Koralii. I oto nadchodzi noc. Noc tę poświęca na wykonanie swego planu.

- Tyle, co do Essaresa. Przejdźmy teraz do drugiej osoby, do Symeona Diodokisa.

Don Luis zaczerpnął powietrza. Patryk słuchał chciwie, jakby każde słowo wносиło światło w te straszliwe ciemności.

- Ten, którego nazywano starym Symeonem - opowiadał dalej Don Luis - to znaczy ojciec pański, tak, ojciec pański, bo chyba pan już o tym nie wątpi, i ten także znajdował się w krytycznym punkcie zwrotnym. Armand Belval, który niegdyś wraz z matką Koralii stał się ofiarą Essaresa, Armand Belval, ojciec pana, zbliżał się do celu. Wroga swego Essaresa zadenuncjował i wydał wrogom, pułkownikowi Fakhi i jego wspólnikom. Udało mu się zbliżyć pana do Koralii. Posłał panu klucz do pawilonu. Jeszcze tylko kilka dni, a mógł być pewny, że się wszystko zakończy według jego pragnień.

Ale nazajutrz rano jakieś oznaki, których nie znam, odkryły mu groźne niebezpieczeństwo i zapewne przewidywać musiał to, co Essares przez tę noc umyślił zrobić. I on również zadał sobie pytanie: Co robić?

Oto należy pana uprzedzić i to uprzedzić bez zwłoki, zatelefonować natychmiast, bo drogi czas ucieka! Niebezpieczeństwo staje się naoczne... Essares śledzi i osacza tego, kogo po raz drugi już przeznaczają jako ofiarę. Może ścigał Symeona, może ten zamknął się w bibliotece!...

Czy zdoła jeszcze do pana zatelefonować? Czy zastanie pana?... Chce za wszelką cenę pana powiadomić. Żąda więc połączenia. Uzyskał je, woła pana, słyszy głos pański i podczas kiedy Essares dobija się do drzwi, ojciec pana krzyczy zdyszczanym głosem: „Czyś to ty, Patryku? Czy masz klucz? A list? Nie? Ależ to straszne! A więc, ty nic nie wiesz...”

A potem krzyk, który pan słyszał przez aparat, pomieszane głosy, zgiełk zwady. Po czym głos ten, który jękając się, wymawia 250

prawie szeptem: „Patryku, medalion z ametystu... Patryku, tak pragnęłam! Patryk - Koralia". Na koniec krzyk straszny, okropny...

słabnące jęki... po czym znów cisza. To wszystko. Ojciec pana nie żyje, zamordowany. Tym razem Essares, któremu niegdyś w pawilonie nie udało się usunąć przeciwnika, dokonał zemsty na dawnym rywalu.

Don Luis zatrzymał się. Pod wpływem jego słów cały dramat odżył

na nowo i straszną zbrodnię popełniono po raz drugi przed oczami syna.

Patryk, wzruszony do głębi, szeptał:

- Ojczy mój, ojczy!

- Tak, to był ojciec pana - potwierdził raz jeszcze Don Luis. - Stało się to rano o siódmej minut dziewiętnaście, jak pan to sobie zanotował.

W kilka chwil później, gdy pan telefonował raz jeszcze, chcąc koniecznie dowiedzieć się i zrozumieć, co się stało, odpowiedział panu Essares, mając u stóp swych trupa pańskiego ojca.

- Ha, co za nędznik! Wobec tego ten trup, któregośmy szukali i znaleźć nie mogli...

- Trupa tego Essares po prostu przebrał w swoje ubranie, zniekształcił i zdefigurował. W ten sposób Symeon Diodokis po śmierci zamienił się w Essares-Beja, podczas gdy Essares-Bej, przeistoczony w Symeona, odgrywał jego rolę.

- Tak - wyszeptał Patryk - teraz widzę... zdaję sobie sprawę...

A Don Luis mówił dalej:

- Jaki był stosunek między tymi dwoma ludźmi? Nie wiem.

Czy Essares wiedział przedtem, że stary Symeon był jego dawnym rywalem oraz kochankiem matki Koralii, który uniknął zgotowanej dla nich śmierci? Czy wiedział, że Symeon był ojcem pana, to jest Armandem Belval? Oto pytania, na które nigdy nie znajdziemy odpowiedzi. Lecz nie jest to już tak ważne. Przypuszczam, że ta nowa zbrodnia była dobrze przygotowana. Jestem przekonany, że Essares wystudiował postać i ruchy swego wroga, aby w razie potrzeby móc zająć jego miejsce. A poszło mu to łatwo, Symeon Diodokis nosił

perukę i nie miał zarostu. Essares przeciwnie, był łysy i nosił brodę.

Ogolił się więc i zmiażdżywszy hakiem kominka twarz Symeona dla niepoznania, przykleił do tej krwawej masy ogolone włosy swojej brody. Odział zwłoki w

swe własne ubranie, przebrawszy się w to, które nosił Diodokis; włożył

jego perukę i okulary, szyję okręcił szalikiem. Zmiana była zupełna.

Po chwili namysłu Patryk zauważył:

- Tak oto mamy to, co się stało o siódmej minut dziewiętnaście.

Lecz zaszło jeszcze coś o dwunastej dwadzieścia trzy.

- Nic się wtedy nie stało.

- Jak to, a ten zegar, wskazujący dwunastą dwadzieścia trzy.

- Mówię panu, że nic się nie stało; tylko trzeba było zostawić fałszywy ślad. Przede wszystkim trzeba było uniknąć posądzenia i oskarżenia nowego Symeona.

- Jakiego oskarżenia?

- Tego, że zamordował Essares-Beja. Pewnego poranka znajdują trupa. Wszelkie podejrzenia padają na Symeona. Badają go, aresztują, a pod maską Symeona odnajdują Essaresa. Nie... on musiał być wolny, musiał korzystać z wszelkiej swobody ruchów. Dlatego to przez cały ranek ukrywał zbrodnię i starał się, aby nikt nie wszedł do biblioteki. Po trzykroć puka do drzwi pokoju żony, by mogła potwierdzić, że Essares-Bej żył jeszcze w ciągu przedpołudnia. Następnie, gdy wyszła z domu, głośno rozkazał Symeonowi, to jest samemu sobie, by ją odprowadził

do szpitala na Champs-Elysees. W ten sposób pani Essares sądziła, że mąż jej żyje i że odprowadza ją stary Symeon, podczas gdy w rzeczywistości pozostawiła w mieszkaniu zwłoki starego Symeona, a szła w towarzystwie swego męża. Stało się to, co bandyta ułożył i czego chciał. Około pierwszej policja, zawiadomiona przez pułkownika Fakhi, przybyła i znalazła trupa. Pokojowe natychmiast rozpoznały w nim swego pana, a gdy pani Essares przybyła, ujrzała męża, leżącego przed kominkiem, przed którym męczono go poprzedniego wieczora. Stary Symeon, to jest Essares, potwierdził identyczność. Pan sam też dał się złapać w pułapkę. Sztuka się udała! Patryk przytaknął głową:

- Tak, w istocie, w ten sposób musiały rozwijać się wypadki i tak wpływać jedne z drugich.

- Sztuka się udała - mówił dalej Don Luis. - Widziano w tym tylko dzieło ognia. Czyż przy tym nie było na to dowodu w postaci listu, pisanego ręką Essaresa i znalezionego na biurku. Tego listu, datowanego 4 kwietnia w południe, pisanego do żony i dono-

252

szącego o jego wyjeździe? Co więcej, komedia była tak dobrze odegrana, że nawet poszlaki, które powinny były wyjawić prawdę, umocniły tylko fałsz. Otóż ojciec pana miał przy sobie album z fotografiami, ukryty w kieszeni pod koszulką. Mimo to, gdy znaleziono ten album, przyjęto natychmiast tę nieprawdopodobną tezę, że Essares-Bej nosił przy sobie album, zawierający fotografie żony i kapitana Belvala. Również kiedy potem znaleziono w ręce zmarłego, to jest w ręce

pańskiego ojca, ametystowy medalion z waszymi fotografiami z ostatnich czasów i gdy znaleziono kawałek papieru, gdzie była wzmianka o złotym trójkacie, natychmiast wyciągnięto wniosek, że Essares-Bej zagrabił ten medalion i ten papier i że trzymał je w ręce w chwili śmierci. Do tego stopnia nikt nie wątpił, że to w istocie Essares-Bej a zamordowano, że to jego zwłoki miano przed oczami, że przestano zajmować się tą kwestią. W ten sposób nowy Symeon został panem sytuacji. Essares-Bej umarł, niech żyje Symeon!

Don Luis wybuchnął śmiechem. Doprawdy awantura ta wydała mu się bardzo zabawna i, jak artysta, cieszył się tym wszystkim, co ją uczyniło tak przewrotną i w istocie tak genialną.

- Zaraz potem - opowiadał dalej - Essares pod swą nieprzeniknioną maską zabrał się do dzieła. Tego samego dnia przez półotwarte okno podsłuchał całą rozmowę, jaką pan prowadził z mateczką Koralią.

Widząc pana, pochylającego się nad nią, porwany wściekłą zazdrością, wystrzelił do was z rewolweru. Po czym, kiedy mu się ta nowa zbrodnia nie udała, zbiegł i odegrał przy tym całą komedię przy furtce ogrodowej. Wołał pomocy przeciwko mordercy, rzucił klucz przez mur, by podsunąć fałszywy trop, na koniec padł na ziemię na wpół nieżywy, jakoby uduszony przez wroga, który miał niby to strzelać do niego.

Komedia zakończyła się symulacją obłąkania.

- Lecz w jakim celu to obłąkanie?

- W jakim celu? Aby go zostawiono w spokoju, by go nie badano i nie podejrzewano. Jako obłąkany, mógł milczeć i trzymać się na uboczu. Inaczej, po kilku słowach choćby najbardziej zmienionych pani Essares byłaby go poznała po głosie. Odtąd jest wariatem, istotą nieuleczalną. Niech sobie spaceruje; toż to wariat! A w to obłąkanie do tego stopnia uwierzono, że prowadzi on pana, prawie za rękę, do swych dawnych współników zbrodni, których pan każe aresztować i ani razu nie przychodzi panu na

253

myśl pytanie, czy ten wariat nie działa w swoim własnym interesie zupełnie świadomie? Wszak to biedny i nieszkodliwy wariat! Czyż tym nieszczęśliwym upośledzonym nie pozostawia się swobody? Pozostają mu jeszcze do zwalczenia tylko dwaj ostatni przeciwnicy: mateczka Koralia i pan. To już nietrudne! Przypuszczam, że dostał się do jego rąk pamiętnik pańskiego ojca. W każdym razie znał dokładnie i z każdego dnia te zapiski, które pan sam spisywał. Z nich dowiaduje się całej historii o grobach, wie, że 14 kwietnia mateczka Koralia i pan wybieracie się z pobożną pielgrzymką do tych grobów. Zresztą on sam przez swe machinacje popycha was do tego. Plan ma gotowy.

Przeciwko synowi i córce, przeciw obecnemu Patrykowi i obecnej Koralii knuje to samo, co niegdyś zgotował ojcu i matce. Z początku mu się to udaje. I byłoby mu się udało do końca, gdyby dzięki pomysłowi naszego Ya-Bona nie powstał nowy przeciwnik w mojej osobie. Czyż mam panu opowiadać dalej? Resztę zna pan równie dobrze, jak i ja; może pan ocenić i osądzić potworność tego niecnego zbrodniarza w całej okazałości. Tego nędznika, który w ciągu dwudziestu czterech godzin

zdołał zadusić swoją współpracowniczkę, a raczej kochankę, panią Mosgranem, przysypać maceczkę Koralie kupą piasku, zamordować Ya-Bona, zamknąć mnie - a przynajmniej sądzić, że zamknął - w pawilonie, pana pogrzebać żywcem w grobie, wykopanym przez pańskiego ojca. I usunąć z drogi portiera Vacherota. A teraz, kapitanie, czy uważa pan, że powinienem był przeszkodzić temu, by się sam zabił, ten wspaniały pan, który na dobitek usiłował jeszcze uchodzić za pańskiego ojca?

- Miał pan słuszość - odparł Patryk. - We wszystkim, od początku do końca, miał pan słuszość. Cała ta sprawa przedstawia mi się już jasno. Jednej rzeczy tylko nie rozumiem, to jest, co znaczy ów „złoty trójkąt"! W jaki sposób odkrył pan tę tajemnicę? Co pana naprowadziło na kopiec piasku? Jak pan zdołał ocalić Koralie od tej strasznej śmierci?

- Och - odparł Don Luis - tu sprawa jest jeszcze prostsza i wyjaśniła się prawie beze mnie. Lecz odsuńmy się cokolwiek. Pan Desmalions i jego ludzie zaczynają nam trochę przeszkadzać.

Policjanci rozdzielili się na dwie grupy po obu stronach placu budowlanego Berthou. Pan Desmalions udzielił im widać właśnie instrukcji co do sposobu ujęcia Don Luisa.

254

- Chodźmy na statek - rzekł Don Luis. - Zostawiłem tam ważne papiery.

Patryk podążył za nim.

Naprzeciw kabiny, w której znajdowały się zwłoki Grzegorza, była druga kabina, do której dochodziło się tymi samymi schodami. Całe umeblowanie stanowił stół i krzesło.

- Mój kapitanie - rzekł Don Luis, otwierając szufladę i dobywając z niej list, który zapieczętował. - Panie kapitanie, oto list na wskazany adres... Nie, nie, bez niepotrzebnych słów. Zaledwie zdążę zaspokoić pańską ciekawość; ci panowie zbliżają się. Chodzi nam o ów trójkąt, mówmy więc o nim.

Chwilę nasłuchiwał z uwagą, której znaczenie Patryk właściwie zrozumiał nieco później, i opowiadał dalej:

- Złoty trójkąt! Są zagadnienia, które się rozwiązuje tylko przez przypadek, bez poszukiwania. Otóż dziś z rana Essares-Bej, zawiódłszy pana do grobowca i zamknąwszy tenże, powrócił do mnie. Sądząc, że jestem uwięziony w pawilonie, był tak uprzejmy, że otworzył kurek gazowy i odszedł, by się udać na plac Berthou! Tam zawahał się przez chwilę, a ta chwila wahania była dla mnie, który go śledziłem, drogocenną wskazówką. Z pewnością myślał wtedy o oswojeniu maceczki Koralii, lecz zbyt wielu było przechodniów. Oddalił się.

Wiedząc, dokąd poszedł, powróciłem na ratunek panu, zawiadomiłem o tym, co zaszło, pańskich towarzyszy w pałacu Essaresa i prosiłem ich, by się panem zajęli. Sam zaś powróciłem tutaj. Ponieważ worki ze złotem nie znajdowały się wewnątrz kanałów, a „Piękna Helena" dotąd ich nie wywiozła, przypuszczałem, że muszą być ukryte za ogrodem i poza kanałami. A więc gdzieś tu, w tej okolicy. Zbadałem statek, nie tyle szukając złota, ile raczej jakiejś nieprzewidzianej wskazówki, a także, przyznaję się, by poszukać owych czterech milionów, oddanych Grzegorzowi. Otóż ile razy

zabieram się do przeszukania miejsca, w którym nie mogę znaleźć tego, czego szukam, zawsze przypominam sobie tę dziwną opowieść Edgara Poe *Skradziony list...* Przypomina pan sobie historię owego dyplomatycznego dokumentu, który został

skradziony

i ukryty w jakimś pokoju? Przetrzęsają wszystkie kąty, podnoszą tafle parkietu... na próżno! Na to przybywa pan Dupin i prawie natychmiast kieruje się do teki, zawieszanej na ścianie, z której wygląda kawałek starego papieru. To był ten dokument! Otóż i ja 255

instynktownie stosuję ten sam sposób. Szukam tam, gdzie by na myśl nawet nie przyszło poszukać, w miejscach nie mogących uchodzić nawet za kryjówkę. Właśnie dlatego, że to byłoby za łatwe do znalezienia. Tak więc, na przykład teraz przyszła mi myśl przejrzeć te stare księgi adresowe, ułożone tam na stoliku. W nich znalazłem cztery miliony. To było dla mnie wskazówką...

- Jaką wskazówką?

- A tak, wskazówką o sposobie myślenia Essaresa, o jego lekturze, zwyczajach, o środkach, jakich używał do obierania kryjówek.

Szukaliśmy za daleko i za głęboko. Wybieraliśmy trudności, należało sobie to łatwiej urządzić, badać bardziej na zewnątrz, na powierzchni.

Jeszcze dwie inne drobne wskazówki mi dopomogły. Zauważyłem, że na szczeblach drabinki, którą Ya-Bon z owego miejsca sobie przyniósł, tkwiły ziarenka piasku. Na koniec przypomniałem sobie, że Ya-Bon nakreślił na chodniku kredą trójkąt, a trójkąt ten miał tylko dwa boki, gdyż trzeci stanowiła podstawa muru. Dlaczego ten szczegół? Dlaczego nie nakreślił kredą tego trzeciego boku? Czy brak tej linii wskazywał, że kryjówka znajduje się u podnóża muru? Zapalam więc papierosa, siadam wygodnie na pomoście i rozglądając się wokół, mówię do siebie: „Mój kochany Lupin, daję ci jeszcze pięć minut czasu”. A gdy mówię sobie: „mój kochany Lupin”, to doprawdy nie mogę się sobie oprzeć. Nie wypaliłem jeszcze ani ćwierci papierosa, a już wiedziałem.

- Już pan wiedział?

- Wiedziałem! Ale który spośród czynników intelektu, jakim rozporządzam, wykrzesał tę iskrę? Nie wiem. Zapewne wszystkie razem! To proces psychologiczny dość skomplikowany, coś jakby eksperyment chemiczny. Właściwa myśl powstaje nagle przez tajemniczą reakcję i podświadomą kombinację. Intuicja i jakieś niezwykle podniecenie pchało mnie nieodparcie do odkrycia tego schowka. Wszak znajdowała się w nim mateczka Koralia. Wiedziałem, że jedna pomyłka z mej strony, wahanie i opóźnienie będzie dla niej zgubą! Na tym obszarze kilkudziesięciu metrów musiała być ukryta.

Trzeba się było spieszyć. Nagle błysnęła myśl i pobiegłem do kopca piasku. Natychmiast spostrzegłem ślady kroków, a u samej góry znaki jeszcze wyraźniejsze. Zacząłem szukać. Niech mi pan wierzy, że pierwsze dotknięcie jednego

z worków zelektryzowało mnie. Lecz nie było czasu na wzruszenia.

Mateczka Koralia leżała tam, przysypana piaskiem, który ją dławił, przygniatał, zatykał oczy, dusił. Nie potrzebuję chyba więcej mówić. Na placu, jak zwykle, nie było nikogo. Wydobyłem ją stamtąd. Pobiegnę po samochód i zawiozłem do domu. Następnie zająłem się Essaresem, portierem Vacherotem i powiadomiony o planach naszego wroga udałem się do doktora Geradeca, by się z nim porozumieć.

Równocześnie poleciłem przeniesienie pana do kliniki na bulwarze Montmorency, jak również i mateczki Koralii, dla której zmiana otoczenia była bardzo wskazana... I tak, kapitanie, wszystko to odbyło się w ciągu trzech godzin. Gdy samochód doktora przywiózł mnie do kliniki, Essares w tej samej chwili przybył tam po poradę. Miałem go w ręku.

Don Luis umilkł.

Patryk w milczeniu uściśnął dłoń przyjaciela. Wiedział, że oddał mu on największą przysługę, jaką człowiek człowiekowi może oddać. Za taką przysługę nie ma słów odpowiednich na podziękowanie. Wiedział

również, że nie znajdzie możliwości odwdzińczyć mu się, bo jaką przysługę można oddać człowiekowi, który rozporządza takimi środkami i dokonuje cudów na co dzień.

Don Luis przyjął jego hołd milcząco i rzekł:

- Jeśli kiedykolwiek kto przed panem będzie źle mówił o Arsenie Lupin, to broń go, kapitanie. On na to zasługuje.

I śmiejąc się, dodał:

- To zabawne, ale na starość chodzi mi o moją reputację. Wedle starego przysłowia: Z diabła zrobił się pustelnik. - Znowu jął

nasłuchiwać i po chwili rzekł: - Oto zbliża się chwila rozstania, mój drogi kapitanie. Proszę złożyć wyrazy uszanowania mateczce Koralii.

Mogę powiedzieć, że jej nie znałem i ona też mnie nie pozna. To może i lepiej! Do widzenia, kapitanie. A jeżeli kiedykolwiek będzie mnie pan potrzebował, by zdemaskować jakiegoś łotra czy wydostać z kłopotów uczciwego człowieka, niech pan nie waha się udać do mnie po poradę.

Postaram się, by pan zawsze miał mój adres. Jeszcze raz do widzenia

- Więc już się rozstajemy?

- Tak, słyszę pana Desmalionsa. Może by pan poszedł do niego i zechciał przyprowadzić go tutaj.

Patryk zawahał się. Dlaczego Don Luis wysłał go naprzeciw? Czy po to, by on, Patryk, wstawił się za nim? Ta myśl zdecydowała.

Wyszedł.

Wówczas stało się coś, czego Patryk nigdy nie mógł pojąć.

Na pomoście spotkał pana Desmalionsa, który zapytał go:

- Czy pański przyjaciel jest na statku?

- Tak, lecz... pozwoli pan... dwa słowa... Czy pan ma zamiar?...

- Nie obawiaj się pan. Nie mamy żadnych złych intencji, przeciwnie...

Ton mowy był tak stanowczy, że oficer zamilkł. Weszli na statek.

- Cóż to? Przecież wychodząc, zostawiłem drzwi kabiny otwarte -

zauważył Patryk. Pchnął je, drzwi otwarły się. Lecz Don Luisa nie było w kabinie.

Okazało się, że nikt nie zauważył jego wyjścia: ani policjanci, ustawieni na wybrzeżu, ani ci, którzy przeszli już pomost. Patryk oświadczył:

- Po gruntownym zbadaniu tego statku okaże się, nie wątpię w to, że zawiera on wiele ciekawych niespodzianek.

- Więc pan przypuszcza, że przyjaciel pański zbiegł jakimś ukrytym wyjściem i popłynął na rzekę? - zapytał pan Desmalions bardzo podrażniony.

- Prawdopodobnie - odparł śmiejąc się Patryk. - Może nawet jakąś łodzią podwodną.

- Łódź podwodna na Sekwanie?

- Dlaczego nie? Nie sądzę, by istniały granice dla woli i sprytu mego przyjaciela.

Lecz tym, co jeszcze dopełniło zdumienia pana Desmalionsa, był

list pod jego adresem znaleziony na stole, który Don Luis Perenna złożył tam na początku swej rozmowy z kapitanem Belval.

List brzmiał następująco:

Szanowny Panie!

Proszę mi wybaczyć mój wyjazd i wierzyć mi, że dobrze rozumiem powód pańskiego przybycia. W

rzeczy samej sytuacja moja nie jest zupełnie prawidłowa i ma pan najzupełniejsze prawo żądać ode mnie wytłumaczenia. Zobowiązuję się dać je w najbliższym czasie.

258

Przekona się pan wtedy, że mój sposób służenia Francji nie jest z pewnością najgorszy, że kraj mój winien mi wdzięczność za te niesłychane, pozwalam sobie użyć tego słowa, usługi, oddane mu podczas tej wojny.

Chciałbym, by mi pan mógł podziękować w dniu, w którym się spotkamy. Wtedy będzie pan - gdyż znam pańskie skryte życzenie -

będzie pan prefektem policji. Możliwe nawet, że osobiście będę mógł

przyczynić się do tej nominacji, którą uważam za najzupełniej zasłużoną. Zaczynam już teraz działać w tym kierunku. Proszę przyjąć...

etc.

Pan Desmalions, milcząc dłuższy czas, wyrzekł wreszcie:

- Dziwny człowiek! Gdyby był chciał, powierzylibyśmy mu ważne sprawy. Właśnie miałem polecenie od pana Valenglay powiedzieć mu to. - Bądź pan pewny - odparł Patryk - że te sprawy, które on teraz załatwia, są jeszcze ważniejsze.

Po czym dodał:

- Dziwny człowiek, w istocie! Jest nawet dziwniejszy, potężniejszy i bardziej niezwykły niż pan przypuszcza. Gdyby każde z państw sprzymierzonych miało do dyspozycji trzech lub czterech podobnych mu ludzi, wojna nie potrwałaby i sześciu miesięcy.

A pan Desmalions odparł półgłosem:

- Wierzę... Tylko, że tego rodzaju ludzie są zwykle odosobnieni.

To są ci oporni, którzy sami się rządzą i nie przyjmują żadnego jarzma.

Oto, na przykład, kapitanie, coś w tym rodzaju, jak ten sławny awanturnik, który przed kilku laty zmusił cesarza niemieckiego, by przyszedł do niego do więzienia i uwolnił go... i który potem, wskutek nieszczęśliwej miłości, rzucił się w morze ze skały na Capri...

- Któż to?

- Pan nie wie?... Lupin... Arsen Lupin...

Spis treści

Część I. *Deszcz iskier* 3

I. Mateczka Koralia

5

II. Prawa ręka i lewa noga 16

III. Zardzewiały klucz 27

IV. Przed ogniem 37

V. Mąż i żona 47

VI. Godzina siódma .minut dziewiętnaście

59

VII. Dwunasta minut dwadzieścia trzy 70

VIII. Dzieło Essares-Beya 82

IX. Patryk i Koralia 93

X. Czerwony sznurek 104

XI. Ku przepaści 116

Część II. *Zwycięstwo Arsena Lupina* 127

I. Groza 129

II. Gwoździe do trumny 141

III. Osobliwe indywiduum 151

IV. „Piękna Helena” 166

V. Akt czwarty 183

VI. Symeon podejmuje walkę 197

VII. Doktor Geradec 213

VIII. Ostatnia ofiara Symeona 226

IX. Niech się stanie światło! 238